

Raymond Chandler

TOPIELICA

Przełożył Zbigniew Gieniewski

Tytuł oryginału

THE LADY IN THE LAKE



ROZDZIAŁ 1

GMACH TRELOARA znajdował się, i nadal się znajduje, na Olive Street. Przy Szóstej, po zachodniej stronie ulicy. Szło się do niego chodnikiem ułożonym z białych i czarnych gumowych kostek, który właśnie rozbierano, żeby rząd odzyskał swój kauczuk. Nadzór nad tą robotą sprawował facet o wyglądzie typowego kierownika budowy, chociaż z gołą głową. Na jego bladej twarzy malowała się rozpacz, o jaką przyprawiał go ten akt destrukcji.

Ominąłem go i podążając pasażem, wzdłuż którego usytuowane były najróżniejszego rodzaju sklepiki, wkroczyłem do rozległej recepcji, utrzymanej w kolorach czerni i złota. Gillerlain Company mieściła się na szóstym piętrze, od strony ulicy. Drogę do niej otwierały wahadłowe drzwi z grubego szkła obramowanego platynowymi ramkami. Podłoga recepcji pokryta była chińskimi dywanami, a jej ściany miały matowosrebrzysty kolor. Meble zachowywały wprawdzie kąty proste, lecz były raczej wyszukanych kształtów. Tu i ówdzie wyrastała z piedestału jakaś agresywna abstrakcyjna rzeźba, a w jednym z rogów pomieszczenia przyciągała uwagę wysoka trójgromiasta witryna z próbkami produktów tej firmy.

Na półkach, półkolistych podstawkach i wspornikach z lustrzanego szkła wyeksponowane zostały chyba wszystkie wymyślne buteleczki, flakony i puzderka, jakie kiedykolwiek wymyślono. A w nich kremy, pudry, mydélka i wody toaletowe na każdą porę, tudzież na każdą okazję. Perfumy w wysokich, smukłych flakonikach, sprawiających wrażenie, że rozpadną się pod tchnieniem najdelikatniejszego oddechu, i perfumy w małych fiolkach utrzymanych w pastelowej gamie, a nadto przyozdobionych imponującymi kokardami z jedwabnych wstążeczek, które przywodziły na myśl dziewczątka ćwiczące na lekcjach tańca. Najwspanialszą ozdobą całej kolekcji zdawało się być coś niesłychanie dyskretnego i prostego, co mieściło się w płaskim bursztynowym flakoniku. Usytuowany w centrum witryny i na wysokości wzroku patrzącego, miał on obszerną przestrzeń zarezerwowaną tylko dla siebie, a zdobiła go etykieta, która objaśniała, że to *Gillerlain Regal, Szampan pośród perfum*. Sam jego widok stanowił pokusę nie do przewyciężenia. Było jasne, że odrobina tego specyfiku w zagłębieniu szyi wystarczyłaby, żeby otoczyły ją

sznury różowych pereł ofiarowanych przez wielbicieli.

W przeciwległym rogu pomieszczenia przed podręczną centralką siedziała schludna blondyneczka, którą od wszelkiego zamętu oddzielała barierka, a zaraz przy wejściu, za prostym biurkiem, królowała wysoka, smukła, ciemnowłosa piękność, a umieszczona przed nią pod kątem czterdziestu pięciu stopni tabliczka w ozdobnej ramce informowała, że ma się do czynienia z panną Adrienne Fromsett.

Miała na sobie typowy stalowoszary kostium urzędniczki i ciemnoniebieską koszulę ozdobioną męskim krawatem w nieco jaśniejszym odcieniu. Z butonierki wystawała nieskazitelnie czysta chusteczka o krawędziach zaprasowanych tak ostro, że można było kroić nimi chleb. Jeżeli chodzi o biżuterię, to panna Fromsett zadowalała się bransoletką w formie łańcuszka. Rozdzielone przedziałkiem delikatne włosy luźno, choć w sposób bynajmniej nie przypadkowy, opadały jej na ramiona. Gładka skóra miała odcień kości słoniowej, brwi układały się raczej w surowy wyraz, duże zaś ciemne oczy zdawały się obiecywać, że gdyby nadszedł właściwy czas i odpowiednia chwila, mogłyby się w nich pojawić cieplejsze błyski.

Położyłem przed nią swoją wizytówkę; tę standardową, bez sylwetki pistoletu maszynowego w rogu. Po czym zapytałem, czy mógłbym porozmawiać z panem Derace'em Kingsleyem.

Przyjrzała się wizytówce.

– Jest pan z nim umówiony?

– Nie.

– Wie pan, do pana Kingsleya bardzo trudno jest się dostać komuś, komu nie wyznaczył przedtem spotkania.

Nie zamierzałem jej przekonywać, że to niekoniecznie prawda.

– A w ogóle to w jakiej sprawie chciałby się pan z nim widzieć, panie Marlowe?

– W sprawie osobistej.

– Rozumiem. Czy pan Kingsley pana zna?

– Nie sądzę. Być może zna mnie ze słyszenia. W każdym razie może mu pani powiedzieć, że skierował mnie do niego porucznik M'Gee.

– A czy pan Kingsley zna porucznika M'Gee?

Odłożyła moją wizytówkę obok stosiku papierów listowych ze świeżo wypisanymi nagłówkami, po czym wyprostowała się, oparła dłoń na blacie biurka i poczęła weń lekko postukiwać małym pozłacanym piórem.

Uśmiechnąłem się do niej wdzięcznie. Widziałem, że blondyneczka od centralki nadstawia muszelkowatego uszka i częstuje mnie aksamitnie delikatnym uśmiezkiem, który

zdawał się dowodzić, że wprawdzie nie brak jej zalotności ani ochoty do nawiązywania kontaktów, ale równocześnie nie starcza jej pewności siebie. Jak kociątku przygarniętemu przez rodzinę, która niezbyt lubi kocięta.

– Mam nadzieję, że pan Kingsley zna porucznika M’Gee. Myślę jednak, że najlepszy sposób, żeby się o tym przekonać, to po prostu zapytać go o to.

Żeby w odruchu gniewu nie rzucić we mnie podstawką z obsadką na pióro, za pomocą tegoż pióra złożyła swoje parafy pod trzema gotowymi listami. Znowu się do mnie odezwała, nie podnosząc wzroku znad biurka:

– Pan Kingsley ma w tej chwili gości. Przekażę mu pańską wizytówkę, jak tylko będzie wolny.

Podziękowałem, odszedłem od biurka i zasiadłem w chromowanym, obitym skórą fotelu, który okazał się wygodniejszy, niżby można było sądzić po jego wyglądzie. Czas mijał. W recepcji panowała cisza; nikt nie wchodził, nikt nie wychodził. Eleganckie palce panny Fromsett przegarniały zgromadzone na biurku papiery, a od strony centralki dochodziły od czasu do czasu przytłumione kocie piski telefonicznych sygnałów i nieco głucho trzaski przełączanych wtyczek.

Zapaliłem papierosa i przysunąłem solidną popielnicę bliżej fotela. Minuty biegły jedna za drugą na paluszkach i z palcem na ustach. Rozejrzałem się po całym pomieszczeniu. Z jego wyglądu nie sposób się było czegokolwiek domyślić. Właściciele tego interesu równie dobrze mogli zarabiać miliony, jak i tkwić teraz na zapleczu twarzą w twarz z szeryfem, który kołysząc się na krześle, zasłaniałby im dostęp do kasy pancерnej.

Po jakiejś pół godzinie i trzech lub czterech zduszonych niedopalkach za plecami panny Fromsett otworzyły się wreszcie drzwi, z których wycofywali się tyłem dwaj rechocący mężczyźni. Akompaniował im śmiechem, przytrzymując zarazem drzwi, trzeci. Po wymianie serdecznych uścisków dłoni dwaj wychodzący przeszli przez salę recepcyjną i zniknęli za wahadłowymi drzwiami wyjściowymi.

W tej samej chwili uśmiech zniknął z twarzy gospodarza i nikt by się teraz nie domyślił, że kiedykolwiek mógł się na niej pojawić. Był to bardzo wysoki osobnik w szarym garniturze, i widać było po nim, że raczej poważnie traktuje sprawy.

– Było coś do mnie? – rzucił ostrym tonem surowego zwierchnika.

– Niejaki pan Marlowe chce z panem rozmawiać – odparła ciepłym altem panna Fromsett. – Przysłał go porucznik M’Gee. Mówi, że ma do pana jakąś osobistą sprawę.

– Nic o nim nie wiem – warknął wielkolud. Wziął do ręki moją wizytówkę, po czym nie spojrzawszy nawet na mnie, wrócił do swojego gabinetu. Drzwi na pneumatycznych

zawiasach zamknęły się za nim z czymś w rodzaju westchnienia ulgi.

Panna Fromsett obdarzyła mnie stosownym do sytuacji, słodko-smutnym uśmiechem, więc w odpowiedzi skrzywiłem wargi ni to w uśmiechu, ni w jakimś plugawym przekleństwie.

Zacząłem obracać w zębach następnego papierosa. Czas mijał, a we mnie zaczynały się rodzić naprawdę gorące uczucia wobec Gillerlain Company.

Po jakichś dziesięciu minutach drzwi gabinetu otwarły się i znowu zobaczyłem w nich szefa. Tym razem na głowie miał kapelusz i mijając biurko panny Fromsett burknął, że udaje się do fryzjera. Zamaszyście energicznym krokiem zdążył już pokonać przestrzeń niemal połowy chińskiego dywanu dzielącego go od wyjściowych drzwi, gdy raptem niespodziewanie zmienił kurs i podszedł do mnie. Po czym po swoim warkliwie zagadnął:

– Pan chciał się ze mną widzieć?

Oceeniłem go na jakieś metr osiemdziesiąt siedem, przy czym niewiele było w nim miękkości. Jego oczy miały szarość kamienia, chwilami błyskającego zimnym ogniem. Szary garnitur w dużym rozmiarze z miękkiej flaneli w wąskie kredowe paski okrywał jego wielkie ciało, i musiałem przyznać, że okrywał nie bez pewnej elegancji. Z jego zachowania można było sądzić, że niełatwo będzie się z nim dogadać.

Wstałem z fotela.

– Pan Derace Kingsley, nieprawdaż?

– A kim, do cholery, miałbym być?

Pominałem milczeniem tę zużytą zagrywkę i wręczyłem mu swoją drugą wizytówkę. Tę, z której można wyczytać, czym się naprawdę zajmuję.

Zacisnął ją w łapie i przebiegł gniewnym spojrzeniem.

– Kto to ten cały M’Gee? – warknął.

– Taki jeden gość, którego akurat znam.

– Fascynująco dogłębne wyjaśnienie! – powiedział, spoglądając znacząco przez ramię na pannę Fromsett. Była tym zachwycona. – Byłby pan jednak łaskaw dorzucić jeszcze jakiś szczegółik na jego temat?

– Aha – domyśliłem się. – Nazywają go Fiołkowy M’Gee. Bo ssie takie pastylki na gardło, co mają fiołkowy zapach. A poza tym to jest taki potężnie zbudowany facet ze srebrzystą czupryną i usteczkami w ciup, co to są wprost stworzone, żeby całować bobaski. Ostatnim razem widziano go w schludnym granatowym garniturze, w półbutach z szerokimi noskami, w szarym homburgu na głowie i z krótką wrzosową fajeczką, w której zwykł palić opium.

– Nie podoba mi się pański sposób bycia – oświadczył Kingsley głosem, który mógłby rozłupać brazylijskie orzechy. Więc stwierdziłem:

– Ja oferuję swoje usługi, a nie maniery, panie Kingsley.

Cofnął się ode mnie, jak gdybym mu podsunął pod nos nieświeżą makrelę. Po czym pokazał mi plecy, ale po chwili rzucił przez ramię:

– Bóg jeden wie dlaczego, ale daję panu dokładnie trzy minuty na wyjaśnienia.

I jeszcze raz przesunął się po chińskim dywanie obok biurka panny Fromsett, pchnął przed sobą drzwi do gabinetu, które rozkołysane omal nie walnęły mnie w twarz.

Pannę Fromsett po raz kolejny napęłniło to złośliwym zadowoleniem, chociaż miałem wrażenie, że w głębi jej oczu rozjarzyły się drobne iskierki śmiechu.

ROZDZIAŁ 2

JEGO OSOBISTY gabinet był dokładnie taki, jaki powinien być osobisty gabinet szefa. Obszerny, mroczny, cichy i klimatyzowany. Okna były zamknięte, a weneckie żaluzje do połowy zapuszczone, żeby do wnętrza nie wdzierał się blask lipcowego słońca. Szare zasłony współgrały z szarością dywanu. W kącie stała duża, czarnosrebrzysta kasa pancerna oraz rząd idealnie z nią zharmonizowanych niskich szafek na dokumenty. Na ścianie wisiała wielka fotografia osłonięta przyciemnionym szkłem. Widniał na niej wiekowy jegomość z wyrazistym, ostrym nosem i bokobrodami. Spomiędzy odgiętych skrzydełek sztywno stojącego kołnierzyka wyzierało jabłko Adama, które zdawało się twardsze niż szczęki większości ludzi. Pod fotografią umieszczona była metalowa tabliczka z wygrawerowanym napisem: *Mr. Matthew Gillerlain, 1860-1934.*

Derace Kingsley energicznym krokiem obszedł swoje biurko, warte na oko jakieś osiemset dolarów, po czym usadowił się w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Sięgnął do pudełka z miedzi i mahoniu, wyjął z niego wykwintne cygaro, przyciął je i przypalił, używając do tego stojącej na biurku dużej miedzianej zapalniczki. Robił to wszystko bez pośpiechu, ponieważ najwyraźniej mój czas się dla niego nie liczył. Gdy wreszcie skończył, odchylił się na oparcie fotela, wydmuchnął obłoczek dymu i powiedział:

– Jestem człowiekiem interesu i nie zwykłem niepotrzebnie tracić czasu. Z pańskiej wizytówki wynika, że jest pan licencjonowanym detektywem. Proszę mi pokazać coś, co by tego dowiodło.

Wyjąłem z kieszeni portfel i wręczyłem mu parę rzeczy, które to potwierdzały. Przyjrzał się im, po czym cisnął je w moją stronę poprzez blat biurka. Celuloidowa ramka, w której trzymałem fotokopię mojej licencji, spadła na podłogę. Pan Kingsley oszczędził sobie przeprosin.

– Nie znam nikogo o nazwisku M’Gee. Znam szeryfa Petersena. Poprosiłem go, żeby mi wskazał kogoś, kto by mi się nadał. Przypuszczam, że to pan ma być tym człowiekiem.

– M’Gee pracuje w hollywoodzkim podkomisariacie biura szeryfa – wyjaśniłem. – Może pan to sprawdzić.

– To nie będzie konieczne. Sądzę, że spełnia pan moje wymagania, ale radzę nie próbować ze mną żadnych sztuczek. I proszę sobie zapamiętać, że kiedy wynajmuję człowieka, to staje się on moim człowiekiem. Robi dokładnie to, co mu powiem, i nie puszcza pary z ust. Bo jeśli nie, to szybko dostaje kopa. Jasne? Mam nadzieję, że nie okaże się dla pana zbyt twardy.

– Niech to pytanie pozostanie otwarte – powiedziałem.

Zmarszczył brwi, po czym zapytał ostrym tonem:

– Jaka jest pańska stawka?

– Dwadzieścia pięć dziennie plus wydatki. Osiem centów za każdą milę, którą przejadę swoim samochodem.

– To absurd – odparł. – Stanowczo za dużo. Piętnaście dziennie, bez żadnych dodatków. To i tak kupa forsy. Co do samochodu, to zgoda. Tak jak sprawy się mają, będę panu zwracał koszta podróży, byle były rozsądne. Żadnych przejazdów dla przyjemności.

Wydmuchnąłem mały obłoczek papierosowego dymu i rozwiąłem go dłonią. Milczałem, co go trochę zaskoczyło.

Przechylił się ponad biurkiem i wycelował we mnie swoje cygaro.

– Jeszcze pana nie zaangażowałem – powiedział. – Ale jeżeli to zrobię, to jest to robota absolutnie poufna. Ani słowa na jej temat pańskim policyjnym przyjaciołom. Rozumiemy się?

– Co konkretnie miałbym zrobić, panie Kingsley?

– A cóż to za różnica? W końcu podejmuje się pan każdego detektywistycznego zadania, czyż nie?

– Nie każdego. Podejmuję się tylko takich, które są w miarę uczciwe.

Utkwił we mnie wzrok, szczęki miał zaciśnięte. W spojrzeniu jego szarych oczu było coś nieprzeniknionego.

– Nie biorę na przykład spraw rozwodowych – powiedziałem. – A poza tym biorę z góry setkę zaliczki. To znaczy od ludzi, których nie znam.

– No, no! – powiedział niespodziewanie łagodnym tonem. – Patrzcie państwo!

– A co do tego, czy nie jest pan dla mnie za twardy – dorzuciłem – to większość moich klientów albo zaczyna od wyplakiwania mi się w mankiet, albo z miejsca na mnie naskakuje, żeby pokazać, kto tu jest szefem. Najczęściej jednak stają się w końcu rozsądni. To znaczy, jeśli uda im się ujść z życiem.

– Patrzcie państwo! – powtórzył tym samym łagodnym tonem, nie przestając się we mnie wpatrywać. – A bardzo wielu z nich przyplaca to życiem?

– Nie ci, którzy traktują mnie jak należy – odparłem.

– Może cygaro? – zapytał.

Sięgnąłem po cygaro i wsunąłem je do kieszeni.

– Chcę, żeby pan odnalazł moją żonę – oświadczył. – Zaginęła przed miesiącem.

– W porządku – powiedziałem. – Odnajdę pańską żonę.

Zabębnił obiema rękami w blat biurka i spojrzał na mnie z powagą.

– Myślę nawet, że może się to panu udać – powiedział, po czym uśmiechnął się. – Od czterech lat nikt mi się nie postawił tak jak pan.

Skwitowałem to milczeniem.

– I niech mnie diabli, ale to mi się spodobało! Słowo daję! – oświadczył. Przegarnął palcami swoją gęstą czarną czuprynę.

– Nie ma jej już cały miesiąc. Zniknęła z naszego domku w górach, w pobliżu Puma Point. Wie pan, gdzie to jest?

Powiedziałem, że znam Puma Point.

– Nasza posiadłość znajduje się o pięć kilometrów od wioski – ciągnął. – Część drogi należy do nas. Jest prywatna. Pod bokiem mamy jezioro. Też prywatna własność. Znane jest jako Jezioro Małego Jelonka. Zbudowaliśmy małą tamę, bo chcieliśmy ulepszyć naszą własność. Bo cały ten teren kupiliśmy we trzech. Ja i dwaj moi znajomi. Jest tego całkiem sporo, ale w marnym stanie. I w obecnej sytuacji nie ma oczywiście szans na to, żeby to zmienić na lepsze. Tamci dwaj mają swoje domki, ja mam swój, a w czwartym mieszka z żoną niejaki Bill Chess. Nie płaci czynszu, ale w zamian za to ma na wszystko baczenie. To inwalida wojenny, żyje z renty. I tak to wszystko wygląda. Moja żona pojechała tam w połowie maja, dwukrotnie pojawiła się w mieście, żeby spędzić tu weekend, i znowu miała przyjechać dwunastego czerwca na towarzyskie przyjęcie, na którym się jednak nie zjawiła. Od tej pory jej nie widziałem.

– Co pan w związku z tym zrobił? – zapytałem.

– Nic. Zupełnie nic. Nawet tam nie pojechałem.

Zamilkł i czekał, aż zapytam dlaczego.

Więc zapytałem:

– Dlaczego?

Odsunął się wraz z fotelem od biurka, żeby otworzyć i wysunąć jedną z szuflad. Wyjął z niej złożoną kartkę papieru i podsunął mi ją poprzez blat. Rozłożywszy ją, zobaczyłem, że był to telegram. Wysłano go z El Paso czternastego czerwca o dziewiątej dziewiętnaście rano. Zaadresowany był do Derace'a Kingsleya, Carson Drive 965 w Beverly Hills. Tekst był

następujący:

JADE DO MEKSYKU PO SZYBKI ROZWÓD STOP WYCHODZĘ ZA CHRISA
STOP ŻYCZĘ WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO I ZEGNAJ CRYSTAL.

Położyłem telegram po mojej stronie biurka, on zaś podał mi z kolei dużą i dobrze zrobioną fotografię na błyszczącym papierze. Ukazywała parę siedzącą na piasku pod plażowym parasolem. Mężczyzna miał na sobie kąpielówki, a kobieta coś, co było bardzo śmiało skrojonym, białym kostiumem kąpielowym ze skóry rekina. Była to szczupła blondynka, młoda, zgrabna i uśmiechnięta. Jej towarzysz był postawnym, przystojnym mężczyzną o ciemnej karnacji, solidnych barkach i nogach, gładko zaczesanych ciemnych włosach i białych zębach. Metr osiemdziesiąt, typowy podrywacz cudzych żon. Silne ramiona, które potrafią mocno objąć, i twarz, która zastępuje inteligencję. Trzymał w ręku przeciwsłoneczne okulary i uśmiechał się do obiektywu dobrze wyćwiczonym ujmującym uśmiechem.

– To Crystal – powiedział Kingsley. – A to Chris Lavery. I świetnie. Niech go sobie ma i niech on ma ją, i do diabła z nimi obojgiem!

Odłożyłem fotografię na telegram.

– Dobrze, w takim razie po co panu prywatny detektyw? – zapytałem.

– Tam w górach nie ma telefonu – wyjaśnił. – A w dodatku sprawa, w której miała tu przyjechać, nie była specjalnie ważna. Dostałem ten telegram, zanim jeszcze zacząłem się serio zastanawiać, dlaczego nie przyjechała. Tą depeszą też nie byłem zresztą zbytnio zaskoczony. Pomiedzy mną a Crystal lata temu już wszystko zwiędło. Ona zajmowała się swoim życiem, a ja swoim. Miała swoje własne pieniądze i to wcale niemało. Jakieś dwadzieścia tysięcy rocznego dochodu z rodzinnego holdingu, który wydzierżawiał w Teksasie bogate pola naftowe. Lubiała się dobrze bawić i wiedziałem, że zabawia się między innymi w towarzystwie Chrisa Lavery’ego. Zdziwić mogło mnie jedynie to, że postanowiła za niego wyjść, bo w końcu to tylko zawodowy łowca kobiet. Ale w sumie, rozumie pan, do tej pory wszystko mi się zgadzało.

– A potem?

– Przez dwa tygodnie cisza. Aż skontaktowali się ze mną ludzie z hotelu „Prescott” w San Bernardino i poinformowali mnie, że w ich garażu stoi packard model Clipper, zarejestrowany pod moim adresem na nazwisko Crystal Grace Kingsley, która się po niego nie zgłasza, więc co mają z tym zrobić. Powiedziałem, żeby dalej go trzymali, i wysłałem im czek. Ale i tym jeszcze się nie przejąłem. Pomyślałem, że skoro przekroczyła granicę, to jeśli w ogóle pojechali samochodem, mógł to być samochód Lavery’ego. Tylko że przedwczoraj

spotkałem Lavery'ego tutaj, przed Klubem Sportowym. I powiedział mi, że nie wie, gdzie się podziewa Crystal.

Kingsley obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, po czym sięgnął po butelkę i postawił ją na biurku razem z dwiema szklaneczkami z przyciemnionego szkła. Napenił je i popchnął jedną w moją stronę. Przyjrzał się swojej pod światło i powiedział, kładąc nacisk na każdym słowie:

– Lavery stwierdził, że nie wyjechał z nią, nie widział jej od dwóch miesięcy i w żadnej formie nie miał z nią w tym czasie jakiegokolwiek kontaktu.

– Uwierzył mu pan? – spytałem.

Skinął potakująco głową, zmarszczył brwi, po czym opróżnił swoją szklankę i odstawił ją na bok. Pociągnąłem łyczek ze swojej. To była szkocka. Nie z tych bardzo dobrych szkockich.

– Tak – powiedział Kingsley – chociaż chyba raczej nie powinienem był, ale... Uwierzyłem nie dlatego, że to ktoś, komu się wierzy. Bynajmniej. Właśnie dlatego uwierzyłem, że to kawał chrzanionego nicponia, który jest dumny z tego, że tak sprytnie potrafi zaciągać do łóżka żony swoich przyjaciół i jeszcze się tym chwali. Czuję, że gdyby naprawdę to zrobił, to za bardzo świerzbilby go język, żeby mi tym nie dopiec i nie rozgłosić dookoła, że nakłonił moją żonę do wspólnej ucieczki i do rzucenia mnie na dobre. Znam takie kocury, a jego akurat aż za dobrze. Pracował dla nas przez jakiś czas i ciągle wpadał z jednego kłopotu w drugi. Nie potrafił trzymać łap z dala od tyłków urzędniczek. A zresztą jak by nie było, to przecież przyszedł ten telegram z El Paso i skoro mu o nim powiedziałem, to dlaczego miałoby mu przyjść do głowy, żeby się wszystkiego wyprzeć?

Mogła go jednak w końcu zostawić na lodzie – zauważyłem. – A to by zraniło jego najczulszy punkt. Wie pan... Kompleks Casanovy.

Twarz Kingsleya trochę się rozjaśniła, ale tylko na moment. Potrząsnął głową.

Tak czy inaczej wciąż bardziej mu wierzę, niż nie dowierzam – stwierdził. – Jeśli się mylę, to będzie mi to pan musiał udowodnić. To jeden z powodów, dla których pana ściągnąłem. Ale jest jeszcze inny, i to bardzo kłopotliwy, aspekt tej sprawy. Widzi pan, mam tu dobrą posadę, ale to mnie do pewnych rzeczy zobowiązuje. Nie mogę sobie pozwolić na żaden skandal. Gdyby policja wmieszała się w zniknięcie mojej żony to musiałbym się stąd szybko sprzątnąć.

– Polica?

– Cóż – powiedział Kingsley niewesołym tonem. – Do rzeczy, które od czasu do czasu lubi robić moja małżonka, należą także odwiedziny jakiegoś dużego magazynu, żeby

podwędzić parę rzeczy. Tłumaczę to sobie swoistą manią wielkości, której ulega, zwłaszcza gdy się napije, ale jakkolwiek by to próbować wyjaśnić, fakt pozostaje faktem. Przeżyłem parę całkiem burzliwych scen w gabinetach dyrektorów domów handlowych. Jak dotąd, udawało mi się ich powstrzymywać przed złożeniem oficjalnej skargi, ale jeżeli coś takiego zdarzy się w obcym mieście, gdzie nikt jej nie zna... – podniósł ręce do góry, a potem z plaśnięciem opuścił je na blat biurka. – To może być kryminalna sprawa, prawda?

– Czy kiedykolwiek zdjęto jej odciski palców?

– Nigdy nie była aresztowana – zapewnił mnie Kingsley.

– Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że dyrekcje niektórych dużych domów towarowych godzą się na odstąpienie od skargi o kradzież, pod warunkiem że sprawca złoży odciski. To działa odstraszająco, a poza tym pozwala menedżerom na zakładanie i wzbogacanie kartotek kleptomatów, które przechowuje ich stowarzyszenie obrony przed kradzieżami. Kiedy liczba odcisków osiąga pewien poziom, występują z oficjalnym oskarżeniem.

– O ile mi wiadomo, nic takiego się dotychczas nie zdarzyło.

– W takim razie dobra – powiedziałem. – Myślę, że o sprawie kradzieży sklepowych możemy na jakiś czas prawie zapomnieć. Jeśli ją aresztują, zostanie przeszukana. Nawet gdyby gliniarze pozwolili jej posłużyć się fałszywym nazwiskiem na oficjalnym policyjnym formularzu, to postarają się jednak skontaktować z panem. A poza tym ona sama zacznie wołać o pomoc, kiedy zda sobie sprawę, że wpadła w tarapaty.

Postukałem palcem w niebiesko-biały druk telegramu.

– To rzecz sprzed miesiąca. Gdyby to, o czym pan myśli rzeczywiście się przez ten czas wydarzyło, to sprawa byłaby już wyjaśniona. Jeśliby to było pierwsze takie wykroczenie, wykpiłaby się upomnieniem i jakąś karą z zawieszeniem.

Żeby się podnieść na duchu, nalał sobie następną porcję whisky.

– Lepiej się dzięki panu poczułem – wyznał.

Ciągnąłem dalej:

– Mogło się jednak zdarzyć wiele innych rzeczy. Mogła wyjechać z Laverym, a potem ze sobą zerwali. Mogła wyjechać z kimś innym, a telegram jest zwykłym żartem. Mogła wyjechać sama albo nie z mężczyzną, ale z inną kobietą. Mogła się była zapić do nieprzytomności i jest teraz na odwyku w jakiejś prywatnej klinice na odludziu. Albo mogła wpaść w jakieś tarapaty, które nam nawet nie przychodzą do głowy. Na przykład stać się ofiarą czyjejs brudnej gry.

– Dobry Boże, niech pan nie mówi takich okropnych rzeczy! – zakrzyknął Kingsley.

– A to niby czemu? Trzeba wszystko brać pod uwagę. Co do mnie, na razie mam bardzo mgliste pojęcie o pani Kingsley. Wiem tylko, że jest młoda i urodziwa, że odznacza się niepokonanym temperamentem i nieposkromioną naturą. Że ponadto pije, a kiedy pije, to dopuszcza się niebezpiecznych rzeczy. Że jest idealnym łupem dla mężczyzn i mogła się związać z jakimś nieznanym, który okazał się naciągaczem. Czy to wszystko do niej pasuje?

Skinął głową.

– Pod każdym względem.

– Ile mogła mieć przy sobie pieniędzy?

– Lubiła ich zawsze mieć sporo. Poza tym ma swoje własne konto w swoim własnym banku. Mogła mieć dowolną sumę.

– Dzieci?

– Nie mamy dzieci.

– Czy to pan zajmuje się jej finansami?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nikt się tym nie zajmuje. To znaczy, ona sama przesyła do banku otrzymane czeki, a potem wybiera z konta i wydaje swoje pieniądze. Ani centa w nic nie zainwestowała. A już ja, gdyby to miał pan na myśli, nigdy nie miałem z jej pieniędzy najmniejszej korzyści.

Po chwili milczenia dorzucił:

– Niech pan jednak nie myśli, że tego nie próbowałem. W końcu jestem tylko człowiekiem i nie bawi mnie myśl o dwudziestu tysiącach dolarów rok w rok wyrzucanych w błoto. Bo jedyne zyski, jakie przynoszą, to bóle głowy po przepiciu i adoratorzy w rodzaju Chrisa Lavery'ego.

– W jakich jest pan stosunkach z jej bankiem? Czy mógłby pan zdobyć wyciąg z jej konta za ostatnie dwa miesiące?

– Nie pójdą na to. Kiedyś już próbowałem zasięgnąć tego rodzaju informacji. Wydawało mi się wtedy, że ktoś ją szantażuje. Ale nic z tego nie wyszło. Bank odmówił.

– To dałoby się jednak zrobić – powiedziałem. – I może nawet będziemy do tego zmuszeni. Tylko że oznaczałoby to zgłoszenie się do Biura Osób Zaginionych. Ale pan pewnie wolałby tego uniknąć?

– Gdyby było inaczej, to nie zwróciłbym się do prywatnego detektywa.

Ruchem głowy przyznałem mu rację, zabrałem z biurka telegram oraz fotografię i schowałem je do kieszeni.

Powiedziałem:

– Objawią się zapewne jeszcze inne aspekty tej sprawy, które dziś nawet nie przychodzą mi do głowy. W każdym razie zacznę od porozmawiania sobie z Laverym, a potem pojedę nad Jezioro Małego Jelonka, żeby się rozpytać na miejscu. Będzie mi potrzebny adres Lavery’ego i parę słów na piśmie do człowieka, który opiekuje się tą górską posiadłością.

Wyjął z szuflady biurka kartkę papieru z firmowym nadrukiem, napisał na niej parę słów i dał mi do przeczytania.

„Drogi Billu – napisał. – Niniejszym przedstawiam pana Philipa Marlowe’a, który chciałby rzucić okiem na całą posiadłość. Proszę umożliwić mu wstęp do mojego domku i służyć mu wszelką pomocą. Pański Derace Kingsley”.

Złożyłem kartkę i wsunąłem ją do koperty, którą on zaadresował, podczas gdy czytałem ten list polecający.

– A co z domkami pańskich wspólników? – spytałem.

– Tego roku nikt z pozostałych dwóch jeszcze się tam nie pokazał. Jeden z nich jest funkcjonariuszem rządowym w Waszyngtonie, a drugi służy w Fort Leavenworth. Żony są razem z nimi.

– Więc teraz adres Lavery’ego – poprosiłem.

Wpatrując się w jakiś punkt gdzieś ponad moją głowę, powiedział:

– W Bay City. Dom mógłbym nawet odnaleźć, ale adres wyleciał mi z pamięci. Będzie go pewnie mogła panu dać panna Fromsett. Ale nie może się dowiedzieć, dlaczego jest on panu potrzebny. A przypuszczam, że będzie chciała to wiedzieć. Aha. I te sto dolarów, o których pan wspomniał.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Powiedziałem tak tylko dlatego, że pan na mnie naskoczył.

Uśmiechnął się. Wstałem, ale nie odchodziłem od biurka, przypatrując mu się jeszcze przez chwilę, po czym spytałem:

– Nie przemilczał pan przypadkiem czegoś? To znaczy czegoś ważnego?

Przyjrzał się swemu kciukowi.

– Nie. Niczego nie przemilczałem. Jestem zaniepokojony i chcę wiedzieć, gdzie ona jest. Cholernie jestem zaniepokojony. Więc jeśli na coś pan trafi, to proszę do mnie dzwonić bez względu na porę. W dzień i w nocy.

Obiecałem mu to, uścisnęliśmy sobie ręce, przeszedłem przez całą długość chłodnego gabinetu i za drzwiami natknąłem się na pannę Fromsett, w eleganckiej pozie usadowioną za swoim biurkiem.

– Pan Kingsley przypuszcza, że będzie mi pani mogła podać adres Chrisa Lavery’ego
– powiedziałem, przypatrując się jej twarzy.

Bardzo powolnym ruchem sięgnęła po książkę adresową w brązowej skórzanej oprawie i przewróciła parę stron. Kiedy się odezwała, wyczułem w jej głosie chłód i jakieś napięcie.

– Adres, który mamy, to Bay City, Altair Street numer sześć dwa trzy. Telefon to Bay City dwanaście pięć dwa trzy. Ale pan Lavery już od ponad roku u nas nie pracuje i mógł się w tym czasie przeprowadzić.

Podziękowałem jej i ruszyłem ku drzwiom. W progu odwróciłem się i jeszcze raz na nią spojrzałem. Siedziała sztywno, nieruchoma i trzymając splecione ręce na blacie biurka, wpatrywała się gdzieś w przestrzeń. Na jej policzkach wykwitło kilka czerwonych punkcików. Patrzyła gdzieś bardzo daleko i była w jej wzroku jakaś gorycz.

Odniosłem wrażenie, że Chris Lavery to nie jest ktoś, kto pozostawił w niej miłe wspomnienia.

ROZDZIAŁ 3

ULICA ALTAIR leżała na odległym krańcu głębokiego kanionu, który miał kształt litery V. Na północ od niego aż do Malibu rozpościerała się błękitna zatoka. Na południu, na szczycie stromego urwiska, które opadało ku biegnącej wzdłuż wybrzeża autostradzie, bielili się miejska plaża Bay City.

Była to krótka uliczka, nie więcej niż trzy lub cztery przecznice, a u jej wylotu znajdowało się wysokie ogrodzenie otaczające rozległą posiadłość. Ponad żelaznymi prętami o połączonych czubkach w kształcie grotów widziałem drzewa i krzewy, część trawnika oraz wycinek zakręcającego podjazdu, ale sam dom był niewidoczny.

Położone wzdłuż Altair Street domy były dość duże i zadbane, lecz kilka przycupniętych na skraju kanionu drewnianych domków sprawiało mizerne wrażenie. Pomędzy ostatnią przecznicą a ogrodzeniem mieściły się tylko dwa domy po przeciwnych stronach uliczki i niemal naprzeciw siebie. Mniejszy z nich opatrzony był numerem 623.

Przejechałem obok niego, skręciłem na zamykającą uliczkę wybrukowane półkole i cofnąłem samochód, żeby zaparkować przed posiadłością, która sąsiadowała z siedzibą Lavery'ego. Wejście znajdowało się nieco poniżej poziomu jezdni, a potem dom, niczym winorośl, z każdym piętrem wspinał się ku górze. Na parterze mieściły się pokoje sypialne, dach stanowił patio, a wjazd do garażu usytuowany był niby narożna luza bilardowego stołu. Szkarłatne pnącza bugenwilli kleiły się do frontowej ściany niby rdza, a wzdłuż wyłożonej kamienną kostką dróżki prowadzącej do wejścia rosły kępki koreańskiego mchu. Wąskie, obramowane metalową kratką drzwi zwieńczał łuk, którego krawędzie nasuwały na myśl kształt chirurgicznego lancetu. Pod kratką zamocowana była żelazna kołatka, więc zastukałem.

Żadnej reakcji. Odczekałem chwilę, po czym nacisnąłem guzik dzwonka obok drzwi. Usłyszałem, jak rozdźwięczał się gdzieś niedaleko od wejścia i znowu zaczekałem, ale i tym razem bez skutku. Wróciłem na kamienistą ścieżkę i skierowałem się w stronę garażu. Podniosłem uchylne drzwi na tyle wysoko, żeby dojrzeć w środku sportowe auto z wysuniętymi poza karoserię błotnikami i białymi krawędziami opon, po czym znowu

skierowałem się ku frontowym drzwiom.

Z garażu domu po przeciwnej stronie ulicy wyjechał tyłem lśniący czarny cadillac. Zatrzymał się na krawędzi jezdni, zakręcił, wolno podjechał pod siedzibę Lavery'ego i przystanął. Mężczyzna w ciemnych okularach obrzucił mnie ostrym spojrzeniem, które dawało do zrozumienia, że nic tu po mnie. Odpowiedziałem mu chłodnym jak stal wzrokiem, więc pojechał swoją drogą.

Wróciłem kamienną dróżką przed drzwi Lavery'ego i kilkakrotnie mocno zastukałem kołatką. Tym razem coś osiągnąłem: klapka umieszczonego w drzwiach judasza uchyliła się i poprzez kratkę ukazała mi się para zniewalająco pięknych błyszczących oczu.

– Robi pan cholernie dużo hałasu – zauważył ich właściciel.

– Pan Lavery?

Potwierdził i zapytał, o co chodzi. Wsunąłem za kratkę moją wizytówkę. W otworze judasza pojawiła się duża opalona dłoń, ujęła wizytówkę, po czym znowu ukazały się jasnobrażowe oczy, a głos ich właściciela zakomunikował:

– Bardzo panu współczuję, ale niestety dzisiaj nie potrzebuję detektywa. A zatem...

– Wynajął mnie pan Derace Kingsley.

– Więc obaj idźcie do diabła! – odparł na to i zatrasnął klapkę judasza.

Oparłem kciuk na przycisku dzwonka, wolną ręką wyjąłem z kieszeni papierosa i właśnie potarłem zapalkę o drewnianą framugę, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły, a duży facet w kąpielówkach, plażowych sandałach i frotowym szlafroku zamierzał natrzeć na mnie. Oderwałem więc kciuk od dzwonka i uśmiechnąłem się do niego.

– Co jest? – spytałem. – Przestraszyłem pana?

– Zadzwon jeszcze raz – zagroził – a wylądujesz po drugiej stronie ulicy.

– Nie bądź dziecinny, kolego – powiedziałem. – Doskonale wiesz, że chcę z tobą pogadać, i wobec tego ty także zechcesz pogadać ze mną.

Wyciągnąłem z kieszeni biało-niebieski telegram i podsunąłem mu przed oczy. Przeczytał, z markotnym wyrazem twarzy przygryzł wargę, po czym warknął:

– A niech to jasna cholera! No dobra, wchodź.

I otworzył przede mną drzwi na całą szerokość.

Wszedłem do całkiem przyjemnie urządzonego pomieszczenia, z jasnopomarańczowym chińskim dywanem, który sprawiał wrażenie dość kosztownego, głębokimi fotelami, licznymi białymi lampami z abażurami w kształcie beczulek, ogromnym fortepianem w kącie, i długą, głęboką otomaną z mohairowym obiciem w kolorze lekkiej opalenizny z akcentami ciemnego brązu. Ekran kominka był wykuty z miedzi, a jego okap

wykonano z białego drewna. Na palenisku płonął ogień, częściowo przysłonięty przez gałązkę kwitnącej manzanity. Niektóre płatki już trochę pozółkły, ale całość wciąż prezentowała się bardzo pięknie. Na szklanym blacie niskiego, okrągłego stolika z kasztanowego drewna stała taca z butelką whisky VAT 69, szklankami i miedzianym wiaderkiem na lód.

Pokój rozciągał się niemal do tylnej ściany domu. Zamykało go łukowate przejście, przez które widać było trzy wąskie okna i kilkadziesiąt centymetrów białej, stalowej poręczy schodów prowadzących na dół.

Lavery zatrzasnął za sobą drzwi i ulokował się na otomanie. Sięgnął do kutego srebrnego pudełeczka, wyciągnął zeń papierosa, przypalił i wpatrzył się we mnie poirytowanym wzrokiem. Siadłem naprzeciw niego i przyjrzałem mu się dokładnie.

W rzeczy samej miał w sobie to wszystko, co tak pochlebnie ukazała fotografia z plaży. Wspaniały tors, imponujące uda. Oczy kasztanowe, a białka lekko szarawe. Włosy dość długie, nieco skręcone na skroniach. Brązową, jędrną skórę. Był to kawał byka, ale moim zdaniem na tym kończyły się jego zalety. Niemniej mogłem zrozumieć, że kobiety uważały, że kryje się za tym coś więcej.

– Czy nie mógłbyś nam po prostu powiedzieć, gdzie ona jest? – zapytałem. – Tak czy inaczej w końcu ją znajdziemy, ale gdybyś nam to od razu powiedział, to również sobie oszczędziłbyś dalszych kłopotów.

– Żaden prywatny łaps nie będzie w stanie przysporzyć mi kłopotów – odparł niewzruszenie.

– Mylisz się. Prywatny łaps potrafi każdemu narobić kłopotów. Bo prywatny łaps jest uparty i odporny na zniewagi. A poza tym płacą mu za czas, więc rozumiesz chyba, że z równym pożytkiem może ten czas poświęcić na sprawianie ci kłopotów, jak i na inne zajęcia.

– Słuchaj – powiedział, pochylając się ku mnie i mierzając we mnie papierosem. – Poznałem już ten telegram i wiem, że to zwykła bujda. Nie pojechałem z Crystal Kingsley do El Paso. Od naszego ostatniego spotkania minęło wiele czasu. Dużo więcej niż od dnia nadania tej depechy. Przez cały ten czas nie miałem z nią żadnego kontaktu. Przecież powiedziałem to już Kingsleyowi.

– Niekoniecznie musiał ci uwierzyć.

– A dlaczego miałbym go okłamać?

Wyglądał na naprawdę zdziwionego.

– A dlaczego nie miałbyś go okłamać?

To go poruszyło.

– Człowieku – powiedział. – Rozumiem, że możesz tak sądzić, tylko że ty jej nie

znasz. Ona gwizdże na Kingsleya. A jeżeli jemu nie podoba się jej postępowanie, to ma prosty sposób, żeby się od niej uwolnić. Ale to jeden z tych zaborczych mężusiów, którzy mnie przyprawiają o mdłości.

– Skoro nie pojechałeś z nią do El Paso – wtrąciłem – to dlaczego wysłała ten telegram?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Jestem pewien, że gdybyś zechciał, miałbyś mi wiele do opowiedzenia – stwierdziłem, po czym wskazałem na manzanitę.

– Przywiozłeś ją sobie znad Jeziora Małego Jelonka?

Skrzywił się w pogardliwym uśmiechu.

– Rośnie tego pełno na wszystkich okolicznych wzgórzach.

– Tylko że tutaj manzanita kwitnie inaczej.

Zaśmiał się.

– Jeśli już koniecznie musisz wiedzieć, to spędziłem tam trzeci tydzień maja. I tak pewnie byś do tego doszedł. Wtedy właśnie widziałem ją po raz ostatni.

– Nie przyszło ci przypadkiem do głowy, żeby się z nią ożenić?

Wydmuchnął kłąb dymu i zza tej osłony powiedział:

– Owszem, zastanawiałem się nad tym. W końcu ma pieniądze, a z pieniędzy zawsze można zrobić użytek. Tylko że byłby to zbyt kosztowny sposób dobrania się do nich.

Nic na to nie powiedziałem, przytaknąłem tylko ruchem głowy. Lavery popatrzył jeszcze na manzanitę, po czym odchylił się na oparcie otomany i wypuścił kolejny obłok dymu, demonstrując przy tym swoją imponująco silną szyję. Gdy jednak przez parę następnych chwil w dalszym ciągu milczałem, zaczął zdradzać objawy pewnej nerwowości. Jeszcze raz przyjrzał się wizytówce i powiedział:

– Więc wynajmujesz się do grzebania w brudach, tak? Dobrze ci to chociaż idzie?

– Nie ma o czym mówić. Ot, tu parę dolarów, tam parę i jakoś leci.

– Ale to wszystko drobnica, co?

– Posłuchaj, Lavery. Nie ma sensu się tak przerzucać słowami. Kingsley jest przekonany, że znasz miejsce pobytu jego żony, ale nie chcesz mu go zdradzić. Albo z czystej złośliwości, albo z troski, żeby nie zranić jego uczuć.

Brązowolicy przystojniaczek prychnął z rozbawieniem:

– A co by mu bardziej odpowiadało?

– Jest mu to obojętne. On chce tylko dostać informację. Niewiele go obchodzi, co was łączy czy do czego zmierzacie, a nawet to, czy dojdzie do rozwodu. Chce się po prostu

upewnić, że wszystko z nią jest w porządku i że nie wpadła w jakieś tarapaty.

W jego wzroku pojawiło się zainteresowanie.

– Tarapaty? A jakież by to mogły być tarapaty?

Miałem wrażenie, że obraca to słowo w ustach, jak gdyby je smakował.

– Być może nigdy się nie dowiesz, o jakiego rodzaju tarapatach myśli Kingsley.

– Zdradź mi to – poprosił sarkastycznym tonem. – Strasznie chciałbym się dowiedzieć o jakichś tarapatach, których jeszcze nie znam.

– Świetnie ci idzie – zauważyłem. – Brak ci czasu na rzeczową rozmowę, ale zawsze masz czas na dowcipkowanie, co? Ale jeżeli myślisz, że mamy na ciebie haka, bo nielegalnie przekroczyłeś z nią granicę, to możesz się nie martwić. Nie ma o tym mowy.

– Możesz mi skoczyć, cwaniaczku. Musiałbyś jeszcze udowodnić, że to ja zapłaciłem za tę podróż, bo inaczej nie mógłbyś mnie tym obciążyć.

– Tak czy inaczej, ten telegram musi coś znaczyć – powiedziałem z uporem.

Zdaje się, że powtórzyłem to już któryś z kolei raz.

– To najpewniej zwykły kawał. Ona ma ich na kopy. Wszystkie głupie, a niektóre bardzo złośliwe.

– Ale w tym nie widzę żadnego sensu.

Niedbałym gestem strząsnął popiół do popielniczki stojącej na szklanym blacie stolika. Rzucił mi krótkie spojrzenie, lecz natychmiast odwrócił ode mnie wzrok. Powiedział z wahaniem:

– Widzisz, nie dałem się jej usidlić. Może wpadła na pomysł, żeby w ten sposób się na mnie odegrać? Bo obiecałem jej, że przyjadę tam w góry na weekend, ale nie pojechałem. Miałem jej już po dziurki w nosie.

Skwitowałem to krótkim „aha”, po czym przez długą chwilę patrzyłem na niego badawczo.

– Nie bardzo mi to pasuje – wyznałem wreszcie. – Byłbym bardziej zadowolony, gdybyś jednak pojechał z nią do El Paso, ale doszło tam między wami do kłótni i zerwałeś z nią. Nie mógłbyś opowiedzieć mi całej tej historii właśnie tak?

Zaczerwienił się, czego nie zdołała ukryć nawet opalenizna.

– Do jasnej cholery! – warknął. – Powiedziałem ci, że nigdzie z nią nie pojechałem. Nigdzie, rozumiesz? Nie mógłbyś sobie raz na zawsze tego zapamiętać?

– Zapamiętam natychmiast, jak w to uwierzę.

Znowu pochylił się nad stolikiem, tym razem po to, by zdusić niedopałek. Potem wstał, bez pośpiechu zacisnął i zawiązał pasek wokół szlafroka, a następnie przeniósł się na

drugi koniec otomany.

– Dobra – oświadczył suchym tonem. – Teraz idź stąd. Zaczepnij trochę powietrza. Bo ja mam już dosyć twoich bredni do kwadratu. Marnujesz tylko czas – mój i swój. Jeśli twój jest w ogóle cokolwiek wart.

Wstałem więc i uśmiechnąłem się do niego.

– Niezbyt wiele, ale za to, co jest wart, zapłacą mi. Ale powiedz mi, czy przypadkiem w jakimś domu towarowym nie spotkała cię drobna nieprzyjemność? Na przykład w dziale pończoszniczym albo przy stoisku z biżuterią?

Zmarszczył brwi i z wyrazem skupienia przypatrywał mi się przez chwilę z uwagą.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedział w końcu, lecz w jego głosie wyczułem zastanowienie.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć. I dzięki, że mnie wysłuchałeś. Aha, jeszcze tak przy okazji. W jakiej branży teraz działasz? To znaczy, odkąd rozstałeś się z Kingsleyem.

– To już nie twój chrzaniony interes!

– Jasne. Na szczęście sam potrafię się tego dowiedzieć – odpałem i ruszyłem ku drzwiom. Powstrzymał mnie jego głos.

– W tej chwili niczym się nie zajmuję – zakomunikował mi nader oziębłym tonem. – Ale lada dzień spodziewam się powołania do marynarki.

– O! – powiedziałem uprzejmie. – Musisz być w tym dobry!

– Jakbyś zgadł. A teraz bywaj, niuchaczu. I nie fatyguj się z następną wizytą. Nie będzie mnie w domu.

Otworzyłem drzwi. Zaczynały się nieco u dołu, zapewne na skutek działania napływającej od plaży wilgoci. Kiedy je otworzyłem, odwróciłem się jeszcze i popatrzyłem na niego. Stał tam ze zwężonymi oczyma, pełnymi niemej wściekłości.

– Przygotuj się jednak, że tu wrócę – powiedziałem. – I to nie po to, żeby przerzucać się półsłówkami. Przyjdę, kiedy odkryję coś, o czym będziemy musieli pogadać.

– Z rozkoszą – odparł. – Tylko następnym razem weź ze sobą kogoś, kto cię odwiezie do domu. Może się zdarzyć, że tak trzaśniesz tyłkiem o ziemię, że aż mózg ci wytryśnie uszami.

Po czym pod wpływem jakiegoś całkiem dla mnie niepojętego odruchu splunął na dywan pod własne stopy.

Aż coś mnie w środku skręciło. Jakbym zobaczył bandytę, który brutalnie ograbił i porzucił w ciemnej alejce jakiegoś dzieciaka. Albo jakbym nagle usłyszał dystyngowaną z pozoru damę, z której ust wydobywa się stek plugawych przekleństw.

– Na razie, boski siłacz – rzuciłem i definitywnie odwróciłem się od niego. Zamykając drzwi, musiałem trzasnąć nimi z całej siły, żeby zamek zaskoczył.

Po kamiennych kostkach dróżki dotarłem do ulicy. Zatrzymałem się na chodniku i popatrzyłem na dom po drugiej stronie.

ROZDZIAŁ 4

BYŁ TO SZEROKI, niski dom. Jego ściany ozdobione różową sztukaterią z czasem przybrały przyjemny dla oka pastelowy odcień, na którego tle wyraziście rysowały się pomalowane matową zielenią framugi okien. Dach miał pokryty szorstką, okrągłą dachówką. Głęboko osadzone drzwi wejściowe obramowano mozaiką różnokolorowych kawałków ceramiki; przed frontem niewielki kwietny ogródek. Wszystko to oddzielone od ulicy obrzuconym gipsem niskim murkiem, po którego szczycie biegła żelazna poręcz, pokryta już warstewką rdzy, tworzącej się pod wpływem wilgoci płynącej od plaży.

Za murkiem, po lewej stronie stał garaż dla trzech samochodów, od którego odchylanych na zewnątrz drzwi odchodziła betonowa dróżka prowadząca do bocznego wejścia do domu. Przy drzwiach frontowych widniała tabliczka z brązu, a na niej napis: „Albert S. Almore, dr medycyny”.

Gdy tak stałem, przypatrując się temu wszystkiemu poprzez ulicę, zza rogu wyłonił się znajomy mi już cadillac. Zbliżył się z cichym pomrukiem silnika, potem zwolnił i odbił nieco ku krawędzi jezdni, żeby zyskać przestrzeń dla swobodnego skrętu w podjazd do garażu. Ale że moje auto stało mu na zawadzie, więc dojechał do zamykającego uliczkę półkola przed ozdobnym żelaznym parkanem, tam dopiero zawrócił, wolno podjechał pod wjazd, aż w końcu zajął przeznaczoną dla niego jedną trzecią garażu.

Z auta wysiadł chudy facet w ciemnych okularach i udał się wzdłuż chodnika w stronę domu. W rękę niósł lekarską torbę z podwójnym uchwytem. W połowie drogi zwolnił kroku, najwyraźniej chcąc mi się przyjrzeć.

Ruszyłem w stronę swojego samochodu. Tymczasem facet poszedł do domu, ale przekręcając klucz w zamku wejściowych drzwi, znowu spojrzał w moją stronę. Ulokowałem się za kierownicą chryslera, ale nie odjechałem. Pałac papierosa, jeszcze przez jakiś czas zastanawiałem się, czy warto wynająć kogoś, kto by śledził Lavery’ego. W końcu jednak zdecydowałem, że nie. Że wobec tego, jak na razie sprawa się przedstawia, jest na to za wcześnie.

W parterowym oknie od strony bocznego wejścia do domu doktora Almore’a

poruszyły się zasłony, które rozsunała czyjaś chlerlawa ręka. Pozostawały tak rozsunięte przez dobrą chwilę, podczas której dostrzegłem odbłysek światła na szklach ciemnych okularów, po czym ponownie zbiegły się ku sobie.

Z perspektywy uliczki popatrzyłem na dom Lavery'ego. Pod tym kątem widoczny był tylny ganek, kilka pomalowanych drewnianych schodków prowadziło zeń ku pochyłej cementowej ścieżce, która kończyła się paroma cementowymi schodkami, zbiegającymi do leżącej w dole brukowanej alei.

Ponownie skierowałem wzrok ku posiadłości doktora Almore'a, zastanawiając się, zresztą bez zbytniego zainteresowania, czy i jak dobrze znał on Lavery'ego. Zapewne znał, skoro w najbliższym otoczeniu był to jego jedyny sąsiad. Ale jako lekarz i tak nic by mi na jego temat nie powiedział.

Tymczasem zasłonki rozsunęły się na całą szerokość. Środkowej części trójdzielnego okna nic już teraz nie zasłaniało. Stał za nim doktor Almore i z mocno zmarszczonym czołem patrzył w moją stronę. Gdy przez uchyloną szybę samochodu wysunąłem dłoń z papierosem i strzepnąłem popiół – szybko odwrócił się i zasiadł za biurkiem. Stała na nim jego lekarska torba. Przez chwilę siedział przed nią bez ruchu i tylko postukiwał palcami o blat po obu jej bokach. Potem wyciągnął rękę w stronę telefonu, dotknął słuchawki, ale zaraz się rozmyślił. Zapalił papierosa, potrząsnął gwałtownie zapalką, po czym wstał i ponownie podszedł do okna, jak gdyby moja obecność nie dawała mu spokoju.

Było to zachowanie o tyle intrygujące, że chodziło przecież o lekarza, a lekarze z reguły mało interesują się ludźmi. Już podczas stażu szpitalnego poznają tyle ludzkich sekretów, że wystarczy im na całe życie. A jednak doktor Almore zdawał się być zaciekawiony moją osobą. Nawet więcej niż zaciekawiony, był najwyraźniej poruszony.

Już zamierzałem przekręcić kluczyk, gdy zobaczyłem, że otwierają się frontowe drzwi domu Lavery'ego. Cofnąłem więc dłoń od stacyjki i znowu odchyliłem się na oparcie fotela.

Lavery energicznie wkroczył na wejściową drózkę, rzucił okiem wzdłuż ulicy, po czym skierował się w stronę garażu. Ubrany był tak, jak go już widziałem wcześniej, na ramieniu przewieszony miał szorstki ręcznik kąpielowy, a obok drugi, przeznaczony do łaźni parowej.

Dobiegło mnie skrzypnięcie podnoszonych drzwi garażu, potem odgłos otwieranych i zatraskiwanych drzwiczek samochodu, jęk startera, a po nim kaszlnięcie zaskakującego silnika. Ukazał się tył auta cofającego się po stromiźnie podjazdu ku jezdni w obłoku wydobywających się z rury wydechowej spalin. Był to zgrabny mały, błękitny kabriolet z odsuniętym dachem, ponad który wystawała jedynie gładko uczesana głowa Lavery'ego. Miał

teraz na nosie szpanerskie okulary przeciwsłoneczne o bardzo szerokich białych zausznikach.

Kabriolecik śmignął do przecznicy i zniknął za rogiem. Nie było w tym nic interesującego. Po prostu pan Christopher Lavery udał się nad brzeg bezkresnego Pacyfiku, aby wylegiwać się w słońcu i przy okazji prezentować paniąkom swoje męskie wdzięki, za którymi niekoniecznie musiały tylko tęsknić.

Co do mnie, wolałem poświęcić uwagę panu doktorowi. Właśnie zajęty był telefonowaniem, a raczej ze słuchawką przyciśniętą do ucha i z papierosem w ustach czekał na razie, aż ktoś się odezwie. Najwidoczniej doczekał się wreszcie, bo pochylił się ku aparatowi, jak zwykliśmy to czynić, kiedy usłyszymy głos rozmówcy, przez chwilę słuchał, po czym odłożył słuchawkę na widełki i coś zapisał na wierzchniej stroniczce notatnika.

Potem na biurku pojawiła się gruba książka z żółtymi krawędziami stronic. Otworzył ją mniej więcej w środku, a równocześnie rzucił szybkie spojrzenie za okno, wprost na mojego chryslera. Znalazł w książce to, czego szukał, pochylił się nad nią, przy czym raz za razem krótko zaciągał się papierosem, tak że nad żółtymi stronicami zawisł rozrastający się obłok dymu. Znowu coś sobie zanotował, odsunął na bok książkę, po czym ponownie chwycił za słuchawkę. Wykręcił numer, chwilę odczekał, a potem pochylił głowę i zaczął mówić z wyraźnym pośpiechem, gestykulując przy tym ręką, w której trzymał papierosa.

Wreszcie zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Odchylił się na oparcie fotela i siedząc w zamyśleniu, wpatrywał się w blat biurka, nie zapominając jednakże mniej więcej co pół minuty spoglądać za okno.

Czekał na coś, więc i ja czekałem wraz z nim, chociaż na dobrą sprawę nie miałem po temu żadnego powodu. W końcu lekarze odbywają wiele rozmów przez telefon i to z wieloma ludźmi. Lekarze wyglądają przez frontowe okna, marszczą czoła, zdradzają niekiedy oznaki pewnej nerwowości, zastanawiają się nad masą rzeczy i bywa, że nie potrafią ukryć wewnętrznego napięcia. Bo lekarze to przecież także po prostu ludzie, którzy przychodzą na świat, żeby borykać się ze smutkami i toczyć tę samą długą, przygnębiającą walkę, co i my wszyscy. Ale w zachowaniu tego akurat lekarza było coś, co mnie zaintrygowało. Zerknąłem na zegarek, uświadomiłem sobie, że czas by już było coś przegryźć, ale zamiast tego zapaliłem kolejnego papierosa i nie ruszyłem się z mojego punktu obserwacyjnego.

Przesiedziałem tak jakieś pięć minut, gdy nagle zza rogu wyłoniło się duże zielone auto, które szybko zajechało przed dom doktora Almore'a, zatrzymując się dość gwałtownie, tak że zamontowana na błotniku długa antena radiowa mocno się rozkołysała. Zza kierownicy wysiadł mężczyzna o popielatoblond włosach i podążył do frontowych drzwi. Nacisnął guzik dzwonka, po czym pochylił się, żeby potrzeć zapałkę o schodek. Odwrócił przy tym głowę i

wpatrywał się prosto we mnie.

Drzwi otworzyły się przed nim i wszedł do środka. Zaraz potem czyjaś niewidzialna ręka zaciągnęła zasłony w gabinecie doktora Almore'a, odcinając mi widok wnętrza. Pozostawałem jednak na swoim miejscu, kontemplując wypłowiałą od słońca tkaninę zasłon.

Czas płynął.

W końcu znów otworzyły się frontowe drzwi. Ukazał się w nich ten sam postawny mężczyzna, który teraz lekkim krokiem zbiegł po schodkach i dotarł do bramy. Pstryknął niedopałkiem papierosa i przegarnął włosy. Następnie wrzucił ramionami, uszczypnął się w brodę i na ukos przeszedł przez jezdnię swobodnym i dostojnym zarazem krokiem. Za jego plecami dostrzegłem, jak rozsuwają się zasłony w oknach gabinetu. Za szybą stał doktor Almore, który wznowił obserwację.

Na krawędzi opuszczonej szyby mojego samochodu spoczęła wielka dłoń upstrzona piegami. Nad nią ukazała się wielka, poorana głębokimi zmarszczkami twarz, z której wyzierały oczy koloru metalicznego błękitu, a szorstki głos zapytał:

– Czekamy na kogoś?

– Nie wiem – odparłem. – A wygląda na to?

– To ja tu jestem od zadawania pytań.

– No, niech mnie diabli – powiedziałem. – Nareszcie zrozumiałem tę pantomimę!

– Jaką znowu pantomimę?

I para niezwykle błękitnych oczu posłała mi wielce nieprzyjazne spojrzenie.

Papierosem wskazałem dom po drugiej stronie ulicy.

– Nadałem jej tytuł: „Nerwowa Anielcia i telefon”. Najpierw pewnie zadzwonił do Autoklubu, żeby zdobyć moje nazwisko, potem odszukał je w książce telefonicznej, a w końcu wezwał gliniarzy, tak? A w ogóle to o co chodzi?

– Prawo jazdy – warknął.

Odwzajemniłem mu się podobnym spojrzeniem.

– Czy wy zawsze musicie robić tyle hałasu, czy też... aby sprawdzić kogoś musisz być grubiański?

– Kiedy uznam, koleś, że muszę być grubiański, to dam ci to do zrozumienia.

Sięgnąłem do stacyjki, przekręciłem kluczyk i nacisnąłem starter. Silnik zaskoczył i pracował na jałowym biegu.

– Zgaś ten motor – powiedział wściekle i postawił nogę na stopniu samochodu.

Wyłączyłem silnik, z powrotem rozparłem się na siedzeniu i przyglądałem mu się nieporuszenie.

– Psiakrew! – powiedział. – Czy ty koniecznie chcesz, żebym cię stamtąd wyciągnął za kołnierz i trzasnął tobą o chodnik?

Wyjąłem z kieszeni portfel i podałem mu go. Wyciągnął z niego celuloidową koszulkę i obejrzał moje prawo jazdy, po czym obrócił je i przestudiował odwrotną stronę z fotokopią mojej licencji. Pogardliwym ruchem wsunął koszulkę z powrotem do przegródki, po czym zwrócił mi portfel. Schowałem go do kieszeni. Wtedy jego dłoń na chwilę zniknęła mi z oczu, by powrócić na to samo miejsce z błękitno-złotą odznaką policyjną.

– Porucznik Degarmo, detektyw – przedstawił się swoim ochryplym, grubiańskim głosem.

– Miło mi pana poznać, poruczniku.

– Nie wysilaj się. Powiedz mi raczej, dlaczego tu stoisz i podglądasz Almore'a?

– Nie podglądam Almore'a, jak to pan określił, poruczniku. Nigdy w życiu o nim nie słyszałem i nie mam najmniejszego powodu, żeby go obserwować!

Odwrócił głowę, żeby splunąć na chodnik. Miałem dziś szczęście do facetów, którzy lubią spluć.

– Po co tu w takim razie sterczysz? My tutaj nie lubimy Jasiów-podglądasiów. Żaden taki tu nie mieszka.

– Doprawdy?

– Właśnie, doprawdy. Ale dobra, pogadajmy sobie trochę. Chyba że wolisz ze mną pojechać do naszej bawialni i tam wykrztusić z siebie, co jest grane. W jaskrawym świetle, rozumiesz.

Nie zaszczyciłem go odpowiedzią.

– To jej starzy cię wynajęli? – zapytał nagle.

Ograniczyłem się do przeczącego ruchu głową.

– Ostatni chłopaś, który się tego podjął, teraz, kochasiu, ubija grunt pod nowe szosy. Chodzi do roboty w eleganckich kajdankach i w pasiaku.

– Założyłbym się, że dobrze mu to robi – powiedziałem. – A gdybym tak spróbować zgadnąć, co przeskrobał?

– Próbował znaleźć haka na doktora – odparł ogólnikowo.

– Szkoda, że nie wiem, jakiego użył sposobu. Bo wygląda mi na to, że ten doktorek łatwo połyka haczyki.

– Takie gadanie może ci wyjść bokiem – ostrzegł Degarmo.

– Więc dobra – powiedziałem. – Wyłożę to inaczej. Nie znam doktora Almore'a, nigdy o nim nie słyszałem i nic mnie nie obchodzi. Przyjechałem tu w odwiedziny do

przyjaciela i rozglądałam się dokoła. A jeśli mi się zechce jeszcze coś robić, to tak się składa, że to także nie twój interes. Jak ci się to nie podoba, to nie pozostaje ci nic innego, jak tylko pojechać na posterunek i zameldować o tym dyżurnemu kapitanowi.

Z niepewnym wyrazem twarzy zaszurał ciężko stopą po schodku, po czym spytał z wahaniem:

– Kawa na ławę?

– Kawa na ławę.

– Więc powiem ci, że ten facet ma pieprzonego zajoba – ulżył sobie już bez cienia wahania i obejrzał się przez ramię na dom doktora. – Powinien go zbadać jakiś specjalista.

Zaśmiał się w sposób, który w żadnej mierze nie zdradzał rozbawienia. Zdjął nogę ze stopnia mojego samochodu, przegarnął sterczące włosy, po czym zakomenderował:

– Dobra, kolego. Zjeżdżaj. Trzymaj się z dala od miejsca, które jest zarezerwowane dla nas, a nie narobisz sobie wrogów.

Ponownie nacisnąłem starter.

– A jak tam stoją sprawy u Ala Norgaarda? – zapytałem, kiedy już silnik delikatnie zamruczał.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– To ty znasz Ala?

– Jasne. Rozpracowywaliśmy tu kiedyś we dwójką pewną sprawę. To było jeszcze w czasach Waxa jako szefa policji.

– Al jest teraz w zandarmerii wojskowej. Też, kurczę, chciałbym tam służyć – powiedział z goryczą. Ruszył ociężałym krokiem w stronę swojego samochodu, ale raptem obrócił się na pięcie i warknął:

– No, jazda. Zmywaj się stąd, zanim zmienię zdanie.

Wcisnąłem sprzęgło, wrzuciłem bieg i odjechałem. W powrotnej drodze wsłuchiwałem się w swoje myśli. Snuły się niespokojnie po mojej głowie tam i z powrotem, całkiem jak chude, nerwowe ręce doktora Almore'a, które to odsłaniały, to zasłaniały okno jego gabinetu.

Kiedy dotarłem do Los Angeles, zjadłem lunch i udałem się do swojego biura w budynku Cahuenga, żeby przejrzeć pocztę. Zadzwoiłem stamtąd do Kingsleya.

– Widziałem się z Laverym – poinformowałem go. – Wcisnął mi tylko tyle kitu, ile mu było trzeba, żeby to zabrzmiało szczerze. Próbowałem go trochę przydusić, ale nic to nie dało. W każdym razie najbardziej byłbym skłonny przyjąć takie wyjaśnienie, że doszło pomiędzy nimi do kłótni i zerwania, a on ma jeszcze nadzieję, że jakoś uda mu się to odkręcić.

– Czyli że musi wiedzieć, gdzie ona jest – powiedział Kingsley.

– To nie jest wykluczone, ale dla nas nic z tego nie wynika. A tak przy okazji. Na uliczce, przy której mieszka Lavery, natrafiłem na dziwną rzecz. Są tam tylko dwa domy. Ten drugi należy do pewnego lekarza nazwiskiem Almore.

Po czym opowiedziałem mu w skrócie, co zaszło.

Na drugim końcu linii przez chwilę panowało milczenie, a potem Kingsley zapytał:

– Czy to chodzi o doktora Alberta Almore'a?

– Tak.

– On był swego czasu lekarzem Crystal. Przychodził do nas parę razy, kiedy miała... To znaczy, kiedy wpadła w ciąg alkoholowy. Ale wydało mi się, że on zbyt rozrzutnie szafuje zastrzykami. A poza tym jego żona... Chwileczkę, niech sobie przypomnę, co to było z jego żoną... Aha. Popełniła samobójstwo.

Zapytałem kiedy.

– Już nie pamiętam, ale chyba już dość dawno. Nie znałem ich na płaszczyźnie towarzyskiej.

Po czym zapytał:

– Co pan teraz zamierza zrobić?

Powiedziałem mu, że wybieram się w góry nad Jezioro Pumpy, chociaż zrobiło się już trochę późno na taką podróż.

Zapewnił mnie jednak, że będę miał wystarczająco dużo czasu, bo słońce zachodzi tam o godzinę później niż w Los Angeles.

Więc obiecałem mu, że w takim razie pojedę. Po czym rozłączyliśmy się.

ROZDZIAŁ 5

SAN BERNARDINO smażyło się i buzowało w popołudniowym upale. Powietrze było tak gorące, że niemal czułem, jak puchnie mi język. Jechałem, dysząc jak ryba wyrzucona na rozgrzany piasek. Przed stromym podjazdem do Crestline zatrzymałem się, żeby kupić piersiówkę, na wypadek gdybym zemdlał, zanim dotrę w góry.

Po przejechaniu piętnastu mil byłem już o tysiąc pięćset metrów wyżej, ale nawet na tej wysokości można było tylko marzyć o chłodzie. Po trzydziestu milach wspinaczki wjechałem wreszcie pomiędzy wysokie sosny, na miejsce znane jako Bułgocące Źródła. Nie było tam nic poza pełniącym rolę sklepu barakiem i stacją benzynową, ale i tak ogarnęło mnie uczucie, że trafiłem do raju. Resztę drogi przejechałem w chłodzie.

Tamę na Jeziorze Pумы chronili trzej żołnierze: dwaj na obu brzegach i jeden pośrodku. Ten przy wjeździe kazał mi podkreślić wszystkie szyby w samochodzie. Sto metrów przed tamą rozciągała się podtrzymywana przez korkowe pływaki lina, która nie pozwalała dalej płynąć wycieczkowym stateczkom.

To było wszystko, co świadczyło o tym, że wiadomość o wojnie światowej dotarła jednak do Jeziora Pумы. Jego błękitną taflę marszczyły wiosłowe łodzie wyposażone w monotonnie pykające silniki i ślizgacze, które bawiły się niby dzieci, ciągnąc za sobą szerokie, pienne łuki przeoranej wody i dokonując nagłych zwrotów, kwitowanych piskami swoich młodych pasażerek, które z zachwytem zanurzały dłonie w falach pędzących wzdłuż burt, kołyszących łódkami i pontonami wędkarzy. Kazano im płacić po dwa dolary za zezwolenie na połów, więc gotowi byli wszystko znieść, byle tylko odbić sobie choć część tego wydatku w postaci jakiejś niezbyt smacznej ryby.

Droga najpierw biegła wzdłuż ściany granitu, by potem zanurzyć się w archipelag łąk, w których grubej, szorstkiej trawie walczyły o przeżycie dzikie irysy, białe i purpurowe łubiny, dąbrówki, orliki, mięty i najrozmaitsze krzewy, podczas gdy poźółkłe sosny wspinały się ku błękitnemu niebu. Zaczął się wreszcie zjazd i pobocza szosy zapelniły się dziewczynami w jaskrawokolorowych szortach, najprzeróżniejszych galotach i grubych białych rajstopach, w sandałach na grubej podeszwie i z chłopskimi chustkami lub opaskami

na głowach. Rowerzyści po swoim kołysali się na pedałach, a od czasu do czasu przemykał obok nich jakiś niecierpliwy młodzian na skuterze.

Mniej więcej milę od wioski z szosą łączyła się inna, węższa i bardziej kręta droga, która także spływała z gór. Na drogowskazie z surowego drewna widniał napis: *Jeziro Małego Jelonka 1 i 3/4 mili*. Skręciłem w nią. Początkowo co jakiś czas na stokach gór pojawiały się pojedyncze chaty, potem już zupełna pustka. I kolejne skrzyżowanie z wąziutką dróżką, która wedle prymitywnej drewnianej strzałki prowadziła do Jeziora Małego Jelonka i stanowiła prywatny teren, na który nie należało wjeżdżać.

Skierowałem w nią mojego chryslera. Lawirowałem nim ostrożnie pomiędzy wielkimi blokami granitu i małymi oczkami wody, omijając pojedyncze kępy drzew i krzewów manzanity. Wokół panowała cisza. Naruszyła ją tylko błękitna sójka przylepiona do gałęzi, a potem wiewiórka, która okazała mi swoją niechęć groźnym parsknięciem i wymownym zaciśnięciem pazurków na zerwanej właśnie szyszce. Szkarłatnogłowy dzięcioł na chwilę przerwał opukiwanie kory, żeby przypatrzeć mi się jednym oczkiem, po czym skrył się za pniem, ale i zza tej osłony wyjrzał jeszcze ciekawie.

Dotarłem w końcu do zbitej z pięciu drągów bramy, z kolejną tablicą z napisem: *Jeziro Małego Jelonka. Droga prywatna. Nie wjeżdżać*. Dalej, na przestrzeni paruset metrów droga wiła się pomiędzy drzewami, po czym nagle zsunęła się nad małe owalne jeziorko, zagłębione pośród drzew, dzikiej trawy i kamiennych głazów, jak kropla rosy schwytana w pułapkę zwiniętego liścia.

Wzdłuż bliższego mi brzegu rozpościerała się wąska tama zbudowana z szorstkiego betonu. Jej wierzchem biegła poręcz z liny, a u krańca nurzało się w wodzie młyńskie koło. Tuż obok znajdowała się mała drewniana chatka z surowych, nieokorowanych sosnowych bali.

Z miejsca, gdzie zaparkowałem, po drugiej stronie jeziorka, widać było o wiele większy, obity sekwojowymi deskami dom, który jak gdyby zwieszał się nad wodą. Droga byłoby tam dość daleko, lecz tamą można by doń dojść w parę chwil. Nieco dalej widniały jeszcze dwie inne, oddalone od siebie chatki. Wszystkie trzy były na głucho zabite, ich okna szczelnie zasłonięte. W dużym domu naliczyłem ich dwanaście plus jedno balkonowe, a zakrywały je żółtopomarańczowe żaluzje.

Przy brzegu na wprost tamy znajdowało się coś w rodzaju małej przystani i jakby nisza dla orkiestry. Widniała na niej zbita z deszczulek tablica z wymalowanym wielkimi białymi literami napisem: *Camping Kilkare*. W tym akurat miejscu wydało mi się to bez sensu.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem do najbliższej chaty. Dolatywało zza niej

postukiwanie siekiery, które ustało, gdy zapukałem do drzwi. Natomiast skądś dobiegł mnie czyjś okrzyk. Przysiadłem na głazie i zapaliłem papierosa. Za rogiem domu rozległy się nierównomierne kroki.

Zza rogu chaty wyłonił się mężczyzna z siekierą w ręku. Miał śniadą, chropowatą twarz, był krępy i niedużego wzrostu, a idąc utykał, wyrzucając energicznie przed siebie prawą nogę, która zataczała w powietrzu niewielki łuk. Z nieogolonej twarzy patrzyły na mnie niebieskie oczy, nad którymi wiły się kręcone siwe włosy, wymagające interwencji fryzjera. Miał na sobie dżinsy i niebieską koszulę rozpiętą pod opaloną, muskularną szyją. Z kącika jego warg zwisał papieros, którego nie wyjął, rzucając dźwięcznym głosem, wskazującym na miastowe pochodzenie:

– Tak?

– Pan Bill Chess?

– Owszem.

Podniosłem się z kamienia i sięgnąłem do kieszeni po polecający list Kingsleya. Rzucił nań wzrokiem i pokuśtykał do wnętrza chatki, ale zaraz wrócił z okularami na nosie. Uważnie przeczytał list raz, a potem drugi, po czym wsunął go do kieszeni koszuli i wyciągnął do mnie rękę.

– Miło mi pana poznać, panie Marlowe.

Uścisnąłem jego dłoń, szorstką jak raszpel.

– Chce pan, znaczy się, obejrzeć sobie chatę Kingsleya? Z przyjemnością pana tam zaprowadzę. Mam nadzieję, że nie chce tego w cholere sprzedąć, co?

Wskazał kciukiem za siebie, na przeciwległy brzeg, przy czym nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

– Kto wie? – powiedziałem. – W Kalifornii wszystko jest na sprzedaż.

– Święta prawda – przyznał. – Jego to ten obity sekwojowymi deskami. Szkielet z ciosanych sosnowych belek, solidny dach, podbudówka i ganki z kamienia, duża wanna i osobno prysznic, we wszystkich oknach żaluzje, kominek, obszerna sypialnia z olejowym piecem... Wie pan, jesienią i wiosną to się cholernie przydaje... i kuchnia marki Pilgrim, na gaz albo na drewno, do wyboru. Wszystko pierwsza klasa. Kosztowało go to jakieś osiem tysięcy, a to kupa forsy jak na górską chatę. Ale za to na stoku góry ma nawet prywatny zbiornik na wodę.

– A co z elektrycznością i telefonem? – zapytałem, żeby okazać przyjazne zainteresowanie.

– Prąd jest, jak najbardziej, ale telefonu nie ma. Nie chcą tu instalować, a zresztą jakby

się nawet zgodzili, to trzeba by im cholerycznie dużo zapłacić za pociągnięcie linii.

Przyglądał mi się swoimi niebieskimi oczyma, a ja patrzyłem na niego. Pomimo swej ogorzałej cery wyglądał mi na faceta, który lubi sobie popić. Świadczyło o tym pewne obrzmienie i połysk skóry, spod której wyraźnie przebijała siateczka żyłek, a także zanadto błyszczące oczy.

Zapytałem:

– Ktoś tam teraz mieszka?

– Ani żywego ducha. Parę tygodni temu zjawiała się pani Kingsley, ale już zjechała na dół. Pewnie znowu przyjedzie. On panu tego nie powiedział?

Przybrałem zdziwiony wyraz twarzy.

– A co? Czyżby domek był na sprzedaż razem z nią?

W pierwszej chwili jego spojrzenie spochmurniało, ale potem odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał jak seria kichnięć z rury wydechowej traktora i rozdarł w strzępy leśną ciszę.

– Jezu! – wydyszał przez śmiech. – O mało się nie posikałem! „Na sprzedaż razem z nią”!...

Jeszcze jeden wybuch wesołości, po którym jego usta zatrasnęły się niby pułapka.

– Nie ma co – stwierdził, przypatrując mi się uważnie. – To bardzo fajna chałupka.

Spytałem:

– Łóżka wygodne?

Pochylił się ku mnie i z uśmiechem zapytał:

– A chciałby pan wypróbować moją pięść na swojej szczęce?

Patrzyłem na niego z otwartymi ustami.

– To był błyskawicznie wyprowadzony cios – wyznałem. – Nawet go nie zdążyłem przewidzieć.

– Niby skąd, do cholery, miałbym wiedzieć, czy łóżka są tam wygodne? – warknął, pochylając się nieco, aby w razie potrzeby móc wypuścić prawego sierpowego.

– Nie wiem, dlaczego właściwie miałby pan tego nie wiedzieć – odparłem – ale wycofuję pytanie. W końcu sam mogę to sprawdzić.

– Widzicie go – powiedział zgryźliwym tonem. – Zdawało mu się, że nie umiem rozpoznać ciekawskiego tajniaczka. A ja z takimi jak ty grałem w kotka i myszkę we wszystkich możliwych stanach tego rozległego kraju. Chrzanię cię, kolego. I chrzanię Kingsleya. Wysłał cię taki szmat drogi pod górę, żeby się upewnić, czy nie kładę się do łóżka w jego piżamach, co? No to posłuchaj, przyjemniaczku. Może mi szwankować noga i co tam

jeszcze, ale względem bab w niczym mi to nie przeszkadza i...

Zastopowałem go, wyciągając przed siebie rękę, choć nie bez obawy, że wyrwie mi ją z barku i wrzuci do jeziora.

– Nie odpuszczaj pan tak gwałtownie sprzęgła – powiedziałem. – Nie po to się tu tłukłem, żeby zajmować się pańskim życiem erotycznym. Nigdy nie widziałem pani Kingsley, a pana Kingsleya zobaczyłem na własne oczy dopiero dzisiejszego ranka. O co się pan tak, do cholery, wściekasz?

Spuścił wzrok i tak energicznie przeciągnął wierzchem dłoni po ustach, jakby chciał pokaleczyć sobie wargi. Następnie podniósł dłoń na wysokość oczu, zacisnął ją w pięść, po czym wyprostował palce i przypatrzył im się ze skupieniem. Lekko drżały.

– Przepraszam, panie Marlowe – powiedział z wahaniem w głosie. – Zeszłej nocy za mocno dałem sobie w szyję i mam kaca jak siedmiu Szwedów razem wziętych. Od miesiąca jestem tu sam i z tego wszystkiego zacząłem już sam ze sobą gadać. Coś mnie gnębi, wie pan.

– Może pomogłoby na to parę głębszych?

Spojrzał na mnie z nagłym błyskiem zainteresowania w oczach.

– A miałby pan coś?

Wyciągnąłem z kieszeni piersiówkę żytniówki, trzymając ją w taki sposób, żeby mógł się przyjrzeć zielonej etykietce.

– Przecież nie zasłużyłem sobie na to – powiedział z zachwytem. – Psiakrew, nie zasłużyłem! Rozejrzę się za jakimś szkłem. Zaczeka pan tutaj czy wejdzie pan do środka?

– Wolę zostać tutaj. Mogę stąd podziwiać widoki.

Wywijając sztywną nogą wszedł do chaty i wrócił z dwoma małymi szklaneczkami. Kiedy przysiadł obok mnie na głazie, poczułem bijący od niego odór zastarzałego potu.

Odkręciłem metalową nakrętkę i nalałem mu solidną porcję, samemu zadowolając się paroma kroplami. Trąciliśmy się i podnieśliśmy szklaneczki do ust. Chess opróżnił swoją do dna i z zadowoleniem mlasnął językiem, po czym twarz mu się trochę rozjaśniła nieśmiałym uśmiechem.

– O kurczę! – wyznał. – To jest dopiero whisky co się zowie. Wie pan, sam nie rozumiem, dlaczego tak na pana napadłem. To pewnie to samotne życie robi z człowiekiem takie rzeczy. Żadnego towarzystwa, żadnych prawdziwych przyjaciół ani nawet żony.

Zwrócił spojrzenie gdzieś w bok i dodał po chwili:

– Najgorszy ten brak żony.

Wpatrzyłem się w błękitną toń jeziora. Pod zwisającą nad wodą skałą wyskoczyła do góry ryba, zamigotała łuskami i znikła w kręgu rozchodzących się coraz szerzej wodnych

zmarszczek. Lekki wietrzyk poruszał wierzchołkami sosen, które wydawały z siebie delikatne tchnienia.

– Zostawiła mnie – powiedział. – Miesiąc temu. W piątek dwunastego czerwca. Ten dzień zapamiętałem sobie na zawsze.

Zesztywniałem raptownie na te słowa, choć nie na tyle, żeby nie móc napełnić jego pustej szklaneczki. Ponieważ to właśnie w piątek dwunastego czerwca pani Crystal Kingsley miała zjechać z gór do miasta, żeby wziąć udział w towarzyskim przyjęciu.

– Ale pan pewnie nie ma ochoty tego słuchać – powiedział Chess. Z jego oczu wyzierało jednak tak wielkie pragnienie mówienia o swoim nieszczęściu, że nie mogłem tego nie zauważyć. Więc powiedziałem:

– Pewnie, że to nie moja sprawa, ale jeśli mówienie o tym przyniesie panu ulgę, to...

Przytaknął energicznym ruchem głowy.

– Bywa, że dwóch facetów przysiadzie na tej samej ławce w parku – powiedział – i ni z tego, ni z owego zaczynają rozmawiać o Bogu. Zastanawiał się pan kiedyś nad tym? Tym facetom nie przyszłoby do głowy dyskutować o Bogu nawet z najlepszymi przyjaciółmi!

– Tak bywa. Wiem.

Pociągnął łyk i wpatrzył się w przeciwległy brzeg.

– To była fajna babka – westchnął tęsknie. – Czasami trochę za bardzo rozpuszczała język, ale w ogóle była bardzo fajna. Zakochaliśmy się w sobie, jak to mówią, od pierwszego wejrzenia. Poznałem ją w jednej knajpce w Riverside. Rok i trzy miesiące temu. Nigdy bym się nie spodziewał, że w takim miejscu spotkam kogoś takiego jak Muriel, a jednak. No i pobraliśmy się. Kochałem ją i wiedziałem, że lepiej nie mogłem trafić. I za bardzo bałem się ją stracić, żeby próbować z nią jakichś sztuczek.

Poruszyłem się nieznacznie, upewniając go w ten sposób, że słucham, ale nie odezwałem się z obawy, by nie pękł czar tej chwili wyznań. Siedziałem obok niego i nawet nie tknąłem jeszcze swojej whisky. Nie dlatego żebym stronił od picia. Po prostu nie zwykłem popijać w sytuacjach, w których ludzie postanawiali potraktować mnie jak osobisty pamiętnik.

– Ale wie pan, jak to jest z małżeństwem – ciągnął. – Z każdym małżeństwem. A już taki facet jak ja, nie ma co ukrywać, że kawał nic-dobrego... Takiego faceta po jakimś czasie zaczyna kusić wolność. No i inne kobitki. Pewnie, że to ohydne, ale tak to już jest.

Spojrzał na mnie, więc ruchem głowy potwierdziłem, że dotarła do mnie jego życiowa refleksja, on zaś po raz drugi opróżnił szklaneczkę. Podąłem mu wobec tego butelkę.

Błękitna sójka wspinała się na sosnę, przeskakując z gałęzi na gałąź. Nie pomagała

sobie przy tym skrzydłami i ani na sekundę nie przysiadła, żeby złapać równowagę.

– Tak to jest – stwierdził Bill Chess. – Wszyscy, co mieszkają w tych górach, są trochę stuknięci. Mnie też zaczyna już odbierać rozum. Nie wystarczyło mi, że dobrze mi się tu żyło, że nie musiałem płacić czynszu za tę chałupkę, a za to co miesiąc dostawałem czek z całkiem przyzwoitą rentą, czyli z połową procentu od moich wojennych bonów. Nie wystarczyło mi, że miałem żonkę, i to taką śliczną blondynkę, jakiej pan w życiu nie widział. Musiało mi odbić, i to na całego, a w dodatku nie zdawałem sobie z tego sprawy. I na jakim punkcie mi odbiło? Na tamtym!

Wyciągnął rękę, wskazując obitą sekwojowymi deskami chatę po drugiej stronie jeziora.

– Prawie jakby na własnym podwórku. Wystarczyło jej wyjrzeć przez okno, żeby zobaczyć, jak się zadaje z tą zalotną dziwką, która przecież nic dla mnie nie znaczyła. Jezu, jak to facet potrafi dać się babie ogłupić i owinąć wokół palca!

Po raz trzeci wychylił szklaneczkę i ostrożnie ustawił butelkę na gładzie. Wyłowił z kieszeni koszuli papierosa, potarł zapalną o paznokieć kciuka i zaciągnął się głęboko. Wciąż milczałem, oddychając przez otwarte usta niby włamywacz, który skrył się za okienną zasłoną.

– Psiakrew! – powiedział. – Pewnie pan sobie myśli, że skusiło mnie, żeby sobie poza domem znaleźć jakąś odmianę. Ale przecież ta mała kręcidupka jest nawet podobna do Muriel! Prawie takie same blond włosy, taki sam wzrost i figura, i nawet z twarzy podobna, a oczy mają prawie identycznego koloru. Ładna, jasne, ale znowu nie żadna tam piękność, a już mnie to się nawet w połowie nie zdawała tak ładna jak Muriel. Tylko że charakter miała od niej całkiem różny. Bo niech pan sobie tylko wyobrazi. Jestem tam za ich chatą i zajmuję się swoją robotą. Tamtego ranka akurat paliłem śmieci i nic, ale to nic nie chodziło mi po głowie. Aż tu ona się pokazuje w tylnych drzwiach, a ma na sobie tylko kusą piżamkę, i to tak przezroczystą, że widać jej przez nią cyce. I mówi do mnie tym swoim cwany głośnikiem, a dodatkowo jeszcze tak, rozumie pan, jakoś przeciągle: „Chodź, Bill, poczęstuję cię szklaneczką. Taki mamy ładny poranek, że nie ma sensu, żebyś się za bardzo przepracowywał”. A ja, wiadomo, szklaneczki nigdy nie odmówię. Więc idę do kuchennych drzwi, wychylam jedną, potem drugą, trzecią i ani się obejrzałem, a już jestem w środku i w coraz większej z nią bliskości. A im bliżej, tym wyraźniej w jej oczach zaczyna mi się pokazywać łóżko.

Urwał na chwilę i spojrzał mi ponuro w oczy.

– A pan raptem pytasz mnie, czy ich łóżko jest wygodne. Teraz już wiem, że nie było

w tym żadnej złośliwej intencji, ale w pierwszej chwili do żywego mnie to dotknęło. Bo zresztą i mnie samemu aż za bardzo natrętnie te chwile wracają na myśl. Ale... Tak, to łóżko było wygodne.

Zamilkł, a ja czekałem, aż jego słowa na dobre wtopią się w ciszę. Pozostawaliśmy tak przez dobrą chwilę, po czym Chess sięgnął po odstawioną na głaz butelkę i zaczął się w nią wpatrywać. Miałem wrażenie, że toczy z nią w duszy jakąś walkę.

Jednak w końcu, jak zwykle, przegrał ją. Dając sobie spokój ze szklaneczką, pociągnął długi, tęgi łyk prosto z butelki, po czym bardzo szczelnie docisnął nakrętkę, jak gdyby przydawał temu gestowi jakieś specjalne znaczenie. Potem podniósł z ziemi kamyk i cisnął go do wody.

– No i kiedy już było po wszystkim, wracam przez tamę do domu – podjął swoją opowieść, przy czym jego głos zdradzał już wpływ alkoholu. – Cały błyszczę zadowoleniem niby nowiutki tłok, zanim go wepchną do cylindra. Bo niby coś tam przeskrobałem, ale przecież udało się i ujdzie mi na sucho, nie? Tylko że, kochany, my, chłopcy, bywamy w takich sprawach strasznie naiwni. Nic mi nie uszło na sucho. Absolutnie nic. Bo kiedy wchodzi, to Muriel zaraz zaczyna mówić. Nawet, wie pan, nie podnosi głosu, ale słyszę od niej takie rzeczy o sobie samym, jakich się nigdy nie spodziewałem. No więc proszę bardzo, jak wspaniale mi się udało!

Zamilkł, a ja powiedziałem:

– I zostawiła pana.

– Z punktu mnie zostawiła. Jeszcze tego samego dnia wieczorem. Nawet mnie nie było na miejscu, kiedy się wyniosła. Bo dręczyły mnie takie wyrzuty sumienia, że nawet na wpół zalany nie potrafiłem się z nimi uporać, więc wskoczyłem do mojego forda i pojechałem na północny brzeg jeziora. Trafiłem tam w jednej takiej piwiarni na paru takich samych jak ja popaprańców i razem z nimi spiłem się i ziałem gorzałą jak bimbrownia. A najgorsze, że nawet mi to nie przyniosło żadnej ulgi. No i kiedy koło czwartej nad ranem wróciłem do chałupy, to Muriel już nie było. Spakowała swoje rzeczy i wyniosła się na dobre. Wszystko, co po sobie zostawiła, to była ta karteczka na biurku i ślady kremu na poduszce.

Z mocno podniszczonego starego portfela wyciągnął pomiętą karteczkę i dał mi ją do przeczytania. Cały ten pożegnalny list to było tylko jedno zdanie, nasmarowane kopianym ołówkiem:

„Przykro mi, Bill, ale wolałabym raczej umrzeć niż dalej z tobą żyć. Muriel”.

Zwróciłem mu karteczkę.

– A co było po tamtej stronie? – spytałem, wskazując wzrokiem na drugi brzeg.

Podniósł płaski kamyk i spróbował puścić kaczkę na wodzie, ale mu nie wyszła.

– Po tamtej stronie nic nie było – powiedział. – Zaraz tego wieczora spakowała rzeczy i zjechała na dół. Od tej pory jej nie widziałem. I zresztą nigdy już nie chcę jej więcej oglądać. Obchodzi mnie tylko Muriel, a ona przez cały ten miesiąc nie dała znaku życia. Ani jednego słowa. Więc nie mam najmniejszego pojęcia, co się z nią teraz dzieje. Jest z jakimś innym facetem? To możliwe. Mogę mieć tylko nadzieję, że traktuje ją lepiej niż ja.

Wstał z głazu, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i potrząsnął nimi.

– W każdym razie jak chce pan obejrzeć chatę Kingsleya, to nic nie stoi na przeszkodzie. Może pan tam ze mną pójść. I dzięki, że pan wysłuchał tej mojej mydlanej opery. No i dzięki za napitek. Proszę.

Wręczył mi butelkę z ocalałą resztką whisky.

ROZDZIAŁ 6

ZESZLIŚMY ZBOCZEM na brzeg, a potem wkroczyliśmy na wąski szczyt tamy. Chess szedł pierwszy, zawijając zamasyście swoją sztywną nogą i przytrzymując się przymocowanej do żelaznych słupków liny. W pewnym miejscu natrafiliśmy na leniwy strumyk wody, która przelewała się przez wierzchołek.

– Muszę jutro spuścić trochę wody przez to młyńskie koło – rzucił Bill przez ramię. – To zresztą jedyna rzecz, która cokolwiek tu jest warta. Zbudowali je trzy lata temu filmowcy. Tak samo zresztą, jak i tę małą przystań. Potrzebne im to było do jakiegoś filmu, który tu kręcili. Nabudowali jeszcze innych rzeczy, ale większość rozebrali i wywieźli. Pan Kingsley pozwolił im zostawić tylko koło i pomost. Nadają temu wszystkiemu trochę charakteru, nie?

Wspiąłem się za nim po solidnych drewnianych schodkach na ganek chaty. Otworzył drzwi i znaleźliśmy się wśród cieplej ciszy. W zamkniętym na głucho pokoju było niemal gorąco. Podłogę przecinały wąskie linie słonecznego światła, które przeciskało się przez listewki okiennic.

Ten główny pokój sprawiał bardzo miłe wrażenie: był długi, na drewnianej podłodze leżały indiańskie dywaniki, meble w lokalnym góralskim stylu, ze złączami okutymi metalowymi nakładkami, bawełniane zasłony w połyskliwych kolorach, sporo lamp, a w rogu mały, obudowany barek z okrągłymi stolkami. Idealny porządek, który nie wskazywał na to, żeby ktoś się stąd wyniósł nagle i w pośpiechu.

Przeszliśmy się po sypialniach. Dwie wyposażone były w parę zestawionych obok siebie bliźniaczych łóżek, w trzeciej, z której – jak mnie poinformował Chess – korzystał pan Kingsley, królowało duże małżeńskie łóżo, przykryte śnieżnobiałą narzutą, upstrzoną ufarbowanymi na purpurowo kępkami wełny. Na toaletce z pokostowanego drewna leżały rozmaite przybory z oprawami i rękojeściami z zielonej emalii lub nierdzewnej stali, jak również zestaw najrozmaitszych kosmetyków. Były wśród nich dwa słoiczki z kremami, na których widniała pozłacana firmowa etykieta Gillerlain Company.

Jedną ze ścian w całości zajmowały szafy z rozsuwanymi drzwiami. Uchyliłem jedno z nich i zajrzałem do środka. Wyglądało na to, że pełno tam było damskich ciuchów, jakie

zwykły na siebie wkładać eleganckie panie w wypoczynkowych miejscowościach.

Bill Chess patrzył z pewną urazą, jak przegarniałem i oglądałem poszczególne stroje.

Zasunąłem drzwi szafy i z kolei zajrzałem do umieszczonej na dole szuflady, w której znajdowało się co najmniej sześć par nowiuteńkich na oko bucików. Wsunąłem szufladę na miejsce i wyprostowałem się.

Natknąłem się na gniewne spojrzenie Chessa, który stał naprzeciwko mnie z agresywnie wysuniętą szczęką i zaciśniętymi pięściami wspartymi na biodrach.

– Po jaką cholere grzebałeś pan w ciuchach pani Kingsley, co? – zapytał groźnym tonem.

– Mam po temu parę powodów – odparłem. – Na przykład ten, że pani Kingsley po wyjeździe stąd nie pojawiła się w domu. I że jej mąż od tej pory nie widział jej na oczy. Ani nawet nie wie, co się z nią dzieje i gdzie przebywa.

Oderwał dłonie od bioder i pozwolił rękom opaść wzdłuż boków.

– Więc jednak naprawdę trafił mi się tajniak! – warknął. – Pierwsze wrażenie zawsze jest trafne. A ja, psiakrew, musiałem rozpuścić język! I rozgadałem się jak głupia Anielcia, co się byle komu wypłakuje w podolek. Kurczę blade, naprawdę strasznie ze mnie cwany facet!

– Nie gorzej od innych umiem zachować dla siebie to, czego się dowiedziałem – powiedziałem i omijając go, przeszedłem do kuchni.

Był w niej sporych rozmiarów komplet biało-zielonych szafek oraz zlew z polakierowanego na żółto sosnowego drewna. W kuchennej sionce zainstalowany był automatyczny bojler, a dalej, drzwi w drzwi z kuchnią, znajdował się przyjemnie urządzonej pokój śniadaniowy z kilkoma oknami i plastikowym kompletem wygodnych mebli. Ładnie prezentowały się półki zastawione kolorowymi talerzami, filiżankami i metalowymi tackami.

Tu także panował idealny porządek. W zlewie żadnych brudnych filiżanek lub talerzy i żadnych nieopłukanych kieliszków, które by pozostały na stole, żadnych pustych butelek po alkoholu. Ani jednej muchy, ani jednej mrówki. Może i prawda, że pani Kingsley prowadziła swobodny i niekonwencjonalny tryb życia, ale nie pozostawiała po sobie artystowskiego bałaganu, który w Greenwich Village stanowił obowiązującą normę.

Wróciłem do dużego pomieszczenia, wyszedłem z niego na frontowy ganek i poczekałem, aż Chess zamknie drzwi. A kiedy się już z tym uporał i spojrzał na mnie z nieustępliwie zagniewanym wyrazem twarzy, powiedziałem:

– Nie dopraszałem się, żebyś przede mną otwierał swoje zranione serce i pokazywał mi, co i gdzie cię boli, kolego. Chociaż nie starałem się też cię powstrzymać. Kingsley wcale nie musi się dowiedzieć, że dałeś się uwieść jego żonie, chyba że kryje się za tym o wiele

więcej niż to, czego się na razie dowiedziałem.

– Niech cię wszyscy diabli! – wysyczał, wciąż z tą samą miną.

– Dobra, niech mnie wszyscy diabli. Trudno. Ale czy przypadkiem nie było tak, że twoja żona i pani Kingsley wyjechały stąd razem?

– Jakoś nie chwytam – odparł.

– Mogło się zdarzyć, że kiedy ty pojechałeś topić swoje smutki w gorzałce, to pomiędzy obiema paniami doszło najpierw do awantury, potem do zgody, a na końcu wypłakały się sobie nawzajem w ramionach. Potem z tego wszystkiego pani Kingsley podwiozła na dół twoją połowicę, która przecież nie miała własnego środka lokomocji, prawda?

To nie była zbyt mądra hipoteza, ale on zastanowił się nad nią całkiem serio.

– Niemożliwe – stwierdził. – Muriel nie miała zwyczaju wypłakiwać się komuś w ramionach. Zresztą w ogóle wypłakała już wszystkie łzy, jakie miała na całe życie. A nawet gdyby chciała się przed kimś wyzalić, to na pewno nie padłoby na tę małą kręcidupkę. I mylisz się co do samochodu, bo ma swojego własnego forda. Nie mogła jeździć moim, bo z powodu tej sztywnej nogi mam w nim specjalnie poustawiane pedały.

– Tak sobie tylko pomyślałem.

– Jak ci jeszcze coś w tyra stylu wpadnie do głowy, to lepiej zaraz to wytrząśnij – poradził mi kąśliwie.

– Wiesz, Bill? – zauważyłem. – Jak na faceta, który w przyływie żalości rozkleja się przed pierwszym lepszym nieznajomym, to jesteś cholernie drażliwy!

Zbliżył się do mnie o krok.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Słuchaj, kolego – powiedziałem. – W gruncie rzeczy uważam, że jesteś swój chłop. Chciałbym tylko, żebyś mi trochę pomógł w tej niewdzięcznej robocie, dzięki której zarabiam na życie. Co ty na to?

Przez chwilę dyszał ciężko, zmagając się z gniewem, lecz w końcu rozwarł pięści i rozłożył ręce w geście bezradności.

– Dobry Boże! – westchnął. – Ja jednak jestem taki człowiek, że każdemu bym nieba uchylił. Masz ochotę spacerować się wokół jeziora?

– Jasne, tylko pomyślałem o twojej nodze.

– To dla niej nie pierwszozna. Jeszcze i ten raz wytrzyma.

No i ruszyliśmy w drogę, ramię przy ramieniu, znowu w zupełnej zgodzie, niby dwa zaprzyjaźnione ze sobą szczeniaki. Miałem nadzieję, że tak zostanie przez co najmniej

pięćdziesiąt metrów. Wąska dróżka, na której z trudem zmieściłby się samochód, biegła ponad poziomem wody, wijąc się pomiędzy wysokimi skałkami. Kiedy przeszliśmy mniej więcej połowę dystansu, który dzielił nas od przeciwległego skraju jeziora, pojawiła się przed nami pierwsza z dwóch dostrzeżonych przeze mnie wcześniej małych chatek. Zbudowano ją na skalnej podmurówce, podczas gdy ta druga, usytuowana na samym końcu jeziora, stała wprost na ziemi. Obie były na głucho zamknięte i wyglądało na to, że dawno już nikt z nich nie korzystał.

Bill Chess milczał jeszcze przez parę długich chwil, a potem z nagłą nawiązał rozmowę:

– Więc ta chrzaniona kręcidupka gdzieś się zmyła?

– Na to wygląda.

– A względem ciebie to powiedz, jesteś prawdziwy glina czy prywatny niuchacz?

– Prywatny.

– Prysnęła z jakimś facetem?

– Myślę, że to prawdopodobne.

– Według mnie to pewne jak dwa razy dwa cztery. Kingsley powinien się być tego spodziewać. Kręciło się koło niej wielu facetów, rozumiesz.

– Zaglądali tu do niej?

Nie odpowiedział.

– Czy przypadkiem któryś z nich nie nazywał się Lavery?

– A ja skąd miałbym to wiedzieć?

– Ten akurat to nawet dla Kingsleya żadna tajemnica – zapewniłem go. – Przysłała mu z El Paso wiadomość, że razem z Laverym jedzie do Meksyku.

Podąłem mu wyciągnięty z kieszeni telegram. Pogrzebał w kieszonce koszuli, wymacał w końcu okulary, wetknął je sobie na nos i przystanął, żeby go przeczytać. Po chwili oddał mi depeszę, z powrotem schował okulary do kieszeni i wpatrzył się w tafłę jeziora.

– To taki mały dowód zaufania do ciebie, aby się zrewanżować za to, co mi powiedziałeś – stwierdziłem.

– Ten Lavery... Był tu raz – powiedział w końcu z wahaniem.

– On sam mi się do tego przyznał. To znaczy, że spotkał się z nią jakieś dwa miesiące temu. A ja pomyślałem sobie, że właśnie tutaj. Twierdzi, że od tej pory więcej już jej nie widział. Ja i pan Kingsley nie jesteśmy pewni, czy mu wierzyć, bo tyle samo przemawia za, co i przeciw.

– Czyli że ona już nie jest teraz z Laverym?

– On przynajmniej tak twierdzi.

– Nie zdaje mi się, żeby ta kręcidupka przejmowała się takimi drobiazgami jak ślub – zawyrokował Chess. – Jakby już coś, to bardziej w jej stylu byłby od razu miesiąc miodowy na Florydzie.

– Ale nie możesz mi dać żadnej konkretnej informacji, tak? Nie widziałeś, jak wyjeżdżała, ani nie usłyszałeś czegoś, co by nawet w jej ustach zabrzmiało prawdziwie?

– Nie – odparł. – A zresztą nawet gdyby tak było, to wątpię, czy bym ci to powtórzył. Zdarza mi się taplać w brudzie, ale nie w brudzie tego rodzaju.

– Trudno. W każdym razie dzięki za dobre chęci.

– Tylko nie myśl sobie, że jestem ci coś winien – powiedział z gniewnym naciskiem. – Mam głęboko gdzieś i ciebie, i wszystkich prywatnych niuchaczy.

– No i wróciliśmy do punktu wyjścia – stwierdziłem.

Doszliśmy wreszcie do najdalszego krańca jeziora. Chess się zatrzymał, ja zaś wszedłem na pomost przystani. Na jego brzegu przymocowana była drewniana poręcz. Przechyliłem się przez nią i przyjrzałem się temu czemuś, co z daleka wziąłem za niszę dla orkiestry. W rzeczywistości były to dwie murowane ścianki, które zbiegały się pod dużym kątem i niby grot szerokiej strzały wskazywały tamę. Na ich szczycie zamocowany był szeroki na jakieś sześćdziesiąt centymetrów okap.

Podszedł Chess, stanął koło mnie i także oparł się o poręcz.

– Ale żebyś przypadkiem nie myślał, że nie jestem ci wdzięczny za whisky – oświadczył.

– W porządku – powiedziałem, po czym od niechcienia spytałem: – Łapią się tu jakieś ryby?

– Tylko trochę starych, dobrze wycwanionych pstrągów. Żadnego nowego narybku. Zresztą mnie wędkowanie nie ciągnie. Nie lubię się z tym babrać. I przepraszam, że na ciebie naskoczyłem.

Uśmiechnąłem się do niego i wsparty o poręcz wpatrywałem się w głęboką, nieruchomą wodę. Z góry wydawało się, że jest zielona. W pewnej chwili dojrzałem pod powierzchnią jakiś ciemny kształt, który się nagle przemieścił. Rozpoznałem zielonkawą sylwetkę ryby.

– To Dziadek – objaśnił mnie Chess. – Widzisz, jaki wyrósł, stary spryciarz? Aż powinien się wstydzić, że zrobił się taki tłusty.

Na dnie rysowało się coś, co wyglądało jak nonsensowna podwodna platforma. Zapytałem go, co to jest.

– Kiedyś to był pomost dla łodzi. Ale potem zbudowali tę tamę i poziom wody podniósł się, tak że mamy go teraz sześć stóp pod powierzchnią.

Obok pomostu spoczywała na powierzchni wody płaskodenna łódeczka, przywiązana na postrzępionej linie do jednego ze słupków. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że jest zupełnie nieruchoma, lecz jednak kołysała się, choć bardzo nieznacznie.

Wszystko dokoła było ciche, spokojne i rozświetnione, tak jak nigdy się to nie zdarza w mieście. Mógłbym tak godzinami stać tam i patrzeć, i za całe zajęcie mieć zapomnienie o panu Kingsleyu, jego żonie oraz jej adoratorach.

Lecz nagle Bill Chess poruszył się gwałtownie i wrzasnął głosem, który zadźwięczał jak grom z jasnego nieba:

– Patrz!

Zacisnął palce na moim ramieniu z taką siłą, że byłem bliski utraty zmysłów. Wychylał się przy tym daleko poza poręcz, wpatrując się w wodę wzrokiem szaleńca, z twarzą tak pobladłą, że można to było dostrzec pod opalenizną. Poszedłem za jego wzrokiem i spojrzałem poprzez wodę na zatopiony pomost.

W ciemnej toni u jego krawędzi coś leniwie zafalowało, znieruchomiało na moment, po chwili zakołysało się znowu w mrocznej głębi, a potem zniknęło pod deskami pomostu.

Owo coś aż za dobrze przypominało ludzką rękę.

Chess wyprostował się gwałtownie, po czym odwrócił się i bez słowa pokuśtykał w stronę brzegu. Sięgnął do stosu zwalonych bezładnie kamieni i chwycił oburącz jeden z nich. Oddychał z wysiłkiem i tak głośno, że słyszałem ten oddech na drugim końcu pomostu.

Głaz, który wybrał z wierzchu stosu, miał imponujące rozmiary. Chess podźwignął go na wysokość piersi i ruszył z powrotem w stronę poręczy. Ten ładunek musiał ważyć dobre czterdzieści kilo. Mięśnie pod skórą jego brązowego karku napięły się niczym linki podtrzymujące namiot. Przez zaciśnięte zęby przy każdym oddechu ze świstem przedostawało się powietrze.

Dotarł do poręczy, stanął wyprostowany, starając się zapewnić sobie równowagę, po czym podniósł kamień nad głowę. Przez chwilę zamarł w tej postawie i tylko patrzył w skupieniu w dół, wybierając właściwe miejsce.

Potem z bolesnym stęknieniem przechylił się nad poręczą i z całej siły cisnął głaz. Trysnęła fontanna wody, która sięgnęła aż do nas. Kamień spadł dokładnie tam, gdzie Chess sobie zaplanował, trafiając w krawędź podwodnej platformy niemal w tym samym miejscu, pod którym skryła się falująca ręka.

Przez chwilę nic nie było widać poprzez skotłowaną wodę, aż w końcu rozchodzące

się coraz szerzej koncentryczne fale poczęły łagodnieć i zanikać. Dosłyszeliśmy jeszcze stłumiony przez wodę odgłos pękających pod kamiennym ciosem desek. Odgłos ten pozostawał mi w uszach o wiele dłużej, niż mógł w rzeczywistości trwać.

Na powierzchni wody nagle ukazał się odłamany kawałek przegniłej deski, która wyskoczyła w powietrze postrzępionym końcem na jakieś trzydzieści centymetrów, po czym opadła i plusnąwszy raz jeszcze, ułożyła się na wodzie.

Wzburzona toń uspokoiła się i nabierała przejrzystości. Coś się w niej poruszyło, i tym razem nie była to deska.

Powoli, niewypowiedzianie opieszale coś unosiło się ku górze, a towarzyszył mu jeszcze jakiś inny, długi kształt, ciemny i falujący. Z tą samą leniwą obojętnością coś stopniowo zaczęło wypływać na powierzchnię.

Rozpoznałem najpierw czarną, nasiąkniętą wełnę, potem skórzaną kamizelkę czarniejszą niż atrament i parę spodni. Pomiędzy nogawkami a butami dojrzałem coś, co musiało być potwornie spuchniętymi kostkami. Po nich ukazały się ciemnoblonde włosy, które najpierw rozłożyły się szeroko na powierzchni wody i przez chwilę pozostawały tak niby wachlarz, aby potem skleić się w kształt skrzyconego pędzla.

Patrzyliśmy z Chessem, jak ciało okręca się wokół własnej osi, po czym tuż nad powierzchnią ukazuje się ręka, zakończona potwornie zdeformowaną dłonią, a po niej twarz. Spuchnięta, galaretowata masa, pozbawiona rysów, bezoka i bezusta. Bezkształtne szarobiałe ciasto. Nieludzka zjawa z ludzkimi włosami.

To, co było niegdyś szyją, otaczał ciężki naszyjnik z surowych zielonych kamieni, teraz do połowy zatopionych w tym, co niegdyś było ciałem. Pomiędzy nimi pobłykiwało coś, czym były ze sobą połączone.

Bill Chess zacisnął dłonie na poręczy z taką siłą, że kostki palców zaczęły przypominać prawdziwą, do białości wypolerowaną kość.

– Muriel! – wykrzyknął zduszonym, chrapliwym głosem. – Chryste Panie, to Muriel!

Zdawało mi się, że ten okrzyk dobiega mnie z bardzo daleka, z drugiej strony góry, stłumiony przez cichą gęstwinę drzew.

ROZDZIAŁ 7

PRZEZ OKNO drewnianego, byle jak skleconego baraczkę widać było część kontuaru, zarzuconego zakurzonymi folderami reklamowymi. Na szybie drzwi widniały wymalowane napisy złożone z czarnych punkcików farby. *Szef Policji. Szef Straży Pożarnej. Komendant Miejskiej Policji. Izba Handlowa*, a w dolnym rogu przyklejony był jeszcze emblemat Czerwonego Krzyża.

Wszedłem i rozejrzałem się po wnętrzu. W jednym rogu stał pękaty piecyk, w drugim, za kontuarem, biurko z podnoszonym blatem. Na ścianie wisiała duża, wydrukowana na niebieskim tle mapa okręgu, a zaraz obok deseczka z czterema hakami, z których jeden zajęty był przez mocno wytartą kurtkę z licznymi śladami cerowania.

Oprócz stosu zakurzonych folderów na kontuarze leżało zwykle pióro, poplamiona suszka i przybrudzony kałamarz. Ściana przy kontuarze zasmarowana była numerami telefonów, wypisanych tak grubymi literami, że były równie trwałe jak deski, a cyfry były tak koślawe, jak gdyby nakreśliła je ręka dziecka.

W drewnianym fotelu za biurkiem siedział mężczyzna, którego stopy sprawiały wrażenie przymocowanych do desek podłogi niby nogi narciarza. Obok jego prawego uda stała imponujących rozmiarów spluwaczka, w której mógłby się zmieścić zwinięty strażacki wąż. Głowę przykrywał mu zsunięty do tyłu przepocony stetson, duże, bezwłose dłonie zaś zaplótł sobie wygodnie na brzuchu wystającym nad spodniami, które niegdyś były zapewne koloru khaki, ale przez lata sprane zostały niemal do białości. Jeszcze bardziej sprana koszula harmonizowała zapewne niegdyś ze spodniami. Teraz była zapięta na wszystkie guziki aż po obciskający grubą szyję kołnierzyk, ale pozbawiona krawata. Włosy miał mysiobrazowe, z wyjątkiem skroni, na których przybrały odcień zleżalego śniegu. Usadowiony był trochę bokiem, bardziej na lewym niż na prawym pośladku, ponieważ na prawym biodrze dźwigał sięgającą mu aż po boczną kieszeń spodni kaburę, z której wystawała na kilkanaście centymetrów i uwierała go w bok rękojeść czterdziestki piątki. Jeden z promyków gwiazdy szeryfa, przypiętej do lewej strony piersi, był nadgięty.

Miał duże uszy, oczy o przyjaznym wyrazie, jego szczęki przez cały czas coś

pracowicie żuły, i mimo potężnych rozmiarów prezentował się nie groźniej niż wiewiórka, a nadto okazywał znacznie mniejszą niż wiewiórka nerwowość.

Oparłem się o kontuar i patrzyłem na niego. Podobał mi się w każdym szczególe. Spojrzał na mnie i powitał mnie ruchem głowy, po czym strzyknął ponad prawym udem potężną porcją tytoniowego soku, który trafił do spluwaczki z niemiłym dźwiękiem, nasuwającym na myśl odgłos czegoś, co z wysoka wpadło do wody.

Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się za popielniczką, na co zwalisty, acz sympatyczny funkcjonariusz rzucił:

– A od czego masz pan podłogę?

– Szeryf Patton? – upewniłem się.

– Komendant miejski i zastępca szeryfa w jednej osobie. Każdy, kto złamie jakieś prawo obowiązujące w tym okręgu, będzie miał ze mną do czynienia. Chociaż niedługo będą wybory. Staje przeciwko mnie paru niezłych chłopaków, więc kto wie, czy nie wysiudają mnie z tej posady. A ma się z niej osiem dych miesięcznie, służbową chałupę, bezpłatne drewno na opał i bezpłatny prąd. W takiej pagórkowatej dziurze to nie jest wcale źle.

– Nikomu nie uda się pana wysiudzić, szeryfie – zapewniłem go. – Będzie miał pan okazję zdobyć cholerną popularność.

– Tak pan uważasz? – zapytał bez cienia zainteresowania w głosie, po czym znowu sprawdził, czy uda mu się celnie trafić do spluwaczki.

– Tak będzie. To znaczy, pod warunkiem że Jezioro Małego Jelonka leży w granicach pańskiej jurysdykcji.

– Teren Kingsleya? Jasne, że tak. Coś tam nie w porządku, synu?

– W jeziorunku pływa martwe kobiece ciało.

Jak na niego, musiała to być wieść wręcz wstrząsająca. Rozplótł dłonie i podrapał się w ucho.

Następnie wspierając się rękoma o poręcz fotela, podźwignął się na nogi, co ułatwił sobie energicznym kopnięciem, które usunęło mu fotel spod siedzenia.

Dopiero w pozycji stojącej w pełni objawił swój wzrost i męską tężyznę. Otyłość dodawała mu tylko ogólnego wyrazu pogody i jowialności.

Zapytał niepewnie:

– Znałem ją?

– Myślę, że tak. To Muriel Chess. Żona Billa.

– No tak. Znam Billa Chessa.

Ton jego głosu nieco stwardniał.

– Wygląda to na samobójstwo – powiedziałem. – Zostawiła mężowi kartkę, z której wynikało, że od niego odchodzi, ale równie dobrze mogła to być zapowiedź samobójstwa. Ciało nie wygląda ładnie. Pewne fakty pozwalają przypuszczać, że pozostawało w wodzie około miesiąca.

Podrapał się w drugie ucho.

– Jakie fakty?

Jego spojrzenie lustrowało teraz moją twarz. Spokojnie i bez pośpiechu, ale bardzo wnikliwie. Najwyraźniej nie palił się do ogłaszania alarmu.

– Przed miesiącem doszło do małżeńskiej awantury. Bill pojechał na północny brzeg jeziora, żeby ukoić nerwy. Kiedy po paru godzinach wrócił, już jej nie było. Od tej pory więcej jej nie widział.

– Rozumiem. A ty kim jesteś, synu?

– Nazywam się Marlowe. Przyjechałem z Los Angeles, żeby rzucić okiem na posiadłość pana Kingsleya. On dał mi list polecający do Chessa. Więc Bill oprowadzał mnie wokół jeziora, aż trafiliśmy na tę małą przystań, którą zbudowali filmowcy, pan wie, o czym mówię. Oparliśmy się o poręcz i patrzyliśmy w wodę, no i zobaczyliśmy coś, co wystawało spod starego, zatopionego pomostu i wyglądało jak falująca ręka. Więc Bill spuścił tam ciężki głaz i ciało wypłynęło spod przegniłych desek.

Patton przyglądał mi się z nieruchomą twarzą.

Zaproponowałem więc:

– Słuchaj pan, szeryfie. Nie lepiej by było, żeby pan tam ze mną pojechał? Billem tak to wstrząsnęło, że prawie stracił rozum, a jest tam teraz sam.

– Ile wypił?

– Do mojego wyjazdu niewiele. Miałem przy sobie pół kwaterki i rozpiliśmy ją w trakcie rozmowy, ale nawet nie do końca.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę. Wydobywał z niej po kolei trzy albo cztery butelki i przepatrywał każdą pod światło, aż w końcu trafił na odpowiednią.

– Ta piersióweczka jest prawie pełna – stwierdził, poklepując ją z zadowoleniem. – Z bimbrowni na Mount Vernon. Wystarczająco mocna, żeby go uspokoić. W budżecie okręgu nie przewidzieli wydatków na takie nagłe przypadki, więc jak się trafi sposobność, to staram się coś uszczknąć na służbowy użytek, rozumiesz, synu. Sam nie biorę tego do ust. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć tych górali, co się zalewają takim zajzajerem.

Wsunął butelkę do kieszeni nad lewym biodrem, zamknął szufladę na kluczyk, podniósł ruchomą klapę w kontuarze i podszedł do drzwi, żeby na wewnętrznej stronie szyby

wywiesić tabliczkę. Odwróciłem ją na chwilę i przeczytałem: *Wracam za dwadzieścia minut. Może później.*

– Skoczę do Hollisa. To nasz miejscowy konował – powiedział Patton. – Za parę chwil podjadę i zabiorę pana z nami. Chyba że to pański samochód tam stoi, co?

– Owszem.

– W takim razie jak pan zobaczy, że wracam, to jedź pan za nami.

Wsiadł do samochodu, którego wyposażenie musiało budzić respekt obywateli: syrena, dwa czerwone szperacze, dwa reflektory przeciwmgielne, białoczerwona oznaka straży pożarnej, a na niej nowy głośnik syreny przeciwlotniczej; na tylnym siedzeniu trzy strażackie toporki, dwa zwoje grubej liny i gaśnica, kanister z zapasem benzyny i drugi na wodę, umocowane na bocznych stopniach, a do zapasowego koła jeszcze na wszelki wypadek przywiązana dodatkowa opona. Całości obrazu dopełniała poszarpana tapicerka z wystającymi z niej pękami czegoś, czym była wypchana, oraz centymetrowa warstwa kurzu pokrywająca karoserię, na której miejscami zachował się jeszcze lakier.

W prawym dolnym rogu przedniej szyby rzucała się w oczy biała plansza z wydrukowanym dużymi literami wyborczym sloganem:

WYBORCY! GŁOSUJCIE NA JIMA PATTONA! JEST JUŻ ZA STARY. ŻEBY SIĘ WZIAĆ DO JAKIEJŚ UCZCIWEJ ROBOTY.

Patton uruchomił silnik, zawrócił i odjechał w tumanie białego kurzu.

ROZDZIAŁ 8

ZATRZYMAŁ SIĘ przed białym budynkiem naprzeciwko przystanku autobusowego. Wszedł do środka, a po paru chwilach ukazał się w drzwiach w towarzystwie mężczyzny, który usadowił się na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu, obok toporków i lin. Patton znowu zawrócił, ja posłusznie podążyłem za nim. Przepychaliśmy się przez centrum, poprzez tłum w spodniach i szortach, francuskich marynarskich kurtkach i z włosami przewiązanymi kolorowymi chustkami, o poobcieranych kolanach i pomalowanych jaskrawą czerwieńią ustach. Za miasteczkiem wspięliśmy się piaszczystą drogą na wzgórze i zatrzymaliśmy się przed stojącą tam chatą. Patton delikatnie zatrąbił i w drzwiach stanął mężczyzna w wypłowiałym kombinezonie na szelkach.

– Wskakuj, Andy. Mamy nagłą robotę.

Andy bez entuzjazmu kiwnął głową, cofnął się na chwilę do wnętrza, a kiedy wyszedł, miał na głowie bladoszary kapelusik myśliwski afrykańskich łowców lwów. Patton przesunął się na fotel pasażera, ustępując mu miejsca za kierownicą. Facet mógł mieć około trzydziestki, był śniady, zwinny, a ponadto odznaczał się tym z lekka przybrudzonym i z lekka niedożywionym wyglądem, który cechował tamtejszych rdzennych mieszkańców.

Przez drogę do Jeziora Małego Jelonka nałykałem się tyle kurzu, że wystarczyłoby go na ulepienie wielu babek z piasku. Przed barierą zbitą z pięciu drągów Patton wysiadł z samochodu i otworzył nam drogę. Zjechaliśmy nad jezioro, gdzie znowu wysiadł, zszedł na sam brzeg i popatrzył w stronę małej przystani. Siedział na niej goły Bill Chess i trzymał się oburącz za głowę. Obok niego na mokrych deskach leżało coś długiego.

– Możemy jeszcze kawałek podjechać – powiedział Patton.

Dotarliśmy w dwa samochody do najdalszego krańca jeziora, a potem całą czwórką zeszliliśmy do pomostu, na którym siedział zwrócony do nas plecami Chess.

Doktor przystanął i zakaszłał chrypliwie w chusteczkę, której następnie uważnie się przyjrzał. Był to kanciasto zbudowany mężczyzna o małych owadzich oczach i smutnej twarzy o chorobliwym wyglądzie.

Długi kształt na deskach pomostu był ciałem kobiety, ułożonym twarzą w dół, i

owiniętym liną wokół ramion. Obok leżało ubranie Billa, który siedział z wyciągniętą przed siebie sztywną nogą z pokrytym bliznami kolaniem i z czołem na kolanie podgiętej zdrowej nogi. Kiedy podeszliśmy do niego, nie poruszył się ani na nas nie spojrzał.

Patton wyciągnął z kieszeni piersiówkę z Mount Vernon, odkręcił nakrętkę i podał mi butelkę.

– Gólnij sobie, Bill. Z całego serca.

W nozdrzach czułem okropny, mdlący zapach, którego zarówno Chess, jak i Patton oraz doktor zdawali się nie zauważać. Za to Andy najpierw bez słowa wrócił do samochodu, przyniósł znaleziony w bagażniku jasnobrązowy koc i przykrył nim ciało, a potem szybko się oddalił i wymiotował pod pnem sosny.

Bill Chess pociągnął parę łyków, nie odrywając szyjki od ust i nie zmieniawszy pozycji, przytrzymał teraz butelkę na kolanie podciągniętej nogi. Zaczął wreszcie mówić, nie podnosząc wzroku i nie zwracając się do żadnego z nas. Opowiedział o kłótni z Muriel i o tym, co było potem, ale przemilczał powód tej kłótni. Ani jednym słowem nie wspomniał też o pani Kingsley. Wyjaśnił, że kiedy pojechałem do miasteczka, poszedł po linę, rozebrał się, zanurkował, obwiązał ciało i wyciągnął je na brzeg, a potem zarzucił sobie na plecy i przeniósł na pomost. Sam nie wiedział dlaczego. Potem ponownie wskoczył do wody. Dlaczego to zrobił, tego już nie musiał nam nawet wyjaśniać.

Patton ukroił sobie nowy kawałek tytoniu, włożył go do ust i przez parę chwil żuł w milczeniu, ze wzrokiem całkowicie pozbawionym wyrazu. Potem przestał żuć, mocno zacisnął szczęki, pochylił się i zdjął koc z ciała. Ostrożnie, jakby z obawy, żeby się nie rozpadło na kawałki, odwrócił je na plecy.

Łagodne słońce późnego popołudnia na krótką chwilę rozbłysło na naszyjniku z dużych zielonych kamieni, do połowy zatopionych w opuchniętej szyi. Były tylko z grubsza oszlifowane i pozbawione połysku, jak kawałki steacytu albo fałszywego jaspisu. Łączył je pozłacany łańcuszek spięty klamerką w kształcie orlich skrzydeł wysadzanych drobnymi brylancikami.

Patton wyprostował swe szerokie plecy i wydmuchał nos w jasnobrązową chusteczkę.

– Co pan na to, doktoru?

– Niby na co? – prychnął owadooki medyk.

– Na temat przyczyny i czasu zgonu.

– Masz pan źle w głowie, szeryfie?

– Czyli że nic się od pana nie dowiem?

– Dobry Boże! Na podstawie tego, że to po prostu zobaczyłem?!

Patton westchnął.

– Mnie wygląda to na klasyczne utonięcie. Ale nie można mieć zupełnej pewności, bo zdarzało się już, że człowiek został zadźgany nożem albo otruty, a potem wrzucony do wody, żeby go wzięto za topielca.

– Dużo mieliście tu takich przypadków? – zapytał doktor ironicznym tonem.

– Jedyne prawdziwe morderstwo, z którym miałem do czynienia, to była sprawa starego Dada Meachama z północnego brzegu – wyznał Patton, przy czym zerknął kątem oka na Chessa. – Mieszkał w takim lichym baraczkach w kanionie Sheedy, a latem schodził ze szpadlem, patelnią i sitem do jednej doliny niedaleko Belltop. Miał tam od niepamiętnych czasów niedużą parcelę, na której ciągle jeszcze spodziewał się znaleźć złoto. Aż któregoś jesieni przestał się pokazywać miejscowym ludziom, a potem przyszła bardzo śnieżna zima i ktoś zobaczył, że dach tej jego budy zawalił się z jednej strony pod ciężarem śniegu. Więc pojechaliśmy tam, żeby pomóc mu jakoś temu zaradzić, ale go nie było. Pomyśleliśmy sobie, że zszedł na zimę w dolinę, ale, jak to wszyscy starzy poszukiwacze, nikomu nic o tym nie powiedział. Tylko że, kurczę, kiedyśmy się przekopali przez śnieg, to okazało się, że stary Dad wcale nie zszedł w dolinę. Leżał na własnym łóżku z ostrzem siekierki do rąbania drewna w czaszce. No i nigdy nie znaleźliśmy mordercy. Komuś tam widocznie przyszło do głowy, że staruszek ma schowany woreczek ze złotem, które udało mu się latem wypłukać.

Popatrzył z namysłem w oczach na Andy'ego z tym jego kapelusikiem myśliwskim. Andy obcmokał parokrotnie któryś ze swoich zębów, a potem powiedział:

– Jasna rzecz, że wiedzieliśmy, kto go zamordował! To był Guy Pope. Tylko że Guy przekręcił się na zapalenie płuc na dziewięć dni przed tym, jak znaleźliśmy Meachama.

– Jedenaście dni – sprostował Patton.

– Dziewięć – powtórzył swoje Andy.

– Zresztą wszystko jedno, synu, niech ci będzie. To w końcu stało się już dobre sześć lat temu. A jak wyszło, że właśnie Guy to zrobił?

– Bo w chacie Guya znaleźliśmy trzy uncje małych samorodków. A na jego działce nigdy nie udało mu się znaleźć niczego większego niż ziarnko złotego piasku. Za to Dadowi parę razy trafiło się trochę ładnych małych kawałeczków.

– Otóż to – stwierdził z satysfakcją Patton i obdarzył mnie mglistym uśmiechem. – Tak to właśnie jest. Żeby gość był nie wiadomo jak skrupulatny, to w końcu zawsze o czymś zapomni, nie?

– Gliniarskie pieprzenie – oświadczył nieoczekiwanie Bill Chess.

Wstał i naciągnął portki, po czym znowu usiadł, żeby włożyć buty i koszulę. Kiedy już

był ubrany, znowu wstał, podniósł z pomostu butelkę, pociągnął dobry łyk, ostrożnie postawił ją z powrotem na deskach i wyciągnął owłosione przeguby rąk w stronę Pattona.

– Jak już tak zaczęliście sobie kombinować, chłopcy, to od razu mnie skujcie i zabierzcie się do rzeczy! – powiedział rozjuszonym tonem.

Patton zignorował jego desperacki gest, podszedł do poręczy i popatrzył w dół.

– Swoją drogą to trochę dziwne miejsce jak na to, żeby tu przyniosło topielca – zauważył. – Żadnego prądu, a jakby już nawet jakiś był, to ciało popłynęłoby w stronę tamy, nie?

Bill Chess opuścił ręce i powiedział już spokojnym tonem:

– Ona sama się chciała utopić, ty cholerny durniu. Muriel pływała jak ryba. Więc to musiało być tak, że zanurkowała i wpłynęła pod ten zatopiony pomost, a potem po prostu zaczęła łykać wodę i było po wszystkim. Dokładnie tak jak mówię, nie inaczej.

– Nie całkiem bym się z tobą zgodził, Bill – odparł łagodnie Patton. Z jego oczu nie dało się absolutnie nic wyczytać.

Andy ni z tego, ni z owego zaczął potrząsać głową.

– Coś cię gryzie, synu? – zapytał go Patton ze skrycie kpiącym uśmiechem.

– Mówię ci, że to było na dziewięć dni przedtem – oświadczył ponuro, lecz stanowczo Andy. – Właśnie sobie dokładnie dzień po dniu odliczyłem.

Na co doktor podniósł ręce do góry, następnie przyłożył jedną dłoń do głowy i oddalił się o parę kroków, żeby się znowu wykaszleć w chusteczkę. Podobnie jak za pierwszym razem wpatrzył się w nią z najwyższym skupieniem.

Patton najpierw mrugnął do mnie, a potem splunął ponad poręczą.

– No już, Andy. Zajmijmy się lepiej tym, co mamy tutaj – powiedział.

– Dobra. Próbowalesz kiedy oplatać czymś ludzkie ciało parę metrów pod wodą?

– Coś ty! Jeszcze mi na coś takiego nie przyszło. Bo co? Nie da się tam tego zrobić za pomocą liny?

– Jakby to była lina, to zostałyby po niej ślady na ciele. A jak nie było liny, to po co miałby ją po wyciągnięciu dokładać, kiedy i tak nie miał zamiaru kryć się z tym, co zrobił?

– Może to po prostu kwestia czasu? – zastanowił się Patton. – Chłop mógł dojść do wniosku, że trzeba jakoś sensownie złożyć to do kupy.

Bill Chess wydał z siebie wściekle warknięcie i sięgnął po whisky. Z ich kamiennych twarzy ludzi gór nie potrafiłem odczytać, co naprawdę chodzi im po głowach.

Patton pogrążony w myślach, rzucił z roztargnieniem:

– Była zdaje się mowa o jakimś pożegnalnym liście.

Bill Chess pogrzebał w swoim portfelu i wyciągnął złożoną kartkę liniowanego papieru. Patton wziął ją od niego i uważnie zapoznał się z treścią.

– Nie widzę tu żadnej daty – zauważył.

Bill Chess potrząsnął ponuro głową.

– Nie zapisała. Ale to było miesiąc temu. Zostawiła mnie dwunastego lipca.

– Już przedtem raz cię rzuciła, prawda?

– Ano rzuciła – przyznał Bill, nie spuszczać wzroku z twarzy komendanta. – Uchlałem się i zamarudziłem z taką jedną łatwodajką. Zeszłego grudnia, jakoś tak na krótko przed pierwszym śniegiem. Wtedy zostawiła mnie na cały tydzień, a jak wróciła, to była całkiem na nowo odszykowana. Powiedziała mi, że po prostu musiała się na jakiś czas stąd wyrwać i że mieszkała u jednej dziewczyny. Kiedyś pracowały razem w Los Angeles.

– Jak się niby ta jej koleżanka z pracy nazywała? – zapytał Patton.

– Nigdy mi tego nie powiedziała, a zresztą nigdy się o to nie dopytywałem. Wszystko, co Muriel zrobiła, dla mnie zawsze było święte.

– Jasne, Bill. Rozumiem. Tamtym razem też zostawiła liścik?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Bo ten tutaj wygląda mi na porządnie postarzały – zauważył Patton, podnosząc kartkę.

– Kurczę, przecież noszę to przy sobie od miesiąca, nie? – warknął Chess. – A w ogóle to kto ci powiedział, że raz już mnie zostawiła?

– Nie pamiętam – odparł Patton. – Ale wiesz, jak to jest w takiej dziurze jak nasza. Niewiele się może zdarzyć rzeczy, których by ludzie nie zauważyli. Chyba że latem, kiedy zjeżdża cała masa obcych.

Przez długą chwilę nikt się nie odezwał, aż Patton znowu powiedział tym samym co przedtem, jakby nieobecny tonem:

– Więc mówisz, że dała nogę dwunastego lipca. A może tylko sobie tak pomyślałeś, że zjechała na dół? Nie powiedziałeś przypadkiem, że tego dnia ktoś sobie wypoczywał po drugiej stronie jeziora?

Bill Chess popatrzył na mnie i wyraźnie spochmurniał.

– Zapytaj o to tego wściubinosa. Zresztą pewnie i tak już ci wszystko wygadał.

Patton nawet na mnie nie spojrział. Wpatrywał się w kontury górskich szczytów, których wznosząca się i opadająca linia rysowała się na horyzoncie, daleko za jeziorem. Po

chwili powiedział z łagodną perswazją w głosie:

– Bill, obecny tu pan Marlowe nie powiedział mi nic prócz tego, że z dna jeziora w takich a takich okolicznościach wypłynęło ciało, i kogo w nim rozpoznałeś. I to, że według ciebie Muriel wyjechała i zostawiła ci tych parę pożegnalnych słów, które mu dałeś do przeczytania. Nie wydaje mi się, żeby tym sposobem zachował się niewłaściwie, prawda?

Znowu zapadło milczenie. Bill przez długą chwilę wpatrywał się w przykryty kocem nieruchomy kształt leżący na deskach pomostu, a potem nagle zacisnął pięści, a po policzkach zaczęły mu dużymi kroplami spływać łzy.

– Pani Kingsley tam była – wyjąkał wreszcie. – Zjechała na dół tego samego dnia. Pozostałe chaty były puste. Perrysowie i Farquharsowie w ogóle się jeszcze w tym roku nie pokazali.

Patton skwitował to wyznaniem skinieniem głowy i nadal milczał. Miałem wrażenie, że w powietrzu pojawiło się jakieś napięcie, coś było dla wszystkich oczywiste, ale nikt nie czuł potrzeby, aby ująć to w słowa i powiedzieć głośno.

Aż raptem Chess znowu wybuchnął:

– No więc skujcie mnie, sukinsyny! Wpakujcie mnie za kraty, bo przecież dla was jest jasne, że ja to zrobiłem! Że to ja ją utopiłem! Była moją dziewczyną i byłem w niej zakochany. Jestem podlecem, zawsze byłem i zawsze będę podlecem, ale to nie przeszkadzało mi jej kochać. Może takim facetom jak wy nie mieści się coś takiego we łbach, ale nawet nie próbujcie mnie zrozumieć. Po prostu weźcie i, do jasnej cholery, wsadźcie mnie za kratki!

Nikt nie zareagował ani jednym słowem.

Bill Chess przypatrzył się swojej twardej, brązowej pięści. Nagle błyskawicznym ruchem uderzył się nią z całej siły w twarz.

– Ty przegniły do cna sukinsynu – wyszeptał chrapliwie.

Z nosa zaczęła mu powoli spływać strużka krwi. Stał nieruchomo, a krew spłynęła najpierw do górnej wargi, potem okrążyła kącik ust i dotarła do podbródka. Zebrała się tam w kroplę, która powoli oderwała się i spadła na koszulę.

Patton powiedział cicho:

– Bill, muszę cię zabrać na dół na przesłuchanie. Wiesz, że tak trzeba. O nic nie jesteś oskarżony, ale musisz porozmawiać z paroma facetami.

Chess zapytał ochryple:

– Mogę się najpierw przebrać?

– Jasne. Idź z nim, Andy. I poszukaj czegoś, czym mógłbyś mu zatamować tę krew.

Odeszli obaj ścieżką, która biegła wzdłuż brzegu.

Medyk odchrząknął, obrzucił spojrzeniem jezioro, po czym westchnął.

– Będzie pan pewnie chciał, szeryfie, żebym przyjechał tu swoim ambulansem i zwiózł ciało na dół, tak?

Patton pokręcił głową.

– Nic podobnego. To biedny okręg, doktoru. Myślę, że ta dama może odbyć tę podróż dużo taniej, niż by wyniósł rachunek za pański ambulans.

Lekarz ze złością odwrócił się na pięcie, ale odchodząc, rzucił jeszcze przez ramię ironicznym tonem:

– Jeśli będzie pan chciał, żebym zapłacił za pogrzeb, to niech mnie pan jakoś łaskawie uprzedzi.

– Człowieku – powiedział Patton z westchnieniem. – To naprawdę nie moment ani miejsce na takie błyskotliwe odzywki.

ROZDZIAŁ 9

HOTEL „POD GŁOWĄ INDIANINA” mieścił się w otynkowanym na brązowo budynku, który wznosił się na rogu, na wprost nowo otwartej hali tanecznej. Zaparkowałem przed wejściem i pierwsze kroki skierowałem do toalety, gdzie obmyłem twarz i ręce oraz wyczesalem z włosów sosnowe igły. Tak odświeżony mogłem się już udać do lokalu, który łączył w sobie funkcje baru i restauracji. Wchodziło się do niego wprost z hotelowego hallu.

W środku panował straszliwy tłok. Mężczyźni w sportowych marynarkach wydychali z siebie opary najróżniejszych trunków, ich partnerki zaś śmiały się piskliwie, błyskając krwistoczerwonym lakierem na paznokciach oraz przybrudzonymi knykciami.

Szef tego interesu, najwyraźniej niewysoko opłacany twardziej w koszuli z krótkimi rękawami i mocno nadgryzionym cygarem w zębach, przepatrywał salę czujnym wzrokiem, podczas gdy usadowiony za kasą blade blondyn nie odrywał ucha od głośnika małego radia, próbując dosłuchać się wieści z wojny poprzez bulgotanie, które przypominało odgłosy dobiegające z garnka pełnego gotujących się ziemniaków.

W rogu pod tylną ścianą sali pięcioosobowy zespół muzyczny wygrywał kawałki w stylu tubylczych górali, znanym jako hillbilly. Muzykanci, przybrani w niezbyt stosowne do tego rodzaju muzyki białe marynarki i purpurowe koszule, robili, co mogli, żeby przebić się przez dobiegający od zatłoczonego baru gwar pijackich rozmów, a przy tym dzielnie starali się utrzymać na swoich obliczach przyklejone do nich sympatyczne uśmiechy, mało zresztą widoczne za kurtyną papierosowego dymu.

W Puma Point lato, ta najwspanialsza pora roku, rozkręcało się na całego.

Udało mi się jakoś przelknąć coś, co nazywano tu typowym zestawem kolacyjnym, splukałem jego smak kieliszkiem brandy, która powinna je jakoś utrzymać w żołądku, po czym wyszedłem na główną ulicę.

Był jeszcze jasny dzień, ale już zaczęły się wzdłuż niej rozświetlać neony, które dawały przedsmak wspaniałego wieczoru z radosnym pobekiwaniem klaksonów, wrzaskami rozbawionej dziatwy, dudnieniem bilardowych kul, wesołym pykaniem dwudziestek dwójek na strzelnicach i przyprawiającym o szaleństwo rozgłośnym repertuarem grających szaf,

podczas gdy w tle całego tego hałasu słychać było zająkliwy jazgot mknących po tafli jeziora wyścigowych łodzi, które wprawdzie donikąd się nie śpieszyły, niemniej sprawiały wrażenie, że ścigają się ze śmiercią.

W moim chryslerze siedziała swobodnie rozparta młodziutka, chuda brunetka w ciemnych spodniach i z twarzą o nader poważnym wyrazie. Palila papierosa i konwersowała z przybranym w kowbojski strój młodzieńcem, który przysiadł sobie na moim błotniku. Okrążywszy samochód, bez słowa ulokowałem się za kierownicą. Kowboj zsunął się z błotnika, podciągając spodnie. Panienska nie ruszyła się z miejsca, ale rzuciła pogodnie.

– Cześć! Jestem Birdie Keppel! Za dnia zarabiam tu na życie jako kosmetyczka, a wieczorem pracuję jako reporterka dla *Sztandaru Puma Point*. Proszę wybaczyć, że tak się rozsiadłam w pańskim samochodzie.

– W porządku – powiedziałem. – Chce pani tak po prostu sobie posiedzieć czy może mam panią gdzieś podrzucić?

– Niech pan podjedzie gdzieś, gdzie jest spokojniej, panie Marlowe. Jeśli oczywiście będzie pan tak miły, żeby ze mną porozmawiać.

– Szybko dostaje tu pani cynk, to naprawdę imponujące – zauważyłem, uruchamiając silnik, po czym ruszyłem.

Przejechałem obok budynku poczty i znalazłem się na krzyżówce, od której prowadziła wąska droga w kierunku jeziora. Stał tam słupek z biało-niebieską strzałką, opatrzoną napisem *Telefon*. Skręciłem w tę drogę, minąłem siedzibę agencji telefonicznej, która była po prostu zbitą z bali chatą, o tyle nietypową, że przed jej frontem znajdował się miniaturowy, ogrodzony pojedynczą barierką trawnik, następnie przejechałem obok jeszcze jednej małej chaty, żeby w końcu zatrzymać się pod potężnym dębem, którego gałęzie zwieszały się nie tylko nad całą szerokością jezdni, ale sięgały jeszcze dobrych piętnaście metrów za nią.

Upewniłem się:

– Odpowiednie miejsce, panno Keppel?

– Już pani, a nie panna Keppel. Ale tak w ogóle proszę mi mówić Birdie. Wszyscy tu tak mnie nazywają, więc już do tego przywykłam. W każdym razie miło mi pana poznać, panie Marlowe. Zdaje się, że przybył pan do nas z tego siedliska grzechu, jakim jest Hollywood?

Podawała mi swoją opaloną dłoń, którą grzecznie uściskałem. Jej uścisk siłą przypominał uchwyt żelaznych cęgów rozwozicieli lodu. Chyba mściwe szczypanie tyłków tłustawych blondynek dało jej taką krzepę.

Przystąpiła do wypełniania swoich reporterskich obowiązków.

– Rozmawiałam z doktorem Hollisem na temat biednej Muriel Chess i pomyślałam, że dowiem się od pana pewnych szczegółów. Zdaje się, że to właśnie pan natrafił na jej ciało?

– Tak naprawdę to wypatrył je Bill Chess. Ja po prostu stałem wtedy obok niego. Rozmawiała pani z Pattonem?

– Jeszcze nie, ponieważ musiał zjechać na dół. Zresztą akurat od Jima nie spodziewam się wiele dowiedzieć.

– Jak to? – zdziwiłem się. – On stara się o ponowny wybór, a pani pracuje dla gazety!

– Z Jima jest żaden polityk, panie Marlowe, a i ja też nie bardzo mogę się uważać za reporterkę z prawdziwego zdarzenia. Ta gazeta, która tu wychodzi, to przedsięwzięcie czysto amatorskie.

– Dobra – powiedziałem, częstując ją papierosem, a następnie podsuwając ogień. – Co chciałaby pani wiedzieć?

– Mógłby mi pan po prostu zrelacjonować całą tę historię.

– Przyjechałem tu na zlecenie pana Kingsleya, żeby rzucić okiem na jego posiadłość. Miałem ze sobą jego list polecający, dzięki któremu Bill Chess zaofiarował się jako przewodnik, a przy okazji zaczął mówić o sobie i o tym, że opuściła go żona, i nawet pokazał mi jej pożegnalny liścik. Miałem przy sobie butelczynę, więc się do niej przyssał, bo było mu ciężko na duszy. Alkohol go rozluźnił, a że doskwierała mu samotność, to czuł potrzebę wyrzucenia tego z siebie. Tak to jakoś po prostu wyszło, bo przecież nie znaleźliśmy się przedtem. A kiedy wracaliśmy z przechadzki wokół jeziora, weszliśmy na ten mały pomost i Bill wypatrył rękę, która wystawała spod zatopionej dawnej przystani. No i okazało się, że ta ręka była częścią tego, co zostało z Muriel Chess. I to właściwie wszystko.

– Z tego, co mi powiedział pan Hollis, wynika, że przeleżała w tej wodzie ładny kawałek czasu. Ciało w stanie daleko posuniętego rozkładu i tak dalej.

– Owszem. Prawdopodobnie przez cały ten miesiąc, kiedy Bill sądził, że go porzuciła. Nie ma powodów, żeby myśleć inaczej. Ten pożegnalny liścik to pożegnanie samobójczyni.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, panie Marlowe?

Wolałem omijać ją wzrokiem, ona jednak wpatrywała się we mnie spod puszystej grzywki swoimi ciemnymi oczyma. Słońce powoli zaczynało zachodzić. Jego światło tylko nieznacznie straciło na jaskrawości.

Powiedziałem:

– W takich sprawach policja chyba zawsze ma wątpliwości.

– A pan?

– Moja opinia w ich oczach niewiele jest warta.

– A ile jest warta w pańskich?

– Billa Chessa poznałem dopiero dzisiejszego popołudnia – przypomniałem jej. – To fakt, że uderzył mnie jego wybuchowy temperament, jak też i to, że sam o sobie ma nie najlepsze mniemanie. Ale wygląda na to, że był zakochany w swojej żonie, toteż trudno mi dopuścić do siebie myśl, że potrafiłby przez cały miesiąc wytrzymać widok jeziora, w którym jej ciało gniło pod deskami tej zalanej przystani. Przecież za każdym wyjściem z chaty na rozświetlony świat, za każdym spojrzeniem na tę błękitną taflę musiałyby mu stawać przed oczami to, co kołysało się pod powierzchnią wody, i wyobrażałby sobie, co się z tym dzieje. W dodatku ze świadomością, że on sam jest temu winny.

– Mnie też się to nie mieści w głowie – wyznała cicho Birdie Keppel. – I chyba nikomu by się nie pomieściło. Chociaż wiemy, że takie rzeczy się zdarzały i będą zdarzać.

A po chwili spytała:

– Pan się zajmuje nieruchomościami, panie Marlowe?

– Nie.

– Więc czym się pan zajmuje, jeśli wolno zapytać?

– Wolałbym tego nie zdradzać.

– To prawie tak, jakby się pan przyznał. Zresztą doktor Hollis słyszał, jak pan powiedział Jimowi Pattonowi swoje imię i nazwisko, a w redakcji mamy książkę telefoniczną Los Angeles. Ale nikomu tego nie powiedziałam.

– To miło z pani strony – bąknąłem.

– I co więcej, nie powiem – dodała. – To znaczy, jeśli pan sobie tego nie życzy.

– W czym by mi to mogło zaszkodzić?

– W niczym – odparła. – Jasne, że w niczym. Ja nie uważam się za pierwszorzędną dziennikarkę, a zresztą i tak nie wydrukowalibyśmy niczego, co mogłoby źle się przysłużyć Jimowi. W końcu Patton to sól tej ziemi. Ale tej sprawy nie da się tak po prostu zakwalifikować jako samobójstwa, prawda?

– Niech się pani nie śpieszy z pochopnymi wnioskami – przestrzegłem ją. – Bill Chess ani trochę mnie nie obchodzi.

– Czy Muriel Chess też pana nic nie obchodzi?

– A niby czemu miałyby mnie obchodzić Muriel Chess?

Skrupulatnie zdusiła niedopałek w popielniczce pod tablicą rozdzielczą.

– Może pan na tym poprzestać, skoro tak pan uważa – powiedziała – ale ja znam pewien drobny szczegół, nad którym mógłby się pan zastanowić. To znaczy, jeśli jeszcze pan

o nim nie wie. Jakież sześć tygodni temu zjawiał się u nas pewien gliniarz z Los Angeles o nazwisku De Soto. To kawał brutala z chamskimi manierami. Nie przypadł nam do gustu, więc nie odpowiedzieliśmy na żadne jego pytanie. Mówię o naszej trójce w redakcji *Sztandaru Puma Point*. Pokazywał wszystkim fotografię jakiejś kobiety o nazwisku Mildred Haviland. Mówił, że policja jej szuka i że dotarła do nich informacja, że na jakiś czas się u nas zatrzymała. To nie była fotografia z policyjnej kartoteki, tylko powiększenie zwyczajnej fotki. Tylko że ta Mildred Haviland była diabelnie podobna do Muriel Chess. Wprawdzie włosy miała rude i zupełnie inaczej uczesane niż prawdziwa Muriel, do tego wyskubane brwi, które zrobiły się jak cieniutkie łuki, a to bardzo zmienia wygląd kobiecej twarzy. Ale i tak była bardzo podobna do żony Billa Chess.

Przez chwilę bębniłem palcami w drzwiczki chryslera, a potem spytałem:

– Czego się od was dowiedział?

– Niczego. Po pierwsze, nie byliśmy pewni tego, co nam się zdawało, a po drugie, nie podobało nam się jego zachowanie i nie uśmiechało się nam wydanie pani Chess na jego pastwę. Bo niby z jakiej racji? Każdemu zdarza się zrobić coś, czego potem żałuje. Jak na przykład mnie. Po głupiemu wydałam się kiedyś za... za profesora filologii klasycznej na uniwersytecie Redlands.

Zaśmiała się z rozbawieniem.

– Ale mogłaby pani mieć z tego ładny kawałek do gazety – zauważyłem.

– No jasne. Tylko że my tutaj staramy się być dla siebie ludzcy.

– Czy ten cały De Soto widział się z Pattonem?

– Na pewno. Ale Jim nikomu o tym nie wspomniał.

– A czy pokazał wam swoją odznakę?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie, żeby ją nam pokazywał. Po prostu powiedział nam, kim jest, a myśmy mu uwierzyli na słowo. W każdym razie zachowywał się jak najprawdziwszy twardy gliniarz z Los Angeles.

– We mnie takie zachowanie wzbudziłoby raczej lekkie podejrzenie, że tylko stara się odgrywać gliniarza. Ale mniejsza o to. Czy ktoś powiedział Muriel o jego odwiedzinach?

Zawahala się, przez chwilę patrzyła w milczeniu przed siebie, w końcu zwróciła ku mnie twarz i potwierdziła ruchem głowy.

– Ja jej powiedziałam. Psiakrew! Pewnie zrobiłam głupstwo, co?

– A jak ona zareagowała?

– Nie powiedziała ani słowa, tylko zaśmiała się tak jakoś zabawnie i jakby z

zakłopotaniem, a ja sobie nawet wtedy pomyślałam, że uznała to za kiepski dowcip. I po prostu poszła swoją drogą. Ale odniosłam wrażenie, że w jej oczach pojawił się jakiś dziwny wyraz, chociaż tylko na króciuteńki moment.

Odczekała chwilę, po czym zapragnęła się upewnić:

– Nadal nie obchodzi pana sprawa Muriel Chess, panie Marlowe?

– A dlaczego miałyby być inaczej? Zanim się tu zjawiłem dziś po południu, nic o niej nie wiedziałem. Słowo daję. Tak samo jak nigdy nie słyszałem o jakiejś tam Mildred Haviland.

Po czym spytałem:

– Odwieźć panią do miasteczka?

– Och nie, dziękuję. Przespaceruję się, to w końcu parę kroków. W każdym razie bardzo jestem panu wdzięczna. I mimo wszystko mam nadzieję, że Bill nie wpadł w tarapaty. A przynajmniej nie aż w takie, jak się można obawiać.

Otworzyła drzwiczki i wysunęła na zewnątrz jedną nogę, a potem potrząsnęła głową i zaśmiała się.

– Mówią o mnie, że jestem bardzo dobrą kosmetyczką – powiedziała przez śmiech. – Mam nadzieję, że to prawda, bo do robienia prasowych wywiadów najwyraźniej zupełnie się nie nadaję! Dobranoc, panie Marlowe.

– Dobranoc, Birdie.

Patrzyłem, jak się oddala, wtapiając się stopniowo w zapadający zmrok. Ale jednak udało mi się nie stracić jej z oczu aż do chwili, gdy skręciła w główną ulicę.

Wtedy dopiero wysiadłem z auta i udałem się w kierunku drewnianego budyneczku, w którym mieściła się agencja telefoniczna.

ROZDZIAŁ 10

TUŻ PRZEDE MNĄ przechodziła przez ulicę oswojona łania ze skórzaną psią obrozą na szyi. Poklepałem ją po miłej w dotyku sierści muskularnego karku i wszedłem do biura agencji. Zostałem tam drobna dziewczyną, która siedziała przy małym biurku nad księgami rachunkowymi. Poinformowała mnie, ile kosztuje połączenie z Beverly Hills, i rozmięła mi banknot na drobne do automatu. Budka telefoniczna była na zewnątrz, przy frontowej ścianie domku.

– Mam nadzieję, że podoba się panu u nas – powiedziała dziewczyna. – To bardzo spokojna i cicha okolica. Dobrze się tu wypoczywa.

Wszedłem do budki, zamknąłem drzwi. Za dziewięćdziesiąt centów mogłem rozmawiać z Derace'em Kingsleyem przez pięć minut. Był w domu, i nawet szybko uzyskałem połączenie, ale bliskość gór powodowała liczne zakłócenia.

– Wpadł pan na jakiś trop? – zapytał. Jego głos zdawał się świadczyć o tym, że miał już za sobą jakieś trzy szklanki whisky z lodem, dzięki czemu znowu emanowała zeń pewność siebie i zdecydowanie.

– Znalazłem aż za wiele – odparłem. – Tylko że akurat nie to, czego szukamy. Jest pan sam?

– A jakie to ma znaczenie?

– Mnie jest to obojętne. Ale ja wiem, co mam do powiedzenia. Pan nie wie.

– Mniejsza o to. Mów pan, cokolwiek to jest.

– Odbyłem długą rozmowę z Chessem. Akurat czułem się samotny, więc się rozgadał. Żona go porzuciła, rozumie pan... Miesiąc temu. Pokłócili się, więc pojechał się upić, a kiedy wrócił do domu, już jej tam nie zastał. Zostawiła mu kartkę, na której napisała, że woli raczej umrzeć niż żyć z nim dalej.

– Domyślam się, że Bill przesadza z piciem – skonstatował z bardzo daleka Kingsley.

– Nie tylko swojej żony nie zastał po powrocie do domu. Pańska także wyjechała znad jeziora. Chess nie ma pojęcia dokąd. Lavery przyznał, że odwiedził panią Kingsley w maju, ale zapewniał mnie, że od tej pory jej nie widział. Oczywiście, możliwe, że wpadł tam jeszcze

tamtego dnia, kiedy Bill zalewał robaka, ale nie bardzo miałyby to sens. Musieliby zjechać na dół dwoma samochodami. A poza tym przyszło mi do głowy, że pani K. i Muriel Chess wyjechały razem, tyle że Muriel także własnym samochodem. Ale cokolwiek była warta ta hipoteza, to fakty, które później odkryłem, bezapelacyjnie ją obaliły. Ponieważ Muriel Chess nigdzie nie wyjechała. Jej podróż skończyła się w pańskim prywatnym jeziorze. Właśnie dzisiaj jej ciało wypłynęło na powierzchnię. Akurat przy tym byłem.

– Dobry Boże! – w głosie Kingsleya zabrzmiała wręcz zgroza. – Chce pan powiedzieć, że się utopiła?!

– To możliwe. Tę jej pożegnalną notkę można by też zinterpretować jako ostatnie przesłanie samobójczyni. Czyli że da się ją czytać i tak, i tak. Co do ciała, to utknęło pod tą zatopioną dawną przystanią, którą widać z pomostu. To właśnie z niego Bill wypatrzył poprzez wodę falującą rękę. Wydostał ciało z wody, a potem biedaka aresztowali. Jest mocno załamany.

– Dobry Boże! – powtórzył Kingsley. – Wcale mu się nie dziwię. A czy naprawdę wygląda na to, że...

Przerwał mu głos telefonistki, która domagała się następnych czterdziestu pięciu centów. Wrzuciłem pięćdziesiątkę i przywróciła połączenie.

– Czy na co wygląda, panie Kingsley?...

Nie wiedzieć czemu, tym razem jego głos dotarł do mnie bardzo wyraźnie:

– Na to, że Bill ją zamordował?

Powiedziałem:

– Nawet bardzo. Jim Patton, ten z miejscowej policji, zwrócił uwagę, że na pożegnalnym liściku nie było daty. Bardzo mu się to nie spodobało, ponieważ zdaje się, że już przedtem Muriel rzuciła Chessa, bo zadał się z jakąś babką. Więc Patton wykoncypował sobie, że Bill zachował kartkę, którą zostawiła przy tamtej okazji. W każdym razie zabrali go do San Bernardino na przesłuchanie, a ciało zawieźli do kostnicy. Na sekcję zwłok.

– A pan co o tym myśli? – zapytał z wahaniem w głosie.

– No cóż, to on sam wypatrzył ciało. A przecież nie musiał mnie tam prowadzić, prawda? Mogłaby się moczyć w tej wodzie dużo, dużo dłużej albo i do końca świata. Poza tym ta kartka może wyglądać na dawniej napisaną niż w rzeczywistości, bo Chess nosił ją przez cały czas w portfelu i chętnie pokazywał różnym ludziom, żeby się nad sobą rozczulać. A co do daty, to równie dobrze mogła jej nie odnotować miesiąc temu, co i poprzednim razem. Zresztą w ogóle myślę, że w takich listach częściej brak daty niż jest. Ich autorzy piszą je raczej pośpiesznie i nie mają wtedy głowy do dat.

– Ciało musi być już w bardzo złym stanie, prawda? Co może dać im teraz sekcja zwłok?

– Nie wiem, jak jest wyposażone ich laboratorium. Ale powinni przynajmniej stwierdzić, czy przyczyną śmierci było utonięcie. No i czy zostały na ciele jakieś ślady przemocy, których nie zatarła woda i proces rozkładu. Nie uszłoby też ich uwagi, gdyby została na przykład zastrzelona albo zakłuta nożem. Czy uduszona, jeśli natrafią na uszkodzony gnyk. A jeśli chodzi o nasze sprawy, to muszę panu powiedzieć, dlaczego w ogóle znalazłem się w San Bernardino. Mam obowiązek złożenia zeznań.

– To niedobrze – zmartwił się Kingsley. – Bardzo niedobrze. Co wobec tego pan zamierza?

– W powrotnej drodze zajrzę do hotelu „Prescott” i spróbuję tam coś znaleźć. Czy pańska żona była zaprzyjaźniona z Muriel Chess?

– Zapewne tak. Crystal jest najczęściej w stanie, w którym łatwo zawiera przyjaźnie. Co do mnie, to nie mogę powiedzieć, żebym znał Muriel Chess.

– A czy poznał pan kiedykolwiek kobietę o nazwisku Mildred Haviland?

– Jak?

Powtórzyłem nazwisko.

– Nie – powiedział Kingsley. – A powinienem był ją poznać?

– Jezu! – stęknąłem. – Co panu zadam jakieś pytanie, to odpowiada mi pan innym pytaniem. Ale dobrze. Nie było żadnego powodu, żeby pan miał poznać Mildred Haviland. Zwłaszcza jeśli nie znał pan Muriel Chess. Zadzwoń do pana rano.

– Bardzo proszę – odparł, po czym zawahał się na moment i dorzucił: – Przykro mi, że przeze mnie wplątał się pan w to wszystko.

Znowu się zawahał, ale w końcu poprzestał na życzeniu dobrej nocy i rozłączyliśmy się.

Natychmiast jednak zadzwieczał dzwonek telefonu, a panienska z centrali międzymiastowej suchym tonem poinformowała mnie, że włożyłem do otworu automatu o pięć centów za dużo, na co ja ze swej strony poinformowałem ją, co jeszcze miałbym ochotę tam włożyć, gdyby to było możliwe.

Nie bardzo jej się to spodobało.

Wydostałem się z budki i odetchnąłem wreszcie świeżym powietrzem. Ścieżkę wychodzącą na szosę pomiędzy dwoma słupkami ogrodzenia zagradzała mi ta sama oswojona łania ze skórzaną obrozą na szyi. Spróbowałem ją odepchnąć, ale nie dałem rady. Po prostu przytuliła się do mnie i ani myślała ustąpić z drogi. Więc w końcu przeskoczyłem przez płot,

wróciłem do mojego chryslera i ruszyłem z powrotem do miasteczka.

W biurze Pattona wprawdzie paliło się światło, ale w środku nikogo nie było, a za szybą wejściowych drzwi wciąż tkwiła jego wywieszka „Wracam za dwadzieścia minut”.

Pojechałem więc dalej, obok przystani, aż poza skraj opustoszałej plaży. Na jedwabście gładkiej tafli jeziora wciąż jeszcze warkotało parę krążących bez celu łódek, podczas gdy z przeciwnego brzegu, we wnętrzach chatynek wyglądających jak przyczepione do stoków wzgórz domki dla lalek, zaczęły już pomrukiwać lampy. Na północnym wschodzie, nisko ponad poszarpaną linią górskich szczytów błyszczała samotna, jasna gwiazda. Na samym czubku trzydziestoparometrowej sosny przycupnął wędrowny drozd, który pewnie czekał niecierpliwie, aż zapadnie zmrok i będzie mógł wreszcie rozpocząć swoją piosnkę na dobranoc.

Nie musiał długo czekać, i w rzeczy samej zaśpiewał, a śpiewając – stapał się powoli z czerniejącym, niezgłębionym niebem.

Pstryknięciem palców posłałem niedopałek papierosa w stronę znieruchomiałej wody, zatrzasnąłem drzwiczki i raz jeszcze skierowałem chryslera na drogę prowadzącą do Jeziora Małego Jelonka.

ROZDZIAŁ 11

TYM RAZEM bariery zagradzającej prywatną drogę strzegła przed otwarciem kłódka. Wprowadziłem chryslera pomiędzy dwie sosny, po czym wspiąwszy się, przedostałem się przez barierę na drugą stronę i podreptałem poboczem drogi aż do miejsca, w którym nagle rozblysnęło pod moimi stopami jezioro.

W chatce Billa Chessa było ciemno. Trzy pozostałe domki na przeciwległym brzegu stanowiły ciemne kontury na tle szarych granitowych bloków.

W miejscu, w który woda przelewała się przez tamę, spływał niemal bezgłośnie po jej ścianie pokryty białawą pianą strumień, który rozpryskiwał się na dole o powierzchnię jeziora.

Nasłuchiwałem przez chwilę, ale nie dobiegł moich uszu żaden dźwięk.

Frontowe drzwi chaty Chessa były zamknięte. Okrążyłem ją, żeby dostać się do środka od tyłu, ale i tam wstępu broniła solidna kłódka. Zacząłem się więc przesuwać wzdłuż ścian, sprawdzając po kolei szczelność drewnianych okiennic. Wszystkie były zaryglowane. Nawet pozbawione okiennic małe okienko umieszczone w połowie wysokości północnej ściany też wyglądało na zamknięte.

Zakończyłem ten obchód i zatrzymałem się, ponownie nasłuchując. Nie doszedł mnie nawet najlżejszy podmuch wiatru, toteż zarówno sosny, jak i ich cienie, były zupełnie nieruchome.

Spróbowałem wcisnąć ostrze mojego podręcznego scyzoryka pomiędzy dwie połówki małego okienka. Nic z tego: zapadka ani drgnęła. Lecz jeszcze nie rezygnowałem. Oparty plecami o ścianę zastanawiałem się przez chwilę nad jakimś skutecznym trikiem, aż nagle przyszło mi do głowy podnieść z ziemi spory kamień i wałnąć nim z całej siły w zbiegające się pośrodku ramy dwóch okiennych połówek. Siła tego uderzenia wyrwała okucie zapadki z suchego drewna, które wydało z siebie bolesne skrzypnięcie, po czym okienko rozchyliło się w stronę mrocznego wnętrza. Podciągnąłem się na rękach, przełożyłem nogę przez parapet i stoczyłem się do środka. Przeturlało mnie parę razy po podłodze, ale dopiąłem przecież swego. Wysapałem się trochę po tych akrobacjach w rzadkim górskim powietrzu i raz jeszcze

zamieniłem się w słuch.

Raptem oślepiło mnie światło bijącej mi prosto w oczy latarki.

A w chwilę potem bardzo spokojny męski głos udzielił mi rady:

– Na twoim miejscu, synu, nie ruszałbym się i chwilę bym odpoczął. Musiałeś nieźle się zmęczyć.

W świetle latarki czułem się jak przyszpilona do ściany mucha.

Po chwili rozległ się delikatny trzask przełącznika i rozbłysła stojąca na małym stoliku lampa. Ale dopiero gdy zgasła latarka, ukazał się moim oczom Jim Patton, wygodnie usadowiony w przysuniętym do stolika starym fotelu z brązowym obiciem. Z jego potężnym kolanem stykał się brązowy obrusik, który spływał z krawędzi stolika. Ubrany był jak po południu, z dodatkiem skórzanej kamizelki, która pewnie już nawet nie pamiętała zamierzchłych czasów swej nowości. W rękach trzymał tylko latarkę, a w jego oczach niczego nie potrafiłem się dopatrzeć. Jediną oznakę życia stanowiły monotonne ruchy jego szczęk, które regularnie przeżuwały tytoń.

– Co cię tu sprowadza, synu? – spytał. – To znaczy, oprócz niepowstrzymanej ochoty na małe włamanie.

Spostrzegłem w pobliżu krzesło, więc przyciągnąłem je do siebie i opierając się na nim, podźwignąłem się jakoś na nogi, rozglądając się przy tym po pokoju.

– Wpadła mi do głowy pewna myśl – wyjaśniłem mętnie. – Z początku wyglądała na całkiem dobrą, ale teraz coś mi się zdaje, że przyjdzie mi o niej zapomnieć.

Wnętrze chaty okazało się obszerniejsze, niż można było przypuszczać, patrząc na nią zewnątrz. Domyśliłem się, że jestem w największym pokoju, który pełnił rolę salonu. Znajdowało się w nim parę skromnych mebelków, na podłodze z sosnowych desek leżał wystrzępiony dywan, pod tylną ścianą stolik, a przy nim dwa fotele. Przez otwarte drzwi dostrzegłem dużą ciemną kuchnię.

Patton aprobująco skinął głową, a we wzroku, jakim na mnie patrzył, nie widać było zagniewania.

– Jak tylko usłyszałem samochód – powiedział – od razu wiedziałem, że jedzie właśnie tutaj. Ale muszę przyznać, że zachowałeś się całkiem sprytnie. Nic nie słyszałem, jak się podkradasz. Ale twoja osoba, synu, zaczęła mnie trochę ciekawić.

Oszczędziłem sobie komentarza.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym mówił do ciebie „synu”, co? – kontynuował Patton. – Ja wiem, że nie powinienem sobie pozwalać na taką poufałość, ale tak mi to jakoś weszło w nawyk, że chyba nigdy się już tego nie oduczę. Każdy, kto nie ma

długiej siwej brody i nie cierpi jeszcze na artretyzm, to dla mnie „syn”, i nic na to nie poradzę.

Pozwoliłem mu zwracać się do mnie, jak tylko sobie życzy, i zapewniłem go, że nie jestem w takich sprawach przewrażliwiony.

Wykrzywił twarz w lekkim uśmiešku i powiedział:

– W książce telefonicznej Los Angeles roi się od prywatnych detektywów, ale tylko jeden ma na nazwisko Marlowe.

– Co pana skłoniło do przeszukania książki telefonicznej?

– Och, można by to pewnie nazwać grzeszną ciekawością. A pobudził ją jeszcze Bill Chess, kiedy mi powiedział, że jesteś czymś w rodzaju gliny. Bo sam nie przyznałeś się do tego.

– Powiedziałbym to panu prędzej czy później – odparłem. – W każdym razie przepraszam, że musiał pan tracić czas.

– Żadna strata. A poza tym nie jestem drażliwy – uspokoił mnie pobłażliwie. – Ale może masz przy sobie jakiś świstek?

Więc wyjąłem z kieszeni portfel i pokazałem mu, co trzeba. To go zadowoliło.

– No, to widzę, że jesteś dobrze przygotowany do tej roboty. W dodatku wiesz, jak nie dać po sobie poznać, co ci chodzi po głowie. Ale przypuszczam, że chyba namierzałeś się na jakąś małą rewizję, co?

– Nie zaprzeczę.

– Ja sam już przepatrzyłem to i owo. Przyjechałem tu prosto z posterunku. Po drodze tylko na minutkę wstąpiłem do swojej nory. Ale coś mi się nie zdaje, że bym i tobie miał pozwolić na takie wścibstwo.

Podrapał się w ucho, po czym dorzucił:

– Chociaż tak szczerze mówiąc, to jeszcze nie wiem, co względem tego postanowić. Może bym się nawet w końcu zdecydował, jak byś mi na przykład powiedział, dla kogo pracujesz.

– Dla Derace’a Kingsleya. Chce, że bym odszukał jego żonę. Zmyła się z jego życia miesiąc temu. A że ruszyła w nieznaną właśnie stąd, więc i ja stąd zacząłem. Jest taka możliwość, że wyjechała w towarzystwie pewnego mężczyzny. On temu zaprzeczył. Więc pomyślałem sobie, że może tutaj wpadnę na jakiś trop.

– I wpadłeś?

– Nie. Mam pewność tylko co do tego, że pojechała stąd do San Bernardino, a potem jeszcze wypłynęła na powierzchnię w El Paso. Tam ślad się na dobre urwał. Ale dopiero zabrałem się do tej sprawy.

Patton wstał i podszedł do drzwi chaty. Kiedy je otworzył, do środka napłynął żywiczny aromat sosnowych szyszek. On tymczasem splunął przez próg, wrócił na fotel i uchylając nieco swojego sfatygowanego stetsona, przegarnął myszowatą czuprynę.

Przez ten krótki moment jego odkryta głowa nabrała nieprzyzwoitego niemal wyglądu, jaki cechuje wszystkie odsłonięte męskie głowy, które tylko z rzadka pokazują się bez kapelusza.

– Czyli że nie interesowałeś się Billem Chessem?

– Ani trochę.

– Zdaje się, że tacy faceci jak ty mają masę zajęcia przy rozwodach – zauważył. – Na mój gust to niezbyt czysta robota.

Puściłem to mimo uszu.

– Kingsley nie chciałby pewnie, żeby policja zajęła się szukaniem jego żony. Mam rację?

– Owszem – przyznałem. – Za dobrze wie, na co stać jego żonę.

– Nic z tego, co mi tak szczerze tu opowiedziałeś, nie wyjaśnia, dlaczego chciałeś przeszukać chatę Chessa – rozsądnie zauważył Patton.

– Taki już mam po prostu ciekawski charakter – odparłem.

– Chrzań się z taką odpowiedzią, synu – powiedział na to. – Wiem, że stać cię na lepszą.

– Dobra, niech panu będzie. Powiedzmy, że jednak zainteresowałem się Billem Chessem. Ale tylko dlatego że wpadł w takie szambo i znalazł się w dość żalonym położeniu. Mimo że z niego raczej mało sympatyczny typek. Jeżeli jednak zamordował swoją żonę, to jest parę rzeczy, które by za tym przemawiały. Ale jeżeli tego nie zrobił, to też jest parę rzeczy, które by świadczyły na jego korzyść.

Przechylił na bok głowę niby zaciekawiony czymś ptak.

– Jakiego rodzaju rzeczy na przykład?

– Na przykład ciuchy, babskie błyskotki, kosmetyki i te różności, co je zabiera ze sobą każda kobieta, która wynosi się z domu i nie zamierza do niego wrócić.

Powoli podniósł głowę.

– Tylko że ona się przecież nigdzie nie wyniosła, synu.

– W takim razie to wszystko powinno było zostać na swoim miejscu. A gdyby wszystko zostało na swoim miejscu, to Bill by to zauważył. A więc powinien był się domyślić, że wcale go nie zostawiła na zawsze.

– Niech to diabli – wyznał Patton. – Z której strony by na to spojrzeć, to widok wcale

mi się nie podoba.

– A jeśli przyjąć, że ją zamordował, to powinien był się pozbyć wszystkich tych rzeczy i stworzyć pozory, że spakowała swoje manatki i wyjechała w nieznane.

Żółte światło lampy nadawało jednej stronie jego twarzy kolor brązu.

– A jak mógłby to twoim zdaniem zrobić?

– Z tego, co wiem, to Muriel miała swojego własnego forda. Gdyby nie to, wyobrażałbym sobie, że spalił wszystko, co nadawało się do spalenia, a resztę zakopał gdzieś w lesie, bo jezioro byłoby jednak dość ryzykownym schowkiem. Tylko że nie mógłby ani spalić, ani zakopać forda. Zresztą nie wiem, czy w ogóle dałby radę go prowadzić.

Patton spojrział na mnie ze szczerym zdziwieniem.

– Pewnie że tak. Nie może zgiąć prawej nogi, więc miałby kłopoty z pedałem hamulca, ale poradziłby sobie jakoś z samym ręcznym. Wszystko, co musiał zmienić w swoim własnym fordzie, to pozycja pedału hamulca. Przeszawił go w lewo, tak żeby móc jedną stopą wciskać i sprzęgło, i hamulec.

Strząsnąłem popiół z papierosa do małego niebieskiego dzbanuszka, w którym, sądząc z pozłacanej winietki, mieściło się niegdyś pół funta pomarańczowego miodu, i ciągnąłem swoje:

– Jak pozbyć się samochodu, to właśnie byłby dla niego największy problem. Po pierwsze, gdziekolwiek by go zostawił, musiałby potem wrócić stamtąd do siebie. I oczywiście wolałby, żeby nikt nie widział go, jak kuśtyka pod górę. A po drugie, gdyby go na przykład porzucił na pierwszej lepszej ulicy w San Bernardino, to prędzej czy później zainteresowałaby się nim policja, która szybko zidentyfikowałaby właścicielkę. Tego, rzecz jasna, też by nie chciał. Najchytrzej byłoby prehandlować go jakiemuś złodziejskiemu sprzedawcy używanych samochodów, ale Chess pewnie nikogo takiego nie znał. Więc jeśli już, to najprawdopodobniejsze byłoby to, że ukrył go gdzieś w lesie, i to w takiej odległości, żeby dał radę pieszo wrócić do domu – co w jego przypadku raczej nie oznacza szczególnie dalekiego miejsca.

– Cholernie dużo się nad tym nadumałeś, synu. Zwłaszcza jak na faceta, którego to nic nie obchodzi – powiedział kostycznie. – Ale dobra. Więc samochód mamy już zamelinowany w lesie. Co teraz?

– Teraz Chess musi się liczyć z możliwością, że ktoś na niego przypadkiem natrafi. W tych lasach nikt nie mieszka, ale przecież od czasu do czasu kręcą się po nich strażnicy i drwale. Jeśli go ktoś znajdzie, to znajdzie też w środku rzeczy Muriel, a to by już Chessowi stwarzało dwie względne możliwości wyłgania się z całej sprawy. Może nie bardzo pewne,

ale zawsze jakieś. Pierwszą, że zamordował ją jakiś włóczęga, który z rozmysłem zostawił w spokoju jej rzeczy, żeby w razie odkrycia zwłok podejrzenie padło na męża. Drugą, że starałby się przeforsować wersję samobójstwa z zemsty, które Muriel niby tak sprytnie sobie zaplanowała, żeby jego oskarżono o zabójstwo.

Patton przemyślał sobie to wszystko niespiesznie, za to bardzo dokładnie. Potem podszedł się do drzwi, żeby opróżnić jamę ustną, wrócił na fotel i przegarnął sobie w zamyśleniu czuprynę. Przez cały ten czas przyglądał mi się jednak z wyraźnie sceptyczną miną.

– Ta pierwsza możliwość w jakimś stopniu wchodzi w grę – przyznał w końcu. – Ale tylko w jakimś stopniu. A poza tym nie przychodzi mi do głowy nikt, kogo mógłbym wysłać na przeszukiwanie lasów. Tak czy inaczej pozostaje jeszcze ten drobny problem pożegnalnej kartki.

Potrząsnąłem głową.

– Załóżmy, że Chess nosił ze sobą kartkę z pierwszego rozstania. Załóżmy, że spodziewał się następnego razu, ale już bez słowa pożegnania. I że kiedy minął miesiąc, a Muriel nie dała znaku życia, zaczął się aż tak niepokoić i zamartwiać, że zdecydował się tę kartkę pokazywać ludziom, myśląc, że w razie gdyby ją spotkało coś złego, to mógłby się na to powołać w obronie przed ewentualnym osądzeniem. Nikomu się z tym nie zdradził, ale mógł tak właśnie kombinować.

Patton pokręcił głową. Najwyraźniej nie bardzo go przekonał ten wywód. Tak samo zresztą jak i mnie. Powiedział z zastanowieniem w głosie:

– A co do tej twojej drugiej teorii, to to już czysta nedorzeczność. Odebrać sobie życie, a przedtem tak wszystko zorganizować, żeby ktoś został oskarżony o morderstwo – to naprawdę ani trochę nie pasuje do pojęcia, jakie ma o ludzkiej naturze taki prosty człowiek jak ja.

– A zatem pańskie pojęcie o ludzkiej naturze jest zanadto uproszczone – odparłem. – Ponieważ takie przypadki już się zdarzały. I w dodatku niemal za każdym razem autorką takiego perfidnego planu była kobieta.

– Nie kupuję tego, synu. Mam pięćdziesiąt siedem lat i spotkałem w życiu całą masę pokręconych ludzi, ale to, co mi tu wciskasz, to zwyczajny kit. Na co bym się gotów zgodzić, to na taką wersję, że ona rzeczywiście planuje ucieczkę i naprawdę pisze tych parę słów, ale on ją przyłapuje, zanim zdążyła się na dobre zmyć, więc wpada w szal i ją morduje. A potem rzeczywiście robi wszystko to, cośmy już przegadali.

– Nigdy się z nią nie spotkałem – przyznałem. – Więc nie mam najmniejszego pojęcia,

na co byłoby ją stać w takiej sytuacji. Bill powiedział mi, że poznał ją ponad rok temu w jakiejś knajpce w Riverside. Do tamtej pory mogły się jej przydarzyć w życiu najróżniejsze i najbardziej poplątane rzeczy. Niech mi pan powie, jaka ona była?

– Bardzo przyjemna blondyneczka, pod warunkiem że akurat o siebie zadbała. Z Billem to było niby skok na głowę do basenu, w którym nie wiadomo, ile jest wody. Na oko spokojna i wyciszona babka, z twarzyczką, po której trudno się domyśleć, co kryje. Bill bez przerwy gadał o jej łatwopalnym temperamencie, ale w mojej obecności nigdy się to po niej nie pokazało. Za to Bóg wie, ile razy widziałem, jaki on potrafi być, kiedy wpadnie w szal.

– A przyszło panu do głowy, że podobna była do zdjęcia tej całej Mildred Haviland?

Jego szczęki nagle znieruchomiały, a usta zacisnęły się tak mocno, że przybrały kształt cienkiej kreski. Dopiero po długiej chwili na nowo zajął się tytoniem.

– Chłopie! – powiedział. – Zanim położę się dziś spać, to chyba najpierw zajrzę pod łóżko. Rozumiesz. Żeby sprawdzić, czyś się tam przypadkiem nie wślizgnął. Kurczę! Jakim sposobem wywiedziałeś się o Mildred Haviland?!

– Powiedziała mi o niej pewna miła, filigranowa panienska. Niejaka Birdie Keppel. Po godzinach jest reporterką tutejszej gazetki i namówiła mnie na wywiad. Więc trochę sobie pogadaliśmy i raptem jakoś pojawiło się w tej pogawędce nazwisko tego gliniarza z Los Angeles o nazwisku De Soto. Tego, co to podsuwał wszystkim przed oczy jakąś tam fotografię.

Patton walnął dłonią po potężnym kolanie i jakby mu raptem opadły barczyste ramiona.

– Tak – przyznał z niewesołą miną. – W tej sprawie się nie popisałem. To jedna z tych głupich pomyłek, które mi się od czasu do czasu zdarzają. Ten cholerny byczek z zakazaną gębą zdążył pokazać tę fotkę chyba wszystkim tutejszym ludziom, zanim w końcu i ja mogłem na nią rzucić okiem. I teraz mnie to gnębi. Ona rzeczywiście trochę przypominała Muriel, ale nie aż tak, żeby to nie budziło wątpliwości. Spytałem go nawet, za co jest poszukiwana, ale mi odpowiedział, że to tajemnica śledztwa. Więc przypomniałem mu, że chociaż może nie dorastam do pięć bystrzakom z Los Angeles, to pracuję w tej samej branży, ale on i na to miał odpowiedź. Że po prostu dostał polecenie odszukania tej pani, nic więcej mu w tej sprawie nie powiedzieli. Pewnie, że popełnił błąd, kiedy próbował mnie tak zbyć. Ale z kolei ja też zdaje się popełniłem błąd, bo powiedziałem mu, że nie znam nikogo, kto by przypominał tę babkę z jego fotografii.

Na rozległej, zwykle niewzruszonej twarzy Pattona pojawił się skąpy, jakby nieco zażenowany uśmiech. Najpierw potoczył wzrokiem po ścianie, a potem z nagłą determinacją

spojrzał mi prosto w oczy.

– Będę wdzięczny, jeśli zechce pan to zachować dla siebie, panie Marlowe. A ponieważ dobrze pan rozumuje i wiele zauważa, to coś panu podsunę. Zna pan Jezioro Szopa?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– O jakąś milę stąd – wskazał kciukiem za siebie – zaczyna się taka wąska droga, co idzie na zachód. Jak pan na nią wjedzie, to wystarczy po prostu omijać drzewa. Przez następną milę podchodzi w górę o sto kilkadziesiąt metrów i wpada prosto na Jezioro Szopa. Raczej małe ładne jeziorko. Od czasu do czasu ktoś się tam wybierze na piknik, ale rzadko. Szkoda im opon, rozumie pan. To właściwie jakby dwa czy trzy płytkie oczka wodne, a w dodatku zarośnięte trzciną. Nawet teraz w zacienionych miejscach leży tam jeszcze śnieg. Znajdzie pan tam parę byle jak zbitych chałupek, co to odkąd pamiętam, popadają w ruinę, a obok nich coś w rodzaju wielkiej stodoły. Ona też się już rozpada, ale kiedyś, jeszcze jakieś dziesięć lat temu, służyła za schronienie dzieciakom z uniwersytetu Montclair w czasie letnich obozów. Teraz o niej zapomnieli. Ta niby stodoła oddzielona jest od brzegów gęstym lasem. Za nią jest łaźnia ze starożytnym bojlerem, a obok wielka szopa z wierzejami na rolkach. Z początku miał to być garaż, ale w końcu trzymali tam tylko drewno na opał. Po sezonie zamykali to na kłódkę. W tej okolicy nie brak amatorów cudzego drewna, ale skoro mogą je kraść ze sterty, to nikt nie fatygowałby się włamywaniem. Dopiero przyszło mi to do głowy, i zgadnij synu, co znalazłem w środku.

– Myślałem, że pan pojechał do San Bernardino?!

– Ano, po drodze zmieniłem zdanie. Jakoś mi nie pasowało wieźć ze sobą Billa, kiedy na tylnym siedzeniu leżał trup jego żony, więc jednak wezwałem ambulans doktora, żeby przetransportował ciało, a Billa wysłałem z Andym. Po prostu raptem przyszło mi do głowy, żeby dokładniej rozejrzeć się po okolicy, zanim oddam całą sprawę w ręce szeryfa i koronera.

– I znalazł pan w tej szopie samochód pani Chess, tak?

– Trafiłeś w dziesiątkę, synu. A w samochodzie dwie walizy. Nie były zamknięte na kluczyki, więc do nich zajrzałem. I tak jak myślałem, były wypchane ciuchami. Babskimi ciuchami. Ktoś, kto je pakował, musiał to robić w strasznym pośpiechu. Ale teraz niech pan pokombinuje, co w tym wszystkim było najważniejsze. Otóż to, że o tym miejscu mógł wiedzieć tylko ktoś tutejszy.

Rzecz jasna, przyznałem mu rację, a wtedy sięgnął do jednej z ukośnych kieszeni swojej sfatygowanej skórzanej kamizelki i wydobył z niej małe papierowe zawiniątko. To była chusteczka do nosa. Rozpostarł ją na dłoni i wyciągnął rękę w moją stronę.

– Popatrz sobie na to, synu – zachęcił.

Więc podszedłem i popatrzyłem. W zagłębieniu chusteczki spoczywał cienki złoty łańcuszek, a obok niego maleńki zameczek, nie większy od pojedynczego ogniwa. Zameczek wyglądał na nietknięty, ale łańcuszek był rozerwany. Miał jakieś piętnaście centymetrów długości. A oba te cacuszka pokrywał jakiś biały proszek, którym zresztą zasypana była cała chusteczka.

– Jak myślisz, synu? Gdzie to mogłem znaleźć?

Ująłem palcami łańcuszek i spróbowałem spiąć ze sobą końce. Bezskutecznie. Oszczędziłem sobie komentarza, za to zwilżyłem palec, dotknąłem nim białego proszku, a następnie przyłożyłem do języka.

– To leżało w blaszanej puszcze albo w pudełku po cukrze pudrze – zawyrokowałem. – Taki łańcuszek kobiety noszą wokół kostki. Niektóre w ogóle go nie zdejmują, podobnie jak ślubnej obrączki z palca. Kimkolwiek była osoba, która go rozerwała, to jedno jest pewne. Że nie miała do tego kluczyka.

I wskazałem na zameczek.

– Co ci to mówi? – zapytał Patton.

– Niewiele – odparłem. – Bill postąpiłby zupełnie bez sensu, gdyby zerwał ten łańcuszek z kostki Muriel, a zostawił w spokoju naszyjnik z zielonych kamieni. Równie bezsensownie postąpiłaby Muriel, gdyby sama go rozerwała, bo na przykład zgubiła kluczyk, i schowała go tutaj, ryzykując, że ktoś go znajdzie. Poza tym, żeby go znaleźć, trzeba by było dokładnie przeszukać tę budę, a na to konieczny byłby spokój. Ten poszukiwacz mógł liczyć na taki spokój tylko po śmierci Muriel Chess. Gdyby to Bill zerwał z jej nogi ten łańcuszek, to by go po prostu cisnął do jeziora. To, że znalazł pan te cacka właśnie tutaj, da się wytłumaczyć tylko na jeden sposób. Że Muriel chciała je zachować, ale w tajemnicy przed Billem.

Tym razem Patton nie zdołał ukryć zdumienia.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo to typowo kobieca skrytka. Do czego służy cukier puder? Do robienia polewy na ciasto. Po jaką cholere mężczyznę miałby zaglądać do pojemnika? A swoją drogą sprytny pan jest, szeryfie, skoro pan to znalazł.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, w którym zadowolenie mieszało się ze skromnością.

– Ale tam, kurczę. Po prostu potknąłem się o to pudełko, no to więc spojrzałem na ten cukier, co się z niego wysypał, nie? Bez tego nie wiem, czy bym go znalazł – wyjaśnił z

rozbrajającą szczerością, składając chusteczkę i wsuwając ją z powrotem do kieszeni.

Po czym wstał z miną człowieka, który definitywnie zamyka zebranie.

– Zostaje pan tutaj, panie Marlowe? – zapytał. – Czy może zjeżdża pan do miasteczka?

– Zjadę na dół – odparłem. – Zostanę tam, dopóki nie wezwiecie mnie na przesłuchanie. Bo pewnie wezwiecie, prawda?

– To już sprawa koronera, synu. A jeśli o mnie chodzi, to gdybyś zechciał przymknąć to okno, przez które tu wpadłeś, to zgasiłbym tę lampę i zamknął wszystko jak było.

Zrobiłem, o co prosił, a on znowu zapalił latarkę i wyłączył lampę na stoliku.

Wyszliśmy na ganek. Patton upewnił się jeszcze, że zamek w drzwiach zaskoczył, pieczołowicie podociskał okiennice, a potem zapatrzył się na oblane blaskiem księżyca jezioro.

– Nie bardzo mi się jakoś widzi, żeby Bill chciał ją zabić – powiedział po chwili z odcieniem smutku w głosie. – Mógł ją udusić na śmierć, nie mając takiego zamiaru. W końcu dobrze wiem, jakie miał cholernie mocne ręce. A jak by już to zrobił, to pewnie, że puściłby w ruch cały mózdzek, jaki dał mu Pan Bóg, żeby to jakoś zamotać. I rzecz jasna, że mnie to mocno kopnęło, ale to się przecież nie liczy. Są fakty i są takie a nie inne możliwości. A że wygląda to na zbyt proste i oczywiste? Tak się składa, że to, co proste i oczywiste, najczęściej na końcu okazuje się prawdziwe.

Powiedziałem:

– Zastanawiałem się tylko, dlaczego stąd nie uciekł? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, jak po czymś takim zwyczajnie tu sobie z dnia na dzień żyje.

Na co Patton splunął potężnie w stronę pobliskiego krzewu manzanity i po swojemu niespiesznie formułując zdania, powiedział:

– Jak by uciekł, to musiałby też uciec od swojej rządowej renty. Trzeba na niego patrzeć jak na większość facetów, co nie potrafią stawić czoła temu, przed czym im przyszło stanąć. Nie tylko to zadupie, ale cały ten świat pełen jest teraz takich mięczaków. No i co z tym począć? Nic. Więc ty się przynajmniej dobrze wyśpij, synu. Ja jeszcze sobie wrócę na ten pieprzony pomost i jeszcze tam trochę postoję i sobie gorzko podumam przy księżycu.

A po chwili dorzucił:

– Psia mać! Taka noc, a człowiek musi obracać we łbie jakieś chrzanione morderstwo!

Patrzyłem, jak się cicho oddala, jak stopniowo stapia się z cieniami nocy, aż w końcu sam staje się już tylko jednym z nich.

Stałem tak bez ruchu, dopóki ostatecznie nie zniknął mi z oczu. Dopiero wtedy zacząłem się wspinać z powrotem ku zbitej z sosnowych drągów barierze. Znowu przez nią

przełazłem, wsiadłem do samochodu i uruchomiłem silnik.

Powoli zjeżdżałem do miasteczka, przez całą drogę wypatrując miejsca, które mogłyby mi posłużyć za dobrą kryjówkę.

ROZDZIAŁ 12

TRZYSTA METRÓW za barierą oddzielała się od drogi zasypana zbrązowiałymi ubiegłej jesieni liśćmi dębów wąska dróżka, która okrążała wielki granitowy głaz, po czym znikła wśród drzew. Wjechałem na nią. Po kilkunastu metrach podskakiwania na skalnych odłamkach zawróciłem, okrążając odseparowaną nieco od pozostałych sosnę i ustawiłem chryslera maską w kierunku drogi. Zgasilem światła, wyłączyłem silnik i nie wysiadając z samochodu – czekałem.

Zeszła mi na tym czekaniu mniej więcej godzina, ale bez możliwości zapalenia papierosa czas mi się cholernie dłużył. Wreszcie dotarł do mych uszu odgłos uruchamianego silnika. Niewidoczny jeszcze samochód ruszył, warkot silnika zaczął się stopniowo przybliżać, aż w końcu drogę pode mną rozjaśniła jaskrawa smuga, która poprzedzała przejeżdżające auto. Odgłos silnika oddalał się i cichł, lecz nad drogą pozostał rzadki obłoczek wzbitego przez koła kurzu.

Mogłem nareszcie wsiąść. Wróciłem do bariery, przelazłem przez nią i po paru minutach znowu znalazłem się pod północną ścianą chaty Billa Chessa. Tym razem wystarczyło zwykłe pchnięcie, żeby okienko zapraszająco się przede mną rozchyliło. Więc jeszcze raz wspiąłem się na rękach i pokonawszy parapet, stoczyłem się na podłogę. Tym razem jednak mogłem się już posłużyć latarką, którą zabrałem z samochodu. Przy jej pomocy wyłowilem z ciemności stolik, nacisnąłem przełącznik i po chwili czujnego wsłuchiwania się w ciszę udałem się do kuchni, gdzie zapaliłem lampę zwisającą nad zlewem.

Drewniana skrzynia obok kuchenki wypełniona była po brzegi równo poukładanymi szczapami narąbanego drewna. W zlewie żadnych brudnych talerzy, na kuchence żadnych niedomytych garnków. Bill Chess, nawet porzucony i samotny, dbał o to, żeby w jego domu panował porządek.

Otwarte drzwi kuchni prowadziły do sypialni. Kolejne, bardzo wąskie, do mikroskopijnej łazienki, w którą najwyraźniej chatka została wyposażona stosunkowo niedawno. Świadczyła o tym chociażby plastikowa wykładzina.

Nie znalazłem tu nic ciekawego, więc wróciłem do sypialni.

Podwójne łóżko, toaletka z sosnowego drewna, nad nią przymocowane do ściany okrągłe lustro, komoda, dwa krzesła z prostymi oparciami i blaszany kosz na śmieci. Po obu stronach łóżka owalne, ręcznie tkane dywaniki. Na ścianach przymocowane pineskami mapy przedstawiające poszczególne teatry światowej wojny, które Bill Chess wyciął z *National Geographic*. Jediną wyróżniającą się w tym pokoju rzeczą była ozdobiona pretensjonalnymi falbankami serweta, narzucona na blat toaletki.

Zabrałem się do przeglądania zawartości szuflad. Natrafiłem na obite imitacją skóry pudełeczko z licznie zgromadzonymi ozdóbkami, jakimi panie zwykły przystrajać swoje wyjściowe suknie. Nie zabrała go ze sobą. Znajdowały się tam różne takie rzeczy, których kobiety używają do pielęgnacji twarzy, jak również oczu, paznokci, rzęs i brwi. Tylko – jak mi się wydawało – było ich trochę za dużo.

W szufladach komody było trochę odzieży, męskiej oraz damskiej, przy czym oba rodzaje raczej w niewielkich ilościach. Nic ciekawego poza tym, że wśród rzeczy Billa rzucała się w oczy krzykliwa koszula w szachownicę z usztywnionym kołnierzykiem.

W rogu jednej z szuflad natrafiłem na niebieską papierową chusteczkę, która przykrywała coś, co mi się zdecydowanie nie spodobało. Były to nowiuteńkie, ozdobione po brzegach koronką jedwabne damskie majteczki. Otóż przy obecnej modzie było wykluczone, żeby jakaś kobieta przy zdrowych zmysłach mogła zapomnieć o jedwabnych majteczkach obszytych koronką.

Świadczyło to na niekorzyść Billa Chessa, i ciekaw byłem, co o tym pomyślał Jim Patton.

Wróciłem do kuchni, żeby przepatrzeć półeczki przymocowane do ściany nad zlewem i po jego bokach. Stały na nich ciasno stłoczone pudełka, metalowe skrzyneczki i flakoniki z różnymi środkami potrzebnymi w domu. Cukier puder znalazłem w brązowym tekturowym pudełeczku z oderwanym górnym rogiem. Ślady świadczyły, że Patton próbował zgarnąć dłonią z półki to, co się z tego pudełeczka wysypało.

Obok cukru stały pojemniki na sól, boraks, sodę oczyszczoną, mąkę kukurydzianą, trzcinowy cukier i tym podobne produkty. W każdym z nich można było coś schować.

Coś, czego brakowało w tym pozłacanym łańcuszku, który ktoś rozerwał w taki sposób, że nie dało się go z powrotem złączyć.

Zamknąłem oczy i na chybił trafił wymierzyłem przed siebie wskazujący palec. Wypadło na sodę. Wydostałem ze skrzyni na opał starą gazetę, rozłożyłem ją i wysypałem na nią zawartość pudełeczka. Następnie rozgarnąłem biały proszek za pomocą łyżki. Było tego aż nieprzyzwoicie dużo, ale niczego nie znalazłem, więc zsypaną oczyszczoną sodę z

powrotem do przeznaczonego na nią pojemnika, po czym zastosowałem tę samą procedurę wobec pudełka z boraksem. Był w nim tylko boraks.

Pocieszając się myślą, że do trzech razy sztuka, zająłem się więc mąką kukurydzianą. Była świetnie zmielona na proszek, ale nie było tam niczego poza mąką kukurydzianą.

Nagle zamarłem w bezruchu: usłyszałem czyjeś kroki.

Zgasilem wiszącą lampę, potem wycofałem się do salonu i tam z kolei wyłączyłem tę, która stała na stoliku. Oczywiście o wiele za późno na to, żeby nadchodząca osoba nie zorientowała się, że ktoś jest w domu.

Kroki na chwilę się zatrzymały, po czym znowu poczęły się zbliżać. Niemal czułem, jak moje plecy zaczyna pokrywać gęsia skórka.

Czekałem, przycisniony w ciemnościach, z latarką w dłoni. Upłynęły już ze dwie minuty, podczas których nie poważylem się na żaden ruch. Powstrzymałem nawet oddech, na ile się dało.

To nie mógł być Patton, ponieważ Patton nie musiałby zachowywać takiej ostrożności. Te kroki zaś stawiano cicho, to parę w jedną, to znów parę w drugą stronę. Kroki, długa chwila ciszy, znowu kroki, znowu cisza. Podszedłem na palcach do drzwi i najdelikatniej, jak było można, nacisnąłem klamkę. A potem gwałtownie otworzyłem drzwi i strzeliłem przez próg snopem światła.

Zobaczyłem w jego kręgu dwoje pozłocistych oczu, które zaraz zniknęły, towarzyszył temu pośpieszny tupot kopyt pomiędzy drzewami. Był to tylko jakiś ciekawski jeleni.

Zamknąłem drzwi i wróciłem do kuchni, oświetlając sobie drogę latarką i w jej świetle z pojemnika na cukier puder błysnął do mnie mały, okrągły punkcik. Zapaliłem więc z powrotem górne światło, po czym wysypałem zawartość pudełka na gazetę.

A zatem Patton nie był wystarczająco skrupulatny. Kiedy znalazł coś przez przypadek, doszedł do wniosku, że to wszystko, co tam było, podczas gdy powinien był zrozumieć, że należało szukać jeszcze czegoś.

Wygrzebałem z cukru tak samo jak tamta zwiniętą papierową chustkę do nosa. Otrząsałem zawiniątko z cukru i rozwinąłem. Pośrodku chusteczki błyszczało maleńkie serduszko, nie większe niż paznokieć kobiecego małego palca.

Za pomocą łyżki zsypałem proszek do pudełka. Pudełko odstawiłem na półkę, a gazetę zgmiotłem i wrzuciłem do paleniska kuchenki, po czym wróciłem do salonu i zapaliłem lampę na stoliku. W jej świetle, choć z pewnym trudem, udało mi się bez szkła powiększającego odcyfrować wygrawerowany na odwrocie serduszka napis. Litery naśladowały odręczne pismo i składały się na dedykację: „Dla Mildred, z bezgraniczną miłością – Al. 28 czerwca

1938”.

Dla Mildred od Ala. Al jakiś tam dla Mildred Haviland. Dla Mildred Haviland, którą była Muriel Chess. Muriel Chess, która od miesiąca nie żyje. Jej ciało utknęło pod deskami przybrzeżnego pomostu, w przejrzystej wodzie Jeziora Małego Jelonka. Dwa tygodnie po tym, jak pojawił się w okolicy gliniarz o nazwisku De Soto, który bardzo starał się ją odszukać.

Stałem w kuchni Chessa z tym złotym serduszkem w ręku i próbowałem znaleźć dla niego miejsce w ciągu mojego rozumowania. Próbowałem, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Zwinąłem chusteczkę i wyszedłem z chaty, a dotarwszy z powrotem do chryslera, pojechałem do miasteczka.

Zatrzymałem się przed biurem szeryfa. Przez szybę w drzwiach zobaczyłem Pattona z przytkniętą do ucha słuchawką telefonu. Drzwi były zamknięte na klucz, toteż musiałem czekać, aż skończy rozmowę i wpuści mnie do środka.

Ominąłem go w progu, bez słowa położyłem na kontuarze papierowy zwitek i rozwinąłem go, demonstrując maleńkie serduszko.

– Trochę zbyt powierzchownie przeszukał pan pudełko z cukrem, szeryfie – powiedziałem.

Popatrzył na wisiołek, potem spojrzał na mnie, następnie wrócił za kontuar, odszukał na biurku prymitywne szkło powiększające i dokładnie obejrzał wewnętrzną stronę serduszka. Potem odłożył szkło i posłał mi niezbyt przyjazne spojrzenie spod chmurnie zmarszczonych brwi.

– Powinienem być się domyślić, że jak już postanowiłeś przetrząsnąć chatę Billa, to nie zrezygnujesz z tego pomysłu – rzucił ponurym tonem. – Masz zamiar dalej przysparzać mi kłopotów, synu?

Wzruszyłem ramionami.

– Powinien był pan zauważyć, że końce łańcuszka do siebie nie pasują.

Spojrzał na mnie trochę smutnawo.

– Synu – powiedział. – Zastanów się. Ja już nie mam takich dobrych oczu jak ty.

Czubkiem wskazującego palca machinalnie obracał serduszko, przyglądając mi się bez słowa.

– Pewnie pomyślał pan, że Chess nie znosił tego łańcuszka, ponieważ jego widok budził w nim zazdrość o innego mężczyznę. Z początku myślałem tak samo, bo zdawało mi się oczywiste, że ta ozdóbka była mu dobrze znana. Ale teraz gotów byłbym się z panem

założyć, że Bill nie miał pojęcia o jej istnieniu, tak samo jak nigdy nie słyszał o Mildred Haviland.

Patton pokiwał smętnie głową.

– Więc wygląda na to, że temu De Soto należą się ode mnie przeprosiny.

– Jeśli go pan jeszcze kiedykolwiek spotka – powiedziałem.

Wpatrywał się we mnie przeciągłym spojrzeniem bez wyrazu, więc postarałem się odpowiedzieć mu takim samym.

– Nie muszę pytać – powiedział w końcu. – Sam się już domyśliłem, że masz już jakąś całkiem nową koncepcję całej sprawy. Zgadza się?

– Jak najbardziej. Otóż Bill Chess nie zamordował swojej żony.

– Nie zamordował?

– Nie. Zrobił to ktoś, z kim była kiedyś związana. Ten ktoś stracił ją z oczu, ale z uporem jej szukał. Aż w końcu ją odnalazł, tylko że już jako cudzą żonę. I bardzo mu się to nie spodobało. A musiał to być ktoś, kto dobrze znał tę okolicę, tak samo dobrze jak setki innych ludzi, którzy nawet nie mieszkają tu przez cały rok. Ten ktoś wiedział, gdzie ukryć samochód i ubrania Muriel. Tego kogoś przepełniała nienawiść, ale potrafił ją maskować. I to tak doskonale, że udało mu się nakłonić Muriel do ucieczki i odnowienia dawnego związku. Tylko że kiedy już była gotowa do wyjazdu i nawet napisała pożegnalną kartkę, on zacisnął palce na jej szyi i pozbawił ją życia, ponieważ w jego mniemaniu na to właśnie zasłużyła, porzucając go dla innego. A potem wrzucił ją do jeziora i wrócił tam, skąd przybył. Czy takie wyjaśnienie też się panu nie podoba?

– No cóż – odparł z wahaniem. – To jest trochę za bardzo skomplikowane, nie uważasz, synu? Chociaż muszę przyznać, że nie wygląda na niemożliwe. W rzeczy samej wszystko w tej historii jest nawet całkiem prawdopodobne.

Miałem go dosyć. Powiedziałem:

– Jak się panu w końcu znudzi to śledztwo, to niech mnie pan zawiadomi. Ja na razie zajmę się swoimi sprawami.

– I na pewno zajmiesz się nimi cholernie pilnie – powiedział i pierwszy raz w mojej obecności zaśmiał się ze szczerym rozbawieniem.

– No to dobranoc – rzuciłem suchym tonem i wyszedłem.

Odjeżdżając, wyobrażałem sobie, jak siedzi za swoim biurkiem, a w jego głowie krążą myśli. Wprawdzie niespiesznie i może nie zawsze od razu łączą się jedna z drugą, ale jednak krążą z takim samym uporem, z jakim nowo przybyły osadnik karczkuje swoją ziemię.

ROZDZIAŁ 13

GDZIEŚ TAK koło jedenastej dotarłem wreszcie na sam dół i zaparkowałem samochód na jednym z ukośnie zaznaczonych miejsc przed hotelem „Prescott” w San Bernardino. Wydobyłem z bagażnika swoją torbę podróżną i ruszyłem do wejściowych drzwi. Ledwie jednak zrobiłem trzy kroki, kiedy dopadł mnie hotelowy boy w białej koszuli ozdobionej czarną muszką, tudzież w spodniach z lampasami, i wyrwał mi z ręki torbę.

Za to odziany w białą bawełnianą marynarkę recepcjonista z jajowatą głową nie okazał najmniejszego zainteresowania moim przybyciem. Zresztą wszystko wokół siebie traktował z taką samą niezmaconą obojętnością. Podsuwając mi książkę hotelową i pióro, ziewnął, po czym zapatrzył się gdzieś w przestrzeń zamglonym wzrokiem, jakby myślą cofnął się do swego dzieciństwa.

Przejął mnie od niego boy, w którego towarzystwie wjechałem windą na pierwsze piętro, gdzie musiałem jeszcze przejść spory kawałek korytarzem, który obfitywał w zakręty, przy czym poczułem, że robi mi się coraz goręcej.

Mój przyboczny otworzył przede mną drzwi do małego pokoiku z oknem wychodzącym na kanał wentylacyjny. W rogu pod sufitem zauważyłem pokojowy klimatyzator o rozmiarach damskiej chusteczki do nosa. Przytwierdzona do niego wstążeczka poruszała się słabo i stanowiła dowód, że powietrze nie pozostawało w całkowitym bezruchu.

Wysoki i tyczkowaty chłopiec hotelowy, który mnie wprowadził, odznaczał się pożółkłą cerą, był już nie pierwszej młodości, a sposób bycia miał zimny jak kurczak w galarecie.

Przesunął językiem gumę do żucia pod przeciwległy policzek, postawił moją torbę na krześle, obrzucił spojrzeniem kratę zabezpieczającą okno, po czym stanął na środku kłitki i wpatrzył się we mnie wyczekującym wzrokiem. Pozwoliło mi to stwierdzić, że jego oczy miały kolor wody.

Powiedziałem:

– Kolego, słyszałeś, jak zamawiałem pokój. Może zapomniałem wspomnieć, że będę płacił w amerykańskich dolarach? Bo to tutaj to jakby norka dla niezbyt wyrosniętej myszy.

– Na pana miejscu, to ja bym się cieszył, że w ogóle będę się miał gdzie przespać – pouczył mnie uprzejmie. – To miasto pęka w szwach, tyle w nim luda.

– W takim razie przynieś nam chociaż imbirowe piwo, szklanki i lód.

– Nam? – zdziwił się starszawy chłopiec hotelowy.

– Pomyślałem sobie, że nie wyglądasz na abstynenta.

– Aha! No niby jezdę na służbie, ale... O tej porze nieduże ryzyko, nie?

Po czym w miarę spieszenie wyszedł.

Zrzuciłem kolejno marynarkę, krawat, koszulę oraz podkoszulek, i zacząłem się przechadzać w nieznacznym przeciągu, który zapewniały otwarte drzwi. Tylko że ten przeciąg miał zapach, jaki zapewne bije od rozgrzanego do czerwoności żelaza, więc postanowiłem skorzystać z łazienki. Nie bardzo wprawdzie przypominała łazienkę, ale przynajmniej udało mi się ochlapać wodą o letniej temperaturze. W każdym razie czułem się odrobinę odświeżony, gdy wreszcie wrócił „chłopiec” z tacą w rękach.

Zamknął drzwi, a ja wręczyłem mu butelkę whisky. Posłużyła mu jako podstawa do przyrządzenia dwóch drinków. Wznieśliśmy szklanki, uśmiechnęliśmy się do siebie nieszczerze, jak to zwykle w takich sytuacjach, i wypiliśmy. Poczułem, jak spływa po mnie wzdłuż kręgosłupa strużka potu, która zaczęła się na karku. W chwili gdy odstawiałem opróżnioną szklankę, była już w połowie drogi dzielącej mój kark od skarpetek. Ale w sumie zrobiło mi się lepiej. Usiadłem na łóżku i przyjrzałem się tyczkowatemu chudzielcowi.

– Jak długo możesz tu zostać?

– Zależy co miałbym robić, nie?

– Posługiwać się pamięcią.

– Względem tego, to z pamiętaniem mam cholerne kłopoty.

– A ja mam trochę forsy – pochwaliłem się. – I lubię ją wydawać na różne swoje zachcianki.

Sięgnąłem ręką za siebie i wyciągnąłem zza gumki majtek swój portfel. Wyjąłem z niego plik wyraźnie już zużytych dolarowych banknotów, które kusząco rozłożyłem na łóżku.

– Ja przepraszam – powiedział na ten widok – ale wzioł pana za gliniarza.

– Nie bądź śmieszny – odparłem. – Widziałeś kiedy gliniarza, który układałby sobie pasjansę z tych zielonych papierków? Ja po prostu prowadzę takie jedno swoje prywatne dochodzenie.

– W tym razie mógłbym spróbować – stwierdził. – Gorzała rozjaśnia mnie w głowie.

Wręczyłem mu dolara.

– Może to ci odświeży pamięć. A ja bym sobie ciebie zapamiętał jako Długiego Texa z

Houston. Co ty na to?

– Z Amarillo – sprostował. – Zreszto wszystko jedno. Tak czy tak, gadam po teksasku. Czasem mnie aż od tego mgli, ale ludziom sie to podoba.

– Tak trzymaj – powiedziałem. – Nikt jeszcze przez ten akcent nie stracił dolara.

Wykrzywił twarz w uśmiechu, złożył banknot we czworo i wsunął go do kieszonki na zegarek.

– Na jakiej zmianie byłeś dwunastego czerwca? Może na popołudniowej albo na nocnej? To był piątek.

Pociągnął łyk ze szklanki, nie połykając jakoś gumy i zaczął grzebać w pamięci, w czym pewnie pomagał mu grzechot kostek lodu, bo zaczął delikatnie poruszać szklanką.

– Byłem tu wtedy na zmianie od szósty do północy – przypomniał sobie w końcu.

– Tego dnia wynajęła u was pokój pewna kobieta. Szczupła, ładniutka blondynka. Wyprowadziła się niedługo przed odjazdem nocnego pociągu do El Paso. Tak to kombinuję, bo w El Paso pokazała się w niedzielę rano. Tutaj przyjechała packardem model Clipper. Był zarejestrowany na Crystal Grace Kingsley, zamieszkała w Beverly Hills, przy Carson Drive numer dziewięć sześć pięć. Mogła się wpisać do książki pod tym nazwiskiem, ale mogła też posłużyć się innym albo nawet w ogóle się nie wpisać. Jej auto do dziś stoi w waszym garażu. Chciałbym pogadać z chłopakiem, który był przy tym, jak wynajmowała pokój, i z tym, który był na służbie, kiedy opuszczała hotel. Wystarczy, żebyś ich sobie przypomniał, a następny dolar też będzie twój.

Zubożyłem swoją ekspozycję banknotów o jeszcze jeden, który z ledwie dosłyszalnym szelestem, podobnym do tego, jaki wydają dwie ścierające się ze sobą w walce gąsienice, powędrował do kieszonki w jego spodniach.

– Da się zrobić – powiedział, po czym odstawił szklankę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Dokończyłem swojego drinka i przyrządziłem sobie następnego, po czym poszedłem do łazienki i wylałem na siebie jeszcze trochę ciepłej wody. Przerwało mi tę czynność brzęknięcie telefonu. Udało mi się wcisnąć pomiędzy łóżko a drzwi łazienki, gdzie zainstalowano aparat.

W słuchawce rozległ się głos Teksasńczyka:

– Ten przy meldowaniu to był Sonny. Tylko że w zeszłym tygodniu wzięli go i wylali. Ale jest akurat ten drugi, co miał służbę, jak się wyprowadzała. Mówimy na niego Les.

– Dzięki. Przyślij go tu do mnie, dobra?

Obracałem w rękę szklankę z resztkami drugiego drinka, a myślami byłem już przy

trzecim, kiedy usłyszałem pukanie, więc otworzyłem drzwi. Zobaczyłem małego, zielonookiego szczurka z usteczkami zaciśniętymi w dziewczęcy ciup. Wszedł do środka krokiem niemal tanecznym i przyjrzał mi się z uśmiechem, który próbował wyrażać lekceważenie.

– Gólniesz sobie?

– Jasne – odparł pełnym godności, chłodnym tonem. Nalał sobie całkiem solidną dawkę, doprawił ją imbirowym piwem, wypił do dna, nie odrywając ust od szklanki, po czym wsunął pomiędzy malutkie wargi nie wiedzieć skąd wyjętego papierosa i ruchem sztukmistrza przytknął do niego zapałkę, która wydało mi się, że rozbłysnęła płomieniem, zanim jeszcze na dobre opuściła jego kieszeń.

Wydmuchnął kłęb dymu i przypatrywał mi się bez słowa. Zauważyłem, że kątem oka zerknął na rozłożone na łóżku banknoty, ale nie dał po sobie poznać, że je zobaczył. Nad kieszonką koszuli zamiast służbowego numeru miał wyhaftowane słowo „Kapitan”.

– Jesteś Les?

– Nie.

I po krótkiej pauzie dodał:

– My tu nie lubimy gliniarzy. Nie mamy nawet własnego detektywa, więc po co nam tacy, co lubią wtykać nos w cudze sprawy?

– No to dzięki – powiedziałem. – Jesteś wolny.

– Jak to? – Jego usteczka wykrzywiła uraza.

– Zjeżdżaj – rzuciłem opryskliwie.

– Zdawało mi się, że chciał mnie pan widzieć – powiedział gniewnie.

– Jesteś tu szefem chłopców hotelowych?

– Zgadza się.

– Miałem ochotę zafundować ci szklaneczkę i wręczyć ci tego oto dolara. Proszę. Miło, że wpadłeś.

Wziął banknot i bez podziękowania schował go do kieszeni. Ale nie kwapił się jeszcze z odejściem. Stał naprzeciw mnie, wypuszczając nosem dym i nie zdejmował z mojej twarzy złośliwego spojrzenia przymrużonych oczu.

– W tym hotelu moje słowo jest święte – oświadczył.

– Może dla takich, którym się wydajesz groźny – odpaliłem. – A ja akurat nie bardzo się ciebie przestraszyłem. Rozumiemy się, chłopcze? Zwilżyłeś sobie gardło, zarobiłeś dolara, a teraz spadaj.

Ostentacyjnie wzruszył ramionami, po czym obrócił się na pięcie i bezszelestnie

wyniósł się z pokoju.

Po jakichś czterech minutach znowu usłyszałem pukanie do drzwi.. Tym razem bardzo delikatne. To wrócił wysoki chudzielec z uśmiechem zadowolenia na pociągłej twarzy. Z powrotem przysiadłem na łóżku.

– Zdaje się, że nie bardzo mu się pan spodobał, co?

– Nie za bardzo. Ale chyba spodobała mu się moja jednodolarówka.

– A bo to on bardzo lubi. Pan wie, jakie oni som, te szefy. Od każdego ciastka muszom sobie kawałek odkroić. Ale niech tam. Najważniejsze, że tera już może mi pan mówić Les.

– Czyli że to ty wynosiłeś jej bagaż, tak?

– Nie, panie Marlowe. Ona się przemkła cichaczem. Nie pokazała się nawet w recepcji. Ale zapamiętałem tego packarda, bo dała mnie dolara, żebym go wprowadził do garażu. I żebym zamelinował jej rzeczy aż do odjazdu pociągu. A za ten czas zjadła tu kolacje. Pan wie, w takim miejscu jak tutaj, ludzie dobrze sobie zapamiętują tych, co rozdają dolary. No i gadali o tem jej samochodzie, co się na tak długo został w garażu.

– Pamiętasz, jak wyglądała?

– Miała na sobie takie coś białe i czarne. Więcy było białego. I nawet panamę na głowie to miała z czarno-biało wstążeczko. No i blondyna, jak pan nadmienił. A potem wzięła taryfę na dworzec i ja żem do ni zapakował jej manele. Były nawet na nich literki, znaczy się od imienia i nazwiska, ale przepraszam, bo żem ich nie zapamiętał.

– To mnie akurat cieszy – powiedziałem. – Bo gdybyś zapamiętał, to by mi się to wydawało podejrzane. Strzel sobie jeszcze drinka i powiedz mi, ile mogła tak na oko mieć lat?

Przeplukał drugą szklankę i przyrządził sobie raczej umiarkowanie mocną mieszankę, po czym powiedział:

– Diabelnie ciężko w naszych czasach zgadnąć, w jakim kobitka może być wieku. Ale myślę, że tak ze trzydzieści. Może ciut mniej albo ciut wiency.

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i podałem mu fotkę z Crystal i Laverym na plaży. Przypatrzył się jej uważnie, potem odsunął na odległość wyciągniętej ręki, w końcu znowu zbliżył ją do oczu.

– Nie będziesz musiał przysięgać przed sądem, że była albo nie była podobna – ułatwiłem mu werdykt. Skinął głową.

– Bo bym i nie chciał. Te dzisiejsze nieduże blondyneczki tak som wszystkie odrobione pod jeden strychulec, że niech która zmieni ciuszek albo pokaże się w innym oświetleniu, to już jom można pomylić zjakomś innym.

Ale nie przestał się wpatrywać w fotkę i widać było, że coś go nurtuje.

– Jakieś wątpliwości? – rzuciłem.

– Tak mnie zastanawia ten gościu, co go z niom widać. Jego tyż ma pan na oku?

– Po prostu powiedz, co o nim wiesz.

– Mnie się zdaje, że to ten sam, co gadał z niom w hallu, a potym razem zjedli kolacje.

Taki wysoki przystojniaczek, co jakby pod garniturkiem miał wszystko, czego potrzeba, żeby walczyć w lekkociężkiej. I pewnie miałby całkiem szybki cios. No i załadował się razem z niom do tej taryfy.

– Jesteś tego pewny?

Rzucił wymowne spojrzenie na rozłożone banknoty. Zaczynało to mnie to wszystko trochę męczyć, więc zapytałem:

– No dobra. Ile będzie kosztowała odpowiedź?

Na co raptownie zeszywniał, po czym wyjął z kieszonki oba złożone we czworo banknoty i rzucił je na łóżko.

– Dzięki za napitek – warknął – i idź pan sobie do wszystkich diabłów!

Najwyraźniej zamierzał mnie opuścić, więc powiedziałem pośpiesznie:

– Och, siadaj, chłopie, i przestań być taki cholernie drażliwy, dobra?

Skorzystał z tego zaproszenia, ale patrzył na mnie z wyraźną rezerwą.

– I odpuść sobie wreszcie ten językowy folklor – dodałem. – Tułałem się w życiu po tylu hotelach, że nikomu już nie dam się nabrać na żadną sztuczkę. Byłbym szczęśliwy, gdybym w końcu trafił na jakiegoś chłopca hotelowego, który oszczędziłby mi swojego triku. Ale chyba nie wyobrażasz sobie, że ja sobie wyobrażam, żeby choć jeden taki się kiedyś znalazł, co?

Poczęstował mnie przeciągłym uśmiechem, przytaknął nieznacznym mchem głowy i znowu wziął do ręki fotkę. Po chwili spojrzał na mnie sponad jej krawędzi.

– Ten facet jest bardzo fotogeniczny. O wiele podobniejszy do siebie niż ta dama. Ale dał mi jeszcze jeden drobny powód, żeby go sobie zapamiętać. Bo miałem wrażenie, że ta pani nie bardzo była zadowolona z tego, że tak jawnie do niej podszedł na oczach ludzi, którzy kręcili się po holu.

Po krótkim zastanowieniu doszedłem do wniosku, że z tej akurat informacji niewiele wynikało. Lavery mógł być spóźniony albo może nawet przegapił umówione spotkanie i dlatego właśnie zapomniał o konieczności zachowania pozorów.

Powiedziałem:

– To dałoby się wytłumaczyć, Tex. Ale zwróciłeś może uwagę na biżuterię tej pani?

Pierścionki, kolczyki... Coś, co rzucało się w oczy, bo wyglądało na wartościowe?

Niczego takiego nie zauważył.

– A jej włosy? Były krótkie czy długie? Proste, faliste czy kręcone? Była naturalną blondynką czy tlenioną?

Zaśmiał się.

– Tego to już za cholerę bym nie rozpoznał, panie Marlowe. One nawet jak się urodzą naturalnymi blondynkami, to jeszcze im mało i muszą się sztucznie rozjaśnić. A co do reszty to, o ile pamiętam, włosy miała raczej długie, takie jakie są teraz w modzie, i raczej proste, a tylko na samym dole podwinięte do środka. – Jeszcze raz rzucił okiem na fotografię. – Tutaj ma je spięte z tyłu, więc trudno mi coś powiedzieć.

– Racja – zgodziłem się. – Zresztą zapytałem cię tylko po to, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie za dużo zapamiętałeś szczegółów. Tacy zanedo uważni obserwatorzy są równie mało wiarygodni jako świadkowie, jak i ci, którzy w ogóle nie zwracają uwagi na detale, a za to lubią je w połowie zmyślać. Ciebie uznałem w tych okolicznościach za w miarę dokładnego, więc wielkie dzięki.

Ponownie wręczyłem mu te dwa dolary i dorzuciłem jeszcze piątkę, żeby miały liczniejsze towarzystwo. Podziękował, opróżnił swoją szklankę i dyskretnie się oddalił. Więc i ja dokończyłem drinka, po czym doszedłem do wniosku, że z dwojga złego wolę prowadzić samochód niż spędzić noc w tej norze. Wdziałem koszulę i marynarkę, i z torbą w ręku zszedłem na dół.

Mały szczurek jako jedyny trwał na posterunku chłopca hotelowego. Jakoś jednak nie starał mi się wyrwać torby, którą zdołałem o własnych siłach donieść do kontuaru recepcjonisty.

Jajogłowy zdawał się w ogóle mnie nie zauważać, za to bynajmniej nie przeoczył dwóch dolarów, które przed nim położyłem.

– Mój Boże – powiedziałem. – Dwa dolce za noc w pojedynczym okopie strzeleckim! To już lepiej za darmo przespać się w skrzyni z węglowym miałem.

W odpowiedzi ziewnął, co musiało korzystnie wpłynąć na jego intelekt, bo raptem zdobył się na błyskotliwą odzywkę:

– Koło trzeciej nad ranem zaczyna się tu robić trochę chłodniej. A potem aż do ósmej albo nawet dziewiątej jest już całkiem przyjemnie.

Otarłem pot, który zgromadził się na moim karku, po czym nie całkiem pewnym krokiem udałem się do samochodu. Nawet o północy obicie siedzenia sparzyło mi pośladki.

Kiedy za piętnaście piąta dotarłem do Hollywood, miałem uczucie, że znalazłem się w

łodówce. Nawet Pasadena wydała mi się chłodnym miejscem.

ROZDZIAŁ 14

PRZYŚNIŁO MI SIĘ, że tonąłem w głębokiej i lodowatozimnej zielonkawej wodzie, obejmując ramieniem topielicę, której długie jasne włosy falowały tuż przed moją twarzą. Podpłynęła do mnie jakaś ogromna ryba o wyłupiastych oczach i tłustym ciele pokrytym błyszczącą łuską. Krążyła wokół, zerkając na mnie pożądliwie niby podstarzała rozpustnica. Kiedy już zdawało mi się, że lada moment pękną mi spragnione powietrza płuca, martwe ciało nagle ożyło, uwolniło się spod mego ramienia i odpłynęło. Wówczas ryba rzuciła się na mnie i podczas gdy walczyłem z nią na śmierć i życie, topielica obracała się raz za razem wokół własnej osi, a wraz z nią obracała się splątana grzywa jej włosów.

Zbudziłem się z ustami pełnymi prześcieradła i z obiema dłońmi wczepionymi w poręcz łóżka, którą ciągnąłem z całych sił ku sobie, jak gdybym chciał ją wyłamać. Opuściłem ręce, czując ból w mięśniach ramion. Potem wstałem z łóżka i zacząłem się przechadzać po pokoju z papierosem w ręku, czując szorstkość dywanu pod bosymi stopami. Dopaliwszy papierosa, wróciłem do łóżka.

Kiedy obudziłem się ponownie, była dziewiąta. Na twarzy czułem palący dotyk słońca, a w pokoju już panował upał. Wziąłem prysznic, ogoliłem się i częściowo tylko ubrany przyrządziłem sobie w mojej mikroskopijnej kuchence tradycyjne śniadanie w postaci jajek z tostem, popijanych kawą. Nie było mi jednak sążone spokojnie go spożyć. Na talerzu pozostało mi jeszcze kilka kęsów, gdy usłyszałem pukanie.

Z ustami pełnymi tostu poszedłem otworzyć drzwi. W progu stał nieznamy szczupły mężczyzna o poważnym wyrazie twarzy i równie poważnie się prezentującym szarym garniturze.

– Porucznik Floyd Greer z Centralnego Biura Dochodzeń – przedstawił się zwięźle i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Wyciągnął suchą, mocną rękę, którą uścisnąłem. Przysiadł na skraju krzesła, jak to oni wszyscy, i obracając w palcach kapelusz, przez chwilę uważnie przypatrywał mi się ze spokojem i w skupieniu.

– Mieliśmy telefon z San Bernardino – odezwał się wreszcie. – W sprawie tej śmierci koło Jeziora Pummy. Martwa kobieta w jeziorze. Pan zdaje się był przy tym, jak ją znaleziono.

Przytaknąłem, po czym uprzejmie zaproponowałem:

– Kawy, poruczniku?

– Dzięki, ale już dwie godziny temu piłem kawę na śniadanie.

Sięgnąłem więc po swój kubek i usadowiłem się na wprost niego, ale w przeciwnym rogu pokoju.

– Poprosili nas, żeby się panu przyjrzeć – wyjaśnił detektyw. – Chcą wiedzieć, z kim mają do czynienia.

– Rozumiem.

– No więc sprawdziliśmy parę rzeczy. Wygląda na to, że wedle naszych kryteriów jest pan czysty. Po prostu zdarza się panu znaleźć akurat tam i akurat wtedy, kiedy wypływa na powierzchnię jakiś nieboszczyk.

– Właśnie – zgodziłem się. – Takie już mam dziwne szczęście.

– Toteż tak mi jakoś przyszło do głowy, żeby do pana wpaść i zawrzeć osobistą znajomość.

– Całkiem niezły pomysł. Cieszę się, że pana poznałem.

– A więc znalazł się pan w tym miejscu absolutnie przez przypadek – powtórzył, potakując sobie paroma poruszeniami głowy. – Ale tak w ogóle to wybrał się pan w te góry... jeśli można to tak określić... w interesach?

– Po cokolwiek tam pojechałem – zauważyłem – to wedle mojej najlepszej wiedzy nie miało to nic wspólnego z dziewczyną, która wypłynęła spod wody.

– Ale nie może pan co do tego mieć absolutnej pewności, prawda?

– Dopóki nie doprowadzi się jakiejś sprawy do końca, nie można być pewnym, z czym się ona może okazać powiązana, nie uważa pan?

– To prawda.

Znowu przesunął w palcach rondo kapelusza niby onieśmielony kowboj. Tylko że w jego oczach nie dostrzegłem ani śladu onieśmielenia.

– Po prostu chciałbym się upewnić, panie Marlowe – wyjaśnił – że gdyby w sprawie śmierci tej kobiety wyszły na jaw jakieś, jak to pan określił, powiązania z pańską sprawą, to nie omieszka pan nas z nimi zapoznać.

– Myślę, że możecie mieć taką nadzieję – powiedziałem.

Wypchnął językiem dolną wargę, po czym wyraził się jeszcze jaśniej niż poprzednio:

– Chcielibyśmy mieć coś więcej niż tylko nadzieję. Zechciałby pan nam coś podsunąć już teraz?

– W tej chwili nie wiem nic takiego, czego nie wiedziałby Patton.

– Kto to jest Patton?

– Zastępca szeryfa okręgowego i zarazem komendant policji w Puma Point.

Na poważnej twarzy porucznika Greera pojawił się leciutki uśmiech pobłażliwego lekceważenia. Strzelił palcami, po czym powiedział:

– Może się pan spodziewać, że prokurator okręgowy zechce z panem porozmawiać. To znaczy jeszcze przed wstępnymi przesłuchaniami. Ale nie tak zaraz. Oni teraz próbują zdobyć dla niego trochę odcisków palców. Posłaliśmy im do pomocy naszego specja.

– To nie będzie łatwe. Ciało prawie się rozpada.

– Ci specje potrafią sobie poradzić nawet w takich przypadkach. Chłopaki w Nowym Jorku wymyśliły jakiś nowy sposób. Oni tam ciągle znajdują topielców, wie pan. Więc zdejmują im z palców kawałki skóry, utwardzają je w jakimś barwiącym odczynie i wychodzą im z tego jakby stemple. W większości przypadków mają całkiem dobre rezultaty.

– Myśli pan, że ta kobieta mogła z jakiegoś powodu trafić do policyjnej kartoteki?

– A niby dlaczego miałbym tak myśleć? Zawsze zdejmujemy denatom odciski – odparł. – Powinien pan wiedzieć takie rzeczy.

– Nie znałem tej kobiety. Jeśli przyszło panu do głowy, że było inaczej i że to z jej powodu tam pojechałem, to absolutnie jest pan w błędzie – powiedziałem stanowczo.

– Ale jakoś nie bardzo chce pan podać mi powód, dla którego tam pojechał – zauważył z naciskiem.

– I dlatego myślicie, że kłamię – skonstatowałem.

Zawiesił kapelusz na wskazującym palcu i kręcił nim młynka.

– Źle mnie pan zrozumiał, panie Marlowe. Na razie jeszcze nic nie myślimy. Po prostu otworzyliśmy dochodzenie i szukamy jakiegoś punktu zaczepienia. To czysto rutynowe postępowanie. Powinien pan to wiedzieć. Wystarczająco długo kręci się pan w tym interesie.

– Wstał i nałożył kapelusz. – Gdyby pan wyjeżdżał z miasta, to proszę nas o tym poinformować. Będę panu zobowiązany.

Obiecałem mu to i odprowadziłem go do drzwi. Wyszedł z głową wtuloną w ramiona i ze smutnym uśmiechem na obliczu. Patrzyłem z progu, jak idzie powolnym krokiem przez hall i zatrzymuje się przed windą, po czym zamknął drzwi.

Wróciłem do kuchenki, żeby sprawdzić, czy zostało jeszcze trochę kawy. Było jej jeszcze ze trzy czwarte kubka. Dołałem do niej trochę śmietanki, wsypałem łyżeczkę cukru i z kubkiem w ręku podszedłem do telefonu, żeby wykręcić numer Komendy Policji. Poprosiłem o połączenie z Biurem Detektywów, a tam z kolei zapytałem o porucznika Floyda Greera.

– Porucznika Greera nie ma w tej chwili w biurze – poinformowała mnie telefonistka.

– Może ktoś inny mógłby go zastąpić?

– A jest może De Soto?

– Kto taki?

Powtórzyłem.

– Mógłby pan podać jego stopień i wydział, w którym pracuje?

– Taki, gdzie się występuje po cywilnemu. Dokładnie nie pamiętam.

– Jedną chwileczkę.

Poczekalem.

Aż po dobrej minucie usłyszałem poirytowany męski głos i pytanie:

– Co to za wyglupy? Nie mamy tu na stanie żadnego De Soto! I w ogóle kto mówi?

Odłożyłem słuchawkę, dokończyłem swoją kawę, po czym wykręciłem numer biura Derace'a Kingsleya. Panna Fromsett poinformowała mnie grzecznym, acz chłodnym tonem, że pan Kingsley właśnie wszedł do biura i bez zbędnych słów przełączyła mnie na jego linię.

– No więc? – rzucił rześkim, dźwięcznym i energicznym głosem. – Czego się pan dowiedział w tym hotelu?

– Że owszem, była tam. I że spotkała się z Laverym. Chłopiec hotelowy, którego pociągnąłem za język, bez pytania, sam z siebie wyskoczył z wiadomością o Laverym. Powiedział mi, że razem zjedli kolację i wsiedli do taksówki, która ich powiozła na dworzec kolejowy.

– No proszę – powiedział przeciągle Kingsley. – Powinienem był wiedzieć, że kłamie. Tym bardziej że był wyraźnie zaskoczony, kiedy mu powiedziałem o tym telegramie z El Paso. Ale nie za bardzo ufam swoim pierwszym wrażeniom. Coś jeszcze?

– Owszem, ale już nie tam. Właśnie przed paroma minutami wyszedł ode mnie pewien policyjny detektyw. Chciał mi się przyjrzeć z bliska, a przy okazji przestrzec, żebym nie wyjeżdżał z miasta, zanim go nie uprzedzę. No i podpytywał mnie na temat powodów mojej wyprawy do Puma Point. Ale niczego mu nie powiedziałem, kiedy okazało się, że nie wiedział nawet, kto to jest Jim Patton. Z czego by wynikało, że Patton nikogo w nic nie wtajemniczył.

– W takich sprawach Jim zawsze bardzo się stara zachowywać przyzwoicie – stwierdził Kingsley. – Ale może mi pan teraz wyjaśni, dlaczego pytał mnie pan wczoraj wieczorem o jakąś... Mildred-coś-tam?

Wyjaśniłem mu, jak tylko mogłem najzwięźlejš. Powiedziałem mu też o samochodzie Muriel Chess i o jej rzeczach, i że odnalazły się nad Jeziorem Szopa.

– To mocno Billa pogrąża – zauważył Kingsley. – Znam to jezioro, ale na miejscu

Billa nigdy by mi nie przyszło do głowy skorzystać z tego starego baraku... A zresztą nawet nie wiedziałem, że coś takiego tam jest. To nie tylko świadczy przeciwko niemu, ale i wskazuje na premedytację.

– Z tym akurat bym się nie zgodził. Jeśli zważyć, że wystarczająco dobrze znał całą okolicę, to nie musiał daleko szukać, żeby znaleźć tego rodzaju kryjówkę. Proszę nie zapominać, że noga nie pozwala mu na dalekie wyprawy.

– Może i racja – zgodził się po chwili zastanowienia. – Jakże ma pan teraz plany?

– Rzecz jasna wezmę w obroty Lavery’ego.

Zgodził się z tym w pełni.

– A ta druga sprawa? – dorzucił jeszcze. – Tragiczna, bo tragiczna, ale nas przecież nie dotyczy, prawda?

– Chyba że pańska żona coś o tym wiedziała.

W jego głosie pojawił się ostry ton, gdy powiedział:

– Posłuchaj pan, Marlowe. Potrafię zrozumieć to, że jako detektyw stara się pan wszystko, co się wydarzyło, powiązać ze sobą w jakiś spójną całość, ale niechże pan sobie jednak wytyczy jakieś rozsądne granice. Bo życie się wcale nie układa w taki logiczny ciąg. W każdym razie nie takie życie, jakie ja poznałem. Więc lepiej zostaw pan sprawę Chessów policji, a całe swoje myślenie skup pan na sprawie Kingsleyów, dobra?

– Jak pan sobie życzy – odparłem.

– I nie chciałbym, żeby pan to odczuł jako chęć narzucania panu czegokolwiek – dodał na koniec.

Na co parsknąłem serdecznym śmiechem, powiedziałem mu do widzenia i odłożyłem słuchawkę. Po czym ubrałem się do końca i zjechałem do garażu po chryslera.

Znowu miałem przed sobą drogę do Bay City.

ROZDZIAŁ 15

ODNALAZŁEM tamtą uliczkę, która odchodziła od Altair Street, prowadziła aż do samego końca kanionu i kończyła się półkolistym, otoczonym białym drewnianym płotem parkingiem, z którym łączył się chodnik. Przez jakiś czas pozostałem w samochodzie, popatrując na ocean, podziwiając schodzące ku niemu szaroniebieskie podnóża gór i rozmyślając.

Nie mogłem się zdecydować, czy zabrać się do Lavery'ego, łaskocząc go delikatnie piórkiem, czy też posłużyć się pięścią i ostrym językiem. W końcu doszedłem do wniosku, że nic nie stracę, próbując łagodności. Dopiero gdyby to nic nie dało – a spodziewałem się, że tak właśnie będzie – zdam się na naturalny rozwój wypadków i wyłożę kawę na ławę.

Brukowana alejka, która schodziła w dół aż do połowy zbocza, a potem biegła obok stojących wzdłuż zewnętrznej skarpy domków, była pusta. Niżej, na następnej biegnącej po zboczu uliczce, kilkoro dzieci rzucało bumerangiem, goniąc za nim przy akompaniamencie zwykłych w takich razach kłótni i poszturchiwań.

Jeszcze niżej natrafiłem na dom otoczony drzewami i murem z czerwonej cegły. Na przeciągniętym nad dziedzińcem sznurze bielilo się schnące pranie, a na spadzistym dachu dreptały potrząsając główkami dwa gruchające gołębie.

Pod dom z czerwonej cegły podjechał niebiesko-brązowy autobus, z którego powolnie i z widocznym trudem wysiadł bardzo już stary mężczyzna. Gdy udało mu się wreszcie zestawić obie stopy na ziemi, upewniał się jeszcze przez chwilę, że zdoła się na nich utrzymać, potem końcem masywnej laski zbadał twardość gruntu i dopiero wtedy poczłapał pod górę.

Powietrze było bardziej przejrzyste niż poprzedniego dnia i ranek zdawał się przesycony spokojem. Wysiadłem z auta i przeszedłem chodnikiem Altair Street do numeru 623.

Żaluzje zasłaniały frontowe okna, a cały dom sprawiał wrażenie uspionego. Ścieżką obramowaną kępkami koreańskiego mchu doszedłem do wejścia, nacisnąłem guzik dzwonka i wtedy dopiero spostrzegłem, że drzwi są nie domknięte. Opadły nieco na poluzowanych

zawiasach, jak się to zresztą dzieje z większością naszych drzwi, i wypychany przez sprężynę języczek zasuwki zaparł się o obudowę zamka. Przypomniałem sobie, że już wczoraj miałem pewne trudności z jego zatrzaśnięciem.

Lekko pchnąłem drzwi, które uchyliły się nieco do środka, wydając z siebie przeciągłe skrzypnięcie. W pokoju było ciemno, ale przez okna od zachodu przedostawało się trochę światła. Nikt nie zareagował na mój dzwonek. Nie zadzwoniłem powtórnie, tylko raz jeszcze pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

W ciszy pokoju roztaczał się specyficzny ciepły zapach, jaki zwykle rodzi się późnym porankiem w domu, który wciąż jest na głucho zamknięty.

Butelka VAT 69, która stała na okrągłym stoliku przy otomanie, była teraz niemal całkowicie opróżniona, a obok niej czekała już na swoją kolej następna. W miedzianym wiaderku na lód zalegała na dnie warstewka wody, a obok stały dwie szklanki ze śladami używania oraz do połowy opróżniony syfon z wodą sodową.

Przymknąłem za sobą drzwi do takiego mniej więcej położenia, w jakim je zastałem, po czym przez chwilę nasłuchiwałem bez ruchu. Pomyślałem, że jeśli Lavery'ego nie ma, to będę mógł zaryzykować małe przeszukanie jego gniazdka. Wprawdzie niewiele jeszcze na niego miałem, ale i to by wystarczyło, żeby w razie wpadki powstrzymał się od wzywania policji.

Czas mijał w zupełnej ciszy. Odmierzało go suche tykanie stojącego na kominku elektrycznego budzika, a podkreślało trąbienie samochodowego klaksonu, dobiegające od strony Altair Street, pobzykiwanie komara, jakim zdawał się jazgot krążącego gdzieś ponad wzgórzami i nad kanionem samolotu, a nawet pomruk elektrycznej lodówki, która właśnie na nowo zabrała się do pracy.

Odważyłem się zrobić parę kroków ku środkowi pokoju, po czym znów zastygłem w bezruchu i wytężyłem słuch, nie wychwyciłem jednak niczego, co by nie było jednym z naturalnych odgłosów domu, lecz wynikiem ludzkiej obecności. Ruszyłem więc wzdłuż krawędzi dywanu, zmierzając w stronę wymurowanego w głębi łuku. Aż raptem dostrzegłem czyjąś dłoń w rękawiczce.

Należące do niej palce obejmowały metalową poręcz schodów, którymi ktoś wchodził na górę. Pojawiły się tuż przed jej górnym krańcem i na długą chwilę znieruchomiały. A gdy dłoń znowu się poruszyła, dojrzałem w mroku najpierw kobiecego kapelusza, a zaraz potem głowę. Nieznajoma weszła spokojnym krokiem na szczyt schodów i przechodząc pod łukiem, skierowała się w głąb pokoju, przy czym wciąż jeszcze nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności.

Była to szczupła kobieta w trudnym do określenia wieku, jej brązowe włosy były w nieładzie, usta miała pociągnięte wyzywająco szkarłatną szminką, zbyt wiele różu na policzkach i podkrążone oczy. Ubrana była w kostium z niebieskiego tweedu, który zaskakująco kontrastował z purpurowym kapeluszem, który przechylony na ucho, najwyraźniej zjeżdżał jej z głowy.

Dojrzała mnie wreszcie, ale nie zatrzymała się ani nawet najdrobniejszą zmianą wyrazu twarzy nie okazała zdziwienia. Weszła do pokoju i zbliżała się teraz do mnie bez pośpiechu, przy czym prawą rękę trzymała w pewnym oddaleniu od ciała. Na jej lewej dłoni spostrzegłem brązową rękawiczkę, którą już przedtem widziałem na poręczy schodów. Druga, identyczna rękawiczka obejmowała rękojeść małego automatycznego pistoletu.

Zatrzymała się na chwilę, odgięła tułów do tyłu i wydała z siebie krótki okrzyk, który przeszedł natychmiast w piskliwy, nerwowy chichot. Wycelowała we mnie lufę swojej małej pukawki i powoli zbliżała się do mnie.

Wpatrywałem się w wylot tej lufy i udawało mi się zachować milczenie.

Kiedy już podeszła zupełnie blisko, skierowała lufę na mój brzuch i odezwała się cichym głosem, który zabrzmiał jak intymne zwierzenie.

– Chodziło mi tylko o czynsz. Doceniam to, że dom jest utrzymywany w porządku. Żadnych szkód. Pan Lavery zawsze był dobrym, schludnym i dbałym o wszystko lokatorem. Tylko że nie mogłam już dłużej się godzić, aby tak zalegał z czynszem.

Raptem odezwał się jakiś męski głos, trochę jakby spięty i wyraźnie nieszczęśliwy, ale z bardzo grzecznie sformułowaniem pytaniem:

– Ile jest pani w sumie winien?

To był mój głos i moje pytanie.

– Za trzy miesiące – odparła dama z pistoletem. – To razem dwieście czterdzieści dolarów. Osiemdziesiąt dolarów miesięcznie za tak komfortowo umeblowany domek to doprawdy bardzo rozsądna suma. Już wcześniej bywały z tym drobne kłopoty, ale jednak zawsze w końcu płacił. Dziś rano zapewnił mnie przez telefon, że wypisze czek. To znaczy, że dziś rano mi go wręczy.

– Przez telefon – powtórzyłem jak echo. – Dziś rano.

Przy czym poruszyłem się, ale bardzo nieznacznie, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Cały czas kombinowałem, jakby tu podsunąć się do niej tak blisko, żebym mógł jednocześnie uskoczyć w bok i odtrącić jej rękę, a potem złapać za pistolet, zanim ona zdąży z powrotem wziąć mnie na muszkę. Nigdy mi się dotąd specjalnie nie szczęściło z takimi sztuczkami, ale nie był to powód, żeby w potrzebie nie spróbować jeszcze raz. A teraz właśnie zaszła taka

potrzeba.

Udało mi się do niej przybliżyć o jakieś piętnaście centymetrów, ale to ciągle było za mało. Więc na razie powiedziałem grzecznie:

– Jest pani właścicielką tego domu?

Unikałem przy tym wzrokiem pistoletu. Tliła się we mnie bardzo, ale to bardzo nikła nadzieja, że rozsierdzona damulka nie wie nawet, że wycelowała mi go prosto w brzuch.

– Ależ oczywiście! Jestem pani Fallbrook. A pan co sobie myślał?

– W zasadzie to właśnie tak przypuszczałem. Bo mówiła pani o tym czynszu i tak dalej. Tylko że jeszcze nie znałem pani nazwiska.

Tym razem zyskałem chyba aż ze dwadzieścia centymetrów. Szło mi jak po maśle. Wstyd byłoby to w końcu spaprać.

– A kim pan właściwie jest, jeśli wolno zapytać?

– Ja właśnie też przyszedłem w sprawie należności – wyjaśniłem. – Za samochód. A że drzwi były ociupinkę uchylone, to jakoś tak odruchowo wszedłem. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Przybrałem wyraz twarzy urzędnika towarzystwa kredytowego, który przyszedł upomnieć się o zaległe raty za samochód. Takiego, co to nie da się spławić, ale zarazem zawsze jest gotów na uprzejmy uśmiech.

– To znaczy, że pan Lavery zalega też ze spłatą samochodu? – spytała wyraźnie zaniepokojona pani Fallbrook.

– Nie tak znów wiele, ale jednak – odparłem uspokajająco.

Nareszcie byłem gotów do ataku. Broń miałem już w zasięgu ręki, musiałem tylko jeszcze wykazać się szybkością. Cała rzecz sprowadzała się do błyskawicznego i zarazem pewnego chwytu, po którym wystarczyłoby już tylko odtrącenie jej ręki na zewnątrz.

Miałem właśnie oderwać lewą stopę od dywanu, gdy pani Fallbrook powiedziała:

– Wie pan, dziwna rzecz z tym pistoletem. Znalazłam go na schodach. Obrzydliwość, cały jest w tłuszczu. A przecież schody pokryte są bardzo ładnym plecionym chodniczkiem, który mnie sporo kosztował!

Powiedziawszy to, podała mi broń.

Wyciągnąłem ku niej rękę, która raptem jak gdyby straciła całą giętkość i stała się krucha niby skorupka jajka. Ująłem palcami pistolet, czując, jak coś w moich kolanach odblokowuje się i odpręża. Pani Fallbrook z wyrazem niesmaku na twarzy powąchała rękawiczkę, która zetknęła się z rękojeścią, po czym ciągnęła tym samym urażonym tonem osoby będącej wcieleniem zdrowego rozsądku, któremu właśnie uwłaczano:

– Pan oczywiście jest w lepszej sytuacji. Myślę o należności za samochód. Gdyby się to okazało konieczne, to mu go pan po prostu zabierze. Ale odzyskanie tak wspaniale urządzonego domu nie jest równie łatwą sprawą. Żeby wyeksmitować lokatora, trzeba mieć pieniądze oraz cierpliwość. No i umieć znosić atmosferę napięcia i wzajemnych pretensji, które towarzyszą takiej przymusowej wyprowadzce. Nie mówiąc już o tym, że powstają przy tym szkody, i to niekiedy poczynione z rozmysłem. Niech pan na przykład spojrzy na ten dywanik. Kupiłam go okazyjnie, z drugiej ręki, a mimo to kosztował mnie ponad dwieście dolarów. To wprawdzie tylko juta, ale tak znakomicie ufarbowana, że nikt by nie podejrzewał, prawda? A że z drugiej ręki? To niemądre, żeby tak określać każdą rzecz, której ktokolwiek już użył, bo w ten sposób wszystko zaraz po kupnie staje się czymś z drugiej ręki. I pomyśleć przy tym, że jako patriotka musiałam tu przyjść pieszo, ponieważ stosuję się do rządowego apelu o oszczędzanie opon, które potrzebne są naszej armii. Teoretycznie mogłam część drogi przejechać autobusem, tylko że one jeżdżą według widzimisię kierowców i z reguły nie tam, gdzie człowiek chce dojechać.

Przestałem słuchać monologu pani Fallbrook. Nie tylko dlatego że toczył się niby potężna oceaniczna fala, która zdaje się gnać aż poza horyzont. Przede wszystkim dlatego że ta pukawka wzbudziła we mnie żywe zainteresowanie.

Wyjawszy magazynek, stwierdziłem, że jest pusty. Pusta była także komora. Ale gdy powąchałem wylot lufy, w nozdrza uderzył mnie wiele mówiący swąd.

Wsunąłem go do kieszeni. Sześciostrzałowy, automatyczny, kaliber 25. Bez nabojów. Ktoś z niego strzelał, i to całkiem niedawno. Choć nie w ciągu ostatniej pół godziny.

– Myśli pan, że strzelano z niego? – zapytała z uprzejmym zainteresowaniem pani Fallbrook. – Mam szczerą nadzieję, że nie.

– A zna pani jakiś powód, dla którego ktoś miałby z niego strzelać? – odpowiedziałem pytaniem. Mój głos zabrzmiał normalnie, ale mój mózg w dalszym ciągu pracował na najwyższych obrotach.

– No cóż – powiedziała pani Fallbrook. – Bądź co bądź leżał na schodach, prawda? A od czasu do czasu zdarza się niestety, że ludzie do siebie strzelają.

– W rzeczy samej taka jest smutna prawda – odparłem. – Ale przypuszczam, że po prostu w kieszeni pana Lavery’ego była dziura. Nie zastała go pani?

– Nie – potrząsnęła głową i na jej twarzy odmalował się smutek z powodu doznanego zawodu. – I myślę, że zachował się wobec mnie wręcz niegrzecznie. Obiecać komuś czek, a potem wyjść sobie z domu, to już doprawdy...

Przerwałem jej:

– Kiedy dokładnie do pani zadzwonił?

– Cóż... Wczoraj wieczorem.

Zmarszczyła brwi, wyraźnie niezadowolona z mojej dociekliwości.

– Widocznie został gdzieś pilnie wezwany – powiedziałem.

Wpatrywała się nieruchomo w jakiś punkt pomiędzy moimi wielkimi oczami w kolorze brązu.

– Pani Fallbrook – zaproponowałem, rezygnując z dalszego kluczenia. – A może byśmy tak przestali bawić się w kotka i myszkę? Osobiście przepadam wręcz za taką zabawą i bardzo nie lubię jej przerywać, ale... Chyba go pani jednak nie zastrzeliła, i to tylko dlatego że od trzech miesięcy nie płacił czynszu, prawda?

Niby na zwolnionym filmie bardzo powoli przysiadła na brzeżku krzesła, a czubek jej języka przesunął się przez całą szerokość szkarłatnych warg.

– To doprawdy potworne przypuszczenie – powiedziała gniewnym tonem. – Jest pan wyjątkowo niesympatycznym człowiekiem. Czyż nie powiedział pan, że z tej broni nie strzelano?

– Zdarza się, że ktoś z czegoś wystrzeli. Ale potem wkłada nowe naboje na miejsce wystrzelonych. Tymczasem w tym pistoleciku nie ma ani jednego naboju.

– Ale w takim razie... – przerwała sama sobie niecierpliwym ruchem ręki i przy okazji jeszcze raz powąchała zatłuszczoną rękawiczkę.

– Dobrze, przyznaję się do pomyłki – powiedziałem. – Zresztą to był tylko nieudany żart. Więc zapytam inaczej. Pan Lavery był nieobecny, a pani weszła do środka. Jako właścicielka domu dysponuje pani zapewne kluczem, prawda?

– Ja nie chciałam bynajmniej naruszyć jego prywatności – powiedziała, ogryzając paznokcie. – Być może nie powinnam była tu wejść, ale... Jako właścicielka mam chyba prawo sprawdzić, w jakim stanie znajduje się mój dom.

– No i sprawdziła pani. Czy naprawdę go tu nie ma?

– Nie zaglądałam pod łóżka ani nie sprawdzałam zawartości skrzyni na łód – odparła chłodnym tonem. – Po prostu kiedy nie zareagował na dzwonek, weszłam i ze szczytu schodów głośno zapytałam, czy jest ktoś w domu. Potem zesłam na dół i powtórzyłam pytanie. A nawet pozwoliłam sobie zerknąć do sypialni.

– Dokładnie tak się to odbyło? – zapytałem.

– Dokładnie tak – zapewniła, potrząsając energicznie głową, po czym nieoczekiwanie dorzuciła:

– Przepraszam, ale nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

– Vance – poinformowałem ją uprzejmie. – Philo Vance.

– I w którym towarzystwie kredytowym jest pan zatrudniony, panie Vance?

– Chwilowo jestem bez pracy – wyznałem. – Ale odzyskam ją, kiedy policja zrobi wreszcie porządek z tym, co się wyprawia w tej firmie.

Nie tała zdumienia.

– Ale przecież przyszedł pan tu w sprawie spłaty samochodu!

– To tylko taka mała robótka – wyjaśniłem. – Na zlecenie, rozumie pani.

Podniosła się z krzesła i przyjrzała mi się z zastanowieniem. Kiedy się znowu odezwała, jej głos pobrzmiwał lodowatym chłodem:

– W takim razie sądzę, że najlepiej będzie, jeśli bezzwłocznie opuści pan ten dom.

Mimo wszystko spróbowałem jeszcze dopiąć swego.

– Pomyślałem sobie, że mógłbym przedtem, za pani przyzwoleniem oczywiście, trochę się tu jednak rozejrzeć. Mogła pani przeoczyć coś ważnego.

– Nie sądzę, żeby zachodziła taka potrzeba – zgasła mnie bez wahania. – To mój dom, panie Vance, i byłabym wdzięczna, gdyby go pan natychmiast opuścił.

– Bo jeśli nie wyjdę, to znajdzie się ktoś, kto mnie do tego nakłoni?... – domyśliłem się. – Niech pani jednak usiądzie, pani Fallbrook. Ja tylko rzucę okiem tu i ówdzie. Bo widzi pani, z tym pistoletem to bardzo dziwna sprawa.

– Przecież powiedziałam panu, że leżał na schodach! – zakrzyknęła gniewnie. – To wszystko, co na jego temat wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia o broni i nigdy... Nigdy w życiu z niczego nie strzelałam!

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczkę i wysiąkała nos.

– Owszem, powiedziała mi pani, że leżał na schodach. Ale to jeszcze nie znaczy, że ja muszę w to uwierzyć.

Wyciągnęła ku mnie rękę patetycznym gestem heroiny jakiejś tragedii scenicznej.

– Och, nie powinnam tu była wchodzić! – jęknęła boleśnie. – Wiem, że postąpiłam okropnie. I wiem, że gdyby pan Lavery dowiedział się o tym, byłby na mnie po prostu wściekły.

– Jest coś jeszcze, czego nie powinna była pani zrobić – sprostowałem. – Nie powinna pani dopuścić do tego, żebym mógł stwierdzić, że z tego pistoletu wystrzelono wszystkie naboje. Od tego momentu nie miała pani już żadnych asów w ręku.

W przypiływie złości tupnęła nogą. Właśnie czegoś takiego brakowało jeszcze tej scenie. Teraz prezentowała się wręcz perfekcyjnie.

– Ty podły oszuście! – wysyczała. – Nie waż się mnie dotknąć! Nie waż się zbliżyć do

mnie nawet o krok! Nie zostanę z tobą w tym domu ani chwili dłużej. Jak śmiesz tak znieważać kobietę, która...

Głos załamał się jej dramatycznie i z pochyloną głową i przekrzywionym kapeluszem rzuciła się ku drzwiom. Mijając mnie, wyciągnęła w bok sztywno wyprostowaną rękę, jak gdyby chciała mnie odepchnąć, tyle że dzieliła nas zbyt duża odległość, a poza tym ja nawet się nie poruszyłem.

Gwałtownym szarpnięciem otworzyła na całą szerokość drzwi, wyskoczyła na zewnątrz i pobięła ścieżką do wyjścia na ulicę.

Drzwi powoli się przymykały, lecz ich skrzypienie nie zagłuszyło stukotu jej spiesznych kroków.

Przeciągnąłem paznokciem po zębach, po czym, machinalnie opukując knykiem policzek, zacząłem nasłuchiwać. Lecz znikąd nie dobiegło mnie nic, w co warto byłoby się wsłuchać.

Zastanawiałem się: automatyczny, sześciostrzałowy, i sześć razy z niego strzelono.

Głośno powiedziałem sam do siebie:

– Coś się w tej scenie zupełnie nie zgadza.

Dom wydawał mi się teraz nienaturalnie zastygły w absolutnej martwocie.

Przeszedłem parę kroków morelowym chodniczkiem, a następnie pod łukiem dotarłem do szczytu schodów, gdzie zatrzymałem się na długą chwilę, z nadzieją że jednak wyłowię z tej ciszy jakiś dźwięk.

Po czym wzruszyłem ramionami i starając się cicho stawiać stopy na schodach, zszedłem na dół.

ROZDZIAŁ 16

ZNALAZŁEM SIĘ w korytarzu, gdzie mogłem wybierać wśród czworga drzwi. Dwoje na każdym krańcu i dwoje pośrodku, jedno koło drugich. Za pierwszymi znajdowała się szafa na pościel, drugie były zamknięte na klucz. Doszedłem więc do końca korytarza i za trzecimi z kolei drzwiami znalazłem sypialnię. Jej okna były jednak szczelnie zasłonięte żaluzjami i nic nie świadczyło o tym, żeby ktoś z niej korzystał.

Wróciłem na drugi koniec. Tu także mieściła się sypialnia z szerokim łóżem, z dywanikiem w kolorze mlecznej kawy, kanciastymi meblami z jasnego drewna i toaletką z prostokątnym lustrem, nad którym zamontowana była długa świetlówka. Na umieszczonym w rogu stoliku z lustrzanym blatem stała kryształowa figurka charta, a obok niej kryształowa szkatułka wypełniona papierosami.

Na toalecie rozsypany był puder, na zawieszonym nad koszem na śmieci ręczniku – ślad po ciemnej szmince, na łóżku dwie ułożone obok siebie poduszki, a na nich wgłębienia odcisnięte przez dwie głowy. Spod jednej z poduszek wystawał rożek damskiej chusteczki do nosa, w nogach łóżka leżały obok siebie dwie czarne piżamy, a w powietrzu można było wyczuć zapach zbyt agresywnych perfum.

Ciekaw byłem, co sobie o tym wszystkim pomyślała pani Fallbrook.

Odwróciłem się i zobaczyłem swoje odbicie w wysokim lustrze przymocowanym do drzwi szafy na ubrania. Same drzwi pomalowane były na biało i odznaczały się kryształową klamką. Przekręciłem ją przez chusteczkę i zajrzałem do środka. Większość przestrzeni pomiędzy ściankami z cedrowego drewna wypełniały męskie ubrania znajomo pachnące tweedową tkaniną.

Ale nie tylko mężczyzna korzystał z tej szafy. Wisiał tam również elegancki czarno-biały damski kostium, bez wątpienia uszyty na miarę, a pod nim stały damskie pantofle, w większości czarne lub czarno-białe. Na umieszczonej pod sufitem półce spoczywał damski kapelusz typu panamą, opasany czarno-białą wstążeczką. Były tam jeszcze inne kobiece stroje, ale nie przyglądałem się im zbyt dokładnie.

Zamknąłem szafę i nie chowając chusteczki do kieszeni, nacisnąłem kolejną klamkę.

Za drzwiami obok schowka na pościel mogłem się tylko domyślać łazienki, gdyż były zamknięte. Szarpnąłem je, ale zamek nie ustąpił. Pochyliłem się i dostrzegłem w środku okrągłej, obracającej się klamki wąską szparkę. Zrozumiałem, że łazienkę można było zamknąć albo od wewnątrz, wciskając guzik w środku gałki, albo od zewnątrz, za pomocą płaskiego metalowego kluczyka bez ząbków, żeby w przypadku czyjegoś omdlenia, albo gdyby dziecko zamknęło się w łazience i nie chciało wyjść, można było odblokować zamek przy użyciu jakiegoś prostego narzędzia.

Logika podpowiedziała mi, że taki kluczyk powinien leżeć na górnej półce schowka na pościel, ale go tam nie było. Spróbowałem zastąpić go ostrzem mojego szczyryka, okazało się jednak za cienkie. Wróciłem więc do sypialni i na blacie toaletki znalazłem pilniczek do paznokci. Pasował. Łazienka stanęła przede mną otworem.

Na przymocowanym do ściany haku wisiała beżowa męska piżama. Na podłodze leżała para zielonych pantofli. Na umywalce – maszynka do golenia i nie zakręcona tubka kremu do golenia. Okno łazienki było zamknięte, toteż nie ulotnił się z niej jeszcze jakiś szczególnie, intensywny zapach, który zdecydowanie wyróżniał się spośród innych zapachów.

Na zielonych kafelkach posadzki zobaczyłem trzy błyszczące miedziane łuski. Puste. W grubej, matowej szybie okna, której powierzchnia naśladowała zmarznięty szron, widniał czysto wykrojony okrągły otworek. Z kolei na ścianie po lewej stronie i nieco powyżej okna widniały dwa miejsca, z których odpadła farba, odsłaniając biały tynk. Wewnątrz tych bielejących odprysków tkwiły dwa niewielkie przedmioty, które nieodparcie przywodziły na myśl pociski małego kalibru.

Kabina prysznica zasłonięta była szczelnie biało-zieloną kurtynką z impregnowanego jedwabiu, przymocowaną do błyszczących chromowanych kółek, które można było ściągać i rozsuwać wzdłuż metalowego drążka. Ściągnąłem je więc na jedną stronę, przy czym chromowane kółka zazgrzytały dźwięcznie na grzbiecie drążka. Nie wiem czemu, ale miałem wrażenie, że usłyszałem nieprzyzwoicie wręcz głośny łoskot.

Kiedy się pochylałem, coś mi strzeliło w karku. To był oczywiście on. Znalazłem go w ostatnim pomieszczeniu, w którym mogłem się jeszcze spodziewać tego odkrycia. Leżał skulony w rogu, wprost pod dwoma błyszczącymi kurkami, a z chromowanego sitka prysznica skapywały mu na piersi pojedyncze krople wody.

Kolana były podciągnięte, lecz rozchylone. Dwa ciemnoniebieskie otwory po kulach znajdowały się tak blisko serca, że każda z nich musiała być śmiertelna. Krew zmyła z pewnością cieknąca z góry woda.

Jego otwarte szeroko oczy miały dziwny wyraz. Jak gdyby rozjaśniało je oczekiwanie

czegoś bardzo miłego, w rodzaju zapachu porannej kawy, do której zaraz spodziewał się zasiąść.

To była czysta, szybka i stuprocentowo skuteczna robota. Wyobraziłem sobie, jak właśnie skończył się golić, zdjął piżamę i wszedł do kabiny. Jeszcze nie staje pod prysznicem, tylko odsunięty na długość ramion manipuluje kurkami, regulując temperaturę wody.

Ktoś otwiera drzwi łazienki, podchodzi. Ten ktoś to kobieta, która teraz mierzy do niego z pistoletu. Zaledwie spojrzał w wylot lufy – kobieta zaczyna strzelać.

Aż trzy strzały są niecelne. Zdawałoby się, że z tej odległości po prostu nie można chybić, a jednak tak się właśnie stało. Może zawsze tak się zdarza w tego rodzaju sytuacjach? Nie wiem. W końcu nie wszystko jeszcze widziałem w swojej karierze prywatnego detektywa.

Nie miał gdzie się skryć ani dokąd uciekać. Gdyby zaliczał się do mężczyzn, którzy do ostatniej chwili nie dają za wygraną, i gdyby starczyło mu odwagi, to mógł spróbować rzucić się na nią i walczyć. Ale jeśli akurat pochylił się, żeby przykręcić kurki, a za jedyne oparcie mogła mu posłużyć jedynie wiotka kurtynka, to łatwo mógł stracić równowagę. Poza tym na moment musiała go sparaliżować panika, jeśli reagował tak jak większość ludzi.

Więc znajduje jedyne wyjście, jakie mu pozostało. Cofa się, ale kabina prysznicowa jest ciasna, toteż zatrzymuje go pokryta kafelkami ściana. Jest teraz dosłownie przyparty do muru. Nie uda mu się umknąć przed pociskami. Nie uda mu się przeżyć.

Padają dwa, może trzy kolejne strzały, po których osuwa się po ścianie i pada, i w jego oczach nie ma już nawet przerażenia. Zgasła je śmierć, która wypełnia oczy pustką.

Kobieta przechyla się ponad jego ciałem i zakręca kurki. Idzie ku drzwiom łazienki i przed wyjściem wciska blokadę zatrasku. Wreszcie na schodach prowadzących do wyjściowych drzwi wypuszcza z dłoni pistolet.

Dopiero potem zacznie ją pewnie gnębić myśl o tym porzuconym na schodach pistolecie. Ponieważ prawdopodobnie broń należała do niego, ale czy rzeczywiście? Z mojego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby tak właśnie było.

Pochyliłem się i ująłem jego rękę. Była równie zimna jak blok lodu i tak samo sztywna.

Wyszedłem z łazienki, nie zatraskując drzwi. Gdybym to zrobił, dołożyłbym tylko niepotrzebnej roboty glinom.

Udałem się do sypialni i wyjąłem spod poduszki tę chusteczkę. Był to niewielki skrawek materii, obrębiony po brzegach czerwoną nicią. W jednym z rogów, także na czerwono, wyhaftowane były maleńkie inicjały. A.F.

– Adrienne Fromsett – powiedziałem na głos. Po czym zaśmiałem się. Tylko że ten mój śmiech zabrzmiał dość upiornie.

Strzepnąłem energicznie chusteczkę, żeby otrząsnąć z niej pyłki pachnącego pudru, złożyłem ją kilkakrotnie i wsunąłem do kieszeni. Potem wszedłem na górę i przepatrzyłem szuflady stojącego pod ścianą salonu biurka. Nie zawierały żadnych godnych uwagi listów, żadnych notesów z numerami telefonów albo okładek po zapalkach z reklamami podejrzanych lokali rozrywkowych. Chyba że ich po prostu nie umiałem znaleźć.

Spojrzałem w stronę telefonu. Stał na stoliczku w pobliżu kominka. Sznur słuchawki był na tyle długi, aby pan Lavery mógł sobie swobodnie leżeć na otomanie z papierosem w atrakcyjnie zarysowanych ustach i w tej pozycji, sięgając od czasu do czasu po stojącą na stoliku szklankę z przyjemnie chłodnym drinkiem, prowadzić miłą i długą konwersację ze swoją aktualną przyjaciółką.

Jedną z tych swobodnych, leniwie prowadzonych w klimacie tyleż żartobliwym, co i dwuznacznie zerotyzowanym, zarazem ani zbyt subtelnym, ani zbyt śmiałym rozmów, które z pewnością bardzo lubił.

I których musiał teraz na zawsze zaniechać.

Odwróciłem się od telefonu i udałem się do wyjścia. Przez chwilę manipulowałem przy zamku frontowych drzwi, który ustawiłem w taki sposób, żeby dały się domknąć, ale umożliwiły mi zarazem jeszcze jedną wizytę w tym domu. Wyszedłem na ścieżkę przed domem i zatrzymałem się, żeby w blasku słońca spokojnie przyjrzeć się poprzez ulicę siedzibie doktora Almore'a. Tym razem nikt z niego nie wybiegł z krzykiem i nikt nie wszczął alarmu za pomocą policyjnego gwizdka. Wszystko wokół w całkowitym bezruchu syciło się słońcem i ciszą. Nie było wszak żadnego powodu do niepokoju czy ekscytacji; to tylko Marlowe znalazł jeszcze jednego nieboszczyka w swojej karierze. Pod tym względem ma całkiem szczęśliwą rękę. Nazywają go nawet „Marlowe-Trupnadzień”. Niektórzy zastanawiają się, czy by nie wynająć w celach zarobkowych karawanu, który podążałby śladem zleconych Marlowe'owi spraw.

A poza tym to w gruncie rzeczy całkiem miły facet, ten Marlowe. Choć fakt, że wynalazł dość szczególnie sposób zdobywania sobie ludzkiej sympatii.

Doszedłem do półkolistego placyku, uruchomiłem silnik mojego chryslera, zawróciłem i opuściłem to zaciszne miejsce.

ROZDZIAŁ 17

BOY W KLUBIE SPORTOWYM wrócił po trzech minutach i ruchem głowy dał mi znać, żebym poszedł za nim. Wjechaliśmy windą na trzecie piętro, gdzie za zakrętem korytarza wskazał mi na wpół uchylone drzwi.

– Za rogiem na lewo, proszę pana. I zechce pan łaskawie zachowywać się jak najciszej, ponieważ paru naszych członków zapadło w drzemkę.

Wkroczyłem do czytelnicy. Za szklanymi szybami półek stały w szeregach książki, na długim stole pośrodku sali leżały magazyny i czasopisma, a ze ściany, z podświetlonego portretu patrzył na swoje dzieło twórca i zarazem fundator klubu.

Na pierwszy rzut oka można by dojść do wniosku, że czytelnica w głównej mierze przeznaczona jest do spania. Sposób, w jaki poustawiano regały z książkami, sprawił, że powstała spora liczba małych, przytulnych pomieszczeń. W tych swoistych alkowach stały skórzane fotele z wysokimi oparciami, niewiarygodnie obszerne i z pewnością niebywale wygodne. Część z nich okupowali szacowni członkowie klubu, odznaczający się nader zaawansowanym wiekiem i fioletowymi obliczami, które świadczyły o ich wysokim ciśnieniu. Z pociętych żyłkami nosów wydobywało się delikatne chrapanie.

Kilka schodków prowadziło na wyższy poziom czytelnicy. Spojrzałem w lewo i wypatrzyłem Derace'a Kingsleya, który zajmował ostatnią alkowę na samym końcu sali. Wyposażona była w dwa zestawione ze sobą pod kątem fotele, których oparcia niemal całkowicie zasłaniały ich użytkowników przed wzrokiem ewentualnych ciekawskich. Spod jednego z nich wystawała duża, ciemnowłosa głowa Kingsleya. Powitałem go skinieniem głowy i zanurzyłem się w drugim.

– Niech pan nie podnosi głosu – uprzedził mnie na samym wstępie. – To jest miejsce poobiedniej drzemki. Ale do rzeczy. Co się dzieje? Zatrudniłem pana po to, żeby mnie pan uwolnił od kłopotów, a nie po to, żeby mi ich pan przysparzał! Przez pana musiałem odwołać ważne spotkanie.

– Wiem – powiedziałem, zbliżając ku niemu twarz, dzięki czemu owiał mnie przyjemny zapach alkoholu. – Ale Lavery został zastrzelony.

Zauważyłem, że jego brwi raptownie się podniosły, a na twarzy pojawił się ten właściwy mu kamienny wyraz. Zacisnął zęby i poruszył swoją wielką dłoń, która spoczywała na kolanie.

– Proszę kontynuować – powiedział wreszcie.

Odwrociłem głowę i rozejrzałem się ponad oparciem fotela. Najbliżej nas ulokowany weteran klubowych obiadków pogrążony był w głębokim śnie, o czym świadczyło regularne falowanie włosów, które porastały wewnątrz jego nozdrzy.

– U Lavery’ego nikt nie odpowiadał – zacząłem. – Drzwi były lekko uchylone. Ale już wczoraj zauważyłem, że się nie domykają, więc wszedłem. W pokoju mrok, dwie koktajlowe szklanki ze śladami użycia. Absolutna cisza. Aż raptem po schodach wchodzi z dołu szczupła brunetka. Na rękę rękawiczka, w rękawiczkę pistolet. Mówi, że nazywa się Fallbrook i jest właścicielką tego domu. Tę pukawkę właśnie znalazła na schodach. A w ogóle to przyszła tam, żeby wydusić z Lavery’ego zaległy czynsz za trzy miesiące. Drzwi otworzyła swoim kluczem. Tłumaczy to chęcią sprawdzenia, czy jej lokator utrzymuje dom w porządku. Biorę ten pistolet i stwierdzam, że niedawno z niego ktoś strzelał, ale jej tego nie zdradzam. Mówi, że Lavery’ego nie ma w domu. Więc z rozmysłem czepiam się jej aż do skutku, to znaczy do wściekłego trzaśnięcia drzwiami. Wiem, że mogłaby wezwać policję, ale stawiam na to, że po prostu wróci do siebie i do przystrzygania różanych krzewów, i o wszystkim zapomni. Choć nie o zaległym czynszu, rzecz jasna.

Zrobiłem małą przerwę i przyjrzałem się Kingsleyowi. Siedział pochylony ku mnie, chodziły mu mięśnie okołoszczękowe, zacisnął zęby, a oczy świadczyły o nie najlepszym stanie ducha i ciała.

– Schodzę na dół. Są tam rzeczy, po których widać, że Lavery’emu towarzyszyła w nocy jakaś kobieta. Druga piżama, puder do twarzy, perfumy i tak dalej. Łazienka zamknięta, zamek zablokowany. Ale dostaję się w końcu do środka. Na podłodze trzy puste łuski, dwa pociski w ścianie, jeden przeszedł przez okno. A pod prysznicem Lavery, goły i martwy.

– Mój Boże! – wyszeptał wstrząśnięty Kingsley. – Więc on według pana spędził noc z kobietą, która go rano zastrzeliła w łazience?!

– Dokładnie to próbowałem panu powiedzieć.

– Proszę ściszyć głos – upomniał mnie odruchowo. – To dla mnie, rzecz jasna, szok. Dlaczego akurat w łazience?!

– Pan też mógłby ściszyć głos – zauważyłem. – A dlaczegoż by nie w łazience? Przychodzi panu do głowy jakieś inne miejsce, w którym mężczyzna byłby jeszcze bardziej zaskoczony i bezbronny?

– Nie wie pan, czy zastrzeliła go kobieta. To znaczy nie jest pan tego pewny, prawda?
– zapytał.

– Nie jestem – przyznałem. – Mógł to zrobić ktoś, kto rozmyślnie posłużył się małym pistolecikiem i do tego oddał niecelne strzały, żeby podejrzenie padło na kobietę. Okno łazienki wychodzi na puste zbocze wzgórza, toteż nie sądzę, żeby ktoś na zewnątrz domu usłyszał strzały. Kobieta, która spędziła z nim noc, mogła już wcześniej opuścić dom. Jak również w ogóle mogło tam nie być żadnej kobiety, a zabójca po prostu upozorował jej obecność. Mógł nim być nawet pan.

– Ależ po co miałbym go zabijać?! – wyjąkał płaczliwym głosem, zaciskając dłonie na kolanach. – Ja jestem cywilizowanym człowiekiem, panie Marlowe!

Oba te argumenty nie warte były najmniejszej uwagi, więc zamiast je kwestionować, spytałem:

– Czy pańska żona ma broń?

Zwrócił ku mnie naznaczoną cierpieniem twarz i niemal jęknął:

– Na miłość boską, człowieku! Chyba nie myśli pan, że...

– Ma czy nie ma?

Wreszcie zacinającym się głosem wybąkał:

– Tak. Ma. Taki mały... automatyczny pistolet.

– Kupił go pan u jakiegoś tutejszego sprzedawcy?

– Ja... Prawdę mówiąc, ja go wcale nie kupiłem. Parę lat temu zabrałem go jakiemuś zalanemu facetowi, który nim wymachiwał na przyjęciu. To było w San Francisco. Wydawało mu się w pijanym widzie, że to bardzo zabawne. No i jakoś nigdy mu go nie oddałem.

Ścisnął brodę palcami tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.

– On pewnie nawet tego nie pamięta – dokończył. – Jak się upił, to urywał mu się film.

– To wszystko układa się aż za gładko – zauważyłem. – Rozpoznałby pan ten pistolet?

Zamyślił się w skupieniu, z lekko wysuniętą dolną szczęką i przymkniętymi oczyma, ja zaś jeszcze raz odwróciłem głowę i rozejrzałem się po sali. Jeden z drzemiących staruszków właśnie się ocknął, a ściślej mówiąc, obudziło go własne potężne chrapnięcie, po którym zerwał się tak gwałtownie, że omal nie spadł z fotela. Odchrząknął z godnością, potarł wysuszoną i wychudzoną dłonią nos, po czym z ukośnej kieszonki swojej kamizelki wyciągnął złotą cebulę. Przypatrzył się jej zmaconym nieco wzrokiem, z powrotem wetknął do kieszonki i na nowo podjął przerwana drzemkę.

Również i ja sięgnąłem teraz do kieszeni. Wyjąłem z niej pistolet i dyskretnie wsunąłem go w dłoń Kingsleya. Przyjrzał mu się z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

– Nie wiem – powiedział z wahaniem. – W zasadzie wydaje się podobny, ale nie jestem pewny.

– Z boku wybity jest numer – podpowiedziałem.

– Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by zapamiętał numer swojej broni.

– Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że pan także nie będzie tego pamiętał – powiedziałem. – W przeciwnym razie bardzo bym się zaniepokoił.

Objął rękojeść palcami i położył pistolet na fotelu.

– Podły szczur – powiedział cicho. – Przypuszczam, że ją porzucił.

– Nie bardzo rozumiem, panie Kingsley. Skoro dla pana nie byłby to wystarczający powód, żeby go zabić, zwłaszcza że jest pan cywilizowanym człowiekiem, to dlaczego miałby być wystarczający dla niej?

– Po pierwsze nie byłby to ten sam powód – odparł sucho. – A po drugie, kobiety są o wiele bardziej porywcze od mężczyzn.

– Na upartego można by też powiedzieć, że koty są bardziej porywcze od psów – rzuciłem.

– Jak to?

– Niektóre kobiety są bardziej porywcze niż niektórzy mężczyźni. Tylko tak można by to ująć. Jeśli chce pan, żeby to pańska żona była zabójczynią, to będzie pan musiał podać jakiś bardziej prawdopodobny motyw.

Zwrócił ku mnie twarz tylko na tyle, żeby móc mi spojrzeć w oczy wzrokiem, w którym nie było się ani odrobiny rozbawienia. W kącikach jego ust pojawiły się małe, zbielełe półkola.

– Nie wydaje mi się, żeby to było coś, o czym można mówić takim lekkim tonem, panie Marlowe – stwierdził. – Ten pistolet nie może trafić w ręce policji. Crystal wyrobiła sobie na niego zezwolenie i figuruje w oficjalnych rejestrach. Po prostu nie mogą się o nim dowiedzieć.

– Ale pani Fallbrook wie, że miałem go w ręku.

Z uporem potrząsnął głową.

– Trzeba podjąć to ryzyko. Wiem, że pan i tak ryzykuje, i zamierzam to panu odpowiednio wynagrodzić. Owszem, gdyby można było tę śmierć uznać za samobójstwo, to powiedziałbym tak, podrzucmy ten pistolet. Ale z tego, co mi pan powiedział, samobójstwo jest wykluczone.

– Jak najbardziej. Musiałby trzykrotnie nie trafić do samego siebie. Zresztą nie namówi mnie pan na zatajenie dowodu morderstwa, nawet gdyby pan dorzucił dziesięć

dolców premii. Ta broń musi tam wrócić.

– Myślałem o trochę większej premii – powiedział spokojnie. – Myślałem o pięciuset dolarach.

– I niby co chciałby pan sobie za to kupić?

Pochylił się w moją stronę. W patrzących na mnie z bardzo bliska oczach rozpoznałem powagę i zasmucenie, ale nie znalazłem w nich twardej determinacji.

– Czy oprócz tego pistoletu znalazł pan u Lavery’ego jeszcze coś, co by dowodziło, że Crystal niedawno tam była?

– Biało-czarny kostium i kapelusz. Takie same jak mi je opisał chłopiec hotelowy w San Bernardino. A może jest tam jeszcze tuzin innych śladów, których ja nie znalazłem. Prawie na pewno zostawiła tam odciski palców. Twierdzi pan, że nigdy ich jej nie zdejmowano, ale to wcale nie znaczy, że policja nie znajdzie wzorca. Musi ich być pełno choćby u pana w domu. W jej sypialni. Jak również w chacie nad jeziorem. Wreszcie w jej samochodzie.

– Powinniśmy ten samochód...

Przerwałem mu:

– To nic nie da. Za wiele jest innych takich miejsc, które znajdzie policja. Jakich perfum używa pańska żona?

To pytanie najwyraźniej go zaskoczyło i musiał się chwilę zastanowić, nim odpowiedział wahającym się głosem:

– Och... Naszych Gillerlain Regal... Od czasu do czasu któregoś z numerów Chanela...

– Jaki ma zapach ta wasza specjalność?

– Taki... Dominuje w nim drzewo sandałowe.

– W takim razie ta sypialnia pachniała tylko tym. A myślałem, że to jakaś taniocha. Czyli że i na perfumach też się nie znam.

– Taniocha?! – oburzył się ugodzony do żywego Kingsley. – Mój Boże! Taniocha! Sprzedajemy je po trzydzieści dolarów za mały flakonik!

– Może i tak, ale dla mnie to śmierdziało, jakby było po trzy dolary za galon.

Załamany, pozwolił dłoniom bezwładnie opaść na kolana i parokrotnie potrząsnął głową.

– Nieważne – powiedział. – Wróćmy do sprawy pieniędzy. Pięćset dolarów. I wyjdzie pan stąd z czekiem.

Skwitowałem tę ofertę kompletnym milczeniem.

Za plecami naszych foteli jeden z oldboyów podźwignął się na nogi i trochę jakby po

omacku, niepewnym krokiem poczłapał ku drzwiom.

Kingsley przybrał teraz surowy ton.

– Wynająłem pana po to, żeby uchronił mnie pan przed skandalem i w razie potrzeby chronił także moją żonę. Nie dopatruję się pańskiej winy w tym, że szanse na uniknięcie skandalu są już praktycznie żadne. Trudno. Ale to jest kwestia życia mojej żony. Nie wierzę, że zastrzeliła Lavery’ego. Nie widzę żadnego powodu, żeby w to uwierzyć. Absolutnie żadnego. Ale przeczuwam wyrok skazujący. Jeżeli nawet rzeczywiście była tam tej nocy i jeżeli rzeczywiście to jej pistolet, nie dowodzi to jeszcze, że ona go zabiła. Mogła w końcu beztróska zawieruszyć gdzieś tę broń, jak to się jej zdarza z wieloma rzeczami, i byle kto mógł się nią posłużyć.

– Tamtejsi policjanci nie będą się wysilać, żeby dowieść prawdziwości tej pańskiej hipotezy – powiedziałem. – Jeżeli ten, z którym miałem do czynienia, to typowy okaz, to chłopcy posadzą pierwszą podejrzaną osobę, jaka im się nawinie, i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku znowu spokojnie będą sobie rznąć w oczko. A nie ma wątpliwości, że jak tylko poskładają to wszystko do kupy, to taką pierwszą podejrzaną będzie nie kto inny, tylko pańska żona.

W geście tragicznej bezradności i rozpacz przytknął splecione dłonie do czoła. Był to gest nieco teatralny, ale w prawdziwych życiowych tragediach często się takie zdarzają.

– Do pewnego stopnia zgadzam się z panem – przyznałem. – Ten zestaw śladów i poszlak jest na pierwszy rzut oka tak przekonujący, że aż zbyt doskonały. Są tam ciuchy, w których ją widywano, i zapewne można będzie dowieść, że sama je kupiła. Jest narzędzie zbrodni, które porzuciła na schodach. Aż trudno uwierzyć, żeby cyniczna zabójczyni aż tak głupio się zachowała.

– Te słowa trochę podniosły mnie na duchu – powiedział słabym głosem Kingsley.

– Ale wszystko to niewiele znaczy – odparłem. – Ponieważ wynika z logicznego myślenia, a ludzie, którzy zabijają w afekcie albo w odruchu nienawiści – po prostu zabijają i wychodzą, nie myśląc o śladach. Wszystko, czego się dowiedziałem o pańskiej żonie, wskazuje, że jest osobą lekkomyślną i zwariowaną. Nic z tego, co zobaczyłem na miejscu zbrodni, nie świadczy, że została ona zaplanowana. A nawet więcej: wszystko dowodzi braku jakiegokolwiek planu. Choćby jednak nie było tam najmniejszego śladu pobytu pańskiej żony, policja i tak wytropi jej związek z Laverym, badając jego przeszłość, tryb życia, przyjaźnie i kobiety. Po czym skojarzy to z faktem, że od miesiąca nikt jej nie widział, i to już będzie woda na ich młyn. A jeśli jeszcze ustalą, że ta broń należała do niej...

W tym momencie odruchowo sięgnął po leżący na fotelu pistolet, więc powiedziałem:

– To na nic, panie Kingsley. Będziemy musieli dać im tę pukawkę. Marlowe może sobie być bardzo cwany facetem i może być panu osobiście bardzo oddany, ale nigdy nie pójdzie na zatajenie tak kluczowego dowodu, jak narzędzie zbrodni. Cokolwiek teraz zrobię, będę to musiał robić ze świadomością, że pańska żona jest główną, w sposób oczywisty dla policji, podejrzaną, ale też jednocześnie że ta oczywistość może być tylko pozorna.

Wydał z siebie pomruk niezadowolenia, lecz podał mi pistolet. Włożyłem go do kieszeni, ale zaraz go z niej wyjąłem.

– Niech mi pan użyczy swojej chusteczki do nosa – poprosiłem. – Mógłbym użyć własnej, ale muszę liczyć się z rewizją.

Gdy podał mi nakrochmaloną białą chusteczkę, wytarłem nią dokładnie pistolet i wsunąłem go z powrotem do kieszeni.

– Moje odciski to nie problem, ale pańskich w żadnym razie nie powinni na tym znaleźć – wyjaśniłem. – A teraz powiem panu, co muszę zrobić w pierwszej kolejności. Muszę pojechać do tego domu, odłożyć na miejsce pistolet, powiadomić gliny i odpowiedzieć na wszystkie ich pytania. I to tak, żeby wszystko trzymało się kupy. Poczynając od tego, co tam w ogóle robiłem i dlaczego. A potem zobaczymy. W najgorszym razie dojdą do pańskiej żony i dowiodą, że to ona jest morderczynią. W najlepszym – uda im się ją znaleźć o wiele szybciej, niż ja bym tego mógł dokonać, ale za to pozwolą mi próbować dowieść, że to nie ona jest zabójczynią, co w istocie oznaczać będzie, że spadnie na mnie obowiązek znalezienia prawdziwego mordercy. Przystaje pan na to?

Przytaknął powolnym ruchem głowy, a potem dopiero powiedział:

– Tak. – I zaraz dorzucił: – Przy czym tych pięćset dolarów dalej będzie na pana czekało. Tym razem jako premia za to, że dowiedzie pan niewinności Crystal.

– Nie jestem pewny, czy uda mi się na nie zasłużyć, i wolę, żeby z góry był pan na to przygotowany – odparłem. – Jeszcze tylko proszę mi powiedzieć, czy panna Fromsett dobrze знаła Lavery’ego? To znaczy pozasłużbowo?

Na jego twarzy zobaczyłem nagle skrzywienie, jak gdyby chwycił go bolesny skurcz. Jednocześnie jego wielkie dłonie spoczywające na kolanach zacisnęły się w pięści. Ale nie odpowiedział na moje pytanie.

– Miała jakiś dziwny wyraz twarzy, kiedy wczoraj rano zapytałem ją o adres Lavery’ego – wyjaśniłem.

Odetchnął głęboko.

– Tak jakby przełknęła coś nieświeżego – dodałem. – Przyszło mi do głowy, że miała z nim romans, który się nieprzyjemnie skończył. – Przepraszam, jeśli wyraziłem się mało

ogłędnie.

Zobaczyłem, jak drgnęły mu nozdrza, i usłyszałem, jak ze świstem zaczerpnął przez nie powietrza.

Po czym odprężył się i powiedział cicho:

– Łączyła ich... przez jakiś czas... dość bliska znajomość. Jest tego typu dziewczyną, że kiedy jej się ktoś spodoba, to... A Lavery, jak wiadomo, był... mężczyzną, który fascynował kobiety.

– Będę musiał z nią pogadać – powiedziałem.

– Dlaczego? – spytał krótko. Na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy.

– Tym już nie musi pan sobie zawracać głowy, panie Kingsley. Na tym między innymi polega moja robota, żeby najróżniejszym ludziom zadawać najróżniejsze pytania.

– W takim razie niech pan z nią porozmawia – powiedział oschłym tonem. – Przy okazji mogę pana poinformować, że była znajomą państwa Almore'ów. Dobrze znała panią Almore. Tę, która się zabiła. Lavery też ją znał. Myśli pan, że to może mieć jakiś związek z całą tą sprawą?

– Jeszcze nie wiem – odparłem. Po czym palnąłem prosto z mostu: – Jest pan w niej zakochany, prawda?

– Gdyby to było możliwe, ożeniłbym się z nią choćby jutro – odparł tonem, jakim odpowiada się na oficjalne pytania.

Skinąłem mu głową i wydostałem się z przepastnego fotela. Obrzuciłem spojrzeniem czytelnię, która już niemal opustoszała. Jeszcze tylko w przeciwległym kącie pochrapywały sobie jakieś dwa zabytkowe okazy członków Klubu Sportowego. Pozostali miłośnicy sportu i wygodnych skórzanych foteli porozchodzili się do jakichś swoich zajęć, które im przerywały drzemkę.

– I już ostatnia rzecz – przypomniałem sobie, wracając spojrzeniem do Kingsleya. – Gliniarze zawsze są strasznie wściekli, kiedy powiadamia się ich o morderstwie z opóźnieniem. Ja tymczasem już się z tym spóźniłem i jeszcze bardziej się spóźnię. Mam nadzieję, że uda mi się stworzyć wrażenie, że właśnie wpadłem tam z pierwszą wizytą i bezzwłocznie powiadamiam ich o tym, co znalazłem. Pod warunkiem że na scenie nie pojawi się pani Fallbrook.

– Jaka znów Fallbrook, do diabła?! – Po chwili przypomniał sobie jednak. – A tak, pamiętam. To ta...

– Otóż właśnie proszę, żeby pan sobie nigdy o niej nie przypomniał. Chociaż jestem prawie całkiem pewny, że nie piśnie słowa o naszym spotkaniu. To nie jest osoba, która z

własnej woli chciałaby mieć do czynienia z policją.

– Rozumiem.

– Więc niech pan w takim razie postara się nie popełnić w tej rozgrywce błędu. Bo pierwsze pytania, na które będzie pan musiał odpowiedzieć, padną, *zanim jeszcze* dotrze do pana wiadomość o śmierci Lavery’ego. I zanim pozwolą mi się z panem skontaktować. To znaczy... w zależności od tego, czy wiedzą, czy też nie, że dla pana pracuję. Więc niech pan się nie da złapać na jakieś podchwytliwe pytanko. Bo jeżeli się pan zapłacze, to nie będę w stanie niczego więcej się dowiedzieć. Po prostu wyląduję w ciupie.

– Mógłby pan jeszcze zadzwonić do mnie stamtąd... To znaczy, zanim zawiadomi pan policję – zauważył przytomnie.

– Wiem – odparłem. – Ale fakt, że do pana stamtąd nie zadzwoniłem, będzie świadczył na moją korzyść. Ponieważ jedną z pierwszych rzeczy, jakie w takich przypadkach robi policja, jest sprawdzenie, z kim rozmawiały i rozmawiają interesujące ją osoby. Więc gdybym nawet zadzwonił do pana z jakiegoś innego aparatu, byłoby to równoznaczne z przyznaniem się, że już u pana byłem.

– Rozumiem – powtórzył po krótkim zastanowieniu. – Poradzę sobie z tym wszystkim. Może mi pan ufać.

Wstał, uścisnęliśmy sobie ręce, po czym odszedłem, czując na plecach jego wzrok.

ROZDZIAŁ 18

ŻEBY PRZEMIEŚCIĆ SIĘ z Klubu Sportowego do gmachu Treloara, wystarczyło przedostać się na drugą stronę ulicy i przejść jeszcze parę kroków w kierunku północnym, co właśnie zrobiłem. Zamiast chodniczka z gumowych kostek, do wejściowych drzwi prowadził teraz chodniczek z różowych płyt, tyle że jeszcze niedostępny, ponieważ szczelnie ogrodzony. Wchodzący i wychodzący z gmachu musieli się przepychać w tłoku, jaki panował na wyznaczonej obok niego wąskiej drodze.

Recepcja firmy Gillerlain wydała mi się jeszcze bardziej wyludniona niż podczas mojej poprzedniej wizyty. Przed centralką telefoniczną zasiadała ta sama mała, lecz pulchniutka blondyneczka. Obdarzyła mnie takim samym jak poprzednio uśmiechem, na który odpowiedziałem dziarskim wojskowym salutem, zakończonym wycelowaniem w nią wskazującego palca, czemu towarzyszyło podwinięcie ku dłoni trzech innych i parę szybkich ruchów kciuka, które naśladowały po wielekroć oglądany w westernach gest rewolwerowca odwodzącego kurek błyskawicznie dobytego kolta. Roześmiała się serdecznie, ale bezgłośnie. Mogłem z tego wnosić, że co najmniej od tygodnia nic jej tak nie rozbawiło.

Ruchem głowy i spojrzeniem wskazałem jej puste biurko panny Fromsett, na co skinęła główką, przełożyła wtyczkę i powiedziała coś do słuchawki. Chwilę później otworzyły się drzwi, przez które właściwym sobie eleganckim krokiem wkroczyła panna Fromsett i zajmąwszy swoje miejsce za biurkiem, zwróciła ku mnie wyczekujące, acz chłodne spojrzenie.

– Przykro mi, panie Marlowe, ale pan Kingsley jest nieobecny.

– Właśnie przed chwilą się z nim rozstałem. Gdzie moglibyśmy chwilę porozmawiać, panno Fromsett?

– Porozmawiać?

– Mam coś, co chciałbym pani pokazać.

– Ach tak?

Przyjrzała mi się z zastanowieniem. Zapewne cała masa facetów przede mną próbowała jej pokazać najróżniejsze rzeczy, w tym nawet własnoręcznie namalowane

akwarele. W innych okolicznościach ja sam też mógłbym jej złożyć tego rodzaju propozycję, teraz jednak zmuszony byłem powiedzieć:

– Nie jestem tu prywatnie, panno Fromsett. Chodzi o sprawę, którą mi zlecił pani szef.

Podniosła się zza biurka i otworzyła przede mną furtkę w otaczającej poczekalnię balustradce.

– W takim razie proszę do gabinetu.

Uchyliła zapraszająco drzwi i ruchem głowy zaprosiła mnie do środka. Przechodząc obok niej, poczułem zapach drzewa sandałowego. Upewniłem się:

– *Gillerlain Regal, Szampan pośród perfum?*

Uśmiechnęła się trochę smętnie.

– Z moją pensją?

– A co ma do tego pensja? Nie wygląda pani na dziewczynę, która sama musi sobie kupować perfumy!

– Owszem, to prawda – odparła. – Tyle że ja, jeśli chce pan wiedzieć, nie lubię w pracy pachnieć perfumami, ale to polecenie szefa.

Znowu przewędrowałem przez cały ten długi i mroczny gabinet. Ponieważ usiadła za biurkiem Kingsleya, więc przypadło mi to samo miejsce co poprzednim razem.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Na dziś wybrała kostium w kolorze opalenizny, spod którego wyglądał osłaniający szyję koronkowy żabocik. W jej wzroku było nieco więcej ciepła, ale nadal nie budziłem w niej gorących uczuć. Podsunąłem jej kasetkę z papierosami Kingsleya. Nie odmówiła. Błysnąłem zapalniczką Kingsleya i bez zdziwienia z niej skorzystała. Po czym odchyliła się na oparcie jego fotela.

– Będzie lepiej, jeśli od razu pójdziemy na szczerą – powiedziałem. – Żeby nie tracić niepotrzebnie czasu. Wie pani już, kim jestem i czym się zajmuję. Jeśli Kingsley od razu pani tego nie powiedział, to po prostu dlatego że lubi odgrywać rolę grubej ryby.

Przez chwilę przypatrywała się swojej dłoni, którą złożyła na kolanie, potem spojrzała na mnie i uśmiechnęła się niemal wstydliwie.

– To wspaniały człowiek – powiedziała. – To prawda, że stara się robić wrażenie niebywale ważnej osobistości. Mimo że w gruncie rzeczy tylko on sam daje się na to nabrać. Ale gdyby pan wiedział, ile musiał znieść przez tę swoją stukniętą zoneczkę... – Wymowny ruch papierosa dopowiedział resztę. – Zresztą mniejsza o to. O czym chce pan ze mną rozmawiać?

– Dowiedziałem się od Kingsleya, że dobrze znała pani Almore'ów.

– Dobrze znałam tylko ją. Panią Almore. To znaczy o tyle dobrze, że spotkałyśmy się

parę razy.

– Gdzie?

– U wspólnego znajomego. Dlaczego to pana interesuje?

– U Lavery’ego?

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan przekroczyć granicy pospolitego wścibstwa, panie Marlowe.

– Nie wiem, gdzie pani wyznaczyła tę granicę, ale jeśli o mnie chodzi, to zwykłem pytać o to, co wchodzi w zakres mojej roboty, a nie bawić się w dyplomację.

Lekkie skinięcie głową.

– Świetnie. A zatem tak, u Chrisa Lavery’ego. Bywałam tam... od czasu do czasu. Zapraszał mnie na towarzyskie przyjęcia.

– To znaczy, że Lavery znał państwa Almore’ów? W każdym razie znał panią Almore. Czy tak?

Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

– Owszem. Całkiem dobrze.

– I nie ją jedną, prawda? Zdaje się, że sporo kobiet znał całkiem dobrze. Czy żona pana Kingsleya także ją znała?

– Oczywiście. I to lepiej niż ja. Były nawet ze sobą po imieniu. Wie pan, rzecz jasna, że pani Almore nie żyje? Jakież półtora roku temu popełniła samobójstwo.

– Czy może wzbudziło to w pani jakieś wątpliwości?

Uniosła brwi, ale ten objaw zdziwienia wydał mi się raczej sztuczny, zważywszy na to, że zadane przeze mnie pytanie zabrzmiało odruchowo, nie zaś prowokacyjnie.

– Czy za tym dość szczególnym pytaniem kryje się jakiś konkretny powód, panie Marlowe? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Chodzi mi o to, czy ma ono coś wspólnego z... ze sprawą, którą się pan zajmuje?

– Szczerze mówiąc, nawet o tym nie pomyślałem. Zresztą nie wiem jeszcze, czy ma to jakiś związek. Ale wczoraj doktor Almore wezwał policjanta, żeby mnie przegnał spod jego domu, na który po prostu patrzyłem z drugiej strony ulicy. A jeszcze przedtem wywiedział się po numerach rejestracyjnych mojego samochodu, kim jestem. A ten gliniarz próbował mnie stamtąd przepędzić w sposób dość grubiański. To prawda, że z początku nie wiedział, czym się zajmuję, jak też nie miał pojęcia, że właśnie próbowałem złożyć wizytę Lavery’emu. Wiedział o tym jednak doskonale doktor Almore, ponieważ na jego oczach bezskutecznie dobijałem się do jego sąsiada z naprzeciwka, czyli właśnie Lavery’ego. Ciekawe, dlaczego w takim razie pan doktor uznał za konieczne wezwać gliniarza? I dlaczego ten gliniarz uznał za

stosowne napomknąć, że ostatni facet, który próbował znaleźć haka na Almore'a, został skazany na ciężkie roboty? Albo dlaczego wymknęło mu się pytanie, czy to przypadkiem nie jej – to znaczy pani Almore – rodzina wynajęła mnie, żeby śledzić doktora? Gdyby znała pani odpowiedź na któreś z tych pytań, to może ja z kolei mógłbym odpowiedzieć, czy moje pytanie miało związek ze zleconą mi przez pani szefa sprawą.

Zastanawiała się nad tym przez dobrą chwilę, przy czym raz zdarzyło się jej obrzucić mnie krótkim spojrzeniem, po którym pośpiesznie spuściła wzrok.

– Panią Almore spotkałam tylko dwa razy – powiedziała w końcu z wahaniem. – Ale wydaje mi się, że potrafię panu udzielić odpowiedzi... na wszystkie te pytania. Po raz ostatni widziałyśmy się właśnie u Lavery'ego. Zresztą było wtedy u niego wielu gości. Dużo alkoholu, głośne rozmowy. Panie były bez mężów, a panowie bez żon, jeśli w ogóle któryś z nich był żonaty. Między nimi wyróżniał się niejaki Brownwell. Taki wewnętrznie bardzo spięty facecik, który teraz podobno służy w marynarce wojennej. Zaczął ni z tego, ni z owego bombardować panią Almore pytaniami o specjalność jej męża. Wydawało mu się, że doktor Almore z torbą pełną strzykawek i ampulek spędza całe noce na wizytach u wysoko postawionych ludzi, których prześladują wizje białych myszek i różowych słoni. Florence próbowała się go pozbyć, mówiąc, że to, co robi jej mąż, interesuje ją o tyle, o ile może z tego czerpać duże pieniądze na swoje wydatki. Przy czym trzeba wiedzieć, że ona byk ciągle spięta i bardzo nieprzyjemna, dopóki sobie nie wypija. Wie pan, jedna z tych ładnych kobietek, co to zawsze chcą być uwodzicielskie, więc za często i za głośno się śmieją, a jak usiądą na fotelu, to tak, żeby jak najwyżej odsłonić uda. Taka klasyczna platynowa blondyna z przesadnym makijażem i wyzywającymi oczyma, błękitnymi jak u dziecka. Więc Brownwell ją zapewnia, że jako żona lekarza nie musi się martwić o przyszłość, bo w końcu jej doktorka co kwadrans ktoś wzywa i buli za to co najmniej dychę, a bywa, że i pięć. I tylko jedno go nurtuje. Skąd taki doktorek bierze wszystkie te swoje cudowne ampulki, bo na to chyba trzeba mieć jakiś układ z nielegalnym światkiem. W końcu pyta ją, ilu sympatycznych gangsterów zasiada przy zastawionym stole państwa Almore'ów. Umilkł dopiero, gdy chlusnęła mu w twarz zawartość swojej szklanki.

Uśmiechnąłem się, jednakże panna Fromsett pozostała całkowicie poważna. Zdusiła niedopałek w miedziano-szklanej popielniczce pana Kingsleya, patrząc na mnie z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– No cóż, na jej miejscu zrobiłbym pewnie to samo. Chociaż ktoś inny być może użyłby pięści.

– Jasne. Tylko że parę tygodni później pewnej nocy Florence Almore znaleziono

martwą w garażu. Drzwi były zatrzaśnięte, a silnik pracował na jałowym biegu.

Przerwała na chwilę i lekko zwilżyła wargi czubkiem języka.

– Znalazł ją Chris Lavery, wracając do siebie o Bóg wie której nad ranem. Florence leżała na cementowej posadzce, z głową nakrytą kocem, a ten koc przykrywał zarazem wylot rury wydechowej. Doktora Almore'a nie było w domu. A w gazetach o całej sprawie nie napisano właściwie nic, poza tym że pani Almore zmarła... nagle. Trudno byłoby skuteczniej wyciszyć tego rodzaju nieszczęśliwy wypadek, nie uważa pan?

Oderwała od swoich kolan splecione dłonie, po czym pozwoliła, żeby z powrotem opadły.

Zapytałem:

– Czyli jednak w tym wszystkim było coś niejasnego?

– Ludzie tak uważali, ale przecież ludzie zawsze tak gadają w podobnych okolicznościach, prawda? Dopiero później dowiedziałam się tego, co zdaje się było w tym wszystkim najważniejsze. Otóż pewnego dnia natknęłam się na Vine Street na tego całego Brownwella i dałam mu się zaprosić na drinka. Nie lubiłam go, ale akurat miałam wolne pół godziny, więc się zgodziłam. Usiedliśmy przy barze u Levy'ego. W pewnej chwili zapytał mnie, czy znam nazwisko tej babki, która mu wtedy chlusnęła w twarz zawartością swojej szklanki. Więc powiedziałam, że znam, no i zaczęła się mniej więcej taka rozmowa, którą dobrze zapamiętałam: Brownwell powiedział:

– Nasz koleś Chris Lavery wpadł widać w jakieś naprawdę poważne kłopoty, skoro zaczął się uwalniać nawet od tych kobitek, które mu się dawały do woli naciągać.

Więc ja na to:

– Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

– A może, kurczę, po prostu nie chcesz zrozumieć, co tu naprawdę jest grane? – Tego wieczora, zanim pani Almore wydała ostatnie tchnienie, zdążyła jeszcze zgrać się do suchej nitki przy ruletce. W takim lokalu, co go prowadzi niejaki Lou Condy. Więc wpadła w szal i zaczęła wrzeszczeć, że krupierzy oszukują i tak dalej. Tak że Condy musiał ją siłą zaciągnąć do swojego biura. Stamtąd dodzwonił się przez informację telefoniczną do Almore'a, który, ma się rozumieć, zaraz przyjechał. No i wbił jej parę tych swoich igielek, które zawsze miał ma poderzędziu, ale już odwiezienie jej do domu zostawił Condy'emu, bo miał podobno następną pilną wizytę. Więc Condy odstawił Florence do domu, a zaraz potem zjawiała się tam wezwana przez Almore'a pielęgniarka. Condy zaniósł pacjentkę na górę do sypialni, a pielęgniarka wpakowała ją do łóżka. Więc Condy uznał, że może już wrócić do swojego kasyna. Tylko że ona potem zwlokła się z łóżka do garażu, żeby się wykończyć tlenkiem

węgla.

Na koniec Brownwell zapytał, co o tym wszystkim sądzę. Powiedziałam mu, że to dla mnie po prostu jakaś abrakadabra, i zapytałam, skąd wie o tym wszystkim. Na co odrzekł:

– Znam przypadkiem jednego reporterzynę, z takiego szmatławca, który miejscowi uważają za prawdziwą gazetę. On wywęszył, że jakimś cudem obyło się bez wstępnej rozprawy, a nawet bez sekcji zwłok. Nie wiadomo też, czy ślady poszły do analizy. W tej zabitej dechami dziurze nie ma nawet oficjalnego koronera. Robią za niego przedsiębiorcy pogrzebowi, przez jeden tydzień dyżuruje ten, a przez drugi następny w kolejce. A żaden, rzecz jasna, nie sprzeciwi się miejscowym politykierom. Bo w takiej małej mieścinie łatwo każdą sprawę ustawić wedle życzenia kogoś, kto ma dobre plecy, prawda? A Condy miał sporo czasu, żeby to sobie załatwić. Tak samo zresztą jak doktor.

Panna Fromsett skończyła swoją opowieść i czekała teraz na mój komentarz. A kiedy się go nie doczekała, sama zadała pytanie.

– Domyślił się pan, co chciał mi powiedzieć ten Brownwell?

– Jasne. Że załatwił ją Almore, a potem do spółki z Condym wszystkim dokoła zakneblowali gęby szmałem. Bay City po prostu próbuje doszlusować do czołówki. Ale to przecież nie koniec całej tej historyjki?

– Bynajmniej – przyznała bez wahania. – Jak się zdaje, rodzina pani Almore wynajęła jakiegoś prywatnego detektywa. To właśnie ten detektyw odegrał drugą główną rolę w tym nocnym spektaklu, bo pierwszą oczywiście Chris. Brownwell mówił, że ten detektyw musiał się wygadać, że ma coś, czym mógłby kogoś załatwić. To znaczy jakąś informację. Więc żeby jej nie sprzedał, postanowili go z góry uciszyć. Złapali go na jeździe po pijanemu i załatwili mu wyrok.

– I to już naprawdę wszystko?

Skinęła głową, potem dodała:

– A gdyby pan uznał, że mam podejrzenie dobrą pamięć, to przypominam, że zapamiętywanie rozmów to część moich powinności zawodowych.

– Myślałem tylko o tym, że pani opowiadka niewiele wnosi do całej tej sprawy. Nie wiem na przykład, jak się to wszystko ma do Lavery'ego. Nawet gdyby rzeczywiście to on ją znalazł. Ten pani gadatliwy Brownwell daje do zrozumienia, że ktoś wpadł dzięki temu na pomysł szantażowania naszego doktora. Tylko że na to trzeba by było jakiegoś dowodu, a już zwłaszcza musiałby go mieć ktoś, kto by wziął na celownik faceta już oczyszczonego przez sąd.

– Mnie też przyszło to do głowy – odparła panna Fromsett. – Wolę myśleć, że szantaż

nie był jedną z brudnych sztuczek Chrisa Lavery'ego. – To chyba wszystko, co miałam panu do opowiedzenia, panie Marlowe. Więc jeśli pan pozwoli, to wrócę teraz na swoje miejsce za biurkiem.

Chciała się podnieść, aby wyjść z pokoju, ale wtedy ja powiedziałem:

– To jednak nie całkiem wszystko, panno Fromsett. Nie zobaczyła pani jeszcze tego, co chciałem pani pokazać.

Wyjąłem z kieszeni tę pachnącą drzewem sandałowym chusteczkę, która wystawała spod poduszki Lavery'ego, i rozwinąłem ją przed nią na biurku Kingsleya.

ROZDZIAŁ 19

POPATrzyła NA CHUSTECzkę, popatrzyła na mnie i znowu na chusteczkę. Potem wzięwszy ołówek, okręciła ją parę razy na blacie biurka, przytrzymując ją tym jego końcem, do którego przymocowana była gumka.

W końcu spytała:

– Czym pan to spryskał? Jakimś środkiem owadobójczym?

– Myślałem, że to drzewo sandałowe.

– Zwykły tani syntetyk. Odrażające – to najdelikatniejsze określenie, panie Marlowe.

Jak w ogóle mogło panu przyjść do głowy, żeby mi to podsunąć?

Nie zdejmując ze mnie chłodnego spojrzenia, z powrotem odchyliła się na oparcie fotela.

– Tę chusteczkę znalazłem w sypialni Chrisa Lavery’ego. Wystawała spod poduszki. I jeśli się jej dobrze przyjrzeć, to w rogu są wyhaftowane czyjeś inicjały.

Ponownie użyła ołówka, żeby nie dotykając jej, rozłożyć przed sobą chusteczkę. Nagle z jej twarzy zniknął ten irytujący wyraz pogardliwej wyższości, a głos zaczął zdradzać poirytowanie.

– Są tu dwie litery – stwierdziła chłodno. – I tak się składa, że są to początkowe litery mojego imienia i nazwiska. To właśnie chciał mi pan pokazać?

– Właśnie – potwierdziłem. I dodałem: – Przypuszczam, że Lavery zna jakieś pół tuzina kobiet o takich samych inicjałach.

– Więc jednak postanowił pan być niemiły – stwierdziła cicho.

– To pani chusteczka? Czy też nie?

Zawahała się. Sięgnęła do kasetki na biurku, w milczeniu wyjęła z niej kolejnego papierosa i zapaliła. Parokrotnie potrząsnęła zapalką, patrząc w zamyśleniu, jak płomień wspina się po drewniku.

– Owszem, jest moja – powiedziała wreszcie. – Musiałam ją tam przez zapomnienie zostawić. Ale to było dawno temu. I mogę pana zapewnić, że nie wsunęłam jej pod poduszkę. To właśnie chciał pan wiedzieć?

A gdy milczałem, dodała:

– Musiał ją podarować jakiejś kobiecie, która... która lubi takie perfumy.

– Wyrobiłem sobie pogląd na charakter tej kobiety – powiedziałem. – I nie całkiem mi się on zgadza z charakterem Lavery’ego.

Jej szerokie usta lekko się wygięły. Podobają mi się u kobiet szerokie usta.

– Sądzę, że powinien pan trochę zrewidować swój pogląd na temat Chrisa Lavery’ego – powiedziała. – Jeśli dostrzegł pan u niego jakikolwiek przejaw subtelności czy wyrafinowania, był to czysty przypadek.

– Nie powinno się mówić takich rzeczy o człowieku, który nie żyje – zauważyłem.

Przez moment pozostawała w bezruchu, patrząc na mnie tak, jak gdyby nie słyszała moich słów i czekała, aż wreszcie coś powiem. Potem przez całe jej ciało przebiegł dreszcz. Odruchowo zacisnęła dłonie i papieros pękł w jej palcach. Gdy to spostrzegła, szybkim ruchem wrzuciła go do popielniczki.

– Został zastrzelony, biorąc prysznic w swojej łazience. Był świeżo ogolony. I wygląda na to, że zrobiła to kobieta, z którą spędził noc. Porzuciła na schodach pistolet i zostawiła tę chusteczkę pod poduszką.

Bardzo nieznacznie poruszyła się w fotelu. Jej oczy straciły wszelki wyraz, a twarz stała się chłodna niby rzeźba.

– A pan uznał, że będę w stanie coś panu w tej sprawie powiedzieć? – zapytała z goryczą w głosie.

– Panno Fromsett, ja także chciałbym zachowywać się wobec tego wszystkiego elegancko, subtelnie i z dystansem – odparłem. – Chciałbym choć raz móc prowadzić tę grę w taki sposób, jak tego oczekuje ktoś taki jak pani. Tylko że nikt mi na to nie pozwoli – ani klienci, ani policja, ani ci, przeciwko którym gram. Choćbym nie wiem jak starał się być miły, zawsze kończę z twarzą wciśniętą w ziemię i z paroma obrażeniami.

Skinęła głową, choć zdawało mi się, że ledwie słucha, co do niej mówię.

– Kiedy to się stało? – zapytała, po czym ponownie przebiegł ją dreszcz.

– Przypuszczam, że dzisiejszego ranka. Wkrótce po wstaniu z łóżka. Tak jak pani powiedziałem: właśnie się ogolił i zamierzał wziąć prysznic.

– Zapewne był to dość późny ranek – stwierdziła. – Ja jestem tu od wpół do dziewiątej.

– Nie podejrzewam, że to pani go zastrzeliła.

– Strasznie to miło z pana strony – powiedziała. – Tylko że to moja chusteczka, prawda? Chociaż te perfumy nie są moje. Nie wydaje mi się jednak, żeby policjanci przywiązywali wagę do takich subtelności, jak jakość perfum... czy też czegokolwiek innego.

– Racja. Zresztą odnosi się to również do prywatnych detektywów, jeśli sprawi to pani jakąś satysfakcję.

– Boże! – jęknęła i mocno przytknęła dłoń do ust.

– Oddano do niego pięć albo sześć strzałów – poinformowałem ją. – I tylko dwa były celne. Kabina prysznicowa stała się dla niego pułapką bez wyjścia. Domyślam się, że była to dość wstrząsająca scena. Jedno z jej uczestników dało upust wielkiej nienawiści. Chyba że to był precyzyjny, zimny plan.

– Jego bardzo łatwo było znienawidzić – w jej głosie nie było emocji. – I łatwo było się w nim na zabój zakochać. Kobiety, nawet przyzwoite, zdarzają się takie straszliwe pomyłki wobec mężczyzn.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że wprawdzie kiedyś sądziła, że go kocha, ale uwolniła się pani od tego? I że to nie pani go zastrzeliła?

– Tak.

Jej głos zabrzmiał teraz jasno i było w nim coś, co przywiodło mi na myśl te perfumy, których nie lubiła używać w biurze.

Zaśmiała się krótkim, pełnym gorzkiego śmiechem.

– Martwy. Jestem pewna, że zechce pan zachować dla siebie to, co teraz powiem. Był to podły, egoistyczny, prostacki, wredny, przystojny i zdradliwy facet. A teraz jest martwy i zimny, i załatwiony raz na zawsze. Nie, panie Marlowe. Ja go nie zastrzeliłam.

Odczekałem chwilę, żeby miała czas zapanować nad sobą.

– Czy pan Kingsley o tym wie? – zapytała spokojnym już głosem. Skinąłem głową.

– I oczywiście także policja?

– Jeszcze nie. W każdym razie nie ode mnie. Bo to ja go znalazłem. Drzwi wejściowe nie były domknięte, więc wszedłem do środka. A potem go znalazłem.

Ujęła w palce ołówek i znowu wskazała nim na chusteczkę.

– Czy pan Kingsley wie o tym pachnącym drobiazgu?

– Nie wie o tym nikt oprócz mnie i pani. No i tego kogoś, kto włożył to pod poduszkę.

– To miło z pana strony – oświadczyła nieco oficjalnym tonem. – I miło, że pomyślał pan to, co pomyślał.

– Odznacza się pani pewną rezerwą i godnością, co mi się podoba – powiedziałem. – Ale niech ich pani nie demonstruje niepotrzebnie. Bo właściwie czego się pani po mnie spodziewała? Że natrafiam na tę chusteczkę pod poduszką, rozpoznaję zapach perfum, z punktu wszystko układa mi się w głowie i mówię sobie: Oto inicjały panny Adrienne Fromsett i tak dalej. Panna Fromsett musiała znać pana Lavery'ego, i to być może nader

intymnie. Aż tak intymnie, jak może to sobie wyobrazić mój wredny mały mózdek. Ale te perfumy o zapachu drzewa sandałowego to przecież tylko tani syntetyk, a panna Fromsett nie skropiłaby swojej chusteczki taką tanioczą. W dodatku znalazłem to pod poduszką Lavery’ego, a to przecież niepodobne do panny Fromsett, żeby trzymała swoje chusteczki pod poduszką jakiegoś mężczyzny. Zatem panna Fromsett absolutnie nie może mieć z tym nic wspólnego, czyli że ja doznałem tylko czegoś w rodzaju złudzenia optycznego. Tak by to sobie pani wyobrażała?

– Och, niechże się pan zamknie! – warknęła.

Zaśmiałem się.

– Za jakiego rodzaju kobietę pan mnie uważa?

– Za późno panią spotkałem, żeby się na ten temat wypowiedzieć.

Jej twarz zarumieniła się, tym razem jednak delikatnie, po czym spytała:

– Ma pan jakiś pomysł na to, gdzie szukać mordercy?

– Mam ich parę, ale to jednak tylko pomysły. Obawiam się za to, że policja wpadnie na bardzo proste rozwiązanie tej zagadki. W szafie Lavery’ego wisi trochę rzeczy pani Kingsley. A kiedy gliny poskładają do kupy wszystkie kawałki całej tej historii – w tym i to, co się wczoraj wydarzyło nad Jeziorem Małego Jelonka – to najpewniej po prostu sięgną po kajdanki. Muszą ją oczywiście znaleźć, ale to nie będzie dla nich specjalnie trudne.

– Crystal Kingsley – stwierdziła zgaszonym głosem. – Więc jeszcze i to nie będzie mu oszczędzone.

– Wcale nie jest takie pewne, że to ona – powiedziałem pocieszająco. – To może być ktoś, kto miał całkiem inny motyw, żeby go zabić, tyle że nic jeszcze o tym nie wiemy. Mógł to być na przykład doktor Almore.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, po czym potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

– To mógł być on – powtórzyłem. – Nie wiemy o niczym, co by tę możliwość wykluczało. Zachował się wczoraj bardzo nerwowo jak na kogoś, kto ma czyste sumienie. Chociaż, rzecz jasna, nie tylko winowajcy zachowują się nerwowo.

Wstałem i postukując palcami o krawędź biurka, przyglądałem się jej. Miała bardzo piękną szyję.

– A co z tym? – spytała ponuro, wskazując na chusteczkę.

– Gdyby należała do mnie, to po prostu spralibyśmy z niej ten zapach.

– Ale to może się przecież okazać ważne. Nawet bardzo ważne, prawda?

Roześmiałem się.

– Nie sądzę, żeby ta chusteczka miała oznaczać cokolwiek istotnego. Kobiety często

gubią chusteczki do nosa. Taki facet jak Lavery mógł je kolekcjonować i odkładać do szuflady, w której panował silny zapach sandałowego drzewa. Ktoś inny mógł natrafić na tę kolekcję i wziąć sobie jedną z chusteczek do własnego użytku. Lavery mógł nawet rozdawać te chusteczki i bawić się reakcjami obdarowanych na widok inicjałów innej kobiety. Moim zdaniem całkiem by to pasowało do takiego podleca jak on.

Ruszyłem do wyjścia, mówiąc:

– Do zobaczenia, panno Fromsett. I dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas.

Ale zatrzymałem się jeszcze, żeby zapytać:

– Czy dosłyszała pani nazwisko tego reportera, który poinformował Brownwella o wszystkim, czego się dowiedział?

Pokręciła głową.

– A nazwisko rodziców pani Almore?

– Także nie. Ale tego mogłabym spróbować się dowiedzieć. Z przyjemnością to dla pana zrobię.

– Jak?

– Nazwiska rodziców zwykle pojawiają się w nekrologach, prawda? Jest niemal pewne, że w gazetach, które wychodzą w Los Angeles, można będzie znaleźć taki nekrolog.

– Byłoby to bardzo miłe z pani strony – powiedziałem.

Przeciągnąłem palcem po krawędzi biurka i jeszcze raz się jej przyjrzałem. Skóra w odcieniu kości słoniowej, cudowne ciemne oczy, włosy tak bujne, jak można sobie wyobrazić.

I jeszcze raz te oczy, ciemne jak głęboka noc.

Po czym opuściłem jej biuro. Mała blondyneczka przy centralce patrzyła na mnie z rozchylonymi zalotnie czerwonymi usteczkami. Czekala pewnie, że znowu czymś ją rozbawię, ja jednak nie miałem już nic więcej w repertuarze.

Wyszedłem.

ROZDZIAŁ 20

PRZED DOMEM LAVERY'EGO nie zastałem policyjnego radiowozu, w pobliżu nikt się nie kręcił, a kiedy pchnąłem wejściowe drzwi – nie poczułem dymu z cygara albo z papierosa.

Słońce nie wdzierało się już do środka przez szpary w okiennicach, a jedynym dźwiękiem, jaki dosłyszałem, było brzęczenie muchy, która krążyła nad pustą szklanką po alkoholu.

Podszedłem do schodów, przechyliłem się nad poręczą balustrady i upewniłem się, że również na dole jest zupełnie cicho. Nic nie poruszało się w domu pana Lavery'ego i tylko z łazienki dobiegły mych uszu pojedyncze krople wody, które ciurkały z prysznicza.

Zdjąłem słuchawkę z widełek i sprawdziłem w książce numer policji. Wykręciłem go i czekając, aż ktoś się zgłosi, wyjąłem z kieszeni ten mały pistolecik i położyłem go obok telefonu.

Po drugiej stronie odezwał się męski głos:

– Policja Bay City, przy telefonie Smoot.

Powiedziałem:

– W domu na Altair Street numer sześć dwa trzy znalazłem zastrzelonego mężczyznę.

Mieszka tu niejaki Lavery.

– Sześć dwa trzy Altair Street. A kim pan jest?

– Nazywam się Marlowe.

– I właśnie stamtąd pan dzwoni?

– Tak.

– Proszę absolutnie niczego nie dotykać.

Odłożyłem słuchawkę, usiadłem na otomanie i czekałem.

Niezbyt długo. Gdzieś w oddali usłyszałem jęk syreny, której przeraźliwe falowanie stawało się coraz głośniejsze. Potem na rogu zapiszczały opony, syrena wydała jeszcze metaliczny pomruk, po czym zamilkła, a opony ponownie zapiszczały, teraz już przed domem. To ten właśnie sposób oszczędzania opon upodobali sobie policjanci w Bay City, którzy już wkraczali na ścieżkę prowadzącą do wejścia, więc otworzyłem przed nimi drzwi.

Dwóch mundurowych wpakowało się do środka. Obaj słusznych rozmiarów i o typowych dla tutejszych gliniarzy ogorzałych twarzach, z których wyglądały podejrzliwe oczy. Jeden miał zatknięty pod czapką nad prawym uchem różowy goździk, drugi był starszy, siwawy i ponury.

Przez chwilę przyglądali mi się czujnie, aż w końcu ten starszy zapytał krótko:

– Dobra. Gdzie to jest?

– W łazience na dole, za zasłoną prysznicą.

– Zostań tu z nim, Eddie.

Po czym przeszedł spiesznie przez pokój i zniknął nam z oczu na schodach, podczas gdy Eddie przyjrzał mi się jeszcze raz i wycedził, niemal nie poruszając wargami:

– Uważaj, kolego. Żadnego podejrzanego ruchu, jasne?

Więc spokojnie przysiadłem z powrotem na otomanie. Gliniarz obrzucił wzrokiem całe pomieszczenie, podczas gdy z dołu dobiegały kroki jego partnera.

Nagle mój opiekun dostrzegł leżący na stoliku pistolet i rzucił się nań z impetem futbolowego obrońcy, po czym niemal ryknął:

– To od niego facet zginął?

– Wyobrażam sobie, że tak. Faktem jest, że niedawno z niego strzelano.

– Aha! – zakrzyknął triumfalnie. Pochylił się nad stolikiem, wyszczerzył zęby w moją stronę, sięgnął do kabury i jednym ruchem palca odpiął pasek, a jednocześnie uchwycił kolbę swojego czarnego rewolweru.

– Wyobrażasz sobie, że co?

– Że ktoś z niego niedawno strzelał.

– A to dobre! – parsknął sarkastycznym tonem. – On sobie wyobraża. To naprawdę dobre, słowo daję!

– Nie takie aż dobre, jak by się mogło zdawać – zauważyłem.

Lekko odchylił się do tyłu, żeby dokładniej mieć mnie na oku, i warknął:

– Dlaczegoś go załatwił?

– Właśnie sam się tak nad tym zastanawiam, ale jakoś nie mogę znaleźć żadnego powodu.

– Oho! – stwierdził z zadowoleniem. – Jeszcze jeden cwany gapa.

– A może byśmy tak poczekali na chłopców z wydziału zabójstw? – zaproponowałem.

– Oni by chyba zrozumieli, że tego nie zrobiłem.

– Nawet nie próbuj mi wciskać takiego kitu – odparł na to.

– Niczego nie próbuję wciskać. Po prostu gdybym go zastrzelił, to nie byłoby mnie

tutaj. I nie zadzwoniłbym do was ani nie zostawiłbym na widoku tej pukawki. Więc lepiej nie łam sobie tak głowy nad sprawą, która za dziesięć minut już nie będzie twoja.

W jego oczach pojawił się bolesny wyraz. Zdjął czapkę, a goździk upadł na podłogę. Pochylił się po niego, przez chwilę obracał go bezmyślnie w palcach, po czym wrzucił do kominka.

– Lepiej go stamtąd zabierz – powiedziałem. – Jeszcze pomyślą, że to jakiś dowód rzeczowy i zmarnują na to masę czasu.

– Oż kurde bele! – stęknął, ale podszedł do kominka, wyjął kwiatusek i wetknął go do kieszeni. – Jesteś z tych, co to z góry znają odpowiedź na każde pytanie, kolego?

Drugi glina wszedł po schodach z mocno zaaferowaną miną. Stał pośrodku pokoju, spojrzał na zegarek i zapisał coś w swoim notesie, a potem rozchylił żaluzje, żeby wyjrzeć przez frontowe okno.

Eddie zapytał:

– Mógłbym teraz pójść tam i popatrzeć?

– Daj sobie z tym spokój. To nie nasza sprawa. Dzwoniłeś do koronera?

– Pomyślałem sobie, żeby to zostawić tym od zabójstw.

– Może to i racja. Sprawa trafi do kapitana Webbera, a on lubi wszystkim zająć się osobiście.

Spojrzał na mnie.

– To pan nazywa się Marlowe?

Odparłem, że w rzeczy samej tak się nazywam.

– To jeden z tych cwaniaków, co z góry znają wszystkie odpowiedzi – dorzucił wyjaśniająco Eddie.

Tamten spojrzał na mnie trochę niewidzącym spojrzeniem, takim samym popatrzył na Eddiego i dopiero kiedy dostrzegł na stoliku pistolet, odzyskał ostrość widzenia.

– Z tego właśnie strzelano – wyjaśnił Eddie. – Nie dotykałem go.

Na co starszy skinął z zastanowieniem.

– Naszym specem jakoś się dzisiaj nie śpieszy. A pan tu jesteś w jakim charakterze? Przyjaciel tego tam na dole?

– Poznałem go dopiero wczoraj. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles.

– Ach tak! – przyjrzał mi się bardzo bacznie, podczas gdy we wzroku jego przybocznego pojawił się wyraz głębokiej podejrzliwości.

– Kurczę – stwierdził Eddie. – To znaczy, że będzie z tym cała zabawa.

Była to pierwsza sensowna uwaga, jaka mu się wyrwała, więc nagrodziłem go miłym

uśmiechem.

Ten drugi znowu wyjrzał przez okno.

– Eddie, czy w tym domu naprzeciwko nie mieszka przypadkiem Almore?

Eddie podszedł do niego i wyjrzał sponad jego ramienia.

– Jasne, że tak – zawyrokował. – Wystarczy spojrzeć na tabliczkę przy bramie. Ale w takim razie ten nieboszczyk na dole to może być ten sam, co...

– Zamknij jadaczkę – powiedział starszy glina i zwolnił żaluzje.

Odwrócili się zgodnie od okna i tępo wpatrzyli się we mnie.

Nadjechał kolejny samochód, który zatrzymał się przed domem, po czym trzasnęły drzwiczki i znowu na dróżce do drzwi wejściowych rozbrzmiały kroki. Starszy z mundurowych otworzył drzwi przed dwoma gliniarzami w cywilu, z których jednego już znałem.

ROZDZIAŁ 21

TEN, KTÓRY WSZEDŁ pierwszy, był jak na policjanta dość mały, w średnim wieku i z chudą twarzą, na której malował się wyraz notorycznego zmęczenia. Miał szpiczasty i lekko skrzywiony nos, jak gdyby ktoś mu weń kiedyś przyłożył łokciem, ponieważ akurat w coś go wtykał. Na głowie miał bardzo prosto nasadzony granatowy kapelusz w kształcie wieprzowej galaretki, spod którego wystawały śnieżnobiałe włosy. Ubrany był w dość bezkształtny brązowy garnitur, przy czym kieszenie marynarki służyły mu na schowki dla rąk, choć z jakiegoś powodu wystawiał z nich kciuki.

Za nim wkroczył Degarmo, ów potężny facet z fryzurą o barwie piasku, z błękitnymi oczyma o metalicznym połysku i brutalnym obliczem, na którym tak wyraziście odmalowało się poprzedniego dnia niezadowolenie z tego, że zaparkowałem naprzeciwko domu doktora Almore'a.

Dwaj mundurowi wyprężyli się przed tym małym i przyłożyli dłonie do czapek.

– Ciało znajduje się na dole, panie kapitanie. Dwa śmiertelne strzały, z tym że tak na oko były jeszcze dwa inne, tylko że niecelne. Zabito go jakiś czas temu. Ten tutaj to niejaki Marlowe. Prywatny niuchacz z Los Angeles. O nic więcej go nie pytałem.

– I całkiem słusznie – stwierdził sucho Webber głosem, w którym czaiła się wrodzona podejrzliwość. Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem i pozdrowił mnie nieznacznym skinieniem głowy. – Jest ze mną porucznik Degarmo. Zaczniemy od obejrzenia ciała.

I ruszył w stronę schodów.

Degarmo spojrzał na mnie tak, jak gdyby nigdy wcześniej mnie nie widział, i poszedł w jego ślady, a za nim starszy z mundurowych. My z Eddiem mieliśmy chwilę, żeby się sobie dobrze przypatrzeć.

– Więc jesteśmy dokładnie naprzeciwko posiadłości doktora Almore'a, tak?

Jego twarz przybrała nieodgadniony wyraz, choć prawdę mówiąc i przedtem niewiele można było z niej wyczytać.

– Powiedzmy, że tak – mruknął. – I co z tego?

– Nic – odparłem, wzruszając ramionami.

Przełknął to w milczeniu. Z dołu dochodziły nas przytłumione, niewyraźne głosy. Eddie przez chwilę nadstawiał ucha, po czym odezwał się już trochę przyjaźniejszym tonem:

– Pamiętasz, co się tam zdarzyło?

– Powiedzmy, że nie całkiem jeszcze zapomniałem.

Zaśmiał się.

– No i proszę, teraz już wszystko załatwione! – stwierdził. – W ten sposób elegancko zapakowali całą sprawę i schowali ją na górnej półce szafy w łazience. Na tyle wysoko, żeby bez krzesła w ogóle tej paczki nie zobaczyć.

– To prawda – przyznałem. – Zastanawiam się tylko dlaczego.

Wpatrzył się we mnie na chwilę surowym spojrzeniem, po czym oświadczył:

– Z paru dobrych powodów, koleś. Niech ci się przypadkiem nie wydaje, że ich nie było. Dobrze znałeś tego Lavery'ego?

– Nie bardzo.

– Przypiąłeś się do niego z jakiegoś konkretnego powodu?

– Po prostu próbowałem czegoś się o nim dowiedzieć – wyjaśniłem. – A ty? Znałeś go dobrze?

Eddie potrząsnął przecząco głową.

– Prawie nic. Ale akurat przypomniałem sobie, że to właśnie facet z tego domu znalazł tamtego dnia w garażu doktora Almore'a jego nieżywą żonę.

– Lavery mógł tu jeszcze wtedy nie mieszkać – zauważyłem.

– A od jak dawna mieszka?

– Nie mam pojęcia – odparłem.

– Będzie jakieś półtora roku – oświadczył Eddie jakimś nagle ubawionym tonem. – A w Los Angeles gazetki bardzo się rozpisywały na ten temat?

– Gdzieś tam jakiś akapit na stronach o życiu towarzyskim – powiedziałem, żeby w ogóle coś powiedzieć.

Podrapał się za uchem i nastawił je w kierunku schodów. Tamci dwaj wracali na górę. Więc przybrał znowu kamienny wyraz twarzy, na wszelki wypadek odsunął się ode mnie i wyprężył służbiście.

Kapitan Webber podszedł prosto do telefonu, wybrał numer i odsuwając słuchawkę od ucha, rzucił przez ramię pytanie:

– Kto z biura koronera ma w tym tygodniu dyżur, Al?

– Ed Garland – odparł oficjalnym tonem zwalisty porucznik.

– Wezwijcie tu Garlanda – rozkazał do słuchawki Webber. – Ma tu się zjawić

natychmiast. I niech mi tu za chwilę będzie spec-ekipa.

Rozłączył się i zapytał:

– Kto dotykał tej broni?

Więc powiedziałem:

– Ja.

Podszedł do mnie i zaczął się kiwać na obcasach, celując we mnie swoją szpiczastą małą brodą. W dłoni trzymał owinięty chusteczką do nosa pistolet.

– To taki niby fachman z pańskiej branży nie wie jeszcze, jak trzeba się obchodzić z narzędziem zbrodni, kiedy się natrafi na nieboszczyka?

– Jasne, że wiem – odparłem. – Rzecz w tym, że kiedy go wziąłem do ręki, nie miałem jeszcze pojęcia, że to narzędzie zbrodni. Nie wiedziałem, że z tej broni strzelano. Ta pukawka leżała sobie na schodach i pomyślałem, że ktoś ją po prostu upuścił.

– Zajmująca historyjka – skwitował to nie bez goryczy kapitan Webber. – Pan często bywał w tego rodzaju sytuacjach?

– Co to znaczy często i w jakiego rodzaju sytuacjach?

Nie zdejmował ze mnie twardego spojrzenia, ale nic nie odpowiedział na moje pytanie.

Więc zadałem mu następne:

– A co by pan powiedział na to, żebym po prostu zapoznał pana z moją wersją tego, co się tu zdarzyło?

Spróbował odzyskać kontrolę nad sytuacją, patrząc na mnie jak wojowniczy kogut.

– Pod warunkiem że odpowie pan dokładnie na te pytania, które ja panu zadam.

To z kolei ja wolałem milczeć.

Webber domyślił się w końcu, o co mi chodzi, bo odwrócił się do dwóch mundurowych i rozkazał krótko:

– Wracajcie do samochodu i zameldujcie się u dyspozytora.

Posłusznie zaszalutowali i wyszli.

Począł jeszcze, aż roztopi się w ciszy warkot silnika ich radiowozu, i dopiero wtedy znowu zwrócił ku mnie swoje kamienne spojrzenie.

– Chciałbym zobaczyć pańską licencję.

Podąłem mu swój portfel. Otworzył go i znalazł w środku co należało, podczas gdy Degarmo usadowił się w fotelu, założył nogę na nogę i wpatrzył się w sufit. Potem wyjął z kieszeni zapalki i jedną z nich wsunął między zęby, gryząc jej koniec.

Webber zwrócił mi portfel, który schowałem do kieszeni.

– Faceci tacy jak pan – oświadczył – sprawiają nam masę kłopotów.

– Nie zawsze tak musi być – odparłem.

Podniósł głos, który już wcześniej brzmiał ostro i nieprzyjemnie.

– Powiedziałem, że mamy z wami masę kłopotu i dokładnie to miałem na myśli. Ale policji w Bay City żadnego kłopotu pan nie przysporzy. Czy to dla pana jasne?

Zbyłem to milczeniem. Wycelował więc we mnie groźnym gestem wskazujący palec.

– Panu się zdaje – warknął – że skoro się jest z wielkiego miasta, to można udawać twardziela i cwaniaka. Ale spokojna głowa. My sobie poradzimy. Jest nas niewielu, ale jesteśmy bardzo zwarci. Tu nie ma żadnych politycznych przepychanek. My działamy skutecznie i my działamy szybko. I bardzo sprawnie. Więc nie trzeba się martwić o policję w Bay City, panie prywatny detektywie.

– Ja się nie martwię – zapewniłem go. – W ogóle nie mam żadnych powodów do zmartwienia. Po prostu staram się zarobić parę dolarów.

– I niech mi pan nie odbija piłeczki, bo tego nie lubię – dorzucił jeszcze Webber.

Degarmo oderwał wzrok od sufitu i zgiąwszy wskazujący palec, zaczął się z uwagą wpatrywać w paznokieć. Po chwili powiedział znudzonym głosem:

– Szefie, ten facet na dole nazywa się Lavery. Trochę go znałem. Teraz nie żyje, a przedtem zajmował się podrywaniem babek.

– I co z tego? – warknął Webber, który jakoś nie mógł ode mnie oderwać oczu.

– Wszystko, cośmy tu znaleźli, wskazuje na kobietę – wyjaśnił mu Degarmo. – A wiadomo, czym się zajmują tacy faceci, jak ten tutaj Marlowe. Szukaniem powodów do rozwodu. Może zamiast próbować go odstraszyć, lepiej byłoby go wciągnąć w tę sprawę, co?

– Jeżeli naprawdę zacznę go odstraszać, to powiedz mi o tym – zgasił go Webber. – Bo według mnie na razie nic na to nie wskazuje.

Podszedł do frontowego okna i podciągnął żaluzje. Nagłe wtargnięcie światła w dotychczasowy mrok pokoju było oślepiające. Webber zawrócił na pięcie i celując we mnie kościstym palcem wskazującym, rzucił:

– Gadaj pan.

Więc zacząłem opowiadać:

– Pracuję dla pewnego biznesmena z Los Angeles, który nie może sobie pozwolić na nieprzyjemny rozgłos wokół jego spraw i dlatego zwrócił się do mnie. Przed miesiącem uciekła od niego żona, a potem przyszedł telegram, z którego wynikało, że prysnęła w towarzystwie Lavery’ego. Ale przed paroma dniami mój klient natknął się na niego w mieście i Lavery temu zaprzeczył. Mój klient nie do końca mu uwierzył, ale jednak się zaniepokoił. Ponieważ jego małżonka ma trochę zwariowany charakter, mogła się zadać z jakimś typem

spod ciemnej gwiazdy i wpaść w tarapaty. Przyjechałem tu zobaczyć się z Laverym. Zaprzeczył, że z nią uciekł. Byłem nawet skłonny mu uwierzyć, ale potem zdobyłem wiarygodny dowód, że był z nią w hotelu w San Bernardino tego samego wieczora, kiedy nagle wyjechała z górskiej chaty, w której od jakiegoś czasu przebywała. Więc z taką wiadomością w zanadrzu znowu tu przyjechałem, żeby przycisnąć Lavery'ego. Nikt nie odpowiadał na dzwonek, a drzwi były lekko uchylone. Wszedłem do środka, rozejrzałem się po pokoju i zobaczyłem ten pistolet, więc przeszukałem dom. No i znalazłem go. W tym miejscu i w tym stanie, w jakim i wy go zobaczyliście.

– Nie miał pan prawa przeszukiwać domu – zauważył chłodnym tonem Webber.

– Oczywiście, że nie – przyznałem. – Ale też nie byłoby do mnie podobne, żebym nie skorzystał z takiej okazji.

– Nazwisko człowieka, dla którego pan pracuje?

– Kingsley – i podałem mu jego adres w Beverly Hills. – Zarządza firmą, która produkuje kosmetyki. Jego biuro mieści się w gmachu Treloara na Olive Street. Firma nazywa się Gillerlain Company.

Webber spojrział na porucznika Degarma, który pisał coś leniwie na jakiejś kopercie, więc znowu skierował wzrok na mnie i rzucił:

– Co jeszcze?

– Pojechałem w góry, do tej chaty, w której przebywała pani Kingsley. Nad Jeziorem Małego Jelonka, niedaleko Puma Point, czterdzieści sześć mil od San Bernardino.

Spojrzałem na Degarma. Dalej pisał coś powoli na kopercie. W pewnej chwili oderwał od niej ołówek, przez moment wydawało się, że już tak pozostanie z ręką zawieszoną w powietrzu, lecz powrócił do pisania.

– Mniej więcej miesiąc temu – kontynuowałem – żona faceta, który opiekował się posiadłością Kingsleya, pożarła się z nim i wyjechała. To znaczy, tak wszyscy sądzili. Bo wczoraj wyłowiono jej ciało z jeziora.

Webber przymknął oczy i po swoim zakółsał się na piętach, po czym niemal uprzejmym tonem zapytał:

– Dlaczego mi pan o tym mówi? To sugestia, że jest jakiś związek pomiędzy tymi dwoma sprawami?

– Jest związek czasowy. Poza tym Lavery był w tej chacie nad jeziorem. Żadna inna zbieżność faktów nie przychodzi mi do głowy, ale pomyślałem, że jednak lepiej będzie wam o tym powiedzieć.

Degarmo znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Na jego twarzy malowało

się skupienie, co sprawiło, że wyglądała jeszcze groźniej niż zwykle.

– A ta kobieta wyłowiona z wody – powiedział Webber. – Samobójstwo?

– Może samobójstwo, a może morderstwo. Zostawiła pożegnalny liścik, ale na jej męża padło jednak podejrzenie o to, że ją zabił. Nazwisko brzmi Chess. Bill i Muriel Chess.

– Nie zamierzam się w jakimkolwiek stopniu zajmować tą sprawą – oświadczył sucho Webber. – Ograniczmy się do tego, co zaszło tutaj.

– Jeśli o mnie chodzi, to nic tu nie zaszło – powiedziałem, patrząc na Degarma. – Przyjechałem tu wczoraj, pogadałem z Laverym i nic od niego nie wyciągnąłem. Przyjechałem dzisiaj i nawet nie mogłem z nim pogadać, więc znowu nic od niego nie wyciągnąłem.

Webber powiedział powoli i z naciskiem:

– Zadam teraz pytanie i domagam się uczciwej odpowiedzi. Wiem, że nie będzie pan chciał jej udzielić, ale ponieważ prędzej czy później będzie pan musiał to zrobić, to może lepiej odpowiedzieć już teraz, skoro obaj dobrze wiemy, że w końcu i tak będę ją miał. Pytanie jest następujące. Przepatrzył pan ten dom i to, jak myślę, bardzo dokładnie. Czy wpadło panu w oko coś, co świadczyłoby o tym, że pani Kingsley tu była?

– Takie pytanie nie jest uczciwe – odparłem. – Można by je postawić tylko zaprzysiężonemu świadkowi.

– Ale nie jesteśmy na sali sądowej – powiedział ponurym tonem Webber – a ja domagam się odpowiedzi.

Poddałem się.

– Odpowiedź brzmi „tak”. W szafie na dole wisi kobiecy strój. Z grubsza taki sam, jaki według mojego informatora miała na sobie pani Kingsley, kiedy spotkała się w hotelu w San Bernardino z Laverym. Dokładny jego opis brzmi: kostium w tonacji biało-czarnej z przewagą bieli oraz kapelusz typu panama z biało-czarną tasiemką dokoła.

Degarmo stuknął palcem w kopertę, którą trzymał w ręku.

– Jego klient będzie zachwycony, kiedy się dowie, jakiego zdolnego wynajął detektywa – stwierdził. – Nie tylko wywęszył obecność kobiety w domu, w którym popełniono morderstwo, ale jeszcze przypuszcza, że żona jego zleceniodawcy związała z facetem, który właśnie został zamordowany. Wygląda na to, szefie, że nie będziemy musieli długo się rozglądać za osobą zabójcy.

Webber wpatrywał się we mnie bardzo intensywnie i choć nic albo bardzo niewiele można było wyczytać z jego twarzy, to niewątpliwie była pełna napiętej czujności. Odzywkę swojego porucznika skwitował jedynie obojętnym skinieniem głowy.

Więc powiedziałem:

– Ciągle jeszcze zakładam, że nie mam do czynienia z parą jakichś cholernych głupków. Ten kostium był szyty na miarę i łatwo można znaleźć krawca, który potwierdzi, dla kogo go uszył. Oszczędziłem wam godzinę waszego cennego czasu. Teraz wystarczy wam być może jeden telefon.

– Coś jeszcze? – zapytał uprzejmie Webber.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, przed domem zatrzymał się kolejny samochód, a zaraz potem jeszcze jeden. Webber podszedł do otwartych drzwi wejściowych, przez które wkroczyli trzej mężczyźni. Dwaj na przedzie – niski z kręconymi włosami i wysoki o posturze wołu – nieśli duże walizy z czarnej skóry. Za nimi wszedł wysoki, chudy mężczyzna w ciemnoszarym garniturze i czarnym krawacie. Miał bardzo bystre oczy i twarz zawodowego pokerzysty.

Webber wycelował wskazującym palcem w kędzierzawego i rzucił:

– Na dół i do łazienki, Busoni. Potrzebuję wielu odcisków z całego domu, zwłaszcza takich, które mogła zostawić kobieta. Przygotuj się na długą robotę.

– Zrobi się wszystko, co trzeba – mruknął Busoni. Wraz ze swym wołowym pomocnikiem przeszli przez pokój i zniknęli na schodach.

– Garland – zwrócił się teraz Webber do wysokiego chudzielca. – Mam dla ciebie nieboszczyka. Chodź na dół i rzuć na niego okiem. Wezwałś furgonetkę?

Garland potwierdził ruchem głowy i obaj udali się śladem facetów z walizami.

Degarmo odłożył już kopertę i ołówek. Wpatrywał się teraz we mnie z twarzą bez wyrazu.

– Mam się zwierzyć z naszej wczorajszej konwersacji czy zostaje to między nami? – zapytałem.

– Możesz sobie mówić, co ci się tylko spodoba – odparł. – Chronić porządných obywateli to część naszej roboty.

– To może teraz ty opowiesz – zaproponowałem. – Chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć w sprawie Almore'a.

Na jego twarz zaczął wypływać rumieniec, a oczy stały się złe.

– Powiedziałeś mi, że nie znałeś Almore'a.

– Nie znałem go ani nic o nim nie wiedziałem wczoraj. Ale dziś wiem już, że Lavery znał panią Almore, że ona popełniła samobójstwo, że to właśnie Lavery znalazł ją martwą i że Lavery'ego podejrzewano o szantaż wobec doktora, a w każdym razie o to, że dysponował czymś, co mogło mu na taki szantaż pozwolić. A do tego dwaj wasi chłopcy z wozu

patrolowego bardzo zainteresowali się faktem, że po drugiej stronie ulicy mieszka doktor Almore. Przy czym jeden z nich dodał, że cała ta sprawa została ładnie wyciszona czy coś w tym stylu.

Degarmo wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Już moja w tym głowa, żeby temu sukinsynowi odebrali blachę. Wszystko, co potrafią te cholerne dupki, to trzaskać niepotrzebnie dziobami.

– Czyli że nic się za tym nie kryje – stwierdziłem.

Przypatrzył się papierosowi, którego trzymał w palcach.

– Niby za czym?

– Za takim sobie pomysłem, że doktor Almore zamordował swoją małżonkę, ale jest na tyle wpływowy, że sprawie ukręcono łeb.

Degarmo wstał z fotela, podszedł i pochylił się nade mną.

– Mógłbyś to powtórzyć? – zaproponował, nie podnosząc głosu.

Więc powtórzyłem.

Trzasnął mnie w twarz otwartą dłonią. Głowa gwałtownie odskoczyła mi na bok i poczułem, jak mój policzek rośnie i robi się gorący.

– Mógłbyś to powtórzyć jeszcze raz? – zapytał tym samym spokojnym tonem.

Powtórzyłem jeszcze raz. Jego dłoń wykonała tę samą drogę, a moja głowa znowu gwałtownie odskoczyła na bok.

– Jeszcze raz?

Tym razem odparłem:

– Nic z tego. Powiedziałem to trzy razy, a jak to mówią – do trzech razy sztuka. Za następnym mógłbyś nie trafić.

Pocierałem dłonią policzek, podczas gdy on dalej zwisał nade mną z odsłoniętymi zębami i zwierzęcą wściekłością w tych swoich bardzo błękitnych oczach.

– Za każdym razem kiedy się tak odezwiesz do gliniarza – wycedził – będziesz z góry wiedział, jaka będzie jego odpowiedź. I gdybyś jednak miał ochotę spróbować jeszcze raz, to wiedz, że nie ograniczę się już do odpowiedzi otwartą dłonią.

Mocno zacisnąłem usta i dalej masowałem sobie policzek.

– A jak będziesz wtykał nos w nasze sprawy, to pewnego dnia ockniesz się w jakiejś ciemnej alejce i zobaczysz, jak przypatrują ci się bezpańskie głodne koty – dorzucił jeszcze.

Nic na to nie odpowiedziałem, więc głośno dysząc odszedł i z powrotem usadowił się w fotelu.

Dałem spokój masażowi, a za to wyciągnąłem przed siebie rękę i zacząłem napinać

jeden po drugim palce, żeby nie skurczyły się w pięść.

– Będę pamiętał o obu tych możliwościach – obiecałem.

ROZDZIAŁ 22

KIEDY DOTARŁEM z powrotem do Hollywood i do swojego biura, zaczynał się już wieczór. Budynek opustoszał, korytarze były ciche, za to w części pokojów przez otwarte drzwi widać było sprzątaczkę, które krzątały się ze swoimi odkurzaczkami, szczotkami i ściereczkami do kurzu.

Przekręciłem klucz w drzwiach swego biura i machinalnie podniosłem z podłogi kopertę wrzuconą przez otwór na listy i nie czytając, położyłem ją na biurku. Otworzyłem okna i wychyliłem się na zewnątrz, żeby przez chwilę popatrzeć na migotanie neonów i nawdychać się ciepłego, bogatego w zapachy powietrza, które wydmuchiwał na zewnątrz wentylator kafejki mieszczącej się w sąsiednim budynku.

Potem uwolniłem się od marynarki i krawata, zasiadłem za biurkiem, wydobyłem z głębokiej szuflady dyżurną butelczynę i gołnałem sobie szklaneczkę. Nie poczułem spodziewanego odprężenia. Poczęstowałem się więc następną, ale i ta nie poskutkowała.

O tej porze Webber miał już pewnie za sobą wizytę u Kingsleya, po której albo już został, albo za chwilę zostanie ogłoszony powszechny alarm w sprawie zniknięcia jego żony. Była to sprawa jakby skrojona dla policji: niemiła afera z udziałem dwu niezbyt miłych osób. Za dużo miłości, za dużo alkoholu i za dużo rozwiązłości, co w rezultacie dało niepojętą nienawiść, morderczy impuls i śmierć.

Wydało mi się to jednak trochę zbyt proste.

Sięgnąłem po znaną pod drzwiami kopertę, na której nie było znaczka pocztowego. Rozerwałem ją i znalazłem w środku związły list:

*Panie Marlowe,
rodzice Florence Almore to pan Eustace Grayson z żoną, zamieszkali obecnie w
Rossmore Arms, przy South Oxford Avenue 640. Adres znalazłam w książce telefonicznej.*

Pańska ADRIENNE FROMSETT.

Pismo równie eleganckie jak ręka, która trzymała pióro. Odłożyłem liścik i nalałem sobie jeszcze jedną szklaneczkę. Poczulem wreszcie, że troszkę mniej się już we mnie gotuje.

Zacząłem bezsensownie przesuwać rzeczy leżące na biurku. Moje własne ręce wydały mi się grube, rozpalone i niezręczne. Przejechałem palcem po rogu szklanego blatu i przyjrzałem się smudze, którą nakreśliłem w pokrywającym go kurzu. Potem przyjrzałem się czubkowi palca, który ją nakreślił, i otarłem go z brudu. Potem spojrzełem na zegarek. Potem na ścianę. Potem w pustą przestrzeń.

Wreszcie odstawiłem butelkę do szuflady i opłukałem szklanę nad umywalką, po czym obmyłem ręce i zwilżyłem zimną wodą twarz, której się następnie przyjrzałem. Lewy policzek nie był już czerwony, ale jakby trochę spuchnięty. Nie za mocno, ale wystarczająco wyraźnie na to, żebym na jego widok wziął się w garść. Przyczesalem włosy i przy tej okazji przyjrzałem się tym siwym. Było ich już całkiem sporo. Na dobytek twarz pod tymi włosami była twarzą człowieka schorowanego. Nic mi się w niej nie podobało. Wróciłem do biurka i ponownie przeczytałem liścik panny Fromsett. Wygładziłem go na szkle blatu, przytknąłem do nosa, wygładziłem jeszcze raz, po czym złożyłem i wsunąłem do kieszeni marynarki.

Siedziałem nieruchomo i przez otwarte okna wsłuchiwałem się w wieczór, który stawał się coraz cichszy, coraz spokojniejszy.

Aż poczułem, że i we mnie z wolna zaczyna się rodzić spokój.

ROZDZIAŁ 23

ROSSMORE ARMS był to dość posępnie prezentujący się budynek z czerwonej cegły, który z trzech stron otaczał wielki dziedziniec. Wchodziło się doń przez obity pluszem hall, zawierający oprócz ciszy donice z roślinnością, znużonego kanarka zamieszkującego klatkę o rozmiarach psiej budy, odór kurzu, starego dywanu oraz wciąż wyczuwalny zapach gardenii, których dawno tu już nie było.

Graysonowie mieszkali w północnym skrzydle, na piątym piętrze od frontu. Przyjęli mnie w pokoju, który sprawiał wrażenie, że z rozmysłem urządzono go wedle mody, jaka panowała przed dwudziestoma laty: wielkie, przeładowane ozdóbkami i grubą tapicerką meble, mosiężne klamki w kształcie jaj, na ścianie ogromne lustro w pozłacanej ramie, stół z marmurowym blatem i ciemnoczerwone pluszowe kotary w oknach. Wszystko to przesycone było zapachem tytoniu, oprócz którego rozpoznałem zapach niedawnej kolacji, na którą składały się barani kotlet i brokuły.

Pani Grayson była pulchną niewiastą, która niegdyś mogła mieć duże oczy o barwie dziecięcego błękitu. Teraz były wyblakłe, trochę wylupiaсте i przyćmione przez szkła okularów. Jej siwe włosy miały jakiś dziwny odcień. Siedziała ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, przy czym stopami ledwie sięgała podłogi. Na kolanach trzymała duży wiklinowy koszyk z przyborami do szycia, gdyż zajmowała się właśnie cerowaniem skarpetek.

Jej małżonek, Eustace Grayson, był wysokim, przygarbionym mężczyzną o pożółkłej twarzy, podciągniętych ramionach, szczeciniastych brwiach i prawie nieistniejącej brodzie. Górna część jego twarzy świadczyła o zamiłowaniu do konkretów i rzeczowości, dolna była jak gdyby w zaniku. Na nosie miał dwuogniskowe okulary i właśnie wgryzał się pracowicie w wieczorną gazetę. Z książki telefonicznej dowiedziałem się, że był księgowym, co jego wygląd w każdym calu potwierdzał. Na jego palcach zauważyłem ślady atramentu, a z kieszonki rozpiętej kamizelki wystawały mu cztery ołówki.

Kiedy już po raz siódmy uważnie zapoznał się z moją wizytówką i przyjrzał mi się od stóp po czubek głowy, zapytał niespiesznie:

– W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć, panie Marlowe?

– Widzi pan, interesuję się niejakim Chrisem Laverym. Mieszka naprzeciwko doktora Almore’a, który był mężem państwa córki. To właśnie Lavery znalazł panią Almore tego wieczora, kiedy... zmarła.

Gdy rozmyślnie zawahałem się przy ostatnim słowie, oboje wpatrzyli się we mnie z napięciem równym temu, z jakim myśliwski pies obserwuje spadającego po strzale ptaka. Grayson spojrział po chwili na małżonkę, która potrząsnęła przecząco głową, na co on powiedział pośpiesznie:

– Nie chcemy o tym mówić, proszę pana. To dla nas zbyt bolesna sprawa.

Przyjąłem odpowiedni do ich nastroju smętny wyraz twarzy i odczekałem chwilę, po czym powiedziałem:

– Bynajmniej nie mam tego państwu za złe. Nie chcę państwu przypominać tych tragicznych chwil. Muszę jednak skontaktować się z człowiekiem, któremu państwo zlecieli zbadanie całej tej sprawy.

Znowu popatrzyli na siebie. Tym razem pani Grayson nie potrząsnęła przecząco głową, więc jej małżonek zapytał:

– Dlaczego?

– Lepiej chyba będzie, jeśli opowiem państwu parę szczegółów o sprawie, którą prowadzę – odparłem, po czym opowiedziałem im, po co zostałem wynajęty, nie wymieniając jednak nazwiska Kingsleya. Opowiedziałem im następnie o starciu z porucznikiem Degarmo wezwanym przez zaniepokojonego Almore’a, co znowu wywołało w nich odruch myśliwskiego psa.

– Czy mam to rozumieć tak – zapytał energicznym tonem Grayson – że nie znał pan doktora Almore’a i w żaden sposób nie naruszył jego prawa do prywatności, a on pomimo to wezwał policjanta, żeby pana usunął sprzed jego domu?

– Otóż to – potwierdziłem. – Choć muszę dodać, że pozostawałem tam przez co najmniej godzinę. To znaczy stał tam mój samochód.

– To doprawdy bardzo dziwne – stwierdził Grayson.

– Muszę powiedzieć, że jego reakcja była nadzwyczaj nerwowa – wyznałem. – A ten Degarmo zapytał mnie, czy to jej rodzice... to znaczy państwo... wynajęli mnie, żebym go śledził. Wygląda na to, że doktor Almore wciąż czuje się zagrożony, prawda?

– Zagrożony czym?

Mówiąc to, Grayson nie patrzył na mnie. Bez pośpiechu zapalił fajkę, potem ugniótł tytoń końcem grubego metalowego ołówka i znowu przypalił. Ja ograniczyłem się do wzruszenia ramionami i milczałem. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, po czym skierował

wzrok gdzie indziej. Pani Grayson nie patrzyła na mnie, ale w dalszym ciągu zachowywała czujną postawę.

– Jak się dowiedział, kim pan jest? – zapytał nagle Grayson.

– Zanotował numer rejestracyjny mojego samochodu, zadzwonił do Autoklubu, gdzie podano mu moje nazwisko, a potem zajrzał do książki telefonicznej. Ja w każdym razie tak bym postąpił na jego miejscu, a upewniły mnie co do tego pewne rzeczy, które dostrzegłem przez jego frontowe okno.

– A zatem ma policję na swoje usługi – stwierdził Grayson.

– Niekoniecznie. Jeśli wtedy policjanci popełnili pomyłkę, to teraz sami zainteresowani są tym, żeby nie wyszła na jaw.

– Pomyłkę! – wykrzyknął i zaśmiał się niemal przeraźliwie.

– Dobrze – powiedziałem. – Wspomnienie tamtej tragedii jest dla państwa bolesne, ale nie zaszkodziłoby rzucić na nią trochę nowego światła. Myślę, że od początku byli państwo przekonani, że Almore zamordował państwa córkę. Dlatego właśnie wynajęliście prywatnego detektywa.

Pani Grayson na moment podniosła wzrok, po czym znowu opuściła głowę i zajęła się zwijaniem świeżo zacerowanych skarpetek.

Pan Grayson milczał.

– Czy coś o tym świadczyło, czy też to przeświadczenie wynikało z faktu, że nie lubiliście państwo swojego zięcia? – spytałem.

– Owszem, był na to dowód – powiedział Grayson z goryczą, lecz równocześnie w jego głosie pojawił się jakiś nowy, czysty ton, jak gdyby postanowił mimo wszystko mówić o całej sprawie. – Musiał być jakiś dowód. Powiedziano nam, że był. Tylko że nigdy go nie poznaliśmy. Zadbala o to policja.

– Słyszałem, że ten gość, którego państwo wynajęli, został aresztowany i skazany za jazdę po pijanemu.

– Dobrze pan słyszał.

– Ale nigdy wam nie powiedział, na jaki trop wpadł?

– Nie powiedział.

– To mi się nie podoba – wyznałem. – Brzmi to trochę tak, jak gdyby do końca nie mógł się zdecydować, czy posłużyć się swoimi informacjami na państwa korzyść, czy też zataić je i na własną rękę przycisnąć do muru doktora.

Grayson ponownie spojrzął na żonę, ona zaś powiedziała spokojnie:

– Pan Talley nie zrobił na mnie wrażenia osoby, która byłaby zdolna do czegoś

takiego. Wydał mi się spokojnym i skromnym małym człowieczkiem. Ale przecież wiem, że oceniając ludzi, zawsze można się pomylić.

– A więc nazywał się Talley – powiedziałem. – To jedna z rzeczy, których miałem nadzieję dowiedzieć się od państwa.

– A te pozostałe? – zapytał Grayson.

– Jak mógłbym go odnaleźć oraz co konkretnie wzbudziło państwa podejrzenia. Bo musiało coś takiego być. W przeciwnym razie nie wynajmowalibyście państwo prywatnego detektywa. Chyba żeby to on sam się do państwa zwrócił i przedstawił powody, które go skłoniły do podejrzeń.

Na twarzy Graysona pojawił się nieznaczny, bardzo skąpy uśmiezek. Długim i poźółkłym palcem wskazującym podrapał się po mikroskopijnej brodzie. Jego żona zaś powiedziała krótko:

– Narkotyki.

– Żona rozumie to dosłownie – podchwycił natychmiast Grayson, jak gdyby to jedno słowo oznaczało dla niego zielone światło. – Almore był, i z pewnością w dalszym ciągu jest, lekarzem od narkotyków. Nasza córka otwarcie o tym mówiła, także w jego obecności. I bardzo mu się to nie podobało.

– Co pan rozumie przez określenie „lekarz od narkotyków”?

– Że jest to taki lekarz, który zajmuje się głównie pacjentami żyjącymi bezustannie na krawędzi załamania nerwowego, a to z powodu nadużywania alkoholu i rozpusty. Takimi ludźmi, których trzeba ciągle faszerować środkami uspokajającymi i narkotykami. Lekarz przestrzegający zasad etycznych w pewnym momencie odmawia im dalszej pomocy, jeśli nie godzą się na leczenie sanatoryjne. Ale nie tacy doktorzy jak Almore. Oni będą się nimi zajmowali dopóty, dopóki będą im płacić i dopóki ich pacjenci będą żyli, pozostając przy jako tako zdrowych zmysłach. Mimo że w trakcie tego rodzaju kuracji ten czy ów stanie się nieuleczalnym narkomanem. To oczywiście bardzo lukratywna praktyka – zakończył Grayson z tym samym znaczącym uśmiezkiem – choć wyobrażam sobie, że może się stać niebezpieczna dla samego lekarza.

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości – przytaknąłem. – Ale wielkie pieniądze to wielka pokusa. Czy znali państwo mężczyznę o nazwisku Condy?

– Nie. Ale wiedzieliśmy, czym się zajmował. Florence podejrzewała, że to właśnie on dostarczał Almore’owi narkotyki.

– To możliwe. Sam nie chciał zapewne podpisywać zbyt wielu recept na swoje specyfiki. A czy znali państwo Lavery’ego?

– Nigdy się z nim nie zetknęliśmy, ale wiedzieliśmy, kim jest.

– Czy kiedykolwiek przyszło państwu do głowy, że Lavery mógł szantażować doktora?

To było dla Graysona coś zupełnie nowego. Przeciągnął dłonią po czubku głowy, przesunął ją po twarzy i pozwolił jej opaść na kościste kolano. Dopiero wtedy powiedział:

– Nie. A czy powinno było?

– To on znalazł ciało – przypomniałem mu. – Cokolwiek wydało się podejrzanę Talleyowi, musiało być także wiadome Lavery’emu.

– Czy to człowiek zdolny do szantażu?

– Tego nie wiem. Ale nie wiadomo, z czego się utrzymuje, bo przecież nie para się żadną pracą. Prowadzi przy tym bogate życie towarzyskie, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety.

– W tym coś może być – przyznał Grayson. – Tym bardziej że takie rzeczy odbywają się w wielkiej dyskrecji. Sam natykałem się w mojej pracy na ślady tego rodzaju podejrzanę działalności. Pożyczki udzielane bez żadnego zabezpieczenia i to na długie terminy. Inwestycje na pierwszy rzut oka chybione, a dokonywane przez ludzi, do których to było zupełnie niepodobne. Niespłacalne długi, które należało spisać na straty, a nie robiono tego z obawy przed kontrolą inspektorów podatkowych. O tak! Bez wątplenia takie rzeczy można z łatwością zakamuflować.

Spojrzałem na panią Grayson, której ręce ani na chwilę nie zaprzestały cerowania. Odłożyła już dobry tuzin gotowych do użycia par. Najwidoczniej skarpetki nie miały łatwego życia na kościstych stopach jej małżonka.

– Co przydarzyło się Talleyowi? Zastawiono na niego pułapkę?

– Nie sądzę, żeby istniała co do tego jakakolwiek wątpliwość. Jego żona bardzo nad tym bolała. Powiedziała nam, że w jakimś barze doprawiono mu kieliszek narkotykiem, a w dodatku popijał tam z jakimś policjantem. I że przed barem stał po drugiej stronie ulicy samochód, w którym policjanci czekali tylko, aż Talley ruszy, i natychmiast został zatrzymany. A do tego wszystkiego w areszcie poddano go tylko bardzo powierzchownemu badaniu.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Opowiedział jej tę historię już po aresztowaniu. Mógł to wszystko zmyślić, żeby się nie pogryźć w jej oczach.

– Cóż – powiedział Grayson. – Ja osobiście nie znoszę myśli, że policjanci mogą być nieuczciwi, ale takie rzeczy zdarzają się i wszyscy o tym wiemy.

Odparłem na to:

– Jeśli naprawdę pomylili się w sprawie śmierci państwa córki, to musieli bardzo się

bać, że Talley to udowodni. Mogłoby to przecież oznaczać, że paru z nich wyleciałoby z policji. A jeżeli doszli do wniosku, że chodzi mu o szantaż, to nie mieliby specjalnych skrupułów co do tego, jak go wyłączyć z gry. Kiedy się odcedzi drugorzędne elementy całej tej sprawy, to rzecz sprowadza się do tego, że jeśli istniał jakiś solidny dowód morderstwa, to albo on go zdobył, albo był na jego tropie i wiedział, czego szuka. A w ogóle to gdzie on teraz jest?

– Tego nie wiemy – odpowiedział Grayson. – Dostał pół roku, ale to pół roku dawno już minęło.

– A może znacie państwo adres jego żony?

Spojrzał na swoją połowicę, która i tym razem powiedziała zwięźle:

– Bay City, Westmore Street numer szesnaście osiemnaście. Eustace i ja posyłałiśmy jej trochę pieniędzy, bo była w opłakanej sytuacji.

Zanotowałem sobie ten adres, odchyliłem się na oparcie krzesła i powiedziałem:

– Dziś rano ktoś zastrzelił Lavery’ego w jego własnej łazience.

Pulchne dłonie pani Grayson znieruchomiały na krawędzi koszyka. Jej małżonek zastygł z otwartymi ustami, do których zamierzał właśnie włożyć fajkę. Odchrząknął cicho, jak gdyby znalazł się w obecności nieboszczyka. Nic nigdy nie poruszało się wolniej niż ta stara czarna fajka, wsuwająca się pomiędzy jego zęby.

– Oczywiście przesadą byłoby spodziewać się – zaczął, po czym zawiesił głos, wydmuchnął kłęb siwego dymu i dopiero wtedy dokończył – że doktor Almore miał z tym coś wspólnego.

– Chciałbym uważać, że miał – powiedziałem. – Bądź co bądź mieszka po drugiej stronie ulicy, co by mu ułatwiło dokonanie tej zbrodni. Ale policja sądzi, że Lavery’ego zastrzeliła żona mojego zleceniodawcy. I jeżeli ją znajdą, to wypichcą akt oskarżenia, który będzie się nawet trzymał kupy. Gdyby jednak doktor Almore miał coś wspólnego z tym zabójstwem, musiałyby to mieć jakiś związek ze śmiercią państwa córki. Dlatego właśnie próbuję czegoś się dowiedzieć.

– Człowiek, który ma już na sumieniu jedno morderstwo, zdecydowałby się na następne o siedemdziesiąt pięć procent szybciej – powiedział Grayson tonem kogoś, kto dogłębnie przemyślał ten problem.

Przyznałem mu rację:

– To całkiem możliwe. Co można by uznać za motyw pierwszego zabójstwa?

– Florence to był nieokiełznany charakter – odparł ze smutkiem. – Nieokiełznana i trudna we współżyciu dziewczyna. Rozrzutna i ekstrawagancka, ciągle szukająca nowych

przyjaźni z osobami raczej wątpliwej wartości, przy tym gadająca zbyt dużo i zbyt głośno, a generalnie udająca kompletną wariatkę. Z punktu widzenia kogoś w rodzaju doktora Alberta Almore'a taka żona mogła być niebezpieczna. Ja jednak nie sądzę, żeby to właśnie stanowiło jego najważniejszy motyw. Zgodzisz się ze mną, Lettie?

Popatrzył na małżonkę, ona jednak nie odpowiedziała spojrzeniem. Wbiła igłę w kłębek wełny i milczała.

Grayson westchnął więc i kontynuował swoje rozważania:

– Mieliśmy powody, żeby posądzać go o romans z własną pielęgniarką, a Florence groziła mu, że zrobi z tego publiczny skandal. Na coś takiego w żadnym razie nie mógł sobie pozwolić, prawda? Jeden skandal łatwo mógłby pociągnąć za sobą drugi.

– Jak w takim razie popełnił to morderstwo? – spytałem.

– Rzecz jasna posłużył się morfiną. Zawsze miał jej pod dostatkiem i zawsze jej używał. Jeśli chodzi o morfinę, był prawdziwym ekspertem. Kiedy już doprowadził Florence do całkowitej utraty przytomności, nie było mu trudno ułożyć ją w tym garażu i uruchomić silnik samochodu. Jak pan wie, nie doszło do obdukcji. A jeśli była, to stwierdzono tylko tyle, że tego wieczora dostała zastrzyk podskórny.

Skinąłem głową, na co Grayson z satysfakcją odchylił się na oparcie fotela, przesunął dłoń po głowie, opuścił ją wzdłuż twarzy i pozwolił, by wolno opadła na kościste kolano. Wyglądało na to, że i ten aspekt sprawy dogłębnie sobie przemyślał.

Przyglądałem się im przez chwilę. Dwoje starych ludzi przesiadujących w ciszy tego pokoju i przez półtora roku zatruwających swe umysły jadem nienawiści. Byliby zadowoleni, gdyby okazało się, że to Almore zabił Lavery'ego. Byliby tym wręcz zachwyceni. Wielka radość rozgrzałaby od stóp do głów ich starcze ciała.

Po chwili milczenia powiedziałem:

– Wierzycie państwo w tę hipotezę, ponieważ chcecie wierzyć, że tak się to właśnie odbyło. Wciąż jednak jest możliwe, że naprawdę było to samobójstwo, a wyciszenie całej sprawy wynikało po części z chęci uchronienia przed rozgłosem klubu Condy'ego, po części zaś, aby zapobiec przesłuchaniu Almore'a podczas publicznej rozprawy wstępnej.

– Guzik prawda – stwierdził ostrym tonem Grayson. – On ją zamordował, kiedy spała we własnym łóżku.

– Nie może pan tego wiedzieć. Równie dobrze ona sama mogła brać narkotyki. Jej organizm mógł osiągnąć duży stopień odporności na ich działanie, a w takiej sytuacji efekty tego działania nie trwają długo. Mogła się zbudzić w środku nocy, podejść do lustra i zobaczyć w nim diabły, które zamierzały pozbawić ją życia. Takie rzeczy się zdarzają.

– Myślę, że poświęciliśmy już panu wystarczająco dużo czasu – oświadczył na to Grayson.

Więc wstałem. Podziękowałem im obojgu i ruszyłem w kierunku wyjścia, po czym zadałem jeszcze jedno pytanie:

– Po aresztowaniu Talleya nic już więcej państwo w tej sprawie nie zrobili?

– Widziałem się z asystentem prokuratora okręgowego o nazwisku Leach – odburknął Grayson. – Nic to nie dało. Nie dopatrywał się niczego, co by uzasadniało interwencję ze strony biura prokuratora. Nie zainteresował go nawet wątek narkotykowy. Tyle że klub Condy’ego został po miesiącu zamknięty. To mógł być rezultat tej rozmowy.

– To mógł być także rodzaj zasłony dymnej, którą puściła policja Bay City. Gdyby wiedział pan, gdzie szukać, to, pewnie znalazłby pan klub Condy’ego. Tyle że w innym miejscu, ale tak samo urządzone, bo oryginalne wyposażenie nie zostało uszkodzone.

Znów ruszyłem ku drzwiom, ale Grayson wy dostał się z fotela i dogonił mnie. Na jego żółtych policzkach wykwitły czerwone plamy.

– Nie zamierzałem być niegrzeczny – powiedział. – Po prostu i mnie, i Lettie nie służy takie rozgrzebywanie tej sprawy.

– Myślę, że wykazali się państwo wielką cierpliwością – odparłem. – A tak przy okazji. Czy był w to wszystko zamieszany jeszcze ktoś, kogo nazwisko nie padło w naszej rozmowie?

Poruszył przecząco głową, po czym spojrzał na żonę. Jej nieruchome dłonie zaciskały się na grzybku, na który naciągnięta była kolejna skarpetka. Siedziała z przechyloną na bok głową, jak gdyby czemuś się przysłuchiwała, ale z pewnością nie byliśmy to my dwaj.

Powiedziałem:

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, to tamtego wieczora jedna z pielęgniarek pracujących u doktora Almore’a zaprowadziła panią Almore do łóżka. Czy była to właśnie ta pielęgniarka, z którą doktor jakoby romansował?

Nagle odezwała się ponownie pani Grayson:

– Chwileczkę. Nigdy nie widzieliśmy tej dziewczyny, ale pamiętam, że miała takie oryginalne imię. Zaraz je sobie przypomnę.

Czekaliśmy dłuższą chwilę.

– Mildred co tam – powiedziała w końcu i ze zgrzytem zębów zacisnęła szczęki.

Wziąłem głęboki oddech.

– Czy przypadkiem nie Mildred Haviland, pani Grayson?

Przytaknęła energicznym ruchem głowy, a jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

– Oczywiście, Mildred Haviland! Nie przypominasz sobie, Eustace?

Nie mógł sobie przypomnieć. Popatrywał na nas z wyrazem zaskoczenia, jaki miałby zapewne koń wprowadzony do niewłaściwej stajni. Po czym otworzył przede mną drzwi i mruknął:

– A jakież to może mieć znaczenie?

Kułem żelazo, póki gorące.

– Powiedziała pani o Talleyu „mały człowieczek”. A nie był on przypadkiem zwalistym mężczyzną o tubalnym głosie i obcesowych manierach?

– Ależ bynajmniej – odparła pani Grayson. – Pan Talley jest mężczyzną w średnim wieku, co najwyżej średniego wzrostu, ciemnym blondynem i zawsze mówił bardzo cicho. Miał na twarzy taki wyraz, jakby czymś się martwił. To znaczy, zawsze wyglądał na zmartwionego.

– Wygląda na to, że miał czym się martwić – powiedziałem.

Grayson wyciągnął kościstą rękę, którą potrząsnąłem. Miałem przy tym wrażenie, że wymieniam uścisk dłoni z wieszakiem na ręczniki.

– Jeśli go pan dorwie – powiedział, zaciskając w zębach fajkę – to proszę przysłać nam rachunek. Miałem na myśli Almore’a, rzecz jasna.

Odpowiedziałem, że domyśliłem się, kogo miał na myśli, ale że nie wyślę mu żadnego rachunku.

Przeszedłem przez cichy korytarz i dotarłem do samoobsługowej windy. Była wyłożona czerwonym pluszem i emanowało z niej coś staroświeckiego, jak z trzech wiekowych wdów, które spotkały się na tradycyjnej herbatce.

ROZDZIAŁ 24

DOM NA WESTMORE STREET okazał się małym drewnianym domkiem, ukrytym za większym budynkiem. I to tak ukrytym, że nie miał nawet własnego numeru. Dopiero na tym większym wypatrzyłem obok drzwi wejściowych 1618, wyryte na podświetlonej małą lampką płytce. Wzdłuż frontowej ściany biegła betonowa ścieżka, którą doszedłem na tył budynku i dopiero tam odnalazłem to, czego szukałem.

Wszedłem na maleńki ganeczek, na którym stało samotne krzesło i nacisnąłem guzik dzwonka. Zadzźwięczał gdzieś niedaleko od wejściowych drzwi, które zresztą były otwarte. Przymknięte były tylko ekranowe drzwi z siatką przeciw owadom, dzięki czemu widziałem, że w środku panuje mrok. Dobiegło mnie z niego pytanie zadane mocno zrzędlwym głosem:

– O co chodzi?

Rzuciłem więc w mrok:

– Czy zastałem pana Talleya?

Ton odpowiedzi był już zupełnie inny: bezbarwny i znużony.

– A kto go potrzebuje?

– Znajomy.

Siedząca gdzieś w ciemności kobieta wydała z siebie coś, co zdawało się wyrażać rozbawienie, choć mogło być również odchrząknięciem.

– No dobra – usłyszałem. – Ile tego tym razem wyszło?

– Nie przyszedłem w sprawie zapłaty, pani Talley. Bo przypuszczam, że rozmawiam z panią Talley, prawda?

– Och, idź pan sobie i zostaw mnie w spokoju – odparła. – Pana Talleya tu nie ma, nie było i nie będzie.

Przycisnąłem nos do siatki, próbując coś dostrzec w ciemności pokoju. Wyłowilem jedynie nieostre kontury mebli. Tam, skąd dochodził głos, dojrzałem zarysy czegoś, co mogło być kanapą, na której leżała moja rozmówczyni. Wydało mi się, że leży nieruchomo na plecach i wpatruje się w sufit.

– Jestem chora – odezwała się znowu. – A poza tym mam dosyć kłopotów. Idź sobie,

człowieku, i nie zawracaj mi głowy.

Powiedziałem:

– Przyjeżdżam tu prosto od państwa Graysonów.

Milczała przez chwilę, ale nie poruszyła się. Po czym westchnęła:

– W życiu nie słyszałam o żadnych Graysonach.

Oparłem się o ramę ekranu i popatrzyłem wzdłuż wąskiego chodnika, który prowadził do ulicy. Stał tam samochód z zapalonymi światłami postojowymi. Wzdłuż jezdni zaparkowane były także inne samochody.

Nie dałem za wygraną.

– Owszem, zna ich pani. A ja dla nich pracuję. Ciągłe rozpamiętują swoją stratę. A pani? Nie chciałaby pani również czegoś odzyskać?

– Chciałabym tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju – odparła.

– Potrzebne mi są pewne informacje – powiedziałem. – I zdobędę je, pani Talley. Chciałbym je zdobyć dyskretnie, ale jeśli będzie trzeba, to gotów jestem zrobić raban.

– Proszę, proszę! – rzuciła z ciemności. – Jeszcze jeden gliniarz!

– Pani dobrze wie, że nie jestem gliną, pani Talley. Graysonowie nie rozmawialiby z gliniarzem. Może pani zadzwonić do nich i sprawdzić.

– W życiu o nich nie słyszałam – powtórzyła. – A jak bym nawet słyszała, to i tak nie mam telefonu. Więc zjeżdżaj, glino. Jestem chora, nie słyszałeś? Już od miesiąca jestem chora.

Postanowiłem się przedstawić.

– Nazywam się Marlowe. Philip Marlowe. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles. Rozmawiałem z państwem Grayson. Wpadłem na pewien trop, ale muszę jeszcze porozmawiać z pani mężem.

Kobieta na kanapie zaśmiała się cichym, ledwie słyszalnym śmiechem.

– Wpadłeś na trop, co? – powiedziała. – Mój Boże! Jakbym to już kiedyś słyszała. Wpadł na trop! George Talley też kiedyś wpadł na trop.

– On może to jeszcze odzyskać, pani Talley – naciskałem. – Pod warunkiem że tym razem właściwie zagra kartami, które ma w ręku.

– Jeśli chodzi o dobre rozgrywanie kart – odparła – to od razu możesz na nim położyć kreskę.

Znowu oparłem się o ramę ekranowych drzwi i podrapałem się z namysłem po brodzie. Raptem zobaczyłem, że ktoś na ulicy zapalił ręczną latarkę. Nie miałem pojęcia dlaczego. Po chwili latarka zgasła. Wyglądało na to, że ten ktoś kręcił się w pobliżu mojego

auta.

Błada plama twarzy na kanapie poruszyła się, po czym jej miejsce zajął ciemny zarys kobiecej fryzury. Pani Talley odwróciła się do mnie plecami.

– Jestem zmęczona – powiedziała głosem stłumionym przez oparcie kanapy. – Jestem diabelnie zmęczona. Spadaj pan. Bądź pan tak miły i daj mi spokój.

– Czy nie przydałoby się pani trochę gotówki?

– Człowieku, czy nie czujesz tu dymu z cygara?

Wciągnąłem głębiej powietrze, ale nie. Nie poczułem dymu z cygara, więc powiedziałem:

– Nie.

– Oni tu byli. Zawracali mi głowę przez dwie godziny. Boże, jak mnie to wszystko męczy! Idźże sobie stąd, człowieku.

– Niech pani posłucha, pani Talley...

Ponownie przekręciła się na kanapie i znowu zobaczyłem białawy owal jej twarzy. Zdawało mi się nawet, że dojrzałem jej oczy.

– To ty posłuchaj – rzuciła gniewnie. – Nie znam cię. I nie chcę cię znać. Nie mam ci nic do powiedzenia, a gdybym nawet miała, to i tak byś się tego ode mnie nie dowiedział. Zrozumże, człowieku. Ja tu żyję, jeżeli w ogóle można to nazwać życiem. Tak czy inaczej, to najpodobniejsze do życia, na co mnie jeszcze stać. Potrzebuję trochę ciszy i spokoju, a nie będę tego miała, dopóki ty będziesz tu sterczał. Więc weź i zjeżdżaj stąd, dobrze?

– Proszę mi pozwolić wejść do środka – poprosiłem. – Pogadamy sobie o tym wszystkim. Mogę pani pokazać...

Znowu gwałtownie poruszyła się na kanapie i tym razem jej stopy stuknęły o podłogę, a w głosie zabrzmiała wściekłość.

– Jeżeli się stąd nie wyniesiesz, to zacznę tak wrzeszczeć, że popękają ci bębni. Wynos się! I to już!

– W porządku – powiedziałem pośpiesznie. – Zostawię w drzwiach moją wizytówkę. Żeby pani wiedziała, do kogo się zwrócić, gdyby przypadkiem zmieniła pani zdanie.

Wetknąłem wizytówkę w pęknięcie ramy ekranowych drzwi i rzuciłem w ciemność:

– Już mnie nie ma, pani Talley. Dobranoc!

Nie odezwała się. Jej oczy, mgliście przeświecające przez mrok, wpatrywały się we mnie.

Zszedłem z ganku. Wąskim chodnikiem ruszyłem ku ulicy. Po przeciwnej stronie jezdni, z samochodu z zapalonymi lampkami postojowymi dobiegł mnie cichy, monotony

warkot pracującego silnika. Ale przecież na całym świecie, na tysiącach ulic pomrukują silniki tysięcy samochodów.

Wsiadłem do mojego chryslera i uruchomiłem jeszcze jeden.

ROZDZIAŁ 25

ULICA WESTMORE biegła z północy na południe po gorszej stronie miasta. Pojechałem na północ. Na najbliższym rogu samochód podskoczył na torach nieużywanej już linii międzymiastowej i zaraz znalazłem się w ciągu samochodowych cmentarzysk. Za drewnianymi płotami leżały jedne na drugich rozpadające się szkielety starych aut. Tworzyły wręcz groteskowe formy, które przywodziły na myśl pole jakiejś nowoczesnej bitwy. Światło księżyca wyławiało spośród nich nieregularne zwałiska rdzewiejących części. Wysokie niby ściany pokoju bloki bezużytecznego już metalu, a pomiędzy nimi wąskie alejki dojazdowe.

We wstecznym lusterku pojawiły się światełka reflektorów. Stawały się coraz większe. Wcisnąłem głębiej pedał gazu, a równocześnie sięgnąłem do kieszeni po klucze i otworzyłem schowek na rękawiczki. Wyjąłem z niego moją trzydziestkę ósemkę i położyłem na siedzeniu obok.

Za cmentarzyskami zużytych aut rozciągały się tereny starej cegielni. Górował nad nimi wysoki komin pieca, z którego nie wydobywał się już dym. Wokół pieca leżały ciemne stosy cegieł, pośród nich niski drewniany budynek, na którym zachował się jeszcze duży szyld, a poza tym już tylko pustka, bezruch i ciemność.

Jadący za mną samochód przybliżał się. Dostłyszałem narastające w nocnej ciszy basowe powarkiwanie pracującej na wolnych obrotach syreny. Dźwięk ten ulatywał swobodnie ponad porzuconym polem golfowym, które rozciągało się na wschód od drogi, i ponad terenami cegielni po zachodniej stronie.

Spróbowałem jeszcze trochę przyśpieszyć, ale nic to nie dało. Tamci szybko zbliżali się do mnie, aż w pewnej chwili rozbłysło za mną czerwone światło policyjnego reflektora, które rozświetliło całą drogę.

Radiowóz zrównał się ze mną, a następnie zaczął zajeżdzać mi drogę. Zahamowałem tak gwałtownie, że mój chrysler omal nie stanął dęba na przednich kołach, po czym odbiłem na prawą stronę i za plecami policyjnego auta zawróciłem, o mały włos nie zawadzając o płot.

Pognałem przed siebie, jak się dało najszybciej. Za plecami słyszałem odgłosy gwałtownie zmienianych biegów i wściekle porykiwanie silnika. Czerwone światło reflektora

omiotło teren cegielni, sięgając niemal aż po horyzont.

Nie miałem żadnych szans w tym wyścigu. Znowu jechali za mną i znowu szybko dościgali mojego chryslera. Ale nie o to mi chodziło, żeby im uciec. Chciałem tylko zdążyć przed nimi do miejsca, w którym byłyby domy. Ponieważ mogliby z nich wyjść ludzie, którzy widzieliby, jak mnie dopadają, i być może zapamiętaliby tę scenę.

Jednakże to też mi się nie udało. Radiowóz ponownie zrównał się ze mną i tubalny głos wywrzeszczał:

– Zjeżdżaj na bok albo przedziurawimy cię na wylot!

Więc zjechałem na pobocze i zatrzymałem wóz. Z powrotem włożyłem broń do schowka i zatrzasnąłem pokrywę. Radiowóz zakołysał się na resorach, hamując gwałtownie tuż przed moim lewym błotnikiem. Wskoczył z niego jakiś tłuścioch i ryknął:

– Nie potrafisz rozpoznać policyjnej syreny?! Wyłaż z samochodu!

Wysiadłem i stanąłem obok wozu w jasnym świetle księżyca. Tłuścioch miał w ręku rewolwer.

– Prawo jazdy! – warknął, a jego głos zadźwięczał jak ostrze wbijanego w ziemię szpadla.

Wyjąłem z kieszeni prawo jazdy i wyciągnąłem je przed siebie. Drugi gliniarz, który prowadził, wyostał się już zza kierownicy, obszedł radiowóz i wyrwał mi je z ręki. Oświetlił je latarką i przez chwilę uważnie studiował.

– Nazywa się Marlowe – zakomunikował kumpłowi. – I wiesz co, Cooney? To prywatny niuchacz! Wyobrażasz sobie?

– Czyli że zwyczajny łachudra, więc gnata nie będzie mi potrzebny – stwierdził Cooney. Wsunął rewolwer do olstra i dopiął osłonę kolby.

– Założysz się, że wystarczą mi na niego moje małe paluszki? Słowo daję, że nie więcej nie będzie mi trzeba!

Ten drugi zawyrokował:

– Pięćdziesiąt pięć mil na godzinę. Wcale bym się nie zdziwił, jakby od niego jechało gorzałą.

– Niech ci sukiny syn chuchnie – poradził mu Cooney.

Tamten pochylił się ku mnie i z grymasem udanej uprzejmości zapytał:

– Zechce pan chuchnąć, panie prywatny łapsie?

Zechciałem.

– No cóż – osądził. – Jedno muszę mu przyznać. Zataczać, to się nie zatacza.

– Chłodno dziś jak na letnią noc, nie, Dobbs? – powiedział Cooney. – Więc może byś

tak dał chłopaczkowi coś na rozgrzewkę?

– To jest, kurczę, naprawdę trafiony pomysł! – ucieszył się Dobbs, po czym podszedł do radiowozu i wrócił z półkwartową piersiówką. Podniósł ją do góry i zobaczyłem, że została w niej jeszcze mniej więcej jedna trzecia.

– Może to nie jest naprawdę solidna porcja – powiedział, wyciągając butelkę w moją stronę – ale czym chata bogata, koleżko!

– Przypuśćmy, że nie mam ochoty się napić – powiedziałem.

– No nie! – zakwicział radośnie Cooney. – On chyba ma zamiar nam odmówić poczęstunku! A może wolałby na przykład parę pięknych odcisków obcasów na brzuchu. Co ty na to, Dobbs?

Więc wziąłem butelkę, zdjąłem nakrętkę i powąchałem zawartość. To był alkohol i zalatywał whisky. Zwyczajną whisky.

– Nie możecie za każdym razem posługiwać się tą samą sztuczką. Czas już chyba na jakiś nowy numer – zauważyłem.

– Względem czasu, to jest akurat ósma dwadzieścia siedem – powiedział na to Cooney. – Zanotuj to, Dobbs.

Dobbs udał się do radiowozu i pochylił się do środka, żeby zapisać w notesie godzinę. Podniosłem butelkę i upewniłem się jeszcze:

– Więc naprawdę nalegacie, żebym to wypił?

– Ale gdzieżby! – odparł Cooney. – Zamiast tego mogę ci trochę poskakać po brzuchu!

Przechyliłem butelkę, pociągnąłem łyk, ale zatrzymałem go w ustach. Cooney podskoczył do mnie i rąbnął mnie pięścią w brzuch. Zgiąłem się w pół. Whisky wytrysnęła mi z ust i upuściłem butelkę. Schyliłem się jeszcze bardziej, żeby ją podnieść, i dojrzałem grube kolano Cooneya zmierzające ku mojej twarzy.

Zrobiłem unik, jednocześnie prostując się, po czym z całej siły, na jaką mogłem się zdobyć – walnąłem go prosto w nos.

Ryknął z bólu, lewą dłoń przycisnął do twarzy, podczas gdy prawa dopadła olstra.

Tymczasem z boku zaatakował mnie Dobbs, biorąc niski zamach. Jego pałka trafiła mnie od tyłu pod lewym kolaniem. Noga załamała się pode mną i osunąłem się bezwładnie na ziemię. Spomiędzy zaciśniętych z bólu zębów trysnęły resztki whisky.

Cooney odsunął dłoń od zakrwawionej twarzy.

– Chryste! – wykrztusił złowrogo chrypliwym głosem. – To krew! To moja własna krew!

Po czym wydał z siebie dziki okrzyk i kopnął mnie, mierząc w twarz.

Udało mi się przetoczyć po ziemi na tyle skutecznie, że trafił mnie tylko w ramię, ale i to było diabelnie bolesne.

Dobbs wskoczył pomiędzy nas i powiedział:

– To nam wystarczy, Charlie. Lepiej nie spaprać całej sprawy, nie uważasz?

Szurając nogami, Cooney odstał o trzy kroki i z rękoma przy twarzy przysiadł na stopniu policyjnego radiowozu. Potem wygrzebał z kieszeni chusteczkę i ostrożnie przyłożył ją do krwawiącego nosa.

– Bądź dobrym kumplem. Daj mi na niego jeszcze minutkę – wykrztusił przez chusteczkę. – Jedną małą minutkę, dobra?

– Upuść trochę pary, Charlie. Mamy już, czego nam było trzeba, i niech już tak zostanie.

Powolnym, wahadłowym ruchem kołysał przy nodze swoją pałką. Cooney podźwignął się na nogi i chwiejnym krokiem ruszył w moją stronę. Dobbs powstrzymał go wyciągniętą ręką i zaczął go delikatnie odpychać. Cooney uporczywie próbował odtrącić jego rękę.

– Chcę krwi, rozumiesz? – wycharczał. – Muszę tu zobaczyć więcej krwi!

Dobbs powiedział ostrym tonem:

– Nic z tego. Po prostu wypuść parę. Mamy wszystko, czego nam było trzeba.

W końcu Cooney odwrócił się i powlókł się ciężkim krokiem na drugą stronę radiowozu. Oparł się o dach i mamrotał coś przez chusteczkę.

Dobbs warknął:

– Podnieś dupę, kochanečku!

Więc wstałem, masując zagłębienie pod kolanem. W całej nodze czułem bolesne szarpnięcia podrażnionych nerwów.

– Ładuj się do samochodu! – rozkazał Dobbs. – Ale do naszego!

Zrobiłem, co kazał.

– Ty, Charlie, poprowadź jego gruchota – powiedział Dobbs.

– Porozbijam mu wszystkie pieprzone błotniki! – ryknął w odpowiedzi Cooney.

Dobbs podniósł butelkę po whisky i cisnął ją za płot, po czym ulokował się za kierownicą obok mnie. Nacisnął starter.

– To cię będzie drogo kosztowało – powiedział. – Nie powinieneś być go uderzyć.

– A to niby dlaczego? – spytałem.

– To jest w porządku chłopak – odparł. – Tylko trochę za bardzo hałaśliwy.

– Ale mało zabawny – stwierdziłem. – Powiem nawet, że ani trochę nie zabawny.

Cooney zatrasnął drzwiczki chryslera, uruchomił silnik i ruszył. Zmieniał przy tym

biegi tak zgrzytliwie, jak gdyby chciał rozwalić cały układ napędowy.

Dobbs gładko i bez zrywów zawrócił i ponownie skierował auto na północ, wzdłuż terenów starej cegielni.

– Nasz nowy areszt na pewno ci się spodoba – zauważył tonem pocieszyciela.

– A o co niby mam być oskarżony?

Zastanawiał się przez chwilę, prowadząc pewną ręką samochód i upewniając się we wstecznym lusterku, czy Cooney za nimi nadąża.

– Przekroczenie dozwolonej prędkości – powiedział wreszcie. – Do tego stawianie oporu i PPP. PPP to taki nasz policyjny skrót. Prowadzenie Po Pijanemu, rozumiesz.

– A co z takimi drobiazgami jak to, że zostałem walnięty w brzuch, kopnięty w ramię, zmuszony do picia alkoholu pod groźbą uszkodzenia ciała, straszony rewolwerem i uderzony pałką, chociaż nie miałem przy sobie broni? Czy z tego nie można by też zrobić jakiegoś małego użytku?

– Daj spokój, chłopie – odparł zmęczonym głosem. – Myślisz może, że takie rzeczy to moja ulubiona rozrywka?

– Wydawało mi się, że w tym mieście zaprowadzono wreszcie porządek. Myślałem, że przyzwoici ludzie mogą znowu chodzić wieczorami po ulicach bez kuloodpornych kamizelek.

– Trochę w tej sprawie zrobiono – powiedział Dobbs. – Ale nie chcieli, żeby tu się zrobiło za bardzo porządnie. To by mogło odstraszyć brudne pieniądze, rozumiesz.

– Lepiej, żebyś nie wygadywał takich rzeczy – zauważyłem. – Możesz stracić kartę członkowską związku.

Skwitował to śmiechem.

– Mam gdzieś ich kartę i mam gdzieś ich wszystkich – oświadczył. – Za dwa tygodnie będę w wojsku.

To, co się wydarzyło, było już poza nim. Nie miało znaczenia. Traktował to jak coś oczywistego i niegodnego uwagi. Nie czuł nawet goryczy.

ROZDZIAŁ 26

ARESZT BYŁ rzeczywiście prawie nowiuteńki. Przywołująca na mysi koloryt okrętów wojennych szara farba, którą pomalowano stalowe ścianki i drzwi, wciąż miała połysk nowości, w paru tylko miejscach trochę zeszpecony plamami po wypłutym soku tytoniowym. Górne lampy były wpuszczone w sufit i zabezpieczone grubym matowym szkłem.

Po jednej stronie celi, do której mnie wprowadzono, znajdowały się dwie prycze. Na górnej chrapał jakiś facet, owinięty w ciemnoszary koc. Ponieważ spał o tak wczesnej porze, nie śmierdział whisky ani ginem i w dodatku położył się na górze, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał, domyśliłem się, że to jeden z tutejszych stałych bywalców.

Przysiadłem na dolnej pryczy. Wprawdzie obmacali mnie, poszukując broni, ale nie opróżnili mi kieszeni, więc zapaliłem papierosa i zacząłem masować piekącą kulę, która nabrzmiwała pod lewym kolaniem. Ból promieniował aż do kostki. Whisky, która opryskała mi przód marynarki, śmierdziała mi pod samym nosem, więc uniosłem cuchnące miejsce i wydychałem na nie papierosowy dym. Dym unosił się do góry i falował wokół świetlnego prostokąta w suficie.

W areszcie panował spokój i niemal zupełna cisza. Tylko z jakiegoś odległego zakątka dochodziły przeraźliwe wrzaski awanturującej się kobiety. Po mojej stronie było cicho jak w pustym kościele.

Ona tymczasem nie przestawała się drzeć, ja zaś nie wiedziałem, skąd dokładnie dochodzi mnie ten wrzask. Był w nim jakiś cienki, ostry i jakby trochę nierealny podźwięk, podobny do wycia kojotów w księżycowe noce, choć w odróżnieniu od niego nie miał tego przerażającego wysokiego tonu i nie budził lęku.

Po jakimś czasie ucichł także i ten krzyk. Ale zdążyłem przez ten czas wypalić dwa papierosy, wrzucając niedopałki do małej toalety w rogu celi. Mężczyzna nade mną wciąż chrapał. W zasięgu spojrzenia miałem tylko kosmyki jego brudnych i przetłuszczonych włosów, które wystawały spod koca poza krawędź pryczy. Leżał na brzuchu. I spało mu się bardzo dobrze. Musiał być jednym z najwybitniejszych specjalistów od spania w areszcie.

Po wyrzuceniu drugiego niedopałka z powrotem usiadłem na pryczy. Zamiast sprężyn

miała siatkę z płaskich stalowych taśm, na których spoczywał cienki i twardy materac. Ktoś bardzo pieczołowicie i schludnie nakrył go dwoma ciemnoszarymi kocami.

W rzeczy samej był to bardzo miły areszt. Mieścił się na jedenastym piętrze nowego ratusza. I była to bardzo przyjemna dla oka siedziba. Bo przecież i samo Bay City było bardzo przyjemnym miastem. Mieszkało w nim sporo ludzi i wszyscy tak właśnie uważali. Pewnie i ja tak bym uważał, gdybym mieszkał w Bay City. Popatrywałbym sobie na ładnie położoną plażę, na strome urwiska nadmorskich skał, na przystań jachtową, na ciche ulice z domami zarówno starymi, które otaczały stare drzewa, jak i nowymi, które chroniły się za drucianymi ogrodzeniami, zieleniły się nienagannie przystrzyżonymi trawnikami i posadzonymi wzdłuż dojazdowych alejek młodymi drzewkami.

Znałem pewną dziewczynę. Jest bardzo miła i mieszka na Dwudziestej Piątej, która jest bardzo miłą ulicą. Ta dziewczyna bardzo lubi Bay City. I oczywiście nie przyszłoby jej do głowy przejmować się jakimiś tam slumsami na przygnębiającej równinie, która rozciąga się na południe od starej linii kolejowej, bo w końcu gnieźdzą się tam tylko Meksykanie i czarnuchy. Pewnie nie ma nawet pojęcia, co tacy ludzie robią i jak żyją. Nic nie wie o ich dzikich kąpieliskach wzdłuż płaskiego brzegu oceanu, na południe od nadmorskich skał, o ciasnych, dusznych i ociekających potem tancbudach na obrzeżach slumsów, o skrętach z marihuany, o wąskich, lisich twarzyczkach i cwanych oczkach, które zza osłony rozpostartych gazet kontrolują sytuację w podejrzenie pustych recepcjach podejrzanym hotelików, o kieszonkowcach, złodziejaskach-amatorach, bandziorach z wyrokami, pijaczkach, alfonsach, dziwkach i pedziach, wmieszanych w tłum zapełniający drewniane chodniki.

Podszedłem do drzwi. Po drugiej stronie korytarza nikt się nawet nie poruszył. Światła były już przyćmione. Areszt pogrążył się we śnie.

Spojrzałem na zegarek. Dziewięta pięćdziesiąt cztery. Pora, kiedy wraca się do domu, wkłada pantofle i zasiada nad szachownicą. Kiedy nalewa się sobie szklaneczkę czegoś chłodnego i mocnego i zapala się wieczorną fajkę. Kiedy siedzi się wygodnie i myśli o niczym. Kiedy zaczyna się ziewać nad kolorowym magazynem. Kiedy jest się już tylko istotą ludzką, głową domu, kimś, kto nic już nie ma do zrobienia poza wypoczynkiem, wdychaniem wieczornego powietrza i ładowaniem akumulatorów przed jutrzejszym dniem.

Na korytarzu pojawił się strażnik w niebieskoszarym mundurze. Szedł przypatrując się numerom cel, aż w końcu zatrzymał się przed moją. Otworzył kratę i rzucił mi to spojrzenie twardego, o którym wszyscy oni sądzą, że stanowi niezbywalny atrybut ich roboty, więc przywiązani są do niego na wieki wieków. Ma ono znaczyć: jestem gliną, braciszku, ze mną

nie ma żartów, więc zachowuj się jak trzeba, braciszku, bo jak nie, to tak cię urządzimy, że będziesz się przed nami czołgał jak padalec, więc lepiej zacznij gadać, braciszku, i wykrztuś z siebie całą prawdę, jazda, braciszku, i zapamiętaj sobie raz na zawsze, że my jesteśmy gliniarze, czyli twarde chłopy, i z takimi łapserdakami jak ty robimy wszystko, co tylko się nam spodoba.

– Wyłaż – rzucił.

Wyszedłem z celi i poczekałem, aż z powrotem ją zamknie i ruchem kciuka da mi znać, żebym ruszał, po czym doszliśmy korytarzem do szerokich stalowych drzwi, które otworzył, a kiedy przeszliśmy przez nie, zamknął, i kroczyliśmy dalej ramię w ramię przy akompaniamencie kluczy pobrzękujących na wielkim stalowym kółku, a potem przeszliśmy przez następne stalowe drzwi, które tylko od strony cel pomalowane były jak okręty wojenne, a od tej drugiej miały kolor drewna.

Przy kontuarze dyżurnego zobaczyłem porucznika Degarma, który rozmawiał z dyżurnym sierżantem.

Zwrócił ku mnie swoje metaliczno błękitne oczy i zapytał:

– Jak leci?

– Wspaniale.

– Spodobał ci się nasz areszt?

– Wasz areszt jest po prostu wspaniały.

– Kapitan Webber chce z tobą pogadać.

– To wspaniale.

– Nie mógłbyś spróbować jakichś innych określeń zamiast „wspaniale”?

– Nie w tej chwili – odparłem. – Nie tutaj.

– Trochę jakbyś kulał – zatroskał się nagle. – Potknąłeś się o coś?

– Właśnie. Potknąłem się o pałkę. Ni z tego, ni z owego podskoczyła i dziabnęła mnie pod lewym kolaniem.

– To przykre – zmartwił się Degarmo, patrząc na mnie z niewinną miną. – Odbierz z przechowalni swoje drobiazgi.

– Niczego mi nie zabrali.

– To bardzo szczęśliwie – zauważył.

– Właśnie – powiedziałem. – Po prostu wspaniale.

Dyżurny sierżant podniósł kudłatą głowę i obrzucił nas przeciągłym spojrzeniem.

– Jak już chcecie zobaczyć coś wspaniałego, to powinniście rzucić okiem na irlandzki nosok Cooneya – powiedział. – Rozszedł mu się po całej twarzy niby syrop po wafli.

Degarmo zapytał bez zainteresowania:

– A co się stało? Wdał się w jakąś bójkę?

– Konkretnie to nie wiem – odparł sierżant. – Może ta sama pałka skoczyła na niego i dziabnęła go w nos?

– Jak na sierżanta na tym stanowisku, jesteś cholernie gadatliwy – zauważył Degarmo.

– Dyżurni sierżanci w aresztach zawsze są cholernie gadatliwi – odpalił dyżurny sierżant. – Pewnie dlatego nie biorą ich na poruczników do wydziału zabójstw.

– Sam widzisz, jak to jest w policji – uświadomił mnie Degarmo. – Po prostu jedna wielka, szczęśliwa rodzina!

– Promienny uśmiech nie schodzi nam z twarzy – dorzucił sierżant. – Na powitanie szeroko rozkładamy ramiona, a w każdej ręce trzymamy powitalny kamień.

Degarmo dał mi znak energicznym ruchem głowy i wyszliśmy z aresztu.

ROZDZIAŁ 27

KAPITAN WEBBER wycelował we mnie z drugiej strony biurka swój ostry, wygięty nos i powiedział:

– Proszę usiąść.

Ulokowałem się w drewnianym fotelu z wygiętym oparciem i zaraz zmieniłem położenie lewej nogi, bo twarda krawędź siedzenia zetknęła się z kulą pod kolanem.

Rozejrzałem się po kapitańskim gabinecie. Był to całkiem przyzwoity i duży narożny pokój.

Degarmo usadowił się na skraju biurka, założył nogę na nogę i spoglądając za okno, w zamyśleniu masował sobie kostkę.

– Prosił się pan o kłopoty, więc je pan teraz ma – kontynuował Webber. – Jechał pan z prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę w terenie zabudowanym i próbował uciec przed policyjnym radiowozem, mimo że widział pan czerwony reflektor i słyszał syrenę, co oznacza polecenie zatrzymania samochodu. Kiedy pana do tego zmuszono, stawiał pan opór i uderzył pan w twarz jednego z członków patrolu.

Zbyłem to milczeniem.

Webber wziął z biurka zapalną, przełamał ją i wyrzucił za siebie obie połówki.

– Czy też może jak zwykle... policjanci kłamią? – zapytał.

– Nie pokazano mi ich raportu – odparłem. – Nie wykluczam, że mogłem jechać z nadmierną prędkością w terenie zabudowanym, a w każdym razie w granicach miasta. Samochód policyjny zaparkował przed domem, w którym składałem wizytę. Ruszył za mną, kiedy odjeżdżałem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to policyjne auto. Oni nie mieli żadnego racjonalnego powodu, żeby za mną jechać, więc nie podobało mi się takie zachowanie. Jechałem dość szybko, ale chodziło mi o to, żeby jak najszybciej wjechać w oświetlony rejon miasta.

Degarmo zwrócił głowę w moją stronę i popatrzył na mnie wzrokiem, który nic nie wyrażał. Webber gniewnie zacisnął wargi, po czym powiedział:

– Ale kiedy już wiedział pan, że to patrol policji, mimo wszystko zawrócił pan

pośrodku jezdni i w dalszym ciągu usiłował uciec. Czy to prawda?

Potwierdziłem:

– Tak. Ale żebym mógł to panu wyjaśnić, musiałby pan się zgodzić na chwilę szczerzej rozmowy.

– Ja nie obawiam się szczerych rozmów – powiedział Webber. – Szczerze rozmowy to nawet poniekąd moja specjalność.

Więc zacząłem wyjaśniać:

– Ci dwaj gliniarze, którzy mnie zatrzymali, parkowali przed domem, w którym mieszka żona George’a Talleya. Byli tam już przed moim przyjazdem. George Talley był swego czasu prywatnym detektywem, który pracował w tym mieście. Chciałem z nim porozmawiać. A Degarmo wie, dlaczego zależało mi na tej rozmowie.

Degarmo przytaknął obojętnym skinieniem głowy, po czym wyciągnął z kieszeni zapalną i zaczął ją miarowo żuć. Webber nie patrzył na niego.

Powiedziałem:

– Jesteś głupcem, Degarmo. Cokolwiek zrobisz, jest głupie i po głupiemu zrobione. Kiedy przyczepiłeś się do mnie wczoraj przed domem Almore’a, to koniecznie musiałeś z miejsca grać twardziela, chociaż nie miałeś żadnego powodu, żeby się tak zachować. Musiałeś obudzić we mnie ciekawość, chociaż dopóki na mnie nie naskoczyłeś, nie miałem żadnego powodu, żeby się tym interesować. Musiało ci się nawet wymknąć parę odzywek, z których domyśliłem się, w jaki sposób będę mógł zaspokoić tę swoją ciekawość, gdyby się to okazało ważne. Podczas gdy wszystko, co wystarczyło w tej sytuacji zrobić, żeby chronić tyłki twoich przyjaciół, to trzymać dziób na kłódkę i czekać, aż ja z czymś wyskoczę. A ja z niczym bym nie wyskoczył i nic by się nie stało z tego, co się stało.

Webber nie wytrzymał.

– Co, do cholery, ma to wszystko wspólnego z tym, że został pan aresztowany na Westmore Street?

– To jest związane ze sprawą Almore’a – odparłem. – George Talley pracował nad tą sprawą. To znaczy, pracował, dopóki nie został wrobiony w jazdę po pijanemu.

– Do diabła! – prychnął gniewnie Webber. – Ja nigdy nie zajmowałem się żadną sprawą Almore’a. Nic o niej nie wiem, tak samo jak nie wiem, kto pierwszy pchnął nożem Juliusza Cezara! Więc bądź pan łaskaw trzymać się tematu, dobrze?

– Ja go się jak najbardziej trzymam. Degarmo zna sprawę Almore’a i nie lubi, żeby o niej gadano. Tę sprawę znają nawet chłopcy z wozów patrolowych. Cooney i Dobbs nie mieli żadnego powodu, żeby się mnie czeplić, poza jednym tylko. Tym mianowicie że odwiedziłem

żonę człowieka, który zajmował się właśnie sprawą Almore'a. Bo nie jechałem pięćdziesiąt pięć na godzinę, zanim nie zaczęli mnie ścigać. A próbowałem im uciec po prostu dlatego, że dobrze przeczuwałem, jak mogę dostać za to, że pojechałem na Westmore Street. I to właśnie dzięki porucznikowi Degarmo naszło mnie to przeczucie.

Webber w milczeniu wpatrzył się w niego. Degarmo zwrócił swoje zimne błękitne oczy na przeciwległą ścianę pokoju.

Więc dalej wyjaśniałem swoje:

– A Cooneya walnąłem w nos dopiero po tym, jak zmusił mnie do picia whisky, a kiedy już zacząłem ją pić, to walnął mnie pięścią w brzuch. Po to, żeby mi się ta whisky wylała z ust na marynarkę i żebym potem śmierdział alkoholem. I nie wierzę, żeby pan nigdy przedtem nie słyszał o tej sztuczce, panie kapitanie.

Webber przełamał następną zapalkę, po czym odchylił się na oparcie fotela i przyjrzał się kostkom zaciśniętej dłoni. Ponownie spojrzął na Degarma i powiedział:

– Gdyby cię dzisiaj mianowali szefem policji, to chciałbym, żebyś mnie zapoznał ze wszystkimi waszymi trikami.

Degarmo nie potrafił już dłużej udawać obojętnego spokoju.

– Psiakrew, przecież ten łachudra dostał tylko parę nieszkodliwych prztyczków! Po prostu taka męska zabawa, nie? A że ktoś nie zna się na żartach, to już...

Webber nie dał mu dokończyć.

– Czy to na twój rozkaz Cooney i Dobbs tam pojechali?

– No... Jak by to powiedzieć... Tak – przyznał Degarmo. – Bo nie rozumiem, dlaczego musimy się grzecznie obchodzić z takimi, co to przyjeżdżają do nas, żeby węszyć i rozgrzebywać zgarnięte już na kupę zeschnięte liście, bo w ten sposób uda im się zamącić w dwóch starych głowach i złapać nową fuchę za gruby szmal! Tacy faceci jak ten tutaj po prostu potrzebują krótkiej, dobrej lekcji!

– Tak właśnie to widzisz? – zapytał Webber.

– Dokładnie tak mi się to widzi – odparł Degarmo.

– A ja wprawdzie nie bardzo jeszcze widzę, czego potrzebują tacy faceci jak ty – powiedział Webber – ale na razie doszedłem do wniosku, że przyda ci się odrobina świeżego powietrza. Więc może zechciałbyś się trochę przespacerować, panie poruczniku?

Patrzyłem, jak usta Degarma same się powoli otwierają.

– To znaczy... Chce pan, żebym poszedł teraz przejść się po powietrzu?!

Webber raptownie pochylił się nad biurkiem, przy czym jego maleńka zaostrzona bródka przecięła powietrze niby dziób krążownika.

– Jeśli oczywiście zechce mi pan wyświadczyć tę uprzejmość.

Degarmo powolnym ruchem podniósł się z krzesła, a równocześnie na policzkach wystąpiły mu czerwone plamy. Otwartą dłońią wsparł się ciężko o blat biurka i wpatrzył się w Webbera. Przez chwilę w pokoju panowała napięta cisza. Potem Degarmo powiedział:

– Jak pan chce, panie kapitanie. Ale źle pan to rozgrywa.

Ponieważ Webber nie zaszczycił go odpowiedzią, więc w końcu skierował się w stronę drzwi i wyszedł.

Kapitan zaczekał, aż drzwi się za nim zamkną, i wtedy dopiero powiedział:

– Czy pan naprawdę twierdzi, że potrafi pan powiązać ze sobą tę śmierć pani Almore sprzed półtora roku z dzisiejszą śmiercią Lavery’ego? Czy może tylko puszcza pan taką zasłonę dymną, bo pan sam, psiakrew, jest przekonany, że to żona Kingsleya zastrzeliła Lavery’ego?

Odparłem:

– Lavery związany był z tamtą sprawą, zanim został zastrzelony. Może tylko lekko i może tylko cienką niteczką. Ale wystarczy, żeby dało to do myślenia.

– Trzeba panu wiedzieć, że jestem w tej sprawie trochę dokładniej zorientowany, niż mogło się to panu zdawać – powiedział Webber chłodnym tonem. – Mimo iż osobiście w żadnej mierze nie miałem do czynienia z dochodzeniem w sprawie śmierci pani Almore, a ponadto nie byłem wówczas szefem policji. Jeśli więc pan jeszcze wczoraj nie słyszał nawet o doktorze, to od tej pory cholernie dużo musiał się pan o nim dowiedzieć.

Opowiedziałem mu dokładnie, czego się dowiedziałem z jednej strony od panny Fromsett, a z drugiej od Graysonów.

– A więc pańska hipoteza zasadza się na przypuszczeniu, że Lavery mógł szantażować Almore’a, tak? – upewnił się, gdy skończyłem. – I że mogło to mieć bezpośredni związek z zabójstwem?

– To nie jest hipoteza, panie kapitanie. To nic więcej niż tylko możliwość. Nie utrzymałbym się w tym fachu, gdybym nie zdawał sobie sprawy z takich różnic. Stosunki pomiędzy Laverym a Almore’em mogły być bardzo ścisłe i niebezpieczne lub mogły też ograniczać się do najzwyczajszej znajomości. Ale mogło w ogóle nie dojść do żadnej znajomości, bo ci dwaj panowie mogli nigdy nie zamienić ze sobą ani jednego słowa. Ale jeżeli założyć, że w sprawie Almore’a nie było nic, co mogłoby budzić wątpliwości, to dlaczego każdy, kto zainteresował się tą sprawą, był tak brutalnie traktowany? To że George Talley został przyłapany na jeździe po pijanemu akurat wtedy, gdy pracował nad tą sprawą, mogło być czystym przypadkiem. Przypadkiem mogło być zarówno to, że Almore wezwał

gliniarza, ponieważ patrzyłem na jego dom, jak i to, że Lavery został zastrzelony, zanim mogłem z nim odbyć drugą rozmowę. Ale nie mogło być rzeczą przypadku, że dwaj pańscy ludzie obserwowali dziś wieczorem dom Talleya, gotowi, chętni i odpowiednio wyposażeni do tego, żeby dobrać mi się do skóry, gdybym się tam zjawił.

– To muszę panu przyznać rację – powiedział Webber. – I jeśli o mnie chodzi, to ten incydent będzie miał dalszy ciąg. Czy chce pan złożyć oficjalną skargę?

– Życie jest za krótkie na to, żebym miał je marnować na składanie skarg o napaść ze strony policjantów, panie kapitanie.

Skrzywił się lekko, po czym zaproponował:

– W takim razie uznajmy, że oficjalnie nic takiego się nie zdarzyło i potraktujmy to jako pożyteczne doświadczenie. Jeśli się nie mylę, to nie został pan formalnie aresztowany i w każdej chwili może pan pójść do domu. Ale gdybym był na pana miejscu, to zajmowanie się sprawą Lavery’ego i jakimkolwiek jej związkiem ze sprawą Almore’a pozostawiłbym kapitanowi Webberowi.

Spytałem:

– Także związkiem, jaki mogłaby ona mieć ze sprawą kobiety o nazwisku Muriel Chess, której ciało znaleziono w górskim jeziorze w okolicy Puma Point?

Uniósł lekko małe brwi.

– A sądzi pan, że jedno z drugim się łączy?

– Owszem. Tylko że mógł pan się z tą kobietą zetknąć nie jako z Muriel Chess. Bo jeśli w ogóle miał pan z nią do czynienia, to jako z Mildred Haviland, którą doktor Almore zatrudniał w charakterze pielęgniarki. I to ona właśnie odprowadziła panią Almore do łóżka tego fatalnego wieczora, po którym znaleziono jej ciało w garażu. I która mogła wiedzieć, kto był za tę śmierć odpowiedzialny. Gdyby więc ktoś chciał, żeby to nie wyszło na jaw, to mógł ją przekupić albo postraszyć na tyle skutecznie, że wkrótce potem spakowała manatki i zniknęła z miasta.

Tym razem Webber przełamał dwie zapalki równocześnie. Jego małe, chłodne oczka wpatrywały się w moją twarz. Milczał.

– I otóż w tym miejscu natykamy się na klasyczny zbieg okoliczności. Jedyne, który w całej tej historii gotów jestem uznać za prawdziwy przypadek. Ponieważ owa Mildred Haviland poznaje w pewnej piwiarni w Riverside niejakiego Billa Chessa, z jakichś sobie tylko znanych powodów wychodzi za niego za mąż i wprowadza się do jego chatki nad Jeziorem Małego Jelonka. A tak się składa, że jezioro to stanowi część prywatnej posiadłości pewnego mężczyzny, którego żona utrzymywała intymne stosunki z Laverym. Z tym samym

Laverym, który znalazł ciało pani Almore. Oto co uważam za prawdziwy zbieg okoliczności. I niczym innym być nie mogło, a jednak nabrało istotnego, fundamentalnego wręcz znaczenia. Wszystko, co się potem zdarzyło w całej tej historii, ma swoje źródło w tym właśnie absolutnym przypadku.

Webber wstał zza biurka, podszedł do zbiornika z chłodzoną wodą i opróżnił dwa papierowe kubki. Powolnym ruchem zgniótł je w dłoni, uformował w kulkę i wrzucił niby piłeczkę do brązowego metalowego kosza pod zbiornikiem. Następnie podszedł do okna i przez długą chwilę przypatrywał się zatoce. Wtedy jeszcze nie obowiązywało zaciemnienie i przystań jachtowa mieniła się niezliczonymi światełkami.

Potem powolnym krokiem wrócił do biurka i usiadł. Dwoma palcami ścisnął czubek nosa. Najwyraźniej dojrzywały w nim jakieś decyzje.

Wreszcie powoli wypowiadając słowa, wyznał:

– Jednej rzeczy wciąż nie rozumiem. Jakież, do cholery, sens w tym, żeby próbować złożyć to w jedną całość z czymś, co się wydarzyło półtora roku później?

– Trudno – powiedziałem. – W każdym razie dziękuję, że poświęcił mi pan tak dużo czasu.

Wstałem i zacząłem się zbierać do wyjścia.

– Bardzo pana boli? – zapytał Webber, gdy pochyliłem się, żeby rozmasować gułę pod kolanem.

– Nie powiem, że nie, ale najgorsze mam już chyba za sobą.

– Praca policji – powiedział niemal ciepłym tonem – stwarza cholernie dużo problemów. To prawie tak jak w polityce. Powinni się nią zajmować najlepsi i najuczciwsi, tylko że nie ma w niej nic, co tych najlepszych i najuczciwszych mogłoby przyciągać. Więc trzeba sobie radzić z tym, co się ma... No i ma się takie właśnie skutki.

– Wiem – odparłem. – Zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. Toteż nie mam żalu o to, co się stało. Dobranoc, panie kapitanie.

– Zaraz – powiedział nieoczekiwanie. – Niech pan jeszcze siądzie na minutkę. Jeśli już wplątała się w to wszystko sprawa Almore'a, to weźmy ją pod światło i przyjrzyjmy się jej dokładnie.

– Otóż to – przytaknąłem. – Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił.

Z powrotem ulokowałem się w drewnianym fotelu.

ROZDZIAŁ 28

PRZYPUSZCZAM, że są ludzie, którzy uważają, że my wszyscy tutaj jesteśmy jedną wielką bandą skorumpowanych drani – stwierdził cichym głosem Webber. – Wyobrażają sobie może, że kiedy jakiś gość zamorduje swoją żonę, to dzwoni do mnie i mówi: „Cześć, kapitanie, mam tu w salonie trupa małżonki, którą właśnie załatwiłem. A w ogóle to mam do dyspozycji pięciuset twardzieli, którzy akurat nie mają nic do roboty”. A ja wtedy na to: „W porządku, zostaw pan wszystko tak jak jest, a ja tam zaraz będę z kocem, żeby przykryć ciało”.

– Nie jest aż tak źle – powiedziałem.

– W jakiej sprawie chciał pan rozmawiać z Talleyem, kiedy pojechał pan dziś wieczorem do jego domu?

– Talley wpadł na jakiś trop w sprawie śmierci Florence Almore. Jej rodzice wynajęli go, żeby dalej to drążył, ale nigdy się od niego nie dowiedzieli, co takiego znalazł.

– A pan spodziewał się, że panu oczywiście to powie? – zapytał Webber sarkastycznym tonem.

– Nic innego mi nie pozostało, tylko spróbować tej drogi.

– A nie dlatego przypadkiem, że Degarmo obszedł się z panem zbyt obcesowo, więc postanowił pan się na nim odegrać?

– Może było w tym także coś z tego – przyznałem.

– Talley był małym szantażystą – powiedział Webber z pogardą. – I nie tylko ten jeden raz próbował szantażu. Tak czy inaczej pozbycie się tego człowieka było pożytecznym posunięciem. Ale powiem panu, co takiego miał w zanadrzu. Pantofelek, który zdjął z nogi pani Almore.

– Pantofelek?

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Po prostu pantofelek. Znaleźliśmy go potem w skrytce w domu Talleya. To był taki wieczorowy pantofelek z atlasu, z paroma małymi kamykami wstawionymi w obcas. Zrobiony na miarę przez pewnego faceta z Hollywood, który szyje teatralne obuwie i różne

takie różności. A teraz niech mnie pan zapyta, dlaczego ten pantofelek był taki ważny?

– Dlaczego był taki ważny, panie kapitanie?

– Pani Almore zamówiła u tego gościa dwie identyczne pary. Podobno nie jest to wcale takie niezwykle. Wytworzone damy robią tak na wypadek, gdyby któryś z pantofelków został uszkodzony, bo na przykład nadepnąłby na niego jakiś podpity niezgrabiasz – zrobił pauzę na jeden z tych swoich cienkich uśmieszków. – I otóż jedna z tych dwóch par nigdy nie była używana.

– Coś chyba już zaczynam chwytac – powiedziałem.

Webber odchylił się w fotelu i zaczął postukiwać palcami w skórzane oparcie. Czekał.

– Od bocznego wyjścia z domu Almore’a do garażu idzie się wąską ścieżką, która jest wyłożona dość szorstkimi cementowymi płytami – powiedziałem. – Przypuśćmy, że tej nocy pani Almore nie odbyła tej drogi pieszo. Przypuśćmy, że ktoś ją niósł. Ale ten ktoś przewidująco nałożył jej te pantofelki... Tylko że wybrał akurat tę parę, której nigdy nie nosiła.

– Dalej?

– Przypuśćmy jeszcze, że Talley miał okazję, żeby zwrócić na to uwagę, w czasie gdy Lavery dzwonił, poszukując doktora, który właśnie odbywał swoje domowe wizyty. Więc postanowił ukraść jeden z tych pantofelków jako dowód, że pani Almore została zamordowana.

Webber skinął potakująco głową, lecz zauważył:

– Byłby to dowód, gdyby policja znalazła go na nodze denatki. Z chwilą gdy go zabrał, ten pantofelek stał się tylko dowodem na to, że Talley był podlecem.

– Czy przeprowadzony został test na obecność tlenu węgla w jej krwi?

Położył płasko obie dłonie na blacie biurka i przyglądał im się przez chwilę.

– Tak – powiedział wreszcie. – I rzeczywiście wykryto w niej tlenek węgla. Ale oficerowie z dochodzeniówki zadowolili się pozorami. Także i tym, że nie było śladów użycia siły. Więc uznali, że doktor jej nie zamordował. Może byli w błędzie. W każdym razie uważam, że śledztwo przeprowadzono trochę powierzchownie.

– A kto nim kierował? – spytałem.

– Myślę, że zna pan odpowiedź na to pytanie.

– Kiedy policjanci zjawili się w garażu, nie zauważyli braku tego pantofelka?

– Kiedy przybyli policjanci, na nogach pani Almore zobaczyli oba pantofelki. Proszę nie zapominać, że doktor, powiadomiony telefonicznie przez Lavery’ego, wrócił do domu jeszcze przed wezwaniem policji. Wszystko, co wiemy na temat tego pantofelka, wiemy od

Talleya. Boczne drzwi nie były zamknięte, więc mógł wejść do środka i zabrać ten z pary nieużywanych. Służące spały. Taka wersja zakładałaby jednak, że Talley wiedział o tej drugiej, nieużywanej parze. Znając go, wcale bym się nie zdziwił, gdyby o tym pomyślał. To mały, wścibski sukinsyn. Ale nie mogę swoich domysłów poprzeć dowiedzionymi faktami.

Siedzieliśmy po dwóch stronach biurka, patrzyliśmy na siebie i obracaliśmy to wszystko w głowach.

– Chyba że założyliśmy – powiedział z zastanowieniem Webber – że ta pielęgniarka Almore’a do spółki z Talleyem kombinowała, jak się dostać do doktora. To możliwe. Jest parę rzeczy, które by za tym przemawiały. Ale więcej takich, które przemawiałyby przeciwko takiej wersji. Czym uzasadnia pan swoje przekonanie, że ta dziewczyna utopiona w jeziorze to właśnie owa pielęgniarka?

– Świadczą o tym dwie przesłanki. Żadna z nich nie jest w pełni przekonująca, ale kiedy je z sobą połączyć, to zaczynają bardzo poważnie przemawiać za moją hipotezą. Parę tygodni temu kręcił się po tych górach pewien twardziel w typie porucznika Degarma. Pokazywał wszystkim fotografię Mildred Haviland, która bardzo przypominała Muriel Chess. Inna fryzura, inny zarys brwi i tak dalej, ale w sumie duże podobieństwo. Ten facet z fotografią nic pomocnego od ludzi się nie dowiedział. Przedstawił się jako De Soto z policji Los Angeles. Otóż nie ma w Los Angeles policjanta o takim nazwisku. A kiedy ktoś powiedział Muriel Chess o facecie, który łązi z fotografią bardzo podobnej do niej dziewczyny, to wyglądała na wystraszoną. I jeżeli to był Degarmo, łatwo będzie to można ustalić. A teraz druga przesłanka. W chacie Chessa znaleziono złoty łańcuszek z serduszkami, ukryty na dnie pudełka z cukrem pudrem. Znaleziono go po aresztowaniu Billa Chessa, na którego padło podejrzenie, że zamordował Muriel. Po wewnętrznej stronie serduszka wygrawerowana była dedykacja: „Dla Mildred, z bezgraniczną miłością – Al. 28 czerwca 1938”.

– Mogło chodzić o jakiegoś innego Ala i o inną Mildred – zauważył Webber.

– Sam pan w to nie wierzy, kapitanie.

Pochylił się w moją stronę i przeszył powietrze wskazującym palcem.

– Co konkretnie chce pan przy pomocy tego wszystkiego udowodnić?

– Chcę dowieść, że żona Kingsleya nie zastrzeliła Lavery’ego. To zabójstwo miało jakiś związek ze sprawą Almore’a. I z Mildred Haviland. I być może z samym doktorem. Chcę dowieść, że pani Kingsley zniknęła z horyzontu, ponieważ zdarzyło się coś, co napędziło jej strachu. Że być może wiedziała o jakichś nieczystych sprawkach, a być może nie, ale w każdym razie nikogo nie zabiła. Jeżeli uda mi się to udowodnić, to będę miał z tego

pięćset dolarów. A to, że podjąłem taką próbę, nie jest sprzeczne z prawem.

Webber skinął głową.

– Bez wątplenia. I znalazł pan we mnie człowieka, który chętnie panu pomoże, pod warunkiem że uzna, iż są ku temu jakieś podstawy. Nie odnaleźliśmy jeszcze tej kobiety, ale też było na to bardzo mało czasu. W żadnym razie nie mogę panu pomóc w próbie obciążenia jednego z moich ludzi.

Odparłem:

– Fakt, że słyszałem, jak zwrócił się pan do porucznika Degarma „Al”. Ale ja miałem na myśli innego Ala. Doktora Almore’a. On ma na imię Albert.

Webber przyjrzał się swojemu kciukowi.

– Tylko że on nigdy nie był mężem tej dziewczyny, panie Marlowe. A Degarmo był. I mogę pana zapewnić, że dała mu dobrze popalić. Wiele z tego, co w nim się zdaje złe, to skutek tego małżeństwa.

Siedziałem jak skamieniały. Dopiero po dobrej chwili powiedziałem:

– Zaczynam dostrzegać rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Jakiego rodzaju to była dziewczyna?

– Sprytna, gładka w obejściu i zepsuta do szpiku kości. Umiała postępować z mężczyznami. Wiedziała, jak ich wodzić za nos, żeby kompletnie zgłupieli na jej punkcie. Ale ten wielki cymbał byłby gotów skrócić panu kark, gdyby powiedział pan o niej coś niepochlebnego. Rozwiodła się z nim, a on dalej nie widzi poza nią świata.

– Czy Degarmo wie, że ona nie żyje?

Webber zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

– Nie powiedział nic, co by o tym świadczyło. Ale jakże by mógł nie wiedzieć, jeśli to ta sama dziewczyna?

– Widzi pan, o ile wiem, to on jej nie odnalazł w tych górach. – Wstałem i oparłem się rękoma o biurko. – Panie kapitanie, nie stroi pan sobie ze mnie żartów, co?

– Ani trochę. Tacy już są niektórzy mężczyźni, że pozwolą się pewnego rodzaju kobietom owinać wokół małego palca. W każdym razie jeśli w dalszym ciągu sądzi pan, że Degarmo udał się w te góry, żeby ją załatwić, to jest pan upartym osłem.

– Nigdy go tak naprawdę o to nie podejrzewałem – odparłem. – Byłoby to możliwe tylko w przypadku, gdyby Degarmo dobrze znał tę okolicę. Bo morderca musiał ją znać bardzo dobrze.

– Wszystko, co sobie powiedzieliśmy, zostaje między nami – rzucił jeszcze Webber. – Mam nadzieję, że pan o tym nie zapomni.

Skinąłem głową, ale nie wyraziłem obietnicy słowami. Raz jeszcze życzyłem mu dobrej nocy i ruszyłem do drzwi. Kiedy z ręką na klamce znowu na niego spojrzałem, zobaczyłem, że wciąż na mnie patrzy. Sprawiał wrażenie człowieka głęboko zranionego i zasmuconego.

Swojego chryslera odnalazłem na policyjnym parkingu z boku budynku. Kluczyki tkwiły w stacyjce i żaden błotnik nie był uszkodzony. A więc Cooney nie zdobył się jednak na spełnienie swojej groźby.

Wróciłem do Hollywood późno, prawie o północy, i udałem się do swojego mieszkania. Utrzymany w zielono-białej tonacji korytarz był pusty i cichy, tylko w jednym z mieszkań dzwonił telefon. Nie przestawał dzwonić, a w miarę jak szedłem korytarzem, dzwonek stawał się coraz głośniejszy. Dopiero gdy otworzyłem drzwi, uświadomiłem sobie, że był to mój własny telefon.

Po ciemku przedostawałem się przez pokój do aparatu, który stał na dębowym biurku przy bocznej ścianie. Zanim jednak do niego dotarłem, dzwonek rozległ się jeszcze co najmniej dziesięć razy.

Podniosłem słuchawkę i odezwałem się. To był Derace Kingsley.

W jego głosie dosłyszałem napięcie, niepewność i podniecenie zarazem.

– Dobry Boże, gdzie się pan podziewał?! – wykrzyknął. – Już od paru godzin próbuję się z panem skontaktować!

– W porządku, właśnie wróciłem. Co się stało?

– Mam wiadomość od Crystal.

Odruchowo zacisnąłem palce wokół słuchawki, wziąłem głęboki wdech i wolno wytchnąłem powietrze. Po czym powiedziałem:

– Niech pan mówi.

– Jestem w pobliżu. Zjawię się u pana za jakieś pięć – sześć minut. Niech pan będzie gotowy do wyjścia.

I rozłączył się.

Przez długą chwilę stałem, trzymając słuchawkę w połowie drogi pomiędzy moim uchem a widelkami, aż w końcu powoli ją odłożyłem. Przyjrzałem się swojej dłoni. Była wciąż na wpół zamknięta i zeszywniała, jak gdyby w dalszym ciągu zaciskała się wokół słuchawki.

ROZDZIAŁ 29

USŁYSZAŁEM dyskretne, stosowne do późnej pory pukanie. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je.

Kingsley, w kremowym sportowym płaszczu z szetlandzkiej wełny, spod którego wyglądał zielono-żółty szal, w większości osłonięty przez niedbale podniesiony kołnierz – zdawał się mieć rozmiary konia. Na głowie miał ciemny, ceglastobrązowy kapelusz mocno zsunięty na czoło. Spod jego runda patrzyły oczy, które nasunęły mi na myśl oczy chorego zwierzęcia.

Wraz z nim weszła panna Fromsett. Miała na sobie ciemnozielony płaszcz, spodnie i sandały. Była bez kapelusza, a jej włosy miały nieznośnie pociągający połysk. Moją szczególną uwagę zwróciły jej klipsy w kształcie dwóch par pączków gardenii, po jednej na każdym uchu, jedna nad drugą na każdym klipsie. Razem z panną Fromsett do pokoju wkroczył zapach *Gillerlain Regal, Szampana pośród perfum*.

Zamknąłem drzwi, wskazałem im miejsca do siedzenia i powiedziałem:

– Mam wrażenie, że wszystkim nam przydałoby się coś pokrzepiającego.

Panna Fromsett zasiadła w fotelu, założyła nogę na nogę i rozejrzała się za papierosami. Znalazła je, zapaliła, zaciągnęła się głęboko z wyraźnym zadowoleniem, po czym uśmiechnęła się błogo do sufitu.

Kingsley stał pośrodku pokoju, przygryzając dolną wargę tak zawzięcie, jak gdyby chciał dosięgnąć zębami brody.

Co do mnie, to udałem się do kuchenki, przyrządziłem trzy koktajle, z którymi wróciłem do pokoju i poczęstowałem ich oboje. Sam zasiadłem z trzecim na krześle przy szachowym stoliku.

Pierwszy odezwał się Kingsley:

– Co pan przez cały ten czas robił i co się panu stało w nogę?

Wyjaśniłem:

– Gliniarz mi przyłożył. Taki prezencik od policji Bay City. Obsługują tam klientów naprawdę ze wszystkimi szykanami. Co się tyczy tego, gdzie byłem... Cóż, siedziałem w

areszcie za jazdę po pijanemu. A z pańskiego wyrazu twarzy wnoszę, że zaraz mogę tam z powrotem wylądować.

– Nie mam pojęcia, co pan wygaduje – oświadczył sucho Kingsley. – Najmniejszego. A to nie pora na jakieś żarciki.

– Dobra, zatem do rzeczy – powiedziałem. – Co to za wiadomość i gdzie jest pańska żona?

Usiadł wreszcie ze swoją szklaneczką, zgiął kilkakrotnie palce prawej ręki i wsunął dłoń pod płaszcz. Wyjął ją razem z długą kopertą.

– Musi pan jej to dostarczyć – zakomunikował. – Pięćset dolarów. Prosiła o więcej, ale to wszystko, co mogłem o tej porze zgromadzić. I tak z największym trudem udało mi się w nocnym klubie dostać gotówkę w zamian za czek. Crystal musi się wydostać z miasta.

– Z którego miasta?

– Z Bay City. Nie wiem, gdzie dokładnie przebywa, ale spotka się z panem w barze zwanym „Pod Pawiem” na bulwarze Arguello przy Ósmej Ulicy albo gdzieś w pobliżu.

Spojrzałem na pannę Fromsett. W dalszym ciągu wpatrywała się w sufit wzrokiem osoby, która wpadła tylko po to, żeby odbyć przejażdżkę.

Kingsley rzucił w moją stronę kopertę, która spadła na szachowy stół. Zajrzałem do środka. W rzeczy samej były tam banknoty. A więc w tej części jego opowiadka trzymała się kupy. Odłożyłem kopertę na stół, pokratkowany w brązowo-złotą szachownicę.

Zapytałem:

– Dlaczego po prostu nie sięgnęła do swoich własnych pieniędzy? W każdym hotelu jej czek zostałby potwierdzony, a w większości wypłacono by jej gotówkę. Zablokowano jej konto czy coś w tym rodzaju?

– Zabraniam panu tak mówić – oświadczył surowym tonem. – Ma jakieś kłopoty. Nie wiem, jak się zorientowała, że znalazła się w takiej sytuacji. Chyba że podano publicznie, że jest poszukiwana. Czy coś panu o tym wiadomo?

Powiedziałem na to, że nic. Bądź co bądź nie miałem czasu na przysłuchiwanie się policyjnym komunikatom. Byłem za bardzo zajęty wysłuchiowaniem żywych policjantów.

– W każdym razie nie będzie teraz musiała podejmować ryzyka zrealizowania własnego czeku – skwitował całą rzecz Kingsley. – Nie miała z tym kłopotu przedtem, a teraz najwidoczniej ma.

Z wolna podniósł oczy i skierował na mnie jedno z najbardziej pustych spojrzeń, jakie zdarzyło mi się w życiu napotkać.

– Trudno – powiedziałem. – Nie ma co szukać sensu w bezsensownej sytuacji. Wiemy

tyle, że jest w Bay City. Czy pan z nią rozmawiał?

– Nie. Rozmawiała z nią panna Fromsett. Zadzwoiła do biura tuż po godzinach pracy, ale wtedy siedział u mnie w gabinecie ten gliniarz z plaży, kapitan Webber. W tej sytuacji panna Fromsett w ogóle nie chciała rozmawiać i obiecała, że połączy mnie z nią później. Ale Crystal nie chciała podać numeru, pod którym można by ją zastać.

Znowu spojrzałem na Adrienne Fromsett. Nie wpatrywała się już w sufit, ale w czubek mojej głowy. W jej oczach była pustka.

– Ja nie chciałem rozmawiać z nią, ona nie chciała rozmawiać ze mną – ciągnął Kingsley. – Ja zresztą nie chcę już jej widzieć na oczy. Zdaje się, że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że to ona zastrzeliła Lavery’ego. Webber sprawiał wrażenie, jak gdyby był o tym całkowicie przekonany.

– To jeszcze niczego nie dowodzi – zauważyłem. – To, co on mówi, i to, co myśli, to mogą być dwie zupełnie różne rzeczy. Nie podoba mi się jednak, że ona wie o tym, że jest poszukiwana przez policję. W końcu dawno już minęły czasy, kiedy ludzie dla rozrywki słuchali policyjnych rozmów na krótkich falach. Ale mniejsza o to. Czyli że zadzwoniła drugi raz. A wtedy?

– Było już prawie wpół do siódmej – odparł Kingsley. – Musieliśmy siedzieć w biurze i czekać na jej telefon. Niech pani mu opowie, jak to się odbyło.

Panna Fromsett posłusznie opowiedziała:

– Odebrałam telefon w gabinecie pana Kingsleya. Siedział tuż obok, ale nie odzywał się. Poprosiła, żeby jej dostarczyć pieniądze w to miejsce na bulwarze Arguello i zapytała, kto je przyniesie.

– Czy jej głos świadczył, że się boi?

– Przeciwnie. Była absolutnie spokojna. Powiedziałabym nawet, że lodowato spokojna. Wszystko miała od początku do końca przemyślane. Świadoma była tego, że pieniądze może przynieść ktoś, kogo nie zna. Z góry domyśliła się, że Derry... pan Kingsley nie zechce tego zrobić.

– Niech pani używa imienia – wtrąciłem. – Będę w stanie domyślić się, kto to jest Derry.

Uśmiechnęła się blado.

– Będzie zaglądała do tego lokalu co godzinę, mniej więcej kwadrans po. Ponieważ... odgadłam jakoś, że to panu przypadnie to zadanie, więc opisałam jej pana wygląd. I powiedziałam, że będzie pan miał na szyi szalik Derry’ego. Też go opisałam. Bo część jego rzeczy na stałe jest w biurze, między innymi ten właśnie szalik. Łatwo go wypatrzeć.

Pomysł z tym szalikiem był naprawdę świetny. Jakby komuś na oczach całej restauracji zaserwowano tłuste zielone nereczki na podsmażonych żółtkach. Jeszcze bardziej bym się chyba rzucał w oczy tylko wtedy, gdybym pchał przed sobą taczki pomalowane na czerwono, białą i niebiesko.

– Jak na niezbyt mądrą osobkę, pana żona całkiem dobrze sobie radzi – rzuciłem mimochodem.

– Powiedziałem już, że to nie pora na kpinki – obruszył się gniewnie Kingsley.

– Tak pan powiedział, owszem – odparłem. – Ale to nie powstrzymało pana przed wpackowaniem mnie w sytuację, w której będę musiał odegrać rolę tajnego łącznika, wręczającego pieniądze na ucieczkę osobie poszukiwanej przez policję!

Zacisnął dłoń złożoną na kolanie, a jednocześnie twarz ściągnęła mu się w przebiegłym uśmiechu.

– Przyznaję, że to niezły pasztet – powiedział. – Ale jak? Akceptuje pan to zadanie?

– Jeżeli to zrobię, to w ten sposób staniemy się wszyscy troje współnikami. Być może jej mężowi i jego zaufanej sekretarce nie będzie się trudno wymigać od odpowiedzialności, ale to, co mnie może za to spotkać, to nie będą wymarzone wakacje na Hawajach.

– Zareczam panu, że potrafię to panu wynagrodzić – pocieszył mnie Kingsley. – A poza tym nie będziemy współnikami przestępczyni, jeśli okaże się, że nie popełniła żadnego przestępstwa.

– Bardzo chcę w to wierzyć – odparłem. – W przeciwnym razie nie rozmawiałbym teraz z wami. A tak przy okazji. Jeśli uznam, że jednak popełniła jakieś morderstwo, to sam oddam ją w ręce policji.

– Ona nie zechce z panem rozmawiać – zapewnił mnie Kingsley.

Wziąłem ze stolika kopertę i wsunąłem ją do kieszeni.

– Zechce, jeśli zależy jej na tym, z czym tam pójdę – spojrzałem na zegarek. – Jeśli zaraz wyjdę, to zdążę na pierwszą piętnaście. Skoro pokazuje się tam już od paru godzin, to pewnie personel tego baru rozpoznaje ją już z zamkniętymi oczami. Co czyni moją misję jeszcze przyjemniejszą.

– Przefarbowwała się na ciemną brunetkę – powiedziała panna Fromsett. – To powinno trochę pomóc.

– Na pewno nie pomoże mi to uwierzyć, że jest tylko niewinnym przechodniem.

Opróżniłem swoją szklaneczkę i wstałem. Kingsley poszedł za moim przykładem, po czym zdjął z szyi szalik i wsunął mi go do ręki.

– Co pan takiego zrobił, że dobrała się do pana policja? – zapytał.

– Skorzystałem z pewnych informacji, jakich była mi uprzejma udzielić panna Fromsett. Wprowadziły mnie one na trop niejakiego Talleya, który kręcił się koło sprawy Almore’a. A ten trop doprowadził mnie prosto w łapy gliniarzy. Bo kiedy do niego pojechałem, oni już tam warowali. Talley to był ten prywatny, który pracował dla Graysonów – dorzuciłem na użytek panny Fromsett. – Teraz będzie już pani w stanie wyjaśnić szefowi, o co mniej więcej w tym wszystkim chodzi. Zresztą to już bez znaczenia. W każdym razie nie mam czasu, żeby się nad tym rozwodzić. Państwo życzą sobie poczekać tu na mój powrót?

Kingsley potrząsnął głową.

– Pojedziemy do mnie i tam poczekamy na pański telefon.

Panna Fromsett wstała i ziewnęła.

– O, nie, Derry. Ja jestem zmęczona. Jadę do domu i kładę się do łóżka.

– Pojedziesz ze mną – stwierdził ostrym tonem Kingsley. – Zwariuję, jeśli będę musiał czekać sam.

– Gdzie pani mieszka, panno Fromsett? – spytałem.

– W Bryson Tower przy Sunset Place. Apartament siedem jeden sześć. A czemu pan pyta? – Przyjrzała mi się z zastanowieniem w oczach.

– Być może w jakiejś chwili będę chciał pilnie się z panią skontaktować.

Na twarzy Kingsleya pojawiła się maskowana irytacja, ale w jego oczach wciąż był ten wyraz chorego zwierzęcia. Owinąłem sobie wokół szyi jego szalik i zajrzałem do kuchenki, żeby zgasić tam światła. Kiedy wróciłem, stali już oboje przy drzwiach. Kingsley obejmował ją ramieniem, ona zaś wyglądała na bardzo zmęczoną i raczej znudzoną.

– Cóż, mam szczerą nadzieję – chciał coś powiedzieć, lecz urwał, zrobił krok w moim kierunku i wyciągnął rękę. – Z pana naprawdę porządny gość, panie Marlowe.

– Dajmy temu pokój i chodźmy już – powiedziałem. – Pryskajcie. I to jak najdalej.

Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, po czym oboje wyszli.

Poczekalem, aż winda wjedzie, zatrzyma się i po otwarciu, a następnie zatrzaśnięciu drzwi ruszy z powrotem na dół. Wtedy dopiero wyszedłem, zbiegłem schodami do podziemnego garażu i wyrwałem z drzemki mojego chryslera.

ROZDZIAŁ 30

BAR „POD PAWIEM” sąsiadował ze sklepem z upominkami, na którego wystawie połyskiwała w świetle ulicznych latarni taca, zastawiona kryształowymi figurynkami zwierząt. Wąski fronton baru obmurowany był ceglami, a nad drzwiami błyszczał dyskretnie podświetlony witraż, który przedstawiał firmowego pawia.

Wchodząc na salę, musiałem okrążyć chiński parawan. Rozejrzałem się po wnętrzu. Wzdłuż bocznych ścian ciągnęły się dwa rzędy większych i mniejszych stolików, oddzielonych od siebie oparciami wyściełanych kanapek. Jeden z tych zakątków był wolny, więc usiadłem na miejscu od strony przejścia. Lampy rzucały bursztynowe światło, skórzane obicia kanapek miały kolor chińskiej czerwieni, a plastikowe blaty stolików wypolerowane były do połysku. Przy jednym ze stolików smętnie popijało piwo czterech żołnierzy o trochę już zamglonych oczach, w których widać było, że nawet picie już ich nudzi. Naprzeciwko nich siedziały dwie dziewczyny w towarzystwie dwóch osobników, którzy szpanowali strojami i dowcipem. Był to jedyny stół w tym lokalu, przy którym toczyła się jakaś rozmowa. Przy żadnym jednak nie wypatrzyłem osoby, która by odpowiadała mojemu wyobrażeniu Crystal Kingsley.

Zasuszony kelner z diabelskimi oczkami osadzonymi w twarzy, która przypominała ogryzioną kość, rozłożył przede mną serwetkę z wydrukowanym pawiem i postawił na niej kieliszek z koktajlem bacardi. Posmakowałem go i spojrzałem na bursztynową tarczę umieszczonego na ścianie zegara. Właśnie minęła pierwsza piętnaście.

Jeden z mężczyzn towarzyszących parze dziewcząt nagle zerwał się od stolika i bez słowa poszedł do wyjścia. Drugi zapytał:

– Dlaczego musiałaś chłopaka obrazić?

– Obrać? – odparł cienki głosik. – A to dobre! On mi złożył niedwuznaczną propozycję!

Na co mężczyzna powiedział urażonym tonem:

– Mimo wszystko nie musiałaś go od razu obrażać, nie?

Jeden z żołnierzy nagle wybuchnął głośnym i dźwięcznym śmiechem, po czym

wierzchem opalanej dłoni przeciągnął po ustach, jak gdyby zmazując z twarzy wyraz rozbawienia, i przełknął kolejny łyk piwa.

Potarłem gulę pod kolanem. Wciąż piekła i była obrzmiała, ale przynajmniej przeszedł ten paralizujący ból, który schodził do kostki.

Do baru wszedł mały meksykański chłopiec z wielkimi czarnymi oczami. Pod pachą trzymał plik porannych gazet, które próbował sprzedać, oferując je po kolei klientom, zanim barman nie złapał go za kołnierz i nie wyrzucił na zewnątrz. Zdażyłem kupić gazetę i przejrzałem ją, wyszukując wiadomości o morderstwach. Nie znalazłem ani jednego, które byłoby interesujące.

Złożyłem więc gazetę i podniosłem wzrok akurat w momencie, gdy nie wiedzieć skąd pojawiła się w przejściu szczupła brunetka w czarnych spodniach, żółtej bluzce i długim szarym płaszczu. Idąc w stronę wyjścia, minęła mój stół, nie zaszczycając mnie nawet przelotnym spojrzeniem.

Próbowałem ustalić, czy jej twarz była mi naprawdę znajoma, czy też po prostu reprezentowała ten standardowy typ urody, z którym zetknąłem się już tysiące razy. Ona tymczasem zniknęła za ekranem i wyszła z baru. Lecz po jakichś dwóch minutach znowu pojawił się meksykański chłopaczek, który zerknął szybko na barmana, po czym pomknął wzdłuż przejścia, aż zatrzymał się dopiero przede mną.

– Proszę pana – powiedział, a jego wielkie oczy wyrażały jakieś dziwnie złośliwe zadowolenie. Skinął zapraszająco wskazującym palcem i natychmiast wybiegł z baru.

Dopiłem więc swój koktajl i poszedłem do wyjścia.

Dziewczyna w szarym płaszczu, żółtej bluzce i czarnych spodniach czekała na mnie przed wystawą sklepu z upominkami. Rzuciła mi szybkie spojrzenie, więc poszedłem i stanąłem obok niej.

Po chwili znów na mnie spojrzała. Jej twarz była blada i zmęczona, a włosy zdawały się ciemniejsze niż u ciemnej brunetki. Odwróciła wzrok i powiedziała do szyby wystawowej:

– Proszę mi dać pieniądze.

Jej oddech utworzył na szybie plamkę mgiełki.

– Musiałbym najpierw wiedzieć, z kim mam do czynienia – odparłem.

– Dobrze pan to wie – stwierdziła półgłosem. – Ile pan przyniósł?

– Pięćset.

– To za mało – powiedziała. – O wiele za mało. Ale proszę mi je dać. Czekałam tu na pana połowę wieczności.

– Gdzie moglibyśmy porozmawiać?

– Nie musimy rozmawiać. Po prostu proszę mi dać te pieniądze i odejść w swoją stronę.

– To nie pójdzie tak łatwo i szybko – odparłem. – To, co robię, jest dla mnie mocno ryzykowne. Więc chciałbym chociaż mieć tę satysfakcję, żeby dowiedzieć się, o co chodzi i w co się wpackowałem.

– Niech to diabli! – warknęła. – Dlaczego on sam tu nie mógł przyjść? Nie chcę o niczym mówić. Chcę po prostu zniknąć stąd, najszybciej jak się da.

– Sama pani nie chciała, żeby to on przyszedł. Z tego, co mi powiedział, wynika, że nie chciała pani z nim rozmawiać nawet przez telefon.

– To prawda – przyznała krótko i dumnie podniosła głowę.

– Ale ze mną będzie pani musiała porozmawiać – powiedziałem. – Nie pójdzie pani tak łatwo jak z nim. Porozmawia pani albo ze mną, albo z policją. Nie ma innego wyjścia. Jestem prywatnym detektywem i muszę chronić także własne interesy.

– Jakież to doprawdy wzruszające z jego strony! – rzuciła sarkastycznie. – Prywatny detektyw i w ogóle tyle zachodu!

– Postąpił tak, jak mu się zdawało, że będzie najlepiej. Niełatwo mu było samemu o wszystkim decydować.

– A pan? O czym chciałby pan ze mną rozmawiać?

– O pani. O tym, co się z panią działo i gdzie, i o tym, co pani teraz zamierza zrobić. O takich mniej więcej rzeczach. Drobnych, ale ważnych.

Chuchnęła na szybę wystawową i poczekała, aż plama mgiełki zniknie, po czym powiedziała tym swoim chłodnym i bezbarwnym głosem:

– Uważam, że byłoby dla pana o wiele lepiej po prostu przekazać mi te pieniądze i pozwolić, żebym sama rozwiązywała swoje problemy.

– Nic z tego.

Obrzuciła mnie ostrym spojrzeniem z ukosa, po czym wzruszyła ze zniecierpliwieniem ramionami.

– Jeżeli aż tak się pan uparł, to dobrze, powiem. Mieszkam w Granadzie, na Ósmej, pokój sześć jeden osiem. To dwie przecznice stąd na północ. Proszę mi dać dziesięć minut. Wolałabym tam wejść sama.

– Mam samochód.

– Wolę tam dotrzeć pieszo. Sama.

Odwróciła się i odeszła energicznym krokiem. Doszła do skrzyżowania, przeszła na drugą stronę bulwaru i zniknęła mi z oczu za rzędem pieprzowych drzew.

Wsiadłem do chryslera, odczekałem dziesięć minut i ruszyłem do Granady.

Był to brzydki, szary budynek usytuowany na samym rogu. Przeszkłone drzwi wejściowe znajdowały się na poziomie ulicy. Skręciłem za róg i zobaczyłem mlecznobiałą kulistą lampę, na której widniał napis „Garaż”. Pochyła rampa prowadziła w przesyconą zapachem gumy ciszę, w której stały zaparkowane w rzędach samochody.

Z przeszklonego kantorka wyszedł chudy Murzyn, który uważnie obejrzał mojego chryslera.

– Ile za krótki postój? – zapytałem. – Wjeżdżam na górę. Obdarzył mnie domyślnym uśmiechem.

– Trochę późnawo, szefie. Tę gablotę wartałoby odkurzyć, nie? Niech będzie dolar.

– Co to za zdzierstwo?

– Wyniesie dolara – odparł nieporuszony.

Wysiadłem z auta. Dał mi kwitek, ja dałem mu dolara. Bez pytania poinformował mnie, że do windy idzie się przez męską toaletę, a toaleta jest za jego kantorkiem.

Wjechałem na górę, przepatrzyłem numery na drzwiach, wsłuchałem się w absolutną ciszę i odetchnąłem ciągnącym od obu końców korytarza powietrzem, które napływało z plaży.

Wewnątrz wszystko prezentowało się dość przyzwoicie. W tego rodzaju domach z umeblowanymi pokojami do wynajęcia można było spotkać sporo niezbyt szczęśliwych dam, co tłumaczyło wysokość haraczu, jaki pobierał na dole czarny chudzielec, najwyraźniej obdarzony darem szybkiego oceniania ludzkich charakterów.

Dotarłem do drzwi z numerem 618, odczekałem chwilę i delikatnie zapukałem.

ROZDZIAŁ 31

OTWORZYŁA MI drzwi i usunęła się zapraszająco na bok. Nadal miała na sobie szary płaszcz. Przeszedłem koło niej i znalazłem się w kwadratowym pomieszczeniu z dwoma bliźniaczymi łózkami chowanymi w ścianie i kilkoma standardowymi meblami. Mała lampa na stoliku pod oknem rzucała nieco przyćmione i lekko żółtawe światło. Okno było otwarte.

– A więc niech pan siada i rozmawiajmy – powiedziała, zamykając drzwi, po czym przeszła przez pokój, żeby zasiąść w niezbyt atrakcyjnie się prezentującym wyściełanym bujanym fotelu. Ja ulokowałem się na grubo wypchanej otomanie. Za nią zawieszona była szarozielona kotara, która zasłaniała framugę nieobecnych drzwi, za którymi zapewne była łazienka. Na przeciwległej ścianie znajdowały się zamknięte drzwi, a za nimi najprawdopodobniej kuchenka. I to wszystko, co warte było odnotowania.

Dziewczyna skrzyżowała nogi w kostkach, odchyliła głowę na oparcie fotela i przypatrywała mi się spod długich rzęs. Miała cienkie, wygięte w wyraźne łuki brwi, w tym samym kolorze co włosy. Jej twarz sprawiała wrażenie spokoju i pewnej tajemniczości. W sumie nie wyglądała na kobietę szczególnie ruchliwą.

– Po tym, co powiedział mi pan Kingsley, wyobrażałem sobie panią całkiem inaczej – zacząłem.

Skrzywiła się nieznacznie. Milczała.

– Różni się pani także od obrazu, jaki nakreślił Lavery – ciągnąłem. – Co dowodzi, że po prostu rozmawiając z różnymi ludźmi, posługujemy się różnymi językami.

– Nie mam czasu na tego rodzaju pogaduszki – ucięła. – Czego chce się pan dowiedzieć?

– Zostałem wynajęty, żeby panią odnaleźć. I niemało zrobiłem, żeby wywiązać się z tego zadania. Przypuszczam, że wie pani o tym, prawda?

– Tak. Powiedziała mi to przez telefon ta jego biurowa pieszcotka. Powiedziała mi też, że nazywa się pan Marlowe i że będzie pan miał na szyi ten szalik.

Zdjąłem go pośpiesznie, złożyłem i wsunąłem do kieszeni.

– Tak że trochę już wiem, co pani robiła – ciągnąłem. – Niezbyt wiele. Wiem, że

zostawiła pani swoje auto w hotelu „Prescott” w San Bernardino. I że spotkała się pani tam z Laverym. Wiem również o tym telegramie z El Paso. Co pani robiła w El Paso?

– Nie sędzę, żebym musiała się panu spowiadać z tego, co i gdzie robiłam. Miałam po prostu odebrać od pana pieniądze, które on mi obiecał.

– Co do tego jesteśmy oboje jak najbardziej zgodni. Rzecz jedynie w tym, czy naprawdę chce pani dostać te pieniądze.

– Dobrze. Więc tak, pojechaliśmy do El Paso – powiedziała ze zmęczeniem w głosie. – Pomyślałam, żeby wziąć tam z nim ślub. Dlatego wysłałam ten telegram. Czytał go pan?

– Tak.

– A potem rozmyśliłam się. Poprosiłam go, żeby mnie tam zostawił i wracał do domu. Zrobił mi awanturę.

– Ale jednak wyjechał i zostawił panią?

– Owszem. Dlaczegożby nie?

– Co pani wtedy zrobiła?

– Pojechałam do Santa Barbara i zostałam tam parę dni. W rzeczywistości ponad tydzień. Potem do Pasadeny, też na parę dni. Potem do Hollywood. A potem przyjechałam tutaj. To wszystko.

– I przez cały ten czas była pani sama?

Zawahala się na moment, po czym odparła:

– Tak.

– Nie towarzyszył pani Lavery? Choćby tylko w części tych podróży?

– Nie. To znaczy nie po tym, jak wrócił do siebie.

– Na czym polegał cały ten pomysł?

– Jaki pomysł?

Jej ton stał się nieco ostrzejszy.

– Żeby jeździć z miejsca w miejsce i nie dawać znaku życia. Nie domyślała się pani, że on się będzie bardzo niepokoił?

– Ach, ma pan na myśli mojego męża – powiedziała chłodnym tonem. – Nie wydaje mi się, żebym się nim specjalnie przejmowała. Myślałby, że wciąż jestem w Meksyku, prawda? A to, że w ogóle przyszło mi coś takiego do głowy... Cóż, musiałam sobie pewne sprawy przemyśleć i poukładać w środku. Moje życie stało się beznadziejnie poplątane. Musiałam się od wszystkiego odsunąć i w samotności próbować się jakoś wyrwać z tej plątaniny.

– Już przedtem pani tego próbowała – powiedziałem. – Spędziła pani miesiąc nad

Jeziorem Małego Jelonka i niczego nie udało się pani rozplatać. Zgadza się?

Popatrzyła na swoje pantofle, potem na mnie i w końcu przytaknęła ruchem głowy, który sprawił, że fale ciemnych włosów zakołysały się na jej policzkach. Potem podniosła lewą rękę na wysokość skroni i potarła ją palcem.

– Coś mnie pchało w jakieś nowe miejsce – wyznała. – Niekoniecznie nawet interesujące. Po prostu obce. Które by nie budziło żadnych skojarzeń. Gdzie byłabym kimś nieznanym i samotnym. Jak w hotelu.

– I jak pani to idzie?

– Nie za dobrze. Ale nie wrócę do Derace’a Kingsleya. Czy on by zresztą chciał, żebym wróciła?

– Nie wiem – odparłem. – To nie moja sprawa. Dlaczego postanowiła pani w końcu przyjechać właśnie tutaj? Do miasta, w którym mieszkał Lavery?

Przygryzła knykię jednego z palców i spojrzała na mnie ponad wzniesioną do ust dłoń.

– Chciałam go znowu zobaczyć. On cały czas jest we mnie, ale sama nie wiem, co o tym myśleć. Nie kocham go, a jednak... jednak pewnie w jakiś sposób kocham. Ale mimo to nie chciałabym chyba za niego wyjść. Widzi pan w tym jakiś sens?

– Jeśli chodzi o tę ostatnią sprawę, to tak, widzę. Ale żadnego sensu nie widzę w tym, żeby się pani tułała po ciasnych hotelikach z dala od domu. Przecież i tak, o ile mi wiadomo, od lat prowadziła pani zupełnie niezależne życie.

– Musiałam być sama, żeby... żeby wszystko sobie przemyśleć – powiedziała niemal rozpaczliwie i ponownie przygryzła knykię, tym razem mocno. – Czy mógłby mi pan jednak dać te pieniądze i zostawić mnie w spokoju?

– Za chwileczkę to zrobię. Chcę się tylko jeszcze upewnić, czy za pani nagłym wyjazdem znad jeziora akurat wtedy nie krył się jakiś dodatkowy powód. Na przykład coś, co miało związek z Muriel Chess?

Sprawiała wrażenie zdumionej. Choć w końcu każdy może sprawiać wrażenie zdumionego.

– Wielkie nieba! Co mogłoby mnie łączyć z tą... z tą wywłoką?!

– Przyszło mi do głowy, że mogło między wami dojść do awantury z powodu Billa Chessa.

– Z powodu Billa? Billa Chessa?!

Tym razem wyglądała na jeszcze bardziej zdumioną. Jakby nawet za bardzo zdumioną.

– On twierdzi, że z pani inicjatywy doszło do czegoś między wami. Odchyliła głowę i

wybuchnęła piskliwym śmiechem.

– Wielkie nieba! Ten pijaczyna o nalanej gębie!

Po czym nagle spoważniała.

– Co się stało? Skąd to tajemnicze wypytywanie?

– Tego pijaczynę o nalanej gębie – powiedziałem – policja podejrzewa o morderstwo. Na własnej żonie. Jej ciało zostało znalezione w jeziorze. Miesiąc po śmierci.

Zwilżyła czubkiem języka wargi, przechyliła nieco głowę i wpatrywała się we mnie z napięciem. Na chwilę zapanowała cisza. Do pokoju wślizgnął się wilgotny oddech Pacyfiku.

– To mnie nawet nie dziwi – powiedziała w końcu z namysłem. – A więc tak się to wszystko skończyło po wszystkich tych okropnych awanturach. Naprawdę sądził pan, że mój wyjazd miał z tym coś wspólnego?

Skinałem głowę.

– Zakładałem taką możliwość.

– Jedno z drugim nie miało najmniejszego związku – powiedziała z powagą. – Było tak, jak panu powiedziałam. Żadnych dodatkowych powodów.

– Muriel nie żyje, utopiona w jeziorze – powiedziałem. – Nie bardzo się pani tym przejęła, prawda?

– Na dobrą sprawę w ogóle jej nie znałam – odparła. – Naprawdę. Była bardzo zamknięta w sobie. W końcu...

Przerwałem jej:

– Nie przypuszczam, żeby było pani wiadomo, że swego czasu pracowała w gabinecie doktora Almore'a?

Tym razem wyglądała na kompletnie zbitą z tropu.

– Nigdy nie byłam w gabinecie doktora Almore'a – powiedziała po chwili. – Dawno temu był u mnie parę razy z domową wizytą, ale... O czym pan w ogóle mówi?

– O tym, że Muriel Chess naprawdę nazywała się Mildred Haviland i pracowała jako pielęgniarka u doktora Almore'a.

– To bardzo dziwny zbieg okoliczności – powiedziała w zamyśleniu. – Wiedziałam, że Bill poznał ją w Riverside. Nie miałam pojęcia, jak, kiedy i skąd się w ogóle tam wzięła. Gabinet doktora Almore'a, tak? Czy miałyby to mieć jakieś szczególne znaczenie?

– Nie. Sądzę, że to prawdziwy zbieg okoliczności. Takie rzeczy się czasem zdarzają. Ale rozumie pani teraz, dlaczego musiałem z panią porozmawiać, prawda? Pani nagle wyjeżdża, Muriel wypływa na powierzchnię jeziora, po czym okazuje się, że Muriel to Mildred Haviland, która przez jakiś czas znajdowała się w bliskim otoczeniu doktora

Almore'a. Podobnie zresztą jak Lavery, tyle że w innym charakterze. A w dodatku Lavery mieszka naprzeciwko doktora. Czy nie odniosła pani wrażenia, że Lavery znał Muriel z jakiejś innej sytuacji?

Zastanawiała się nad tym, przygryzając delikatnie dolną wargę.

– Zetknął się z nią tam w górach – powiedziała w końcu. – Ale zachował się wobec niej tak, jak gdyby nigdy przedtem jej nie spotkał.

– Ktoś taki jak on – rzuciłem – bez trudu potrafiłby nic nie dać po sobie poznać.

– Nie wydaje mi się, żeby Chrisa coś łączyło z doktorem Almore'em – odparła. – Po prostu znał panią Almore. Nie sądzę nawet, żeby w ogóle znał doktora, więc jak mógłby zetknąć się z jego pielęgniarką?

– Cóż – powiedziałem. – Tak czy inaczej, jeśli o tę sprawę chodzi, to nasza rozmowa nic mi nie wyjaśniła. Ale, jak już powiedziałem, rozumie pani, dlaczego przy niej obstawałem. W każdym razie teraz już mogę przekazać pani te pieniądze.

Wyjąłem z kieszeni kopertę, wstałem i położyłem jej na kolanach. Nie wzięła jej do ręki.

Z powrotem usiadłem na otomanie i powiedziałem:

– Bardzo dobrze odegrała pani tę wymyśloną na własny użytek postać. To pomieszanie niewinności z półtonem twardości i goryczy. Ludzie bardzo się na pani temat mylili. Uważali panią za rozpuszczoną małą idiotkę, bez odrobiny rozumu i jakiegokolwiek samokontroli.

Patrzyła na mnie z uniesionymi brwiami. Milczała. W kącikach jej ust zaczął się rodzić lekki uśmiech. Podniosła kopertę, strzepnęła ją o kolano i odłożyła na stolik. Przez cały ten czas ani na moment nie odwróciła ode mnie wzroku.

– Znakomicie zagrana była też rola pani Fallbrook – ciągnąłem. – Z dzisiejszej perspektywy oceniam ją jako trochę przerysowaną, ale muszę przyznać, że wtedy była pani w pełni przekonująca. Ten purpurowy kapelusz, który świetnie pasowałby do jasnych włosów, ale na ciemnych prezentował się absolutnie niedorzecznie. Ten fatalny makijaż, który wyglądał tak, jak gdyby nakładał go ktoś, kto zwichnął sobie przegub, a w dodatku musiał się malować po ciemku. Wreszcie te maniery zdrowo trzepniętej jejmości. Wszystko w pierwszym gatunku. A już kiedy ni z tego, ni z owego włożyła mi pani do ręki ten pistolet – już definitywnie dałem się nabrać.

Prychnęła z rozbawieniem i włożyła ręce do głębokich kieszeni płaszcza. Jej obcasy postukiwały lekko o podłogę.

– Nie rozumiem tylko, po co w ogóle pani tam wróciła? – dodałem. – Dlaczego zaryzykowała pani tę wizytę w biały dzień?

– A więc pan myśli, że to ja zastrzeliłam Chrisa Lavery’ego? – zapytała cicho.

– Ja tego nie myślę, proszę pani. Ja to wiem.

– I tylko chciałby pan się dowiedzieć, dlaczego tam wróciłam?

– Tak naprawdę jest mi to właściwie obojętne – odparłem.

Zaśmiała się. Był to śmiech nieprzyjemnie ostry i wiało od niego chłodem.

– Miał wszystkie moje pieniądze – powiedziała. – Ograbił mnie ze wszystkiego. Nawet z moich sreber. Oto dlaczego tam wróciłam. I nie było w tym żadnego ryzyka. Znałam jego tryb życia i wiedziałam, że w gruncie rzeczy powrót jest bezpieczniejszy niż trzymanie się z daleka. Trzeba było na przykład zabrać sprzed drzwi mleko i poranną gazetę. Ludzie zwykle tracą głowę w takich sytuacjach. Ja nie. Nie było żadnego powodu, żeby wpadać w panikę. O wiele bezpieczniej jest zachować zimną krew.

– Jeśli tak – powiedziałem – to oczywiście zastrzeliła go pani jeszcze poprzedniego wieczora! Powinienem być o tym pomyśleć, chociaż w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. Zmyliło mnie to, że się ogolił. Tylko że faceci z mocnym, ciemnym zarostem czasem golą się także wieczorem. Z myślą o damach, które mają im złożyć wizytę, prawda?

– To się zdarza – przytaknęła niemal wesoło. – Ale co zamierza pan teraz zrobić z tym fantem?

– Jest pani najbardziej bezwzględna, wyrachowana i cyniczna małą dziwką, jaką kiedykolwiek spotkałem – odparłem. – A co zamierzam zrobić? Oczywiście oddać panią w ręce policji. I sprawi mi to ogromną przyjemność.

– Nie wydaje mi się, żeby zdołał pan to uczynić – powiedziała. – Zastanawiał się pan, dlaczego oddałam panu pistolet, z którego wystrzelono wszystkie naboje, prawda? A czemużby nie? W torebce miałam jeszcze jeden. Taki jak ten.

Jej prawa ręka wyskoczyła z kieszeni płaszcza. W dłoni miała wycelowany we mnie pistolet.

Uśmiechnąłem się. Nie był to może najszczerzy z uśmiechów, ale jednak jakiś.

– Nigdy nie podobały mi się takie sceny – powiedziałem. – Detektyw sam na sam z mordercą. Morderca wyciąga broń i celuje ją w detektywa, po czym opowiada mu całą swoją smutną historię, wiedząc, że i tak sobie tym nie zaszkodzi, ponieważ zakończy swoje wyznanie strzałem do detektywa. Co jest przecież niepotrzebną stratą cennego czasu, zwłaszcza jeśli detektyw ma rzeczywiście zostać zastrzelony. Tylko że to nigdy się tak nie kończy. Zawsze coś staje mordercy na przeszkodzie i uniemożliwia mu realizację zamiaru. Widocznie bogowie także nie gustują w takich scenach i zawsze potrafią je jakoś popsuć.

– Ale przypuśćmy, że tym razem – powiedziała, wstając i idąc ku mnie poprzez dywan

– odegramy tę scenę inaczej. Ja niczego panu nie opowiem, nic się nie zdarzy i po prostu położę pana trupem.

– Ta wersja również by mi się nie podobała – odparłem.

– Nie wygląda pan na wystraszonego – zauważyła, po czym znowu oblizwała wargi, zbliżając się do mnie tak delikatnie, że nie było słycać jej stąpięć.

– Bo nie jestem – skłamałem. – Jest bardzo późno, jest zupełnie cicho, a okno jest otwarte na oścież. Pani strzał zabrzmiałaby przeraźliwie głośno. Ponadto droga na ulicę jest dość długa, a w ogóle to z pani marny strzelec. Przy Laverym trzykrotnie pani chybiła.

– Wstawaj – rozkazała.

Więc wstałem.

– Tym razem będę za blisko, żeby chybić – powiedziała i oparła lufę o moją pierś. – Dalej uważasz, że mogę z tej odległości nie trafić? Więc stój spokojnie. Podnieś ręce do ramion, a potem już ani drgnij. Jeśli uczynisz najdrobniejszy ruch, ta broń wypali.

Zgodnie z poleceniem podniosłem ręce i znieruchomiałem.

Patrzyłem na lufę pistoletu.

Czułem, że język trochę mi zeszywniał, ale przecież mogłem nim jeszcze poruszać.

Jej lewa ręka nie wyczuła pod moją marynarką pistoletu, więc pozwoliła jej opaść.

Przygryzła wargę i wpatrywała się we mnie.

Miałem wrażenie, że lufa pistoletu wkręca mi się w pierś.

– Teraz będziesz musiał obrócić się do mnie plecami – powiedziała uprzejmym tonem krawca biorącego miarę.

– We wszystkim, co robisz, wyczuwam jakiś drobny fałsz – powiedziałem. – Zdecydowanie źle radzisz sobie z bronią. Po pierwsze stoisz za blisko, a po drugie... niechętnie to mówię, ale... Jest taka stara prawda w tym fachu, że trzeba najpierw odbezpieczyć pistolet. Zapomniałaś o tym.

Dopiąłem swego. Chciała zrobić dwie rzeczy równocześnie – cofnąć się o krok i odnaleźć dzwignikę bezpiecznika, a przy tym mieć mnie cały czas na oku. Niby dwie bardzo proste rzeczy, na które powinna jej być wystarczyć sekunda. Ale zirytowało ją, że to ja jej o nich powiedziałem. Nie spodobało się jej, że myślałem szybciej niż ona. Ta konfuzja trwała zaledwie ułamek chwili, lecz to wystarczyło, żeby ją zbić z tropu.

Wydała z siebie tylko ciche stęknienie, gdy prawą ręką chwyciłem jej kark i gwałtownie wcisnąłem jej twarz w moją pierś. Równocześnie kantem lewej dłoni z całej siły uderzyłem w podstawę kciuka jej prawej. Broń wpadła jej z ręki na podłogę. Jej twarz miotła się na mojej piersi i czułem, że usiłuje wydobyć z siebie krzyk. Wreszcie spróbowała mnie

kopnąć, co pozbawiło ją resztek równowagi. Usiłowała uczeplić się mnie palcami, więc lewą ręką uchwyciłem jej nadgarstek i zacząłem wykręcać go do tyłu.

Była bardzo silna, ja jednak byłem o wiele silniejszy. Kiedy sobie z tego zdała sprawę, postanowiła bezwładnie opaść na podłogę, żebym był zmuszony uwolnić jej głowę. Nie dałem rady jedną ręką utrzymać całego jej ciężaru. Zaczęła się osuwać, więc i ja osuwałem się wraz z nią na podłogę.

Ciszę pokoju wypełniły głuchoe odgłosy naszej szamotaniny na podłodze tuż koło otomany i ciężkie sapania. Gdyby w tym momencie zaskrzypiała pod nami podłoga, to pewnie nawet bym tego nie usłyszał.

Toteż gdy nagle dotarł do mych uszu zgrzytliwy pobrzęk kółka, wzdłuż metalowego drążka, nie od razu uświadomiłem sobie, że ktoś odsunął szarozieloną zasłonę. Nie miałem nawet czasu, żeby się nad tym zastanowić, gdyż w tej samej chwili po lewej stronie, poza moim polem klarownego widzenia, bo nieco z tyłu, pojawiła się jakaś niewyraźna postać. Zdążyłem sobie tylko uświadomić, że był to mężczyzna, i to duży mężczyzna.

Był to ostatni przeblysłk mej świadomości. Potem już wszystko eksplodowało ogniem, który zaraz przemienił się w ciemność. Nie zapamiętałem nawet samego uderzenia. Tylko ten ogień, a po nim zupełna ciemność. A tuż przedtem gwałtowny spazm mdłości.

ROZDZIAŁ 32

ŚMIERDZIAŁEM DŻINEM. Ale nie tak po prostu, jak mógłbym śmierdzieć jakiegoś zimowego poranka, gdybym musiał zmobilizować się do wyjścia z ciepłej pościeli trzema czy czterema szklaneczkami. Śmierdzałem tak, jak gdybym z pokładu jakiegoś statku zanurkował do Pacyfiku i okazałoby się, że cały ocean wypełniony jest czystym dżinem.

Miałem dżin we włosach, w brwiach, na brodzie i na podbródku, miałem go na koszuli. Śmierdzałem jak zdechła ropucha.

Byłem bez marynarki. Leżałem na czyimś dywanie i patrzyłem na czyjś obraz w ramie z tanich listew pociągniętych werniksem. Odmalowany był na nim arcywysoki, bladeżółty wiadukt, przez który przejeżdżał pociąg złożony ze lśniąco czarnej lokomotywy i z wagonów pomalowanych pruskim błękitem. Przez jeden z wyniosłych łuków podtrzymujących wiadukt widać było rozległą żółtą plażę, upstrzoną figurkami plażowiczów i kropelkami pasiastych parasoli. Na pierwszym planie kroczyły ramię w ramię trzy dziewczątka z papierowymi parasolkami. Jedna z nich miała na sobie kostium w wiśniowym kolorze, druga jasnoniebieski, a trzecia zielony.

Zatoka, nad którą znajdowała się plaża, była tak niebywale błękitna, że równie błękitnej zatoki nie dałoby się znaleźć na całym świecie. Pławiła się cała w blasku słońca, połyskując mnogimi cętkami białych żagli. Podkowę lądu, obejmującą błękitną zatokę, wieńczyły trzy pasma wzgórz o jaskrawo kontrastujących ze sobą barwach złota, terakoty i lawendy.

Na dole obrazu przez całą jego szerokość przebiegał zachęcający napis:

PODZIWIAJCIE FRANCUSKĄ RIWIERĘ Z OKIEN BŁĘKITNEGO POCIĄGU!

Było to dla mnie właściwy czas na taką ofertę.

Z wysiłkiem poruszyłem ręką i pomacałem palcami głowę. Wyczułem coś w rodzaju galarety, a dotknięcie wywołało błyskawicę straszliwego bólu, który przeszył mnie aż po same pięty.

Jęknąłem, ale zaraz postarałem się, aby ten jęk zabrzmiał jak rażne chrząknięcie, które ratowało moją profesjonalną dumę, czy raczej to, co z niej jeszcze zostało.

Powoli i z najwyższą ostrożnością obróciłem się na brzuch. Zobaczyłem przed sobą tylne oparcie jednego z dwóch bliźniaczych łóżek; drugie pozostawało w pozycji pionowej, wsunięte we wnękę ściany. Kwieciste esy-floresy zdobiące to drewniane oparcie wydały mi się znajome. Uświadomiłem sobie, że obrazu nie rozpoznałem po prostu dlatego, że zawieszony był nad otomaną, więc w ogóle nie miałem okazji go przedtem podziwiać.

Kiedy przewracałem się na brzuch, z moich piersi zsunęła się na podłogę płaska butelka dżinu. Była jednak całkiem przezroczysta, a więc pusta. Mimo wszystko trudno mi było zrozumieć, jakim cudem jedna butelka mogła w sobie pomieścić aż tyle dżinu.

Podciągnąłem kolana i przez dobrą chwilę pozostałem na czworakach, pociągając nosem niby pies, który już się nażarł, ale jeszcze żał mu odejść od miski. Potem pokręciłem głową, to w jedną, to w drugą stronę. Bolało. Więc powtórzyłem tę próbę, a kiedy w dalszym ciągu bolało, postanowiłem podźwignąć się na nogi i wtedy stwierdziłem, że nie mam na nogach butów. Leżały przy łóżku i sprawiały wrażenie pary najbardziej umęczonych butów w historii ludzkości. Wkładałem je z dużym wysiłkiem. Byłem w tym momencie bardzo starym człowiekiem. Usiłowałem tylko jeszcze jakoś się zwlec po długim zboczu ostatniego wzgórza. Jakimś cudem udało mi się zachować zęby. Obmacałem je językiem i stwierdziłem, że nie mają posmaku dżinu.

– To wszystko jeszcze wróci – powiedziałem sam do siebie. – Pewnego dnia odtworzysz to sobie w pamięci. Tylko że nie będzie to miłe wspomnienie.

Rozpoznałem lampę stojącą na stoliku przy otwartym oknie. Rozpoznałem grubo wypchaną otomanę. Rozpoznałem kotarę, którą przesłaniała framugę drzwi. Nigdy więcej, Marlowe, nie siadaj plecami do żadnej kotary, bo to się zawsze źle kończy. Zawsze wtedy coś się musi wydarzyć. Już coś takiego kiedyś powiedziałem. Komu?

Dziewczynie z pistoletem w ręku. Dziewczynie o klarownych rysach, nieprzeniknionym wyrazie twarzy i ciemnych włosach, które kiedyś miały kolor blond.

Rozejrzałem się za nią. I znalazłem. Leżała na tym wysuniętym ze ściany łóżku. Miała na sobie cieliste pończochy i nic więcej. Jej włosy były zmierzwione. Na szyi odznaczały się ciemne pręgi. Spuchnięty język zwieszał się z jej ust, jak gdyby nie mógł się już w nich pomieścić. Białka wytrzeszczonych oczu nie były już białe.

Jej nagi brzuch przecinały cztery krwawe linie, tym czerwiejsze, że ich barwę dodatkowo podkreślała biel skóry. Cztery głębokie bruzdy wyorane paznokciami, którymi powodował czyjś wściekły gniew.

Na otomanie leżały skłębione części ubrania. Niemal wszystkie należały do niej. Moja była tylko marynarka. Wydostałem ją i wsunąłem ręce w rękawy. Uświadomiłem sobie, że

wyplątując ją z całej tej gmatwaniny, dosłyszałem jakiś specyficzny szelest. Ponownie sięgnąłem tam ręką i wydobyłem znajomą długą kopertę, w której wciąż znajdowały się pieniądze. Wsunąłem ją z powrotem do kieszeni.

To pięćset dolarów, Marlowe. Miejmy nadzieję, że ich nie ubyło. Zdaje się zresztą, że to ostatnie, na co możesz jeszcze w tej sytuacji mieć nadzieję.

Zrobiłem parę ostrożnych kroków, stąpając lekko na palcach, jak gdybym miał pod nogami cienki lód. Pochyliłem się, żeby rozmasować gulę pod lewym kolanem, zastanawiając się, co bardziej mnie boli: opuchlizna pod kolanem czy też głowa, w której łupnęło, gdy się pochylałem.

W tym momencie na korytarzu rozległy się energiczne kroki i pomruk męskich głosów. Po chwili kroki zatrzymały się. Jeszcze po chwili czyjaś pięść zaczęła walić w drzwi.

Wciąż przygięty, z zębami zaciśniętymi na wciągniętych do wewnątrz wargach, wpatrywałem się w drzwi. Czekałem, aż ktoś je otworzy i wejdzie do środka.

Klamka poruszyła się, ale nikt nie wszedł. Znowu rozległo się walenie w drzwi. Potem głosy. A wreszcie kroki zaczęły się oddalać.

Zastanawiałem się, jak wiele czasu zajmie im przywołanie kogoś, kto dysponuje uniwersalnym kluczem. Zapewne niewiele. O wiele za mało, żeby Marlowe zdążył wrócić do domu z wycieczki po francuskiej Riwierze.

Podszedłem do zasłonki i zsunąłem ją na bok. Zobaczyłem krótki korytarzyk, który prowadził do łazienki. Poszedłem tam i zapaliłem światło. Na podłodze dwa kąpielowe dywaniki, na krawędzi wanny zawieszona szorstka wykładzina, mająca zapobiegać poślizgnięciu się przy wychodzeniu z kąpieli, nad wanną dwuskrzydłowe okienko z ziarnistą szybą. Zablokowałem drzwi łazienki, stanąłem na krawędzi wanny i rozsunąłem połówki okienka. To było piąte piętro, więc nie zabezpieczono go kratownicą. Wysunąłem głowę i popatrzyłem w ciemność, a potem spojrzałem na wąskie pasmo obsadzonej drzewami ulicy. Z kolei rozejrzałem się na boki i zobaczyłem, że okienko sąsiedniej łazienki było oddalone nie więcej niż o metr. Każda górska kozica w pełni sił mogła pokonać tę przestrzeń bez najmniejszego trudu.

Pozostawało jednak pytanie, czy tego rodzaju wyczyn leżał w zasięgu możliwości zmaltretowanego prywatnego detektywa, a jeśli tak, to czym się zakończy.

Gdzieś tam za moimi plecami dość jeszcze oddalony i przytłumiony przez drzwi głos zdawał się odmawiać policyjną litanię: „Proszę otwierać albo wyważymy drzwi kopnięciem!”. Odpowiedziałem mu pogardliwym parsknięciem. Niczego nie wyważy kopem, ponieważ ten sposób wyważania drzwi bardzo źle robi stopom. A policjanci bardzo dbają o

swoje stopy. To bodaj jedyne, z czym obchodzą się delikatnie.

Chwyciłem z wieszaka ręcznik, otworzyłem okienko i stanąłem na parapecie. Trzymając się jedną ręką futryny, drugą wyciągnąłem do tamtego. Zasięg moich ramion starczył akurat na tyle, abym mógł je otworzyć pchnięciem, gdyby tylko nie było zamknięte.

Było jednak zamknięte, musiałem się więc posłużyć nogą. Wziąłem zamach i kopnąłem w szybę tuż nad zasuwką. Hałas pękającego szkła słyhać było pewnie aż w Reno, lecz trudno. Owinąłem lewą dłoń ręcznikiem i znowu wyciągnąłem się na całą długość ramion, żeby dosięgnąć zasuwki.

Pięć pięter niżej ulicą przejechał jakiś samochód, ale nikt się z niego nie wychylił, żeby na mnie wrzasnąć. Pchnąłem rozbitą połówkę okienka i przetraversowałem do tamtego parapetu. Ręcznik zsunął się z mojej dłoni i pofrunął w ciemności na rozciągający się w dole trawnik.

Wspiąłem się na parapet okienka sąsiedniej łazienki.

ROZDZIAŁ 33

ZSUNĄŁEM SIĘ w ciemność, przedostałem się po omacku do drzwi, otworzyłem je i wytyczyłem słuch. W poblasku księżycowego światła, które wpadało do pokoju od północnej strony, zobaczyłem dwa bliźniacze łóżka, zaścielone i puste. Nie były to już łóżka chowane w ścianie. Trafiłem więc nie do pojedynczego pokoju, a do apartamentu.

Przeszedłem obok łóżek do następnych drzwi i znalazłem się w salonie.

Okna w obu pomieszczeniach były zamknięte i zalatywało stęchlizną. Wymacałem drogę do lampy i nacisnąłem włącznik. Przesunąłem palcem po krawędzi drewnianego stolika. Pokryty był cieniutką warstewką kurzu, jaką znaleźć można nawet w dobrze wysprzątanym pomieszczeniu, jeśli nie otwiera się w nim okien.

W salonie znajdował się mały stół jadalny, okazałe radio, podręczna szafeczka na książki, duży regał, zastawiony powieściami, z których większość zachowała jeszcze obwoluty. Oprócz tego barek na kółkach, a na nim syfon z wodą sodową, rżnięta karafka z alkoholem oraz indyjska taca z brązu, na której stały odwrócone do góry dnem cztery szklanki. Z oprawionych w podwójne srebrne ramki fotografii spoglądała na mnie para najwyraźniej wkraczająca w wiek średni. Oboje mieli zaokrąglone i tryskające zdrowiem oraz promieniejące zadowoleniem z życia twarze. W ich wzroku nie dostrzegłem niezadowolenia z faktu, że wpadłem do nich z niespodziewaną wizytą.

Powąchałem trunek, stwierdziłem, że to szkocka, i nie omieszkałem się nią poczęstować. Pogorszyła nieco stan mojej głowy, ale za to na resztę ciała wpłynęła zdecydowanie krzepiąco. Wróciłem do sypialni, zapaliłem światło i przejrzałem szafy. Jedną z nich zapelniały liczne męskie garnitury, wszystkie uszyte na miarę. Firmowa naszywka krawca na wewnętrznej kieszeni marynarki zawierała również nazwisko klienta: H.G. Talbot. Przejrzałem także komodę z bielizną i w jednej z szuflad znalazłem jasnoniebieską koszulę, która zdawała się trochę na mnie za mała. Poszedłem z nią do łazienki, zdjąłem swoją, obmyłem twarz i piersi, przetarłem włosy wilgotnym ręcznikiem i założyłem koszulę pana H.G. Talbota. Potem posłużyłem się jego płynem do wzmacniania włosów. Miał intensywny zapach, więc nie pożałowałem go swojej fryzurze, którą następnie gładko przycesałem. Po

tym wszystkim już tylko bardzo słabo załatwiał od mnie dżinem.

Nie udało mi się dopiąć kołnierzyka, więc wróciłem do komody i znalazłem w niej ciemnoniebieski krawat, który zawiązałem pod szyją, żeby zasłonił niedopięty guzik. Po czym nałożyłem marynarkę i przejrzałem się w lustrze. Jak na tę porę nocy wyglądałem nazbyt schludnie. Nawet jak na pana H.G. Talbota, którego garderoba dowodziła, że jest człowiekiem wielce eleganckim.

Nazbyt schludnie, a poza tym zanadto trzeźwo.

Zwichrzyłem lekko włosy, rozluźniłem krawat, a następnie wróciłem do barku i zrobiłem co należało, żeby nie tchnąć zbytnią trzeźwością. Zapaliłem cygaro pana Talbota i wydmuchując dym, życzyłem jemu oraz jego małżonce aby – gdziekolwiek się teraz znajdują – bawili się o wiele lepiej niż ja. Ja bowiem mogłem tylko mieć nadzieję, że pożyję jeszcze wystarczająco długo, żeby móc im ponownie złożyć wizytę.

Poszedłem do salonu, w którym znajdowały się drzwi wejściowe, uchyliłem je i wyjrzałem na korytarz, nie przestając palić cygara. Nie sądziłem, że ten numer się uda, ale też nie zamierzałem beczynnie czekać, aż odkryją moją drogę ewakuacyjną i osaczą mnie w apartamencie państwa Talbotów.

Gdzieś w pobliżu jakiś mężczyzna zakaszłał. Wychyliłem głowę tak, żeby mnie zobaczył. Podszedł do mnie szybkim krokiem. Miał na sobie wspaniale odprasowany policyjny mundur, a poza tym był niewielkim człowieczkiem z rudawą czupryną i czerwonozłotymi oczkami. Ziewnąłem i zapytałem leniwie:

– Co tu się dzieje, panie władzo?

Przyjrzał mi się z zastanowieniem.

– Drobne kłopoty w pokoju obok pana. Niczego pan nie słyszał?

– Zdawało mi się, że słyszę jakieś stukanie. Dopiero co wróciłem do siebie, rozumie pan.

– Trochę późno – zauważył.

– To kwestia osobistych upodobań – odparłem. – Za ścianą macie jakieś kłopoty, tak?

– Z pewną damą – wyjaśnił. – Znają pan?

– Chyba ją kiedyś widziałem.

– Aha – powiedział. – Powinien ją pan zobaczyć teraz...

Przyłożył dłonie do gardła, wytrzeszczył oczy i wydał z siebie nieprzyjemny charkot.

– Właśnie tak została załatwiona – dodał na wszelki wypadek. – Nic pan nie słyszał, co?

– Nic, co by zwróciło moją uwagę. To znaczy, oprócz stukania.

– Rozumiem. Nazwisko pana?

– Talbot.

– Momencik, panie Talbot. Zechce pan tu chwilę zaczekać.

Przeszedł parę kroków i wsunął głowę do otwartego pokoju, z którego przebijało na korytarz światło.

– Panie poruczniku – powiedział. – Mamy na pokładzie gościa, co mieszka obok.

W progu stanął wysoki mężczyzna i rzucił w moją stronę bystre spojrzenie. Wysoki mężczyzna z piaskową czupryną i nadzwyczaj niebieskimi oczyma. Degarmo.

Nic lepszego nie mogło mnie spotkać.

– To właśnie ten sąsiad – podrzucił mu pomocnie mały gliniarz. – Nazywa się Talbot.

Degarmo patrzył mi prosto w twarz, ale nic w jego kłującym błękitnym spojrzeniu nie wskazywało, że rozpoznał we mnie kogoś, kogo już przedtem widział.

Po chwili podszedł do mnie swobodnym krokiem, położył mi swoje łapsko na piersi i wepchnął mnie do pokoju. Kiedy już znalazłem się o dobre dwa metry od drzwi, rzucił przez ramię:

– Chodź no tu, Shorty. Wejdz i zamknij drzwi.

Mały mundurowy wpadł i zamknął drzwi.

– Niezły z ciebie komik – wycedził leniwie Degarmo. – Weź go na muszkę, Shorty.

Shorty błyskawicznie sięgnął po swoją trzydziestkę ósemkę i wycelował ją we mnie, po czym oblizał wargi.

– O kurczę! – powiedział z cichym gwizdnięciem wyrażającym szczery podziw. – Kurczę blade, jak pan na to wpadł, panie poruczniku?

– Niby na co? – spytał Degarmo, nie spuszczać oczu z mojej twarzy. – Coś ty sobie myślał, koleś, kiedy poszedłeś na dół po gazetę? Chciałeś się z niej dowiedzieć, czy ona naprawdę nie żyje?

– O kurczę! – zachwycił się ponownie Shorty. – Maniak seksualny! Wziął i zerwał z niej wszystko, a potem udusił gołymi rękami! Jak pan wpadł na to, że to on, panie poruczniku?

Degarmo zbył to milczeniem. Po prostu stał naprzeciw mnie z kamienną twarzą bez wyrazu i lekko kołysał się na piętach.

– Ale faktycznie, to on ją zamordował – stwierdził nagle Shorty. – Niech pan tylko powącha, jaki tu zaduch. I ile kurzu na tych półkach. I jeszcze ten zegarek na kominku, panie poruczniku. Stoi. Musiał tu wejść... Pan pozwoli, że się rozejrzę, panie poruczniku?

I pokłusował do sypialni. Przez chwilę słyszałem, jak tam buszuje. Degarmo nie ruszał

się z miejsca.

Shorty z powrotem przyleciał do salonu.

– Wlazł przez okienko w łazience. W wannie leży potłuczona szyba. I coś tam cholerycznie śmierdzi dżinem. Pamięta pan, tak samo śmierdziało w tamtym pokoju, kiedyśmy weszli? No tu jest jego koszula, panie poruczniku, znalazłem ją w tej łazience. Cuchnie, jakby ją uprał w dżinie.

I podniósł ją triumfalnym gestem do góry. W mgnieniu oka uperfumowała dżinem całe pomieszczenie.

Degarmo rzucił na nią niemal obojętne spojrzenie, po czym podszedł do mnie, gwałtownie rozłożył poły mojej marynarki i przyjrzał się koszuli pana Talbota.

– Ja wiem, co on zrobił – odpowiedział mu Shorty. – Ukradł koszulę faceta, co tu naprawdę mieszka. Tak właśnie wziął i zrobił, panie poruczniku, co?

– Właśnie.

Rozmawiali o mnie, jak gdybym był czymś w rodzaju mebla. Degarmo położył mi rękę na piersi i pozwolił jej powoli opaść.

– Obszukaj go, Shorty.

Shorty obmacał mnie ze wszystkich stron w poszukiwaniu broni.

– Czysty – stwierdził.

– Wyprowadź go tylnym wyjściem – powiedział Degarmo. – Jak się nam uda go przymknąć, zanim zjawi się tu Webber, to będzie punkt dla nas. Ten matoł Reed nie potrafiłby znaleźć nawet mola w pudełku na buty.

– Tylko że pan nawet nie jest przypisany do tej sprawy – zauważył z wahaniem Shorty. – Mówili, że pan jest zawieszony czy coś takiego.

– Jeżeli jestem zawieszony, to co jeszcze mam do stracenia? – zapytał Degarmo.

– Ale ja owszem mam – odparł Shorty. – Mogę stracić ten mundur, nie?

Degarmo spojrzał na niego ciężkim wzrokiem. Mały gliniarz zaczerwienił się, a w jego jasnych czerwono-złotyach oczkach pojawił się niepokój.

– No dobra, Shorty. Idź i zamelduj Reedowi.

Shorty oblizał wargi.

– Chociaż z drugiej strony – powiedział – ja przecież wcale nie musiałem wiedzieć, że pana zawiesili, nie? Więc jak pan powie słowo, to będę z panem, panie poruczniku.

– W takim razie sami zabierzemy go na dół – postanowił Degarmo. – Tylko we dwóch.

– Pewnie, że tak. Jasne, panie poruczniku.

Degarmo ujął mnie wskazującym palcem pod brodę.

– Morderstwo na tle seksualnym – powiedział cichym głosem. – No, niech mnie...
Kiedy to mówił, w kącikach jego szerokich ust pojawił się cienki uśmiezek.

ROZDZIAŁ 34

OPUŚCILIŚMY APARTAMENT Talbotów i udaliśmy się korytarzem w przeciwną stronę niż ta, z której przyszedłem. Na korytarzu stało dwóch tajniaków. Zaciągali się dyskretnie papierosami skrywanymi we wnętrzu dłoni, jak gdyby osłaniali je przed wiatrem. Drzwi pokoju 618 w dalszym ciągu były otwarte i dobiegały stamtąd odgłosy sprzeczki.

Na końcu korytarza skręciliśmy do windy towarowej. Ale nie zjechaliśmy na dół. Degarmo przeszedł przez windę i otworzył zamykające ją z tyłu drzwi przeciwpożarowe, które wychodziły na cementowe schody. Prowadził nas z piętra na piętro przy akompaniamencie echa naszych kroków, odbijających się od ścian klatki schodowej. Na parterze zatrzymał się. Z dłonią na klamce tylnych drzwi nasłuchiwał przez chwilę, po czym obejrzał się przez ramię.

- Przyjechałeś tu samochodem? – zapytał.
- Zostawiłem go w podziemnym garażu.
- No to miałeś dobry pomysł.

Zeszliśmy do mrocznego podziemia.

Czarny chudzielec wyszedł ze swojego kantorka. Dałem mu kwitek. Obrzucił przelotnym spojrzeniem mundurowego, ale nic nie powiedział. Wskazał tylko palcem mojego chryslera.

Degarmo usiadł za kierownicą, ja obok niego, a Shorty ulokował się na tylnym siedzeniu. Wjechaliśmy na pochyłą rampę, a potem owiało nas chłodne powietrze nocy. W odległości paru przecznic pojawił się duży samochód z dwiema czerwonymi lampami. Jechał w naszą stronę.

Degarmo splunął ponad opuszczoną szybą i gwałtownie dodając gazu, skręcił w przeciwną stronę.

– To musi być Webber – powiedział. – Znowu spóźnił się na pogrzeb. Niezłe przytarliśmy mu nosa, co, Shorty?

- Uczciwie powiem, panie poruczniku, że mnie się to wszystko nie bardzo podoba.
- Głowa do góry, chłopcze. Masz okazję wrócić do wydziału zabójstw.

– Już ja bym tam wolał dalej nosić tę czapkę, ale mieć pewność, że zarobię na chleb – odparł Shorty. Odwaga wyparowywała z niego w szybkim tempie.

Degarmo wciskał gaz do dechy przez dziesięć przecznic i dopiero potem trochę zwolnił. Shorty powiedział niepewnie:

– Mnie się coś zdaje, że pan pewnie wie, co robi, panie poruczniku, ale to nie tędy się jedzie na komendę.

– To fakt – przytaknął Degarmo. – Tą drogą nigdy tam nie dojedziemy.

Mój chrysler coraz bardziej zwalniał, a kiedy dotoczył się do następnego skrzyżowania, Degarmo skręcił w ulicę, po której obu stronach stały identyczne domki, oddzielone od chodnika identycznie przystrzyżonymi trawnikami. Po chwili delikatnie przyhamował, zjechał do krawężnika i zatrzymał wóz. Przełożył prawą rękę przez oparcie siedzenia i obrócił głowę do Shorty'ego.

– Więc myślisz, że zabił ją ten facet, Shorty?

– Ja tylko słucham – odparł mały mundurowy wyraźnie spiętym głosem.

– Masz latarkę?

– Nie, panie poruczniku.

– Znajdziesz latarkę w kieszeni lewych tylnych drzwi – powiedziałem.

Shorty przez chwilę grzebał w zawartości kieszeni, potem rozległo się metaliczne pstryknięcie i na suficie auta pojawił się świetlny krążek.

– A teraz przyjrzyj się od tyłu jego głowie – polecił Degarmo.

Krążek zsunął się z sufitu. Oddech Shorty'ego owionął mi kark. Coś obszukiwało moją głowę, aż zatrzymało się na wydatnym guzie. Wyrwało mi się stęknienie. Światło latarki zgasło i do wnętrza na powrót wdarła się uliczna ciemność.

– Na moje oko, to chyba ktoś mu przyłożył do nieprzytomności, panie poruczniku – powiedział Shorty. – Jakoś nie bardzo to wszystko kapuję.

– Tej paniencie ktoś tak samo przyłożył – odparł Degarmo. – Nie za bardzo się to rzucało w oczy, ale miała na ciemieniu guza. Ktoś ją pozbawił przytomności, żeby przed zabójstwem spokojnie zedrzeć z niej ubranie i podrapać brzuch. Chodziło mu o to, żeby pokazała się krew. Dopiero potem ją udusił. To wszystko odbyło się bez najmniejszego hałasu, bo niby dlaczego miałby powstać jakiś hałas? W tym pokoju nie było przecież nawet telefonu. Kto nam o tym zameldował, Shorty?

– Skąd ja miałbym wiedzieć kto? Po prostu jakiś facet zadzwonił i powiedział, że w pokoju sześć jeden osiem w Granadzie na Ósmej Ulicy leży zamordowana kobieta. Reed dopiero szukał fotografa, kiedy pan przyszedł. Sierżant na dyżurce powiedział, że ten gość

mówił grubym głosem, ale że może specjalnie go zmienił. Nie podał ani nazwiska, ani nic.

– W takim razie dobra – powiedział Degarmo. – Gdybyś to ty ją zamordował, jak wyszedłbyś z tego pokoju?

– Po prostu bym wyszedł – odpowiedział mu Shorty. – Bo niby dlaczego nie? – Po czym, tknięty nagłą myślą, warknął pod moim adresem: – Te! Dlaczegoś ty tak nie zrobił?

Puściłem to pytanie mimo uszu. Degarmo zaś powiedział beznamiętnym tonem:

– Nie wylazłbyś chyba przez okienko w łazience i nie zawisnął pięć pięter nad ulicą, żeby dostać się do cudzego mieszkania, gdzie mógłbyś się nadziać na śpiących lokatorów, nie, Shorty? A potem nie udawałbyś, że to ty jesteś lokatorem ani nie odbierałbyś sam sobie czasu na ucieczkę, żeby przez telefon zawiadomić policję, nie? Przecież, do cholery, ta dziewczyna mogła tam gnić przez tydzień i nikt by o niczym nie wiedział! Chyba nie zmarnowałbyś takiej przewagi nad glinami, co, Shorty?

– No, pewnie nie – odparł ostrożnie mundurowy. – Nie widzi mi się, żeby w ogóle miał zadzwonić. Ale pan przecież wie, panie poruczniku, że te świry na punkcie seksu robią różne dziwne rzeczy. To nie są normalne ludzie, takie jak ja i pan. A ten tutaj mógł to zrobić do spółki z jakimś drugim maniakiem, tylko że tamten dał mu w łeb, żeby go zrobić.

– Tylko mi nie wmawiaj, że z tą spółką to twój własny pomysł – mruknął Degarmo. – Ale popatrz-no tylko, Shorty. Tak tu sobie gadamy, a razem z nami siedzi facet, który na wszystko ma gotową odpowiedź, i jeszcze słowem się nie odezwał.

Obrócił swoją wielką głowę i wpatrzył się we mnie.

– Co tam robiłeś?

– Już sobie nie przypominam – odparłem. – To walnięcie w głowę odebrało mi widać pamięć.

– Pomożemy ci ją odzyskać – obiecał Degarmo. – Zawieziemy cię w takie jedno zaciszne miejsce w górach o parę mil stąd, gdzie będziesz mógł w spokoju wpatrywać się w gwiazdy i wysilać pamięć. I zobaczysz, że w końcu wszystko sobie przypomnisz.

Shorty zauważył z niepokojem:

– To do niczego niepodobne, panie poruczniku, takie gadanie. Lepiej zawieźmy go na komendę i rozegramy wszystko tak, jak stoi w przepisach.

– Do diabła z przepisami – powiedział na to Degarmo. – Ja po prostu lubię tego faceta i miło mi będzie odbyć z nim długą, przyjacielską pogawędkę. Jego trzeba po prostu troszkę rozruszać, Shorty. W głębi duszy to bardzo nieśmiały facet, rozumiesz?

– To mi się nic a nic nie podoba – odparł Shorty.

– Więc co byś chciał zrobić?

– Zawrócić na komendę.

– Chyba nikt cię nie zatrzymuje, co? Chcesz się trochę przespacerować, chłopcze?

Shorty przez chwilę przeżuwał w milczeniu tę propozycję, aż w końcu powiedział, nie podnosząc głosu:

– Właśnie że chcę. – Otworzył drzwiczki i wysiadł. Jeszcze tylko rzucił z krawężnika:

– Pan wie, że ja muszę o tym wszystkim zameldować, panie poruczniku?

– Jasne – odparł Degarmo. – Powiedz Webberowi, że pytałem o niego. I że jak następnym razem będzie sobie kupował hamburgera, to niech z góry sobie daruje to puste opakowanie, co miałyby być dla mnie.

– Nic z tego nie kapuję – stwierdził mały gliniarz i zatrzaskał drzwiczki.

Degarmo wrzucił bieg i ruszył z takim impetem, że już w połowie najbliższej przecznicy mój chrysler miał na liczniku czterdziestkę, a na następnej gnał pięćdziesiątką. Zwolnił dopiero dojeżdżając do bulwaru. Skręcił na wschód i dalej jechał już z przepisową prędkością. O tej porze tylko nieliczne samochody jechały to w tę, to w tamtą stronę. Większość ludzi spała w chłodnej ciszy wczesnego poranka.

Po jakimś czasie przekroczyliśmy granicę miasta i Degarmo przemówił.

– A gdybyś tak jednak zaczął gadać, co? – zaproponował łagodnym tonem. – Może byśmy się jakoś dogadali.

Samochód wspiał się na szczyt długiego wzniesienia i zjechał do miejsca, gdzie bulwar zaczynał się wic pośród zadrzewionych wysepek, które przypominały park, lecz w istocie stanowiły teren szpitala weteranów wojennych. Mgła, która w nocy napłynęła od plaży, tworzyła połyskliwe aureole wokół trójramiennych ulicznych lamp.

Zacząłem mówić:

– Koło północy przyszedł do mojego mieszkania Kingsley. Powiedział, że żona dzwoniła do jego biura. Pilnie potrzebowała gotówki. Chciał, żebym to ja zawiózł jej pieniądze i przy okazji spróbował wyciągnąć ją z kłopotów, w jakie tam wpadła. Mój pomysł był trochę inny. W każdym razie pani Kingsley dowiedziała się, jak mnie rozpoznać, a ja dowiedziałem się, że mam się stawić w barze „Pod Pawiem” na rogu Ósmej i bulwaru Arguello kwadrans po godzinie. Po dowolnej równej godzinie.

Degarmo powiedział z zastanowieniem:

– Widocznie musiała szybko zniknąć z horyzontu. A skoro musiała zniknąć, to było też coś, od czego uciekała. Na przykład morderstwo.

Przypieczętował tę tezę, unosząc lekko obie dłonie i z powrotem opuszczając je na kierownicę.

Ciągnąłem więc dalej.

– Dotarłem tam w parę ładnych godzin po jej telefonie do Kingsleya. Wiedziałem, że przefarbowała włosy na ciemny brąz, ale kiedy przeszła obok mnie, wychodząc z baru, nie rozpoznałem jej. W końcu widziałem ją tylko na polaroidowej fotce. Owszem, to była bardzo dobra fotka, ale to jeszcze nie gwarantuje dokładnego podobieństwa. Przysłała do mnie z ulicy małego meksykańskiego gazeciarza, żeby mnie wywołał z baru. Chciała tylko dostać forszę, a nie rozmawiać. Ja przeciwnie, obstawałem przy rozmowie. W końcu zorientowała się, że coś będzie musiała mi powiedzieć i przyznała, że mieszka w Granadzie. Kazała mi odczekać dziesięć minut, zanim tam za nią pójde.

– Chciała mieć czas na zorganizowanie pułapki – powiedział Degarmo.

– Pułapka była zastawiona, owszem. Ale nie jestem pewny, czy ona sama o niej wiedziała. Bo przecież nie chciała, żebym tam poszedł ani nie chciała ze mną rozmawiać. Chociaż z drugiej strony musiała się spodziewać, że będę nalegał na tę rozmowę jako na warunek oddania jej tych pieniędzy, więc mogła tylko udawać opór, żebym się poczuł panem sytuacji. A że bardzo dobrze umiała udawać, o tym sam się aż za dobrze przekonałem. W każdym razie poszedłem do jej pokoju i zaczęła się rozmowa. Z początku to, co mówiła, nie bardzo trzymało się kupy. Dopóki nie doszliśmy do zastrzelenia Lavery'ego. Bo wtedy aż za szybko nadała sens całej tej sprawie. Więc kiedy wszystko zrozumiałem, powiedziałem jej, że muszę ją oddać w ręce policji.

Na północ od drogi przepłynęło obok nas Westwood Village, całe pogrążone w ciemności, z wyjątkiem całodobowej stacji benzynowej i paru odległych okien w blokach mieszkalnych.

– Wtedy wyciągnęła z kieszeni pistolet – mówiłem dalej. – Myślę, że naprawdę chciała go użyć, ale na szczęście dla mnie za blisko podeszła i doszło do walki wręcz. Tylko że kiedy zmagaliśmy się na podłodze jak dwoje zapaśników, ktoś wyskoczył zza tej zielonej kotary i dał mi w łeb. Kiedy się ocknąłem, było już po wszystkim. Pani Kingsley nie żyła.

Degarmo zapytał z namysłem:

– Udało ci się coś zauważyć względem tego, kto cię walnął?

– Nic. Zdążyłem tylko wyczuć czy na wpeł zauważyć, że facet miał spore gabaryty. A potem znalazłem to.

Wyciągnąłem z kieszeni żółtozielony szalik i przewiesiłem mu go przez kolano.

– Miał to na szyi Kingsley, kiedy go ostatni raz widziałem u siebie. Degarmo przyjrzał się szalikowi przy świetle tablicy rozdzielczej.

– Takich rzeczy nie zapomina się tak szybko – powiedział. – To coś, co po prostu

samo rzuca się w oczy. I mówisz, że to Kingsleya? No-no, niech mnie diabli... Co było potem?

– Potem było to walenie do drzwi. A ja, rozumiesz, ciągle jeszcze byłem mocno skołowany i nie bardzo zdolny do szybkiego myślenia. A na dobitkę nieźle spanikowany. Bo ktoś mnie całego spryskał dżinem, a do tego zdjął mi buty i marynarkę, więc mogłem jak najbardziej wyglądać i cuchnąć jak ktoś, kto zerwał z babki ubranie, a potem ją udusił. Toteż prysnąłem przez to okienko w łazience, u Talbotów doprowadziłem się do jakiego takiego porządku, no a resztę już znasz.

– Dlaczego po prostu nie przyczałeś się w tym apartamencie? – zapytał Degarmo.

– A co by mi z tego przyszło? Pierwszy lepszy gliniarz, nawet taki z Bay City, szybko wypatrzyłby drogę, którą uciekłem. Jeżeli w ogóle miałem jakąś szansę, to tylko taką, żeby zniknąć z tego budynku, zanim ktoś wykryje morderstwo. I udałoby mi się to, gdyby nie napatoczył się po drodze pewien facet, który mnie znał.

– Nie sądzę, żeby ci się miało udać – odparł Degarmo. – Ale rozumiem, że próbowałeś się wymknąć. Co myślisz o ewentualnych motywach zabójcy?

– To znaczy Kingsleya?... Jeżeli to on, rzecz jasna. Na to akurat nietrudno wpaść. Zdradzała go na prawo i lewo, ciągle zwałała mu na głowę jakieś kłopoty i stanowiła zagrożenie dla jego zawodowej pozycji, a na koniec jeszcze popełniła morderstwo. A poza tym ona miała pieniądze, tymczasem Kingsley chciał się ożenić z inną kobietą. Do tego obawiał się, że z taką forsą mogłaby się w końcu na niego definitywnie wypiąć i ze śmiechem na ustach bawić się po całym świecie, podczas gdy on nie wiedziałby nawet, gdzie jej szukać. A wreszcie nawet gdyby ją odnalazł i sprowadził do domu, to i tak nie mógłby położyć łapy na jej pieniądzach. Zostałby mu tylko rozwód, żeby ostatecznie się jej pozbyć. Jakkolwiek było, to motywów w tym wszystkim nie brakowało. A na dobitkę upatrzył sobie we mnie idealnego kozła ofiarnego. Nawet gdybym się ostatecznie wybronił, to powstałoby zamieszanie i cała sprawa ciągnęłaby się w nieskończoność. W końcu gdyby mordercy nie sądzili, że uda im się uniknąć kary, to bardzo mało mielibyśmy zbrodniarzy, prawda?

– Mimo wszystko jednak – obstawał przy swoim Degarmo – mógł to zrobić ktoś inny. Ktoś, kogo w ogóle jeszcze nie bierzemy pod uwagę. Nawet jeśli było tak, że zabójca zakradł się tam, żeby się z nią ostatecznie rozmówić, to wciąż mogło chodzić o kogoś innego. I ktoś inny mógł zastrzelić Lavery'ego.

Wzruszyłem ramionami.

– Jeżeli taki obraz całej sprawy bardziej ci się podoba...

Odwrócił ode mnie wzrok.

– Wszystko to ani trochę i pod żadnym względem mi się nie podoba. Ale wiem jedno. Jeżeli uda mi się rozwikłać ten supel, to może uda mi się wyjść z tego tylko ze służbową naganą. Jeżeli mi się to nie uda, to mogę stanąć przy autostradzie z podniesionym kciukiem i próbować wynieść się z tego miasta. Ale dobra. Powiedziałeś, że jestem tępakiem. W porządku, niech będzie. Powiedz mi tylko, gdzie mieszka Kingsley. Bo jeżeli w ogóle coś potrafię, to nakłaniać ludzi do mówienia.

– Beverly Hills, Carson Drive numer dziewięć sześć pięć. Jeszcze pięć przecznic, a potem skręcisz na północ w stronę wzgórz. Jego dom znajdziesz po lewej stronie, tuż przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Nigdy tam nie byłem, ale wiem, jak dojechać. Oddał mi żółto-zielony szalik.

– Wsadź to z powrotem do kieszeni. I trzymaj, dopóki nie przyjdzie moment, żeby z tym wyskoczyć.

ROZDZIAŁ 35

DOMEK, PRZED KTÓRYM Degarmo zatrzymał mojego chryslera, był jednopiętrowy. Jasne księżycowe światło wyostrzało czerń jego dachu i kładło się na białych ścianach niby świeża warstwa farby. Dolne połówki parterowych okien zabezpieczone były kratami z kutego żelaza. Gładki trawnik podchodził pod same drzwi wejściowe, usytuowane w osobnym występie ściany, pod kątem w stosunku do linii frontu. We wszystkich oknach widocznych od ulicy było ciemno.

Degarmo wysiadł z wozu, poszedł parę kroków podjazdem, po czym przyjrzał się dróżce, która prowadziła do garażu, skręcił w nią i zniknął za rogiem. Usłyszałem zgrzyt podnoszonych drzwi garażu, potem łoskot, gdy je z powrotem opuścił. Wyłonił się zza rogu, dał mi głową znak, że wszystko w porządku, po czym podszedł do wejścia. Nacisnął guzik dzwonka, a jednocześnie wyłuskał z kieszeni papierosa i wsunął go do ust. Odwrócił się plecami do domu, żeby przypalić, i w świetle zapalki ujrzałem wyostrome rysy jego twarzy.

Po jakiejś chwili zapaliła się wachlarzowata lampa nad drzwiami. Zobaczyłem, jak uchyla się klapka judasza i Degarmo podsuwa przed nią swoją policyjną odznakę. Drzwi otworzyły się powoli i jakby niechętnie, Degarmo wszedł do środka.

Nie było go jakieś cztery albo pięć minut. W tym czasie w różnych oknach domu zapalało się i gasło światło. W końcu wyszedł i zanim jeszcze doszedł do auta, lampa nad drzwiami zgasła, a cały dom znowu wyglądał na pogrążony w głębokim śnie.

Zatrzymał się przy samochodzie i wpatrzył w łuk ulicy.

– W garażu stoi tylko jedno małe autko – rzucił. – Kucharka twierdzi, że należy do niej. Ani śladu Kingsleya. Mówią, że od rana go nie widzieli. Sprawdziłem wszystkie pomieszczenia i wygląda na to, że chyba mówią prawdę. Późnym popołudniem przyjechał Webber ze specem od linii papilarnych, toteż do tej pory w dużej sypialni pełno tego proszku od odcisków. Pewnie Webber porównywał je z tymi, które znaleźliśmy u Lavery’ego, ale nie powiedział mi, czy na coś natrafił. Gdzie on mógłby się o tej porze podziewać? To znaczy Kingsley...

– Wszędzie – odparłem. – W swoim samochodzie, w jakimś hotelu... Albo może koi

nerwy w tureckiej łaźni. Ale najpierw spróbujmy go poszukać w gniazdku jego przyjaciółeczki. Niejaka panna Fromsett. Mieszka w Bryson Tower przy Sunset Place. Niedaleko Bullok's Wilshire.

– Czym się zajmuje? – spytał Degarmo, sadowiąc się za kierownicą.

– W godzinach służbowych zawiaduje jego biurem, w nadgodzinach zajmuje się nim samym. Ale to nie jest jakaś tam sekretareczka do wszystkiego. Ma nie tylko rozum, ale i styl.

– W obecnej sytuacji przyda się i jedno, i drugie – mruknął Degarmo i ruszył w stronę Wilshire, a więc znowu jechaliśmy na wschód.

Po dwudziestu pięciu minutach dojechaliśmy do Bryson Tower. Było to coś w rodzaju białego pałacu, ze sztukaterią i wyniosłymi palmami daktylowymi. Wejście miało kształt litery L, a za nim były marmurowe schody, potem mauretański łuk, i zdecydowanie zbyt obszerna recepcja, której podłogę pokrywał zbyt błękitny dywan. Wszędzie porozstawiane były błękitne dzbany oliwne Ali Baby, wystarczająco duże, żeby pomieścić tygrysa. Była tam też recepcja, a za jej kontuarem nocny portier z wąsikami, z gatunku tych, co to łatwo wczepiają się człowiekowi pod paznokieć.

Degarmo zlekceważył go i skierował się prosto do otwartej windy, w której siedział na stołeczku zmęczony staruszek, czekający na klientów.

Portier szczechnął w ślad za policjantem niby rasowy terier:

– Chwileczkę, proszę pana! O kogo był pan łaskaw zapytać?

Degarmo odwrócił się w moją stronę i upewnił się:

– Czy on powiedział „był pan łaskaw”?

– Owszem, tak mu się wymknęło – odparłem. – Ale naprawdę istnieje taki zwrot, więc nie ma powodu, żebyś mu za to miał przyłożyć.

Degarmo przesunął językiem po wargach.

– Wiedziałem, że tak się kiedyś mówiło – powiedział. – Nawet się czasem zastanawiałem, gdzie teraz się podziewa to powiedzenie.

Po czym zwrócił się do recepcjonisty:

– Słuchaj, koleś. Życzymy sobie odwiedzić apartament siedem szesnaście. Masz może coś przeciwko temu?

– Zdecydowanie tak – odparł portier lodowatym tonem. – Nie mamy tu zwyczaju anonsować gości o... – tu spojrzął na swój prostokątny elegancki zegarek – ...o czwartej dwadzieścia trzy rano.

– Tak właśnie myślałem – wyjaśnił mu Degarmo. – I dlatego nie chciałem cię fatygować. Dotarło? – Wyciągnął z kieszeni swoją odznakę i pokazał ją pod takim kątem,

żeby światło rozbłysło na złotej i zielonej emalii. – Jestem porucznikiem policji.

Tamten wzruszył ramionami.

– Jak tak, to w porządku. Mam tylko nadzieję, że obejdzie się bez zamieszania. Jakie mam zanotować nazwiska?

– Porucznik Degarmo i pan Marlowe.

– Apartament siedem szesnaście. Aha. To będzie panna Fromsett. Jedną chwileczkę.

Zniknął za szklaną przegródką i po dłuższej chwili dosłyszeliśmy, że z kimś rozmawia.

Po czym pojawił się znowu i poinformował nas uprzejmie:

– Panna Fromsett jest u siebie. Zgodziła się panów przyjąć.

– Kamień spadł mi z serca – odetchnął manifestacyjnie Degarmo. – Żeby ci tylko nie przyszło do głowy budzić waszego tajniaka i wysłać go na zwiady, bo mam uczulenie na takich domowych detektywów.

Portier skwitował tę radę chłodnym uśmiechem, a my weszliśmy do windy.

Na szóstym piętrze było chłodno i cicho. Miałem wrażenie, że korytarz ciągnął się przez dobrą milę. Ale w końcu dotarliśmy do drzwi, na których widniał numer 716. Cyfry były połączone, a całość otaczał wieniec z połączonych listków. Koło futryny znajdował się guzik. Degarmo nacisnął go, wewnątrz zadźwięczał srebrzysty dzwoneczek, po czym drzwi otworzyły się przed nami.

Panna Fromsett miała na sobie pikowany szlafrok, który nałożyła na piżamę. Na nogach miała maleńkie pantofelki z pomponami i na wysokich obcasikach, a jej ciemne włosy znajdowały się w stanie kuszącego nieładu. Najwyraźniej starczyło jej czasu, żeby zetrzeć z twarzy warstwę kremu i nałożyć niezbędną warstwę makijażu.

Znaleźliśmy się w wąskim pokoju, którego ściany ozdabiała kilka przyjemnych dla oka owalnych luster. Meble obite były błękitnym adamaszkiem, a całość zupełnie nie robiła wrażenia umeblowanego pokoju do wynajęcia. Gospodyni zasiadła w wygodnym niedużym foteliku, przyjęła swobodną, zrelaksowaną pozę i spokojnie czekała, aż któryś z nas się odezwie.

Więc zacząłem:

– To jest porucznik Degarmo z policji miejskiej Bay City. Szukamy pana Kingsleya. Nie zastaliśmy go w domu i sądzimy, że być może pani byłaby w stanie nam podpowiedzieć, gdzie można go znaleźć.

Nie patrząc na mnie, spytała:

– To coś pilnego?

– Owszem. Wydarzyło się coś ważnego.

– Mianowicie co?

W tym momencie wkroczył Degarmo.

– Po prostu chcemy się dowiedzieć, gdzie jest Kingsley, siostrzyczko. Nie mamy czasu, żeby tu z tobą odgrywać teatralne sceny.

Popatrzyła na niego bez śladu emocji, trochę nieobecny spojrzeniem. Potem zwróciła oczy w moją stronę i powiedziała:

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli pan mi powie, o co chodzi, panie Marlowe.

– Zrobiłem tak, jak było umówione – powiedziałem. – Pojechałem tam z pieniędzmi, spotkałem się z nią i poszedłem do jej pokoju, żeby porozmawiać. Ale dostałem tam po głowie od jakiegoś faceta, który był schowany za zasłoną. Nie widziałem go. Kiedy się ocknąłem, ona leżała na łóżku zamordowana.

– Zamordowana?!

– Zamordowana – potwierdziłem.

Przymknęła swoje wspaniałe oczy, a kąciki jej pięknych ust opadły ku dołowi. Potem nieznacznie wzruszyła ramionami, wstała i podeszła do małego stolika z marmurowym blatem i wrzecionowatymi nóżkami. Z małej, rzeźbionej w srebrze kasetki wyjęła papierosa, zapaliła go i wpatrzyła się tępych wzrokiem w blat stolika. Przez cały czas poruszała zapalką, ale coraz to wolniej i wolniej, aż w końcu upuściła ją, wciąż płonąca, do popielniczki. Wreszcie odwróciła się i lekko wsparta biodrem o stolik, stwierdziła:

– Wygląda na to, że powinnam zacząć rozpaczać czy coś w tym rodzaju. Ale tak się składa, że po prostu nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia.

– Akurat w tej chwili nie obchodzą nas twoje uczucia, siostrzyczko – powiedział Degarmo. – Wszystko, co nas obchodzi, to miejsce pobytu Kingsleya. Możesz to nam powiedzieć albo nie, twoja sprawa. Ale daj sobie spokój z jakimiś tam pozami. Weź i po prostu się zdecyduj, jasne?

Zwróciła się do mnie i zapytała:

– Czy dobrze usłyszałam, że ten pański porucznik należy do policji miejskiej w Bay City?

Przytaknąłem ruchem głowy, na co powoli i z cudownie pogardliwą wyższością popatrzyła na Degarma:

– W takim razie – rzekła – ma takie samo prawo szarogęsić się w tym mieszkaniu jak każdy inny chamski łachudra, któremu zachciałoby się zgrywać przede mną ważniaka.

Degarmo odpowiedział jej nieporuszoną spojrzeniem, po czym uśmiechnął się i podszedł do głębokiego skórzanego fotela. Zasiadł w nim, wyciągnął przed siebie swoje

długie nożyska i niedbałym ruchem dłoni przekazał mi inicjatywę.

– Dobrze, w takim razie ty przemów jej do rozumu. Wytłumacz jej, że miejscowi gliniarze udzielą mi każdej potrzebnej pomocy, tylko że zanim uda mi się wszystko im wyjaśnić, to będzie już tydzień po następnym wtorku.

Więc powiedziałem:

– Panno Fromsett, jeśli pani wie, gdzie on jest albo dokąd się wybierał, to proszę nam to powiedzieć. Musi pani zrozumieć, że trzeba go jak najszybciej odnaleźć.

Spytała spokojnie:

– Dlaczego?

Degarmo odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się.

– Ta babka jest naprawdę fajowa – powiedział. – Jej się pewnie wydaje, że nie powinniśmy go denerwować wiadomością o tragicznej śmierci jego żony!

– Jest lepsza, niż ci się zdaje! – uciałem.

Spoważniał, po czym przygryzł kciuk i tylko przyglądał się jej wyzywająco.

– Czy tylko po to go szukacie, żeby mu to powiedzieć? – zapytała.

Wyciągnąłem z kieszeni żółto-zielony szalik, rozwinąłem go i pozwoliłem jej dobrze mu się przyjrzeć.

– Znalaziono go na miejscu zbrodni. Zdaje się, że już przedtem go pani widziała, prawda?

Przeniosła wzrok z szalika na mnie, ale w żadnym z tych spojrzeń nie było nic znaczącego. Powiedziała:

– Jak na detektywa, który okazał się nie taki znów bardzo sprytny, spodziewa się pan doprawdy wiele zaufania z mojej strony, panie Marlowe.

– Proszę o nie i mam nadzieję, że mi je pani okaże – odparłem. – A jeśli chodzi o spryt, jaki wykazałem, to na razie jeszcze pani nie wie nic takiego, co pozwoliłoby pani go osądzać.

– To naprawdę piękna scena – rzucił Degarmo. – Tworzycie wspaniały duet. Brak wam jeszcze błaznów i akrobatów. Rzecz jednak w tym, że w tej chwili...

Zadała mi pytanie takim tonem, jak gdyby Degarmo w ogóle nie istniał:

– W jaki sposób została zamordowana?

– Rozebrana do naga, uduszona i podrapana.

– Derry nie byłby do czegoś takiego zdolny – stwierdziła spokojnie. Degarmo cmoknął z dezaprobatą.

– Nikt nigdy nie wie, do czego ktoś inny może się okazać zdolny, siostrzyczko.

Przynajmniej tego człowiek się uczy, kiedy pracuje w policji.

Także i tym razem nie zaszczyciła go spojrzeniem. Tym samym spokojnym tonem spytała:

– Czy chodzi o to, dokąd poszliśmy po wyjściu od pana i czy Derry odwiózł mnie do domu?... O tego rodzaju rzeczy?

– Tak.

– Ponieważ gdyby tak było, to nie miałyby czasu pojechać tam i popełnić morderstwa, tak?

– Miałyby to istotne znaczenie – przyznałem.

– A więc nie odwiózł mnie do domu – powiedziała, wolno wymawiając poszczególne słowa. – Złapałam taksówkę na Bulwarze Hollywoodzkim. Najwyżej po pięciu minutach od chwili, kiedy wyszliśmy od pana. Od tej pory go nie widziałam. Sądziłam, że pojechał do siebie.

Degarmo nie zdołał się powstrzymać.

– Zwykle w takich sytuacjach panienska stara się dać swojemu kochasiowi trochę lepsze alibi – zauważył. – Ale, jak widać, panienska bywają różne.

Panna Fromsett dokończyła:

– Chciał mnie odwieźć, ale musiałyby nadłożyć spory kawał drogi, a oboje byliśmy zmęczeni. Mówię to panu dlatego, ponieważ wiem, że i tak nie ma to najmniejszego znaczenia. Gdybym miała co do tego wątpliwości, odpowiedziałabym na pańskie pytanie inaczej.

– A więc jednak miałyby na to czas – powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Zresztą nie wiem, ile by mu było trzeba tego czasu. Ani też nie wiem, skąd miałyby wiedzieć, gdzie ją znajdzie. Na pewno nie ode mnie. To znaczy nie od niej za moim pośrednictwem. Nie powiedziała mi, gdzie jest.

Jej ciemne oczy badawczo wpatrywały się w moje. Jakby szukała w nich czegoś.

– Czy tego rodzaju szczerości pan oczekiwał?

Zwinąłem szalik i z powrotem wetknąłem go do kieszeni.

– Chcemy się dowiedzieć, gdzie jest teraz pan Kingsley.

– Nie mogę wam tego powiedzieć, ponieważ nie mam najmniejszego pojęcia.

Jej wzrok śledził wędrówkę szalika do mojej kieszeni i nie oderwał się od niego, nawet gdy zapytała:

– Powiedział pan, że ktoś walnął pana w głowę. Czy to znaczy, że stracił pan

przytomność?

– Owszem. Pozbawił mnie jej ktoś, kto ukrywał się za zieloną zasłoną. Wycelowała we mnie pistolet i chciałem go jej odebrać. Zaczęliśmy się zмагаć i upadliśmy na podłogę. W każdym razie nie ma wątpliwości, że to ona zastrzeliła Lavery’ego.

Degarmo nagle podniósł się z fotela.

– Zafundowałeś sobie śliczną, wzruszającą scenę, kolego – warknął. – Ale to do niczego nie prowadzi. Spływamy.

– Zaczekaj chwilę – powiedziałem. – Jeszcze nie doszedłem do końca. Chciałbym się na przykład dowiedzieć od panny Fromsett, czy Kingsleya coś nie gryzło. Czy nie zżerało go coś od środka. Bo tej nocy takie właśnie odniosłem wrażenie. Przypuśćmy, że wiedział o tym wszystkim więcej, niż się nam... niż mnie się zdawało. Wiedział, ku czemu to nieuchronnie zmierza, więc chciał się gdzieś zaszyć, żeby sobie to wszystko przemyśleć w spokoju i w samotności. Nie sądzi pani, że to możliwe?

Zrobiłem pauzę i czekałem na jej odpowiedź, kątem oka rejestrując narastające zniecierpliwienie Degarma.

Wreszcie powiedziała bezbarwnym tonem:

– Na pewno nie zamierzał uciec i zaszyć się w jakiejś kryjówce, bo to nie było coś, przed czym mógłby uciec, ani coś, przed czym mógłby się schować. Ale być może chciał mieć czas na spokojne przemyślenie swojej sytuacji.

– W jakimś miejscu, gdzie byłby kimś anonimowym? Na przykład w hotelu? – rzuciłem mając w pamięci to, co usłyszałem w Granadzie. – Czy może w całkowitym odosobnieniu?

Po czym rozejrzałem się za telefonem.

– Jest w mojej sypialni – powiedziała panna Fromsett, natychmiast domyślając się, czego szukam.

Poszedłem ku drzwiom na końcu długiego pokoju. Degarmo pośpieszył za mną.

Sypialnię skomponowano w tonacji kości słoniowej i zgaszonego rózu. Rozległe łoże, na nim poduszka z okrągłym wgnieceniem pozostawionym przez jej głowę. Na toalecie najróżniejsze kosmetyki, przybory i drobiazgi, na ścianie nad nią oprawne lustro. Za uchylonymi drzwiami łazienki kafelki w malinowym kolorze. Telefon na stoliku przy głowach łóżka.

Usiadłem na skraju łóżka, dotknąłem miejsca, na którym spoczywała główka panny Fromsett, po czym podniosłem słuchawkę i nakręciłem numer międzymiastowej. Kiedy odezwała się telefonistka, poprosiłem o bardzo pilne połączenie z Jimem Pattonem w Puma

Point. Odłożyłem słuchawkę na widełki i zapaliłem papierosa. Degarmo przyglądał mi się z wysoka. Stał na rozstawionych nogach, twardy, nieugięty i gotów w każdej chwili zaniechać wszelkich ceregieli.

– I co teraz? – warknął.

– Poczekamy, zobaczymy.

– Kto, twoim zdaniem, dyryguje tym przedstawieniem?

– Już samo to, że pytasz, stanowi odpowiedź. Ja tym kieruję, poruczniku. Chyba że wolisz w to wciągnąć gliniarzy z Los Angeles.

Potał zapalkę o paznokieć kciuka i patrzył, jak płonie, a potem spróbował ją zgasić jednym długim dmuchnięciem, które jednak zdołało tylko pochylić płomień. Wtedy wrzucił zapalkę do popielniczki i wyciągnął następną, którą wsunął między zęby.

Po chwili rozległ się dzwonek telefonu.

– Mam połączenie z Puma Point.

W słuchawce zabrzmiał zaspany głos:

– Tak? Tu Patton, Puma Point.

– A tu Marlowe, Los Angeles – odpowiedziałem. – Przypomina mnie pan sobie?

– Jak najbardziej, synu, mimo że jestem tylko na wpół przebudzony.

– Miałbym do pana prośbę – powiedziałem. – Chociaż szczerze mówiąc, sam nie widzę powodu, żeby mi pan pomagał. – Chodzi o to, żeby pan pojechał albo posłał kogoś nad jezioro i sprawdził, czy Kingsley jest w swojej chacie. Ale tak, żeby się nie zorientował. Może stoi tam jego samochód albo w środku pali się światło. No i jeżeli tam jest, to niech się stamtąd nie rusza. Ja już tam jadę. Zrobi pan to dla mnie?

– Jak mu się zachce wyjechać, to nie mam żadnego powodu, żeby go zatrzymać – zauważył Patton.

– Będzie ze mną oficer policji z Bay City, który ma do niego parę pytań w sprawie morderstwa. Nie tego pańskiego, tylko jeszcze innego.

Przez chwilę na linii panowała pełna szmerów cisza, potem Patton zapytał:

– Nie próbujesz ty przypadkiem jakiejś sztuczki moim kosztem, synu?

– Nie. Może mnie pan sprawdzić pod numerem dwa siedem dwadzieścia dwa w Tunbridge.

– To mi zajmie dobre pół godziny – odparł i rozłączył się.

Odłożyłem słuchawkę. Degarmo wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Ta babeczka dała ci po kryjomu jakiś cynk czy co?

Podniosłem się z łóżka i powiedziałem:

– Nic podobnego. Ja po prostu próbuję się wczuć w jego położenie. To nie jest typ zimnego mordercy. Nawet jeśli się w nim palił jakiś ogień, to teraz już wygasł. Pomyślałem, że mógł się zaszyć w najspokojniejszym i najbardziej odciętych od świata miejscu, jakie znał. Żeby się tam jakoś wziąć w garść, rozumiesz. Pewnie i tak za parę godzin sam by się zgłosił na policję. Ale dla ciebie byłoby lepiej, żebyś się tam zjawił, zanim to zrobi.

– Chyba że tym razem sam się walnie w głowę – zauważył daleki od entuzjazmu Degarmo. – Tacy faceci mają do tego wyraźną skłonność.

– Nie powstrzymasz go przed tym, jeżeli do niego nie dotrzesz.

– Co do tego, to racja.

Wróciliśmy do salonu. Panna Fromsett wychyliła głowę z kuchenki z wiadomością, że właśnie parzy kawę, i z pytaniem, czy przy okazji i my byśmy się nie napili.

Napiliśmy się więc kawy i siedzieliśmy, przyglądając się przez okno, jak ludzie odprowadzają przyjaciół na pobliski dworzec.

Po jakichś dwudziestu pięciu minutach zadzwonił Patton. Widział światło u Kingsleya, a przed chatą stał jego samochód.

ROZDZIAŁ 36

POŚPIESZNIE przelknęliśmy w „Alhambrze” coś w rodzaju śniadania, po czym napełniłem bak mojego chryslera. Tym razem ja zasiadałem za kierownicą. Wyjechaliśmy na autostradę numer 70 i wyprzedzając ciężarówkę, znaleźliśmy się wkrótce pośród falistego wiejskiego krajobrazu. Degarmo siedział wciśnięty w kąt fotela z rękoma głęboko zanurzonymi w kieszeniach i miał ponurą minę.

Patrzyłem, jak szerokie rzędy drzewek pomarańczowych migają obok nas niby szprychy kół. Wsłuchiwałem się w równomierny wizg opon toczących się po jezdni i walczyłem ze zmęczeniem i ociężałością, które spowodował brak snu połączony z nadmiarem przeżyć.

Dotarliśmy do długiego wniesienia, które rozpoczyna się na południe od San Dimas i wspina się na sam szczyt górskiego łańcucha, żeby potem stromo opaść ku Pomonie. To już ostateczny kraniec strefy mgieł, a zarazem początek na wpół pustynnego regionu, gdzie światło słoneczne ma w sobie lekkość i suchy smak dojrzałej sherry wypitej wczesnym rankiem. W południe rozgrzewa się niemal do czerwoności niby hutniczy piec, wieczorem zaś wali się na głowę jak spadająca na oślep cegła.

Degarmo wsunął między wargi zapalną i przesunawszy ją do kącika ust, powiedział niemal drwiącym tonem:

– Webber dał mi wczoraj wieczorem niezły wycisk. Powiedział mi, że rozmawialiście i powiedział o czym.

Milczałem. Spojrzał na mnie, potem odwrócił wzrok.

– To cholerna kraina – odezwał się znowu po chwili, wskazując ruchem dłoni monotony krajobraz. – Nie chciałbym tu żyć, choćby mi ją oddali za darmo. Powietrze jest tu zatęchłe, bo rano podnosi się do góry.

– Zaraz dojedziemy do Ontario – pocieszyłem go. – Skręcimy na bulwar u podnóża gór i będziesz miał okazję przez pięć mil podziwiać najpiękniejsze drzewa grevilli, jakie rosną na tym świecie.

– Nie odróżniłbym ich od hydrantu – skwitował tę zachęcającą obietnicę Degarmo.

A po chwili powiedział:

– Ta topielica z jeziora to była moja dziewczyna. Odkąd dowiedziałem się o tym, coś nie tak jest z moją głową. Chcę krwi. I gdybym tylko mógł dopaść tego całego Chessa, to...

– Ty już narobiłeś dosyć bigosu, Degarmo – zauważyłem. – To twoja wina, że uszło jej na sucho zamordowanie żony Almore'a.

Patrzyłem prosto przed siebie. Czułem, że gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę i wbił we mnie wzrok. Nie wiedziałem tylko, co robią jego ręce ani co maluje się na jego twarzy. Dopiero po długiej chwili spomiędzy jego zaciśniętych zębów zaczęły się z trudem wydobywać słowa, którym towarzyszył jak gdyby lekki zgrzyt.

– Coś ci odbiło?

– Nic mi nie odbiło – odparłem. – Tobie zresztą też nie. Tak samo dobrze jak każdy, kto ma o tym jakiegokolwiek pojęcie, wiesz, że Florence Almore nie wstała o własnych siłach z łóżka i nie poszła na własnych nogach do swojego garażu. Wiesz, że ktoś ją tam zaniósł. I wiesz, dlaczego Talley ukradł jeden z jej pantofelków. Ten, który nigdy się nawet nie otarł o tę cementową ścieżkę pomiędzy bocznymi drzwiami a wejściem do garażu. Tak samo jak wiedziałeś, że Almore zaaplikował swojej żonie u Condy'ego zastrzyk w rękę, i że to był zastrzyk dokładnie taki, jakiego potrzebowała. Ani trochę nie silniejszy. Ponieważ Almore tak samo dobrze znał się na zastrzykach, jak ty na poniewieraniu szmaciarzami, którzy nie mają ani centa przy duszy, ani dachu, pod którym mogliby spędzić noc. Ty dobrze wiesz, że Almore nie zamordował swojej żony za pomocą zastrzyku morfiny i że gdyby ją chciał zamordować, to akurat morfina byłaby ostatnim środkiem na świecie, po który by sięgnął. Jak też dobrze wiesz, że za śmierć pani Almore odpowiedzialny jest ktoś inny, a doktor tylko zaniósł ją do garażu i zostawił ją tam... z czysto fizjologicznego punktu widzenia jeszcze żywą... żeby się nawdychała trochę tlenu węgla. Powtarzam: z technicznego punktu widzenia była jeszcze żywa, ale faktycznie tak samo martwa jak ktoś, kto nie byłby już nawet w stanie oddychać. Ty to wszystko wiesz, prawda?

Degarmo powiedział niemal łagodnym głosem:

– Braciszku, jak ci się udało przeżyć taki kawał czasu?

Odparłem:

– Dzięki temu, że nie dawałem się nabrać na zbyt prymitywne sztuczki i że nie za bardzo mnie przerażali różni profesjonalni twardziele. To, co zrobił Almore, mógł zrobić tylko ktoś, kto czuł się skończony. Mógł się na to zdecydować tylko skończony i potwornie przerażony człowiek, który miał na sumieniu rzeczy, do jakich nie mógł się przyznać w świetle dnia. Oczywiście, z formalnego punktu widzenia można go było oskarżyć o

morderstwo. Zresztą nie wydaje mi się, żeby takie oskarżenie zostało w końcu sformułowane. Pewnie, że stanąby wówczas przed piekielnie trudnym zadaniem udowodnienia, że jego żona była już w tamtej chwili w takim stanie, że żaden cud nie mógł jej przywrócić życia. Ale ty dobrze wiesz, że w rzeczywistości zabiła ją ta dziewczyna.

Degarmo zaśmiał się. Był to skrzeczący i niemiły śmiech, nie tylko złowieszczy, ale i bezsensowny.

Dojechaliśmy już do podgórskiego bulwaru i znowu skręciliśmy na wschód. Zdawało mi się, że wciąż jeszcze pozostawaliśmy w strefie porannego chłodu, jednakże Degarmo cały splotwał potem. A przy tym nie mógł zdjąć marynarki, ponieważ w jej wewnętrznej kieszeni miał spluwę.

Mówiłem dalej:

– Ta dziewczyna, Mildred Haviland, bawiła się z doktorkiem w tatę i mamę, a pani Almore o tym wiedziała. Szantażowała go. Wiem o tym od jej rodziców. Tymczasem Mildred Haviland u jego boku także stała się specjalistką od morfiny. Wiedziała, gdzie ją znaleźć w potrzebnej ilości oraz jak dozować. Kiedy kładła panią Almore do łóżka, w domu nie było już nikogo oprócz nich. To była idealna sytuacja, żeby odpowiednio napełnić strzykawkę i wprowadzić igłę w to samo miejsce na rękę nieprzytomnej ofiary, które przedtem nakłuł Almore. Miała umrzeć jeszcze przed powrotem męża, który po zakończeniu swojego lekarskiego obchodu mógłby już tylko poświadczyć akt zgonu i wziąć ten zgon na swoje sumienie. Albo jakoś się uporać z tym problemem. Nikt by przecież nie uwierzył, że to ktoś inny zaaplikował jego żonie śmiertelną dawkę, a nie on. To znaczy nikt, kto nie znałby wszystkich okoliczności tej śmierci. A ty je znałeś. Owszem, jesteś w moich oczach kompletnym głupcem. Ale musiałbym cię brać za jeszcze większego, gdybym zakładał, że tego nie wiedziałeś. Zatem wiedziałeś, ale postanowiłeś uratować swoją dziewczynę. Ponieważ wciąż ją kochałeś. Wypłoszyłeś ją z miasta, poza rejon zagrożenia, ulokowałeś poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości, ale w dalszym ciągu ją kryłeś. Pozwoliłeś morderczyni uciec. Aż tak cię opętała. Po jaką cholere pojechałeś w te góry, żeby ją odnaleźć?

– A może byś tak jeszcze wyjaśnił, skąd wiedziałem, gdzie jej szukać, co? – zapytał chrypliwie Degarmo. – Czy może wymagam za dużo?

– Bynajmniej – odparłem. – Miała już dosyć Billa Chessa, jego pijaństwa, jego przyływów wściekłości i w ogóle miała już po dziurki w nosie takiego życia. Ale żeby się z niego wyrwać, potrzebowała pieniędzy. Myślała, że jest bezpieczna, i że w dodatku ma na Almore'a haka, który jej zapewnia dodatkowe bezpieczeństwo. Więc napisała do niego,

żądając pieniędzy. Na co on wysłał ciebie, żebyś z nią pogadał. Tylko że Mildred nie napisała Almore'owi ani pod jakim nazwiskiem w tym momencie występuje, ani gdzie dokładnie mieszka. Wystarczyłby list zaadresowany na *poste restante* do Mildred Haviland w Puma Point. Ale żaden taki list nie nadszedł i nikt nie kojarzył jej z Mildred Haviland. Za wszystkie atuty musiała ci wystarczyć stara fotka i twoje grubiańskie maniery, a to niestety jakoś nie przemówiło do tamtejszych ludzi.

Degarmo zapytał ochryple:

– Kto ci powiedział, że próbowała wyciągnąć od Almore'a forszę?

– Nikt – odparłem. – Musiałem po prostu wymyślić coś, co by mi pozwoliło wziąć w ramki cały obraz tej sytuacji. Gdyby Lavery albo pani Kingsley wiedzieli, kim naprawdę była Muriel Chess i gdzie mieszkała, to i ty byś wiedział. Ale nie wiedziałeś. A zatem ta informacja mogła pochodzić tylko od jedynej osoby, która to wiedziała, czyli od niej samej. W ten sposób domyśliłem się, że napisała do Almore'a.

– No dobra – powiedział po długim namyśle Degarmo. – Dajmy temu wszystkiemu pokój. Tak czy inaczej w tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia. Skoro wpadłem do szamba, to sam będę się musiał z niego wydostać. Ale wiedz, że gdybym musiał to zacząć jeszcze raz od początku i w tych samych okolicznościach, to postąpiłbym dokładnie tak samo.

– Twoja sprawa – skwitowałem go. – Jeśli o mnie chodzi, to nie mam już zamiaru nikogo doprowadzać przed oblicze sprawiedliwości. Opowiedziałem ci to wszystko głównie po to, żebyś nie próbował obciążyć Kingsleya jakimś zabójstwem, którego nie dokonał. Ale jeżeli w rzeczy samej kogoś zabił, to nie odpuszczaj.

– Właśnie to mi chciałeś powiedzieć? – zapytał Degarmo.

– Jakbyś zgadł.

– Bo ja myślałem, że to dlatego że mnie nienawidzisz.

– Owszem, nienawidziłem cię – przyznałem. – Ale mi to przeszło. Jakbym to z siebie spłukał, rozumiesz? Już taki jestem, że jak kogoś nienawidzę, to po prostu strasznie. Tylko że szybko mi przechodzi.

Jechaliśmy teraz przez krainę winorośli, przez tę bezkresną, piaszczystą przestrzeń, aż po poszarpane zbocza gór wypełnioną krzewami, które rodzą soczyste winogrona.

Wkrótce wjechaliśmy do San Bernardino, przez które przejechałem, nie mając ochoty się w nim zatrzymać.

ROZDZIAŁ 37

W MIEJSCOWOŚCI CRESTLINE, która leżała na wysokości tysiąca pięciuset metrów, nie czuło się jeszcze ciepła dnia. Zatrzymaliśmy się tam, żeby wypić po butelce piwa. Kiedy z powrotem wsiedliśmy do auta, Degarmo wyciągnął z umocowanej pod pachą kabury swój pistolet i sprawdził, w jakim jest stanie. Była to trzydziestka ósemka wpasowana w zewnętrzny wystrój czterdziestki czwórki, co w sumie dawało temu gnatowi kopa na miarę czterdziestki piątki, przy znacznym powiększeniu skutecznego zasięgu.

– Nie będziesz go potrzebował – uspokoilem go. – Owszem, facet jest duży i silny, ale to nie ten rodzaj twardziela, o jakim myślisz.

Wsunął pistolet pod pachę i od tej pory nie zamieniliśmy już ani słowa. Zresztą nie było o czym gadać. Pokonywaliśmy ostre serpentyny i przejeżdżaliśmy tuż obok pionowych przepaści, od których oddzielały nas tylko białe barierki, a w niektórych miejscach kamienne murki z polnych kamieni, na których zamocowane były grube żelazne łańcuchy. Wspinaliśmy się tak pośród wysokich dębów, aż osiągnęliśmy poziom, na którym dęby zaczęły się robić coraz mniejsze i mniejsze, a za to sosny stawały się coraz bardziej strzeliste. Aż w końcu dotarliśmy do zapory na Jeziorze Pумы.

Drogę zastąpił nam wartownik z automatem przełożonym przez piersi. Zahamowałem. Podszedł do auta od mojej strony i rozkazał:

– Przed wjazdem na tamę proszę zakręcić wszystkie szyby.

Odwrociłem się, żeby podnieść tylną szybę po mojej stronie, ale Degarmo wołał pokazać swoją odznakę.

– Daruj sobie te ceregiele, kolego – powiedział z właściwym sobie taktem. – Masz do czynienia z oficerem policji.

Wartownik skierował na niego ciężkie spojrzenie bez wyrazu, po czym tym samym bezbarwnym tonem powtórzył swoje:

– Proszę zakręcić wszystkie szyby.

– Odchrzań się, ołowiany żołnierzyku – odpowiedział mu Degarmo.

– To jest rozkaz – przypomniał mu wartownik. Widziałem, że szczęki zaczęły mu już

lekkie chodząc, ale oczy zachowywały wciąż ten sam niewzruszony wyraz. – I to nie ja go wydałem, proszę pana. Powiedziałem: podkręcić szyby.

– A gdybym tak teraz ja ci powiedział: skocz na zbity łeb z tej tamy? – parsknął pogardliwie Degarmo.

– To może nawet bym skoczył – odparł wartownik, przy czym znacząco poklepał urękawiczoną dłońią kolbę swego automatu. – Z natury jestem bardzo strachliwy.

Degarmo odwrócił się i podkręcił szybę po swojej stronie. Wjechaliśmy na tamę. Na jej środku napotkaliśmy drugiego wartownika, na końcu trzeciego. Musieli widać obaj dostać jakiś sygnał od tego przy wjeździe, bo nie spuszczała z nas czujnego wzroku, w którym nie było odrobiny sympatii.

Przejechałem pośród piętrzących się jeden na drugim bloków granitu, by w końcu znaleźć się w otoczeniu porośniętych szorstką trawą łąk, na których pasły się cierpliwe krowy. Widać było te same byle jakie spodnie, te same kuse szorty i chłopskie chusteczki na głowach co wczoraj. Taki sam lekki powiew czystego powietrza, takie samo słońce na błękitnym niebie i ten sam aromat sosnowych szyszek. Takie samo jak wczoraj czułe, delikatne muśnięcie górskiego lata. Ale wczoraj było dniem sprzed stu lat, który ktoś zatrzymał, unieruchamiając go na całą wieczność niby muchę zamkniętą w kropli bursztynu.

Skręciłem na drogę, która prowadziła do Jeziora Małego Jelonka. Przemykałem pod ogromnymi skalnymi nawisami i omijałem małe, lecz hałaśliwe wodospady. Tym razem brama posiadłości Kingsleya była otwarta na oścież, a tuż za nią stał samochód Pattona, skierowany ku niewidocznej jeszcze z tego miejsca tafli jeziora. Nikogo nie było w samochodzie. Przylepiona do szyby wyborecza ulotka nawoływała: WYBORCY! GŁOSUJCIE NA JIMA PATTONA. JEST JUŻ ZA STARY, ŻEBY SIĘ WZIAĆ DO JAKIEŚ ROBOTY!

Zaraz za jego wozem, tyle że po przeciwnej stronie drogi i zwrócone w przeciwnym kierunku, stało inne auto. Sportowy, mocno poobijany kabriolet, a w nim znajomy kapelusik łowcy lwów. Zatrzymałem chryslera za autem Pattona, wyłączyłem silnik i wysiadłem. Andy także wysiadł z kabrioletu i przypatrywał się nam bez słowa.

– To porucznik Degarmo. Oficer policji z Bay City – poinformowałem go.

Na co Andy powiedział:

– Jim czeka na was zaraz za przełęczą. Uprzedzam, że nie zdążył jeszcze zjeść śniadania.

Podeszliśmy za nim do kabrioletu. Dalej droga schodziła do małego błękitnego jeziora. Widoczna na przeciwległym brzegu chata Kingsleya wyglądała na opuszczoną.

Powiedziałem policjantowi:

– To jest właśnie to jezioro.

Degarmo przez długą chwilę przypatrywał mu się w milczeniu, po czym gwałtownie wzruszył ramionami i warknął:

– Więc w takim razie złapmy sukinsyna za jaja.

Ruszyliśmy, ale po chwili wyłonił się zza skałki Patton, który zastąpił nam drogę. Miał na sobie tego samego sfatygowanego stetsona, te same spodnie w kolorze khaki i zapiętą aż po byczą szyję koszulę.

Gwiazda szeryfa na jego lewej piersi nadal miała zgięty promyk. Regularne ruchy szczęk dowodziły, że po swojemu beznamiętnie żuje tytoń.

– Miło cię znowu spotkać, synu – powiedział, nie patrząc jednak na mnie, tylko na Degarma. Zamaszyście uściśnął jego łapsko i oświadczył: – Kiedy ostatni raz pana widziałem, poruczniku, to jakby pod innym nazwiskiem. To się u was pewnie nazywa tajna misja, co? No, ale że o tym nie wiedziałem, to nie potraktowałem pana jak należało. Więc przepraszam. Ale przyznaję, że od razu wiedziałem, z czyją to fotką się pan tu wtedy obnosił.

Degarmo skwitował to poważnym skinieniem głowy.

– Wygląda na to, że gdybym wtedy jasno pomyślał i rozegrał całą sprawę jak należało, to by nam oszczędziło od cholery problemów. Także mocno mi to zaległo na duszy, ale na szczęście ze mnie taki człowiek, że długo nie chowam urazy. Więc może byśmy tak sobie usiedli i pogadali, a pan by mi pan powiedział, co powinniśmy teraz zrobić.

Degarmo oświadczył:

– Tej nocy w Bay City zamordowana została żona pana Kingsleya. Muszę z nim porozmawiać.

– Ma pan na myśli, że to jego pan podejrzewa? – zapytał Patton.

– I to jeszcze jak! – zapewnił go Degarmo.

Patton poskrobał się po karku i popatrzył na przeciwległy brzeg jeziora.

– Wcale się nie pokazał na zewnątrz. Wygląda, że spał. Węszyłem koło chaty bladym świtem i niczego nie zobaczyłem, tylko w środku grało radio. Na moje oko to ten gość bawił się butelką i szklaneczką. Ale tak jak mi pan powiedział, trzymałem się z daleka, panie Marlowe. Dobrze zrobiłem?

– Idziemy – powiedział Degarmo.

– A ma pan broń, poruczniku?

Degarmo poklepał się pod lewą pachą. Patton spojrział na mnie, więc pokręciłem głową. Nie miałem przy sobie broni.

– Kingsley może być uzbrojony – wyjaśnił Patton. – A mnie nie bardzo by pasowało, żeby tu doszło do jakiejś strzelaniny, panie poruczniku. To w ogóle nie jest takie miejsce, żeby się ludziom spodobał taki szeryf, co pozwala na strzelaniny. A pan mi wygląda na takiego, co to prędko sięga po spluwę.

– Jeżeli to masz na myśli, to wyciągam ją bardzo szybko – odparł Degarmo. – Ale akurat z nim chcę przede wszystkim porozmawiać.

Patton spojrział na niego, potem na mnie, potem znowu na niego, a w końcu strzyknął na bok strugą tytoniowego soku.

– Po samym słuchu nie bardzo wiem, jak go podejść – powiedział z uporem, który wyraźnie dowodził, że w dalszym ciągu nie podoba mu się ten pomysł.

Więc przysiedliśmy na trawie i zapoznaliśmy go z całą historią. Słuchał w milczeniu, ani mrugnięciem oka nie dając poznać, jakie to robi na nim wrażenie. Dopiero na końcu powiedział do mnie:

– Wygląda mi na to, że kiedy dla kogoś pracujesz, synu, to w dość osobliwy sposób. Osobiście myślę, że wy, chłopcy, jesteście kompletnie w błędzie. Ale jak tam pójdziemy, to sprawdzimy. Ja pójdę pierwszy. To na wypadek, jakbyście się nie mylili, a Kingsley był odpowiednio zdesperowany, żeby sięgnąć po broń. Jak wyceluje w ten mój bandzioch, to już nie będzie mógł chybić, nie?

Podnieśliśmy się z ziemi i ruszyliśmy w długą drogę wokół jeziora. Kiedy dotarliśmy do małej przystani, spytałem:

– Czy była już obdukcja, szeryfie?

Patton skinął głową.

– Jak najbardziej się utopiła. Są względem tego całkiem przekonani. Nikt jej nie dźgnął nożem, nie zastrzelił, nie walnął niczym w głowę ani nic takiego. Znaleźli na ciele różne ślady, ale jest ich tak dużo, że nic nie mogą z nich dorozumieć. A w ogóle to nie bardzo im było przyjemnie zajmować się takimi zwłokami.

Twarz Degarma zbielała i pojawił się na niej wściekły grymas.

– Przepraszam, panie poruczniku – dorzucił lekko zmieszany Patton. – Nie powinienem był tak powiedzieć. Bo jak rozumiem, dobrze pan znał tę panią, prawda?

– Zostawmy to i róbmy, co do nas należy – odparł Degarmo.

Idąc brzegiem jeziora, doszliśmy do chaty Kingsleya. Po kamiennych schodkach wspięliśmy się na ganek. Patton podszedł do drzwi. Najpierw upewnił się, że zewnętrzna rama z siatką otwiera się, potem wypróbował drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Nacisnął klamkę, ale poczekał, aż Degarmo odchyli na całą szerokość siatkę i dopiero wtedy otworzył

drzwi. Weszliśmy do środka.

Derace Kingsley z zamkniętymi oczyma siedział swobodnie rozparty w głębokim fotelu, ustawionym w pobliżu kominka. Kominek już wygasł, a na stoliku obok fotela stała pusta szklanka i prawie do końca opróżniona butelka. Obok butelki zobaczyliśmy talerz wypełniony niedopałkami i dwie zgniecione paczki po papierosach.

Wszystkie okna były zamknięte, więc pomimo wczesnej pory w pokoju panował zaduch i było dość gorąco, lecz Kingsley miał na sobie ciepły sweter. Jego twarz była obrzmiała i zaczerwieniona. Chrapał. Bezwładnie opadłe wzdłuż boków fotela ręce dotykały palcami podłogi.

Patton podszedł do niego, ale na długą chwilę zamarł w bezruchu i tylko rejestrował wzrokiem całą tę scenę. W jego głosie był spokój i opanowanie, gdy powiedział wreszcie:

– Panie Kingsley, musimy z panem odbyć małą rozmowę.

ROZDZIAŁ 38

KINGSLEY GWALTOWNIE drgnął, otworzył oczy i nie poruszając głową, rozejrzał się dokoła. Najpierw zobaczył Pattona, potem Degarma, a na końcu mnie. Oczy miał dość mętne, ale z wolna zaczęły nabierać blasku. Niechętnie wyprostował się w fotelu, potarł najpierw dłonie, a potem policzki.

– Zasnąłem – stwierdził. – Już ładnych parę godzin temu. I zdaje się, że pijany jak bela. W każdym razie uchlałem się bardziej, niż to mam w zwyczaju.

Ponownie pozwolił rękom bezwładnie opaść.

Patton powiedział:

– To jest porucznik Degarmo z policji Bay City. Koniecznie chce z panem porozmawiać.

Kingsley obrzucił przelotnym spojrzeniem Degarma, po czym zatrzymał wzrok na mnie. Kiedy znowu się odezwał, jego głos był trzeźwy i opanowany, jednak słychać w nim było śmiertelne zmęczenie.

– A więc pozwolił pan, żeby ją dopadli?

– Miałem nawet ochotę ją wydać – odparłem. – Ale nie musiałem.

Zastanawiał się nad znaczeniem tego, co powiedziałem, ale patrzył na Degarma. Patton nie zamknął za nami drzwi, a teraz po kolei podnosił żaluzje i otwierał frontowe okna. Kiedy się już z tym uporał, zasiadł w stojącym przy jednym z nich fotelu i splótł dłonie na swym wydatnym brzuchu.

Degarmo wbił w niego nieprzyjazne spojrzenie.

– Pańska żona nie żyje, panie Kingsley – powiedział z właściwym sobie taktem. – Jeżeli to dla pana w ogóle jakaś nowina.

Nie odrywając od niego wzroku, Kingsley zwilżył końcem języka wargi.

– Przyjął to całkiem spokojnie, nie? – zauważył Degarmo, a potem zwrócił się do mnie: – Pokaż mu ten szalik.

Wyciągnąłem szalik z kieszeni i pozwoliłem mu swobodnie opaść na podłogę.

– Twój? – zapytał Degarmo, wskazując szalik kciukiem.

Kingsley potwierdził ruchem głowy, ale milczał.

– Trochę to było bez troskie, tak go tam zostawić – oświadczył Degarmo. Jego oddech stał się wyraźnie słyszalny, nos jakby mu się zaostrzył, a od krańców nozdrzy do kącików ust pobiegły dwie głębokie bruzdy.

– Tam, to znaczy gdzie? – zapytał bardzo spokojnie Kingsley. Widok zielono-żółtego szalika najwidoczniej nie zrobił na nim żadnego wrażenia, a na mnie nawet nie spojrzał.

– W Granadzie, panie Kingsley. Umeblowane pokoje do wynajęcia, Ósma Ulica, Bay City. Mówi coś panu ten adres?

Dopiero teraz, i to bardzo powoli, wzrok Kingsleya zdecydował się spotkać z moim.

– To tam pan za nią dotarł? – spytał przez ściśnięte gardło.

Skinąłem głową.

– Nie chciała, żebym tam poszedł. Ale postawiłem warunek. Powiedziałem, że nie przekażę jej pieniędzy, dopóki nie porozmawiamy. Przyznała się do zamordowania Lavery'ego, panie Kingsley. A potem wyciągnęła spluwę i chciała tym samym sposobem pozbyć się mnie. Tylko że ktoś wyskoczył zza kotary i wyłączył mnie, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć. Kiedy znowu przyszedłem do siebie, już nie żyła.

Po czym opowiedziałem mu, jak została zamordowana, jak wyglądała po śmierci i w jakim stanie byłem ja sam.

Wysłuchał tego wszystkiego z kamienną twarzą, a kiedy skończyłem swoją opowieść, wskazał niedbałym ruchem ręki na szalik.

– Co to ma ze mną wspólnego? – zapytał.

– Porucznik Degarmo uznał to za dowód, że osobnikiem, który był schowany za kotarą, jest właśnie pan.

Kingsley przemyślał tę wersję, ale jakby z bardzo dużym opóźnieniem uświadomił sobie, co to dla niego oznaczało. Z powrotem odchylił się na oparcie fotela i skorzystał z podglówka.

– Niech pan kontynuuje – powiedział tonem, który świadczył o śmiertelnym zmęczeniu. – Bo zakładam, że jest pan przy zdrowych zmysłach. To znaczy, takie tylko przyjmuję założenie, ponieważ pan oczywiście zwariował.

Degarmo postanowił wtrącić się do tej rozmowy. Powiedział:

– Dobra, koleś, możesz sobie udawać głupka, ale dobrze wiesz, że nic ci to nie da. Więc najlepiej będzie, jak zaczniesz od tego, co robiłeś wczoraj w nocy. Po tym jak podrzuciłeś swoją podręczną do jej gniazdka.

Kingsley odpowiedział z całkowitym spokojem:

– Jeśli ma pan na myśli pannę Fromsett, to nigdzie jej nie podrzuciłem. Pojechała do siebie taksówką. Ja także zamierzałem wrócić do domu, ale tego nie zrobiłem. Postanowiłem przyjechać tutaj. Pomyślałem, że taka podróż w świeżym nocnym powietrzu i trochę absolutnej ciszy dobrze mi po tym wszystkim zrobią.

– To po prostu wspaniałe! – zachłysnął się Degarmo. – Ty słyszysz? Dobrze mu to miało zrobić po tym wszystkim! A po czym, jeśli można dokładnie wiedzieć?

– Po wszystkich kłopotach, jakie się na mnie ostatnio zwały – odparł spokojnie Kingsley.

Degarmo wybuchnął:

– Niech to jasna cholera! Udusić własną żonę i podrapać pazurami jej goły brzuch to dla ciebie po prostu jeszcze jeden kłopot?!

Patton nie wytrzymał.

– Synu – powiedział, wkraczając z powrotem na scenę. – Nie powinieneś być wygadywać takich rzeczy. To tylko czcza gadanina. Jeszcześ nie udowodnił żadnej z tych rzeczy, które mu zarzucasz.

– Tak ci się zdaje? – ryknął Degarmo, gwałtownie obracając ku niemu swoją wielką głowę. – A ten szalik, grubasie? Niczego według ciebie nie dowodzi?

– Z niczym go pan nie skleił. Ja przynajmniej niczego takiego nie usłyszałem – powiedział Patton. – A tak między nami to nie jestem żadnym grubasem. Powiedzmy, że po prostu jestem nieźle odżywiony.

Degarmo odwrócił się od niego z niesmakiem, po czym wycelował wskazujący palec w Kingsleya i raz jeszcze ryknął swoim chrapliwym głosem:

– A ty pewnie w ogóle nie zahaczyłeś o Bay City, co?

– Nie. Po co miałem tam jechać – odparł spokojnie Kingsley. – Tą sprawą miał się zająć pan Marlowe. I nie wiem, dlaczego mnie pan oskarża na podstawie tego szalika, bo to właśnie pan Marlowe miał go na sobie.

Degarmo, z całą jego wściekłością, przymurowało do podłogi. Bardzo wolno odwrócił się i skierował na mnie swoje ciężkie spojrzenie.

– Nie kapuję – wyznał bezbarwnym tonem. – Słowo daję, że nic już z tego wszystkiego nie rozumiem. Czy wy trzej nie zmówiliście się przypadkiem, żeby ze mnie zakpić?

Uznałem, że czas zabrać głos:

– Wszystko, co pan ode mnie usłyszał w kwestii tego szalika, to to, że go znalazłem w tamtym pokoju i że przedtem tego wieczoru miał go na sobie pan Kingsley. Zdawało mi się,

że to panu wystarcza. Gdyby chciał pan usłyszeć więcej, to mógłbym dodać, że także ja miałem go potem na szyi, żeby ta kobieta mogła mnie dzięki niemu łatwo rozpoznać.

Degarmo odwrócił wreszcie wzrok od Kingsleya i oparł się o ścianę obok kominka. Kciukiem i wskazującym palcem lewej ręki szarpał dolną wargę. Prawa ręka zwisała beczynnie, ale palce zaciskały się bezwiednie.

– Powiedziałem już, Degarmo, że widziałem panią Kingsley tyle co na tej fotce. W tej sytuacji przynajmniej jedno z nas musiało mieć pewność, że potrafi rozpoznać drugie. Ten szalik był idealny do tej identyfikacji. Chociaż tak naprawdę to już raz ją przedtem widziałem, tylko nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to właśnie ona. – Spojrzałem na Kingsleya i dorzuciłem: – Jako panią Fallbrook.

– Z pańskiej relacji wywnioskowałem, że pani Fallbrook była właścicielką domu, który wynajmował Lavery – powiedział wolno z zastanowieniem.

– Tak właśnie wyjaśniła mi swoją obecność – odparłem. – I nawet w to wtedy uwierzyłem. Bo niby dlaczego miałbym nie uwierzyć, prawda?

Degarmo chrząknął, a w jego oczach pojawił się cień szaleństwa.

Więc odmalowałem mu obraz pani Fallbrook w purpurowym kapeluszu, bezładnie gestykulującej, a do tego z wyciągniętym do mnie pistoletem w dłoni. Kiedy skończyłem, powiedział:

– Zdaje się, że Webber nie został wprowadzony w te wszystkie szczegóły, co?

– Nie mogłem mu tego powiedzieć, nie przyznając się zarazem, że byłem tam trzy godziny wcześniej. I że w ogóle rozmawiałem o tym z panem Kingsleyem, zanim policja dowiedziała się o całej sprawie.

– Policja będzie tym na pewno zachwycona! – oświadczył Degarmo z tym samym zimnym grymasem na twarzy. – Jakim ja byłem naiwnym frajerem! Jezu! Ile pan zapłacił temu łachudrze, panie Kingsley, żeby zataił przed nami te morderstwa?

– Tyle, ile sobie liczy za każde zlecenie – odparł obojętnym tonem Kingsley. – A dorzucę do tego pięćset dolarów premii, jeżeli zdoła dowieść, że to nie moja żona zastrzeliła Lavery'ego.

– Aż mi szkoda, że mu się nie uda – zakpił Degarmo, na co powiedziałem:

– Nie wydurniaj się pan, poruczniku. Ja już je zarobiłem.

Zapadła niczym nie zmaćcona cisza. Jedna z tych, które następują po nagłym i niespodziewanym uderzeniu pioruna. Tylko że grzmot tego akurat pioruna jakoś nie chciał przebrzmieć. Zawisł ciężko w powietrzu niby mur.

Kingsley nieznacznie poruszył się w fotelu i po długiej chwili skinął głową. Wtedy

powiedziałem:

– Zdaje mi się, panie Degarmo, że nikt tego nie wiedział lepiej niż właśnie pan.

Twarz Pattona miała w tym momencie tyle samo wyrazu co kloc drewna. Niewzruszenie przyglądał się policjantowi, podczas gdy ten nie potrafił oderwać wzroku od jakiegoś punktu pomiędzy moimi oczyma i wyglądał jak ktoś, dla kogo ten pokój w ogóle przestał istnieć. Albo jak gdyby wpatrywał się w coś bardzo, bardzo odległego, jak szczyt wzgórza rysującego się na horyzoncie za niesłychanie rozległą doliną.

Można było sądzić, że upłynęła cała wieczność, zanim Degarmo znowu się odezwał.

– Nie wiem, dlaczego tak się stało – powiedział. – Przecież nawet nie wiedziałem, że istnieje ktoś taki jak żona pana Kingsleya. Mogę z ręką na sercu powiedzieć, że aż do tego straszego wieczora nie widziałem jej na oczy.

Z widocznym namysłem patrzył na mnie spod półzamkniętych powiek. Doskonale wiedział, co teraz powiem, a jednak to powiedziałem.

– Tyś jej w ogóle tej nocy nie widział, Degarmo. Nie mogłeś jej widzieć, ponieważ nie żyła już od miesiąca. Ponieważ już ponad miesiąc leżała na dnie Jeziora Małego Jelonka. Ta martwa kobieta, którą znalazłeś na piątym piętrze Granady, to była Mildred Haviland. A Mildred Haviland to niegdysiejsze wcielenie Muriel Chess. A skoro pani Kingsley była już martwa, w chwili gdy zabito Lavery'ego, to w żaden sposób nie mogła go przedtem zastrzelić, prawda?

Dłonie Kingsleya gwałtownie podskoczyły do góry i zacisnęły się na poręczach fotela, ale nic nie powiedział. Milczał jak głaz.

ROZDZIAŁ 39

ZNOWU ZAPADŁA długa, pełna napięcia cisza. Przerwał ją Patton, który trzymał się swej zasady, żeby mówić cicho, ale bardzo wyraźnie:

– Czyś ty się aby trochę nie zagalopował, synu? Bill Chess miałby nie rozpoznać własnej żony?

Więc powiedziałem:

– Po miesiącu na dnie jeziora? Miała na sobie ciuchy jego żony i parę jej babskich ozdóbek. Jej przemoczone włosy przypominały mu jasne włosy jego żony, chociaż jej twarz była już prawie nierozpoznawalna. Jakże by mógł jeszcze mieć wątpliwości, skoro przecież zostawiła pożegnalną kartkę? Wszystko było oczywiste: pokłócili się, zabrała swoje szmatki i swój samochód, po czym zniknęła. Przez cały miesiąc nie dała znaku życia i nie miał najmniejszego pojęcia, co się z nią dzieje. Aż tu raptem wypływa spod pomostu kobiece ciało. Przypomina jego żonę, a w dodatku rozpoznaje parę jej ciuchów. Więc jasne, że to Muriel, prawda? Bo przecież gdyby była podstawiona, to policjanci spece wykryliby różnicę i powiedzieliby, o kogo chodzi. Ale nie było najmniejszego powodu, żeby wątpić w tożsamość topielicy. A tymczasem Crystal Kingsley była jak najbardziej żywa. Ulotniła się w towarzystwie Lavery’ :go. Zostawiła w San Bernardino swój samochód, po czym wysłała z El Paso depezę do małżonka. Tak więc z punktu widzenia Billa Chessa nie było powodów do niepokoju. Można nawet przyjąć jako pewnik, że w ogóle o niej nie myślał. Po prostu zniknęła z pejzażu jego życia. Bo i dlaczego by nie?

Po chwili namysłu Patton stwierdził:

– Powinienem był sam na to wpaść. Tylko że pewnie byłby to po prostu jeden z tych pomysłów, co tak samo szybko przychodzą do głowy, jak z niej wylatują. Tym bardziej że to teoria mocno naciągana.

– Na pierwszy rzut oka tak – przyznałem. – Ale jednak tylko pozornie. Bo przypuścimy na przykład, że to ciało wypłynęłoby na wierzch dopiero za rok albo w ogóle nigdy by nie wypłynęło. Chyba że zarządzono by przeszukanie jeziora. Ale na razie sytuacja jest taka, że nikt się specjalnie nie przejmuje zniknięciem jakiegś tam Muriel Chess. Ani nikt się nie

przejmie, kiedy znowu zacznie się o niej mówić. Za to bardzo się wszyscy przejmują zniknięciem niejakiej pani Kingsley. Ponieważ wiąże się z tym duże pieniądze, ważne znajomości oraz wielce zaniepokojony mąż. Kogoś takiego prędzej czy później zacznie się szukać. Tylko że raczej później niż prędzej. A tak naprawdę dopiero wtedy, kiedy zdarzy się coś, co wzbudzi jakieś poważne podejrzenie. Nawet i wtedy jednak minęłoby ładnych parę miesięcy, zanim by ktoś kazał przeszukać Jezioro Małego Jelonka. Ale żeby ktoś wydał takie polecenie, to musiałby mieć jako argument coś więcej niż tylko domniemanie, że chodzi po prostu o jakąś kobietę, która opuściła swojego męża i chatę nad jeziorem, po czym prawdopodobnie pojechała aż do San Bernardino, a tam wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wsiadła w pociąg, który ją powiózł gdzieś na wschód.

Nie zrażony brakiem widocznej reakcji, kontynuowałem:

– Dobra. Założmy, że znaleziono ciało, to po takim czasie przebywania w wodzie szanse na jej identyfikację byłyby naprawdę znikome. I oto aresztuje się Billa Chessa pod zarzutem zamordowania własnej żony. Co więcej, ten człowiek może zostać za tę domniemaną zbrodnię skazany na śmierć. I tak zostanie załatwiona sprawa topielicy. A Crystal Kingsley dalej pozostanie w policyjnych księgach pod hasłem „zaginiona”. Jako nierozwiązana zagadka. Aż ktoś kiedyś dojdzie do wniosku, że jednak spotkało ją coś nieprzyjemnego i zmienią wpis na „zmarła”. Tylko że nikogo nie będzie już wtedy interesowało, kiedy, jak i gdzie rozstała się z tym światem. Nawet dzisiaj nikt by już o tym nie wspomniał, gdyby nie zabójstwo Lavery’ego. Lavery stanowi klucz do całej tej tajemnicy. Bo wieczorem tego samego dnia, kiedy Crystal Kingsley miała jakoby stąd wyjechać, widziano go w hotelu „Prescott” w San Bernardino w towarzystwie kobiety, która przyjechała tam samochodem Crystal Kingsley, miała na sobie ciuchy, które należały do Crystal Kingsley, i było jasne, że ona i Lavery doskonale się znają. To jednak wcale jeszcze nie znaczy, że Lavery wiedział, co było grane. Bo ani nie musiał wiedzieć, że to były rzeczy pani Kingsley, ani tego, że w hotelowym garażu stało auto, którego właścicielką była pani Kingsley. Jedyne, co musiał z całą pewnością wiedzieć, to to, że miał do czynienia z Muriel Chess. O resztę zadbała już ona sama.

Jeszcze raz zrobiłem pauzę i czekałem, czy ktoś zechce coś powiedzieć. Ale nikt nie chciał. Patton siedział nieporuszony, a pulchne bezwłose łapska miał wygodnie założone na wydatnym brzuszysku. Nie poruszył się też Kingsley; siedział z odchyłoną do tyłu głową i przymkniętymi powiekami. Degarmo, pełen napięcia, stał oparty o ścianę koło kominka, z pobladałą twarzą, twardy, niewzruszony człowiek, którego myśli nikomu nie udałoby się zgłębić.

Więc mówiłem dalej:

– Gdyby Muriel Chess udawała panią Kingsley, to bez wątpienia znaczyłoby to, że ją zamordowała. Ale przyjrzyjmy się temu bliżej. Wiemy już, jakiego rodzaju to była kobieta. Wiemy, że zanim poznała Billa Chessa i zanim za niego wyszła – już miała na sumieniu morderstwo. Wiemy, że doktorowi Almore’owi świadczyła dwa rodzaje usług: pielęgniarские i łózkowe. I że tak gładko uwolniła go od niezbyt kochanej małżonki, że poczuł się zobowiązany zatrzeć ślady morderstwa. Wiemy też, że krył ją nawet oficer policji Bay City, którego udało jej się zaciągnąć przed ołtarz. Umiała sobie owijać mężczyzn wokół małego palca. Nie poznałem jej na tyle blisko, by zrozumieć dlaczego, ale że umiała, to nie ulega wątpliwości. Nic tego nie dowodzi lepiej niż zauroczenie Lavery’ego. I teraz słuchajcie, panowie. Mówimy o kobiecie, która zwykła z zimną krwią usuwać osoby, które wchodziły jej w drogę. Taką osobą okazała się pani Kingsley. Może nie powinienem o tym mówić, ale w tej sytuacji nie ma to już żadnego znaczenia. Otóż nie tylko Muriel Chess, ale i Crystal Kingsley wiedziała, jak nakłonić mężczyznę, aby tańczył tak, jak ona mu zagra. Nakłoniła do tego także Billa Chessa. Ale fatalnym trafem nie przewidziała, że jego żona nie przełknie tego gładko i z uśmiechem. Tym bardziej że już po dziurki w nosie miała tego nędznego życia na górskim pustkowiu. Chciała się z niego wyrwać, ale do tego potrzebne jej były pieniądze. Spróbowała je wymusić na doktorze, ale oto zamiast pieniędzy pojawia się Degarmo. Więc jasne, że zaczyna się bać. Bo z kimś takim jak Degarmo nigdy nic nie wiadomo. I w rzeczy samej nie myliła się co do pana. Prawda, panie Degarmo?

Nieznacznie poruszył stopą, po czym powiedział ponurym tonem:

– Toniesz w ruchomych piaskach, Marlowe, ale niech ci będzie. Dokończ tę swoją śmieszłą opowiastkę.

Więc opowiedziałem ciąg dalszy:

– Wprawdzie Mildred wcale nie musiała posłużyć się autem pani Kingsley czy jej strojami, czy czym tam jeszcze, ale to wszystko bardzo jej ułatwiło całe przedsięwzięcie. Jeszcze bardziej ułatwiły jej to pieniądze, które wydawała w imieniu Crystal Kingsley. A jak się dowiedziałem od pana Kingsleya, jego małżonka nie zwykła się liczyć z pieniędzmi. Nie zapomniala ze sobą zabrać także trochę biżuterii Crystal, którą mogła w razie czego spieniężyć, prawda? Wszystko to razem nie tylko racjonalnie uzasadniało morderstwo, ale także dawało jej niebagatelną przyjemność. Tyle o motywach, panowie. Możemy chyba teraz przejść do kwestii korzyści i sprzyjających okoliczności.

Nikt nie zaprotestował.

– Otóż bardziej sprzyjających okoliczności nie mogłaby sobie wymarzyć. Pokłóciła się

z Billem, który w związku z tym poszedł zalać robaka. A знаła swojego Billa wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, jak długo będzie go zalewał, była więc pewna, że starczy jej czasu. Ponieważ bardzo tego czasu potrzebowała. Czas stanowił o wszystkim i gdyby jej go zabrakło, to cały zamiar spełzyłby na niczym. Musiała spakować swoje ciuchy, załadować je do samochodu, pojechać nad Jezioro Szopa i dobrze je tam ukryć, bo przecież to od ich zniknięcia zależał cały pomysł, prawda? A przy tym do domu musiała wrócić pieszo. Trzeba było zamordować Crystal Kingsley, przebrać ją za Muriel Chess, zatańczyć do jeziora i wrzucić do wody. To wszystko wymagało czasu. Zakładam przy tym, że jeśli chodzi o samo morderstwo, to albo ją upiła, albo pozbawiła przytomności uderzeniem w głowę, a następnie utopiła w wannie. Właśnie w tej chacie, bo byłoby to równie proste, co i logiczne. Będąc pielęgniarką, dobrze wiedziała, jak sobie poradzić z przeniesieniem bezwładnego ciała. Pływanie także nie sprawiło jej kłopotu, o czym wiemy od samego Billa, który stwierdził, że była doskonałą pływaczką. A ciało? Ciało po prostu utonie, wystarczy tylko wybrać odpowiednie miejsce. Co w żadnym razie nie pozostaje poza zasięgiem możliwości kobiety umiejacej świetnie pływać. Zrobiła więc to wszystko, włożyła ubranie Crystal Kingsley, zabrała jeszcze parę jej rzeczy, wsiadła do jej samochodu i odjechała. W San Bernardino przydarzył się jej jednak pierwszy pech. Wpadła na Lavery'ego.

Lavery znał ją jako Muriel Chess. Nie ma żadnego dowodu na to, że wiedział o niej cokolwiek więcej. Spotkał się z nią tutaj i najprawdopodobniej był właśnie w drodze nad jezioro, kiedy natknął się na nią w hotelu. Muriel nie chciała, żeby tu przyjechał. Zastałby wprawdzie tylko pustą i zamkniętą chatę, ale mogłoby się zdarzyć, że miałby okazję porozmawiać z Billem, a istotnym elementem jej planu było to, żeby Chess nie miał pojęcia, że definitywnie wyniosła się z domu. Dzięki temu, gdyby jakiś nieprzewidziany przypadek sprawił, że odnaleziono by topielicę, zidentyfikowałby ją jako swoją żonę. Kiedy więc zobaczyła Lavery'ego w recepcji hotelu „Prescott”, natychmiast postanowiła go uwieść, co zresztą nie było bynajmniej trudne. W końcu jeśli w ogóle można o nim powiedzieć coś pewnego, to że nie przepuścił żadnej spódniczce, a im więcej wpadło mu ich w ręce, tym lepiej. Dla tak bystrej dziewczyny jak Mildred Haviland uwiedzenie go nie stanowiło żadnego problemu. Więc owinęła go sobie wokół małego paluszka i na jakiś czas przy sobie zatrzymała. Zabrała go do El Paso, skąd wysłała do pana Kingsleya tę depeszę, o której Lavery nic nie wiedział. Po czym pojechała z nim do Bay City, chociaż prawdopodobnie wcale sobie tego nie życzyła. To Lavery chciał wrócić do domu, ona zaś nie chciała go stracić z pola widzenia, ponieważ bez jej nadzoru mógłby się dla niej okazać niebezpieczny. Jako jedyny mógł przecież zaświadczyć, że pani Kingsley w istocie nie wyjechała z nad Jeziora

Małego Jelonka. I otóż Lavery sobie to na swoje nieszczęście uświadomił, kiedy rozpoczęło się poszukiwanie Crystal Kingsley. Od tej chwili jego życie nie było już warte złamanego szeląga. Można było z początku nie dawać wiary jego oświadczeniom, i rzeczywiście tak się w pierwszej chwili stało. Ale gdyby w końcu opowiedział całą tę historię, to by mu uwierzono, ponieważ potwierdziłyby ją fakty. Kiedy więc zaczęły się oficjalne poszukiwania, Lavery został niezwłocznie zastrzelony w łazience. Tego samego wieczora kiedy go odwiedziłem po raz pierwszy. I byłby to koniec całej tej historii, gdyby nie to, że morderczyni następnego ranka wróciła na miejsce zbrodni. Zabrzmiało to banalnie, ale wydaje się, że jest to jedna z tych rzeczy, którą robią mordercy. No i wpadła na mnie. Opowiedziała mi wprawdzie historyjkę o zaległym czynszu, ale w nią nie uwierzyłem. Obecnie skłonny jestem sądzić, że albo przyszło jej do głowy, że Lavery miał tam schowane oszczędności, które sobie odkładał na boku, albo też uznała, że powinna chłodnym okiem ocenić, czy naprawdę udało się jej czysto wykonać robotę i w razie potrzeby dorzucić parę drobnych śladów, które by naprowadziły policję na fałszywy trop. Ale też nie wykluczam i takiej możliwości, że kiedy powiedziała mi o butelce mleka i gazecie, to mówiła prawdę. Wszystko wydaje się możliwe. Faktem jest, że tam wróciła, że nadziała się na mnie, i że odegrała na mój użytek scenę, po której ręce same składały mi się do oklasków. Dopiero teraz Patton zapytał:

– A ją kto zabił, synu? I przy okazji przyznaj, że nie bardzo polubiłeś pana Kingsleya za to prościutkie zlecenie, co?

Zwróciłem się więc do Kingsleya:

– Powiedział mi pan, że nie rozmawiał z nią pan wtedy przez telefon. Rozmawiała z nią panna Fromsett. Czy była pewna, że właśnie z nią?

Energicznie potrząsnął głową.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Panna Fromsett nie dałaby się nabrać na podrobiony głos. Powiedziała tylko, że był bardzo zmieniony i przybity. W każdym razie nie przeszło mi wtedy przez myśl najmniejsze podejrzenie. Dopiero tutaj przyszło mi to do głowy. Kiedy wszedłem tu wczoraj wieczorem, odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak. Że jest za czysto, za porządnie, za bardzo wysprzątane. Crystal zostawiała po sobie bałagan. Na podłodze sypialni poniewierałyby się jej fatalaszki, w całym domu natrafiałbym na niedopałki, a w kuchni pełno byłoby butelek i kieliszków. Zastałbym po niej brudne naczynia, a na nich muchy i mrówki. Najpierw pomyślałem sobie, że to żona Billa zrobiła porządek w całej chacie. Ale potem uświadomiłem sobie, że akurat tego dnia nie mogła być posprzątać, bo najpierw była zajęta kłótnią z Billem, a potem albo ktoś ją zamordował, albo sama odebrała sobie życie, nie wiadomo. Kołowały mi w głowie najróżniejsze myśli, nie mogę

jednak powiedzieć, żebym doszedł do jakiejś ostatecznej konkluzji.

Patton wy dostał się z fotela i wyszedł na ganek. Po dłuższej chwili wrócił, wycierając usta chusteczką. Z powrotem zasiadł w fotelu, lecz zanim się w nim na dobre usadowił, musiał przenieść ciężar swego ciała na lewy pośladek z powodu kabury, którą dźwigał na prawym boku. Z głębokim namysłem wpatrzył się w Degarma. Degarmo, niby wykuty z kamienia, stał nieruchomo oparty o ścianę. Prawa ręka zwisała mu wzdłuż boku, a jej palce wciąż były lekko podkurczone.

– Nikt mi jeszcze nie powiedział, kto zabił Muriel Chess. Czy to po prostu taki teatralny chwyt, czy też narrator sam tego jeszcze nie wie? – zapytał Patton rozglądając się wkoło.

Wówczas odparłem:

– Zrobił to ktoś, kto uznał, że śmierć była dla niej najlepszym wyjściem. Ktoś, kto ją kochał i kto jej zarazem nienawidził. Kto za mocno wierzył w swoją misję policjanta, żeby pozwolić jej na kolejne bezkarne morderstwo, ale jednocześnie był za słaby, żeby tej misji sprostać. Nie potrafił się zdobyć na to, żeby ją aresztować i głośno powiedzieć, że to ona jest morderczynią. Zrobił to ktoś w rodzaju porucznika Degarma.

ROZDZIAŁ 40

DEGARMO ODSUNĄŁ się od ściany. Na jego twarzy pojawił się blady uśmiech, po czym jego prawa ręka wykonała szybki ruch i ukazał się w niej pistolet. Do nikogo nim nie celował. Po prostu pozwolił mu zawisnąć nad podłogą. Po czym powiedział, nie patrząc na nikogo:

– Myślę, że nie masz broni. Patton ją ma, ale nie wydaje mi się, żeby wystarczająco szybko udało mu się po nią sięgnąć. Więc możemy spokojnie wrócić do rzeczy, Marlowe. Byłbyś tak łaskaw poprzeć ten swój domysł jakimś małym dowodem? Czy może byłby to dla ciebie za wielki kłopot?

– Chcesz małego dowodu? – odparłem. – W rzeczy samej nie jest na razie imponujący, ale z czasem jego kaliber się powiększy. Zacznijmy od tego, że tam w Granadzie ktoś stał za tą zieloną zasłoną. I stał tam przed ponad pół godziny, tak cicho, jak potrafi stać tylko doskonale wyszkolony policjant. Ten ktoś miał ponadto policyjną pałkę. A co więcej, ten ktoś wiedział, że dostałem taką pałką w kark, mimo że nawet nie obejrzałem mojej potylicy. Pamiętasz, co powiedziałeś Shorty’emu? Że tak samo dostało się topielicy, tylko przyłożono jej tak umiejętnie, że nie został najmniejszy ślad, a gdyby nawet został, to nie dano mu czasu, żeby go poszukać. Otóż ten ktoś zdarł z Muriel ubranie i pokaleczył jej brzuch paznokciami. Taką sadystyczną nienawiść do kobiety mógł czuć tylko mężczyzna, któremu stworzyła ona małe prywatne piekło. A teraz posłuchaj, Degarmo. Ów ktoś, kto przeorał paznokciami jej brzuch, do tej pory ma pod tymi paznokciami jej krew i strzępki naskórka. I to w ilości, która policyjnemu specjaliście wystarczy do identyfikacji. Gotów jestem założyć się o wszystkie swoje pieniądze, że nie podsunąłeś Pattonowi przed oczy paznokci swojej prawej ręki, panie Degarmo.

Teraz już lufa pistoletu przybrała pozycję niemal poziomą, a na twarzy policjanta pojawił się szeroki, choć dość blady uśmiech.

– A niby jak, twoim zdaniem, miałem wiedzieć, gdzie jej szukać?

– Almore widział, jak wchodziła albo jak wychodziła od Lavery’ego. I właśnie to wprowadziło go w tak nerwowy nastrój. Właśnie dlatego po ciebie zadzwonił, kiedy zobaczył, że sterczę naprzeciw jego domu. Chociaż przyznaję, że nie domyśliłem się

dokładnie, jak wyśledziłeś ją w Granadzie. Wiem tylko, że nie było to takie trudne. Mogłeś się ukryć w domu Almore'a i stamtąd śledzić albo ją, albo Lavery'ego. Taka robota to dla policjanta po prostu pestka, nie?

Degarmo skinął głową, po czym zastanowił się nad tym, co powiedziałem. Twarz miał dość ponurą, ale w jego oczach pobłyskiwało coś w rodzaju rozbawienia. W nagrzanym do temperatury wrzenia pokoju czuło się nabrzmiewający dramat, którego w żaden sposób nie można już było uniknąć. I tylko sam Degarmo zdawał się tego nie rozumieć.

Oświadczył:

– Teraz stąd wyjdę. Może znajdę niezbyt daleko, ale żadnemu nieudanemu prywaciarzowi nie uda się mnie zatrzymać. Czy ktoś jest innego zdania?

– Synu, ten numer nie przejdzie – rzekł spokojnie Patton. Dobrze wiesz, że muszę cię aresztować. To prawda, że nic jeszcze nie zostało dowiedzione, ale po tym, co usłyszałem nie mogę cię puścić.

– Zastanów się, Patton – odparł Degarmo. – Ty masz duży brzuch, a ja bardzo celnie strzelam. Więc jak sobie wyobrażasz zatrzymanie mnie?

– Właśnie od jakiegoś czasu próbuję to wykombinować – wyznał Patton i poskrobał się po czuprynie pod zsuniętym na tył głowy kapeluszem. – Niewiele wymyśliłem, ale dziury w brzuchu to bym nie chciał mieć. Nie za bardzo mi się też uśmiecha, żebyś ze mnie zrobił ostatniego durnia na moim własnym terenie, nie?

– Niech pan go puści, szeryfie – wtrąciłem. – Z tych gór się nie wydostanie. Dlatego właśnie tu go zaciągnąłem.

Patton jednak zauważył trzeźwo:

– Ktoś będzie musiał zaryzykować tę kulkę w brzuchu, żeby go zatrzymać, nie? I nie byłoby całkiem w porządku, jakbym to nie był ja.

Degarmo roześmiał się.

– Słowo daję, że zabawny z ciebie chłopak, Patton – powiedział. – Patrz tylko. Powiedzmy, że wsunę teraz tę zabawkę z powrotem pod pachę. I powiedzmy, że będziemy wtedy mieli równe szanse i spróbujesz być tak samo szybki jak ja. Dorównasz mi?

Wsunął swój pistolet pod pachę i znieruchomiał w wyczekującej pozycji, z ręką opuszczoną wzdłuż boku i z wojowniczo wysuniętą dolną szczęką.

Patton nadal ze spokojem przeżuwał tytoń. Patrzył policjantowi prosto w oczy, tyle że jego wzrok zdawał się nieporuszony, oczy Degarma zaś strzelały na boki.

– Synu – powiedział. – Sam widzisz, że siedzę sobie, a ty stoisz. I jesteś ode mnie dużo szybszy. Ale nie chciałbym wyjść na tchórza.

Następnie z wyraźnym smutkiem spojrzął na mnie.

– Dlaczego, do najjaśniejszej cholery, musiałeś go tu przywlec? Czy nie dość miałem kłopotów? Wpakowałeś mnie w tę historię i popatrz teraz, dokąd mi sięga to gówno!

I naprawdę sprawiał w tym momencie wrażenie człowieka zranionego, zagubionego, a nawet słabego.

Degarmo odchylił nieco głowę i zaśmiał się. Jednakże kiedy się jeszcze śmiał, jego prawa ręka znowu błyskawicznie sięgnęła po broń.

Ale Patton był szybszy. Nawet nie zauważyłem, kiedy pojawił się w jego dłoni i zagrzmiał potężny westernowy kolt.

Ramię Degarma gwałtownie odskoczyło w bok, jego Smith & Wesson wyleciał w powietrze i z łoskotem uderzył w sosnową ścianę za jego plecami. Potrząsnął ręką, jak gdyby ją sobie o coś sparzył, i wpatrzył się w nią z wyrazem zdumienia i niedowierzania.

Patton podniósł się powoli z fotela. Bez pośpiechu przeszedł przez pokój i kopnął broń Degarma pod krzesło. Z pewnym smutkiem przyglądał się przez chwilę, jak Degarmo ssie krwawiące palce.

– Daeś mi szansę – powiedział i także w jego głosie zabrzmiał smutek. – A nie wolno lekceważyć kogoś takiego jak ja, synu. Więcej lat posługuję się bronią, niż ty ich zdążyłeś przeżyć.

Degarmo skinął w jego kierunku głową, wyprostował się i ruszył ku drzwiom.

– Nie rób tego – powiedział Patton.

Degarmo nie zatrzymał się. Doszedł do drzwi, otworzył je i zwrócił ku niemu twarz, która zdawała się całkiem biała.

– Wychodzę – powiedział. – I masz tylko jeden sposób, żeby mnie zatrzymać. Bywaj, grubasie.

Patton ani drgnął.

Degarmo przekroczył próg. Jego ciężkie kroki zabrzmiały najpierw na ganku, a potem na schodach. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Patton w dalszym ciągu nie uczynił żadnego ruchu, podczas gdy tamten wkroczył już na małą tamę.

Powiedziałem:

– Wszedł już na tamę. Czy Andy ma broń?

– Jeżeli nawet ma, to wątpię, żeby jej użył – odparł Patton spokojnym tonem. – Nie przyjdzie mu to nawet do głowy.

– Niech pana cholera! – stwierdziłem. – To było naprawdę coś!

Patton westchnął.

– Po prostu nie wolno mu było dawać mi szansy – powiedział. – Zlekceważył mnie, więc musiałem mu się odwdziżyć. A przy okazji ukarać. Tylko że to go i tak wiele nie nauczy.

– To morderca – przypomniałem mu.

– Nie taki straszny z niego morderca – odparł Patton. I zapytał: – Zamknąłeś samochód?

Przytaknąłem, po czym poinformowałem go:

– Andy wszedł na tamę. Degarmo go zatrzymał. Coś do niego mówi.

– Może chce zabrać jego samochód – powiedział smętnym tonem Patton.

– No niech to cholera! – powtórzyłem, a potem spojrzałem na Kingsleya. Siedział z głową opartą na rękach i patrzył w podłogę.

Znowu wyjrzałem przez okno. Degarmo zniknął za fałdą terenu. Andy był już w połowie tamy. Szedł wolno i co parę kroków oglądał się za siebie. Kiedy dotarł do jego uszu warkot uruchamianego silnika, spojrzał w stronę chaty, po czym odwrócił się i pobiegł z powrotem do brzegu.

Samochód oddalał się, aż w końcu przestaliśmy go słyszeć, a wtedy Patton powiedział:

– No dobra. Trzeba wracać na posterunek i zabrać się do telefonowania.

Kingsley podniósł się raptownie z fotela i poszedł do kuchni. Wrócił z butelką whisky, nalał sobie solidną porcję i wypił na stojąco, a potem machnął ręką i powłócząc nogami, wyszedł z pokoju.

Usłyszałem skrzypnięcie sprężyn łóżka.

Wyszliśmy z Pattonem z chaty, starając się to zrobić jak najciszej.

ROZDZIAŁ 41

PATTON SKOŃCZYŁ właśnie telefonować w sprawie zablokowania dróg, kiedy zadzwonił sierżant, który dowodził wartownikami na tamie Jeziora Pumpy. Wsiadliśmy do samochodu Pattona, który Andy pełnym gazem poprowadził nadbrzeżną drogą do wioski, a potem z powrotem wzdłuż brzegu do dużej tamy. Wartownik dał nam znak, żeby przejechać nią do strażnicy, gdzie za kierownicą dżipa czekał już nas sierżant. Na nasz widok ruszył i poprowadził nas za sobą o kilkaset metrów dalej, do krawędzi kanionu, gdzie zobaczyliśmy grupkę żołnierzy, którzy przyglądali się czemuś na dole. Zatrzymało się tam już kilka aut, których pasażerowie dołączyli do wartowników. Sierżant wyskoczył z dżipa i poczekał na naszą trójkę, po czym podeszliśmy do tego miejsca.

– Facet nie zatrzymał się na wezwanie wartownika – wyjaśnił sierżant z goryczą w głosie. – Mało brakowało, a by go potracił. Ten, który stał pośrodku tamy, też ledwie zdążył uskoczyć mu z drogi. Więc ostatni, na drugim brzegu, widząc, co się dzieje, dał mu znak do zatrzymania. Ale on nie miał zamiaru stanąć.

Żując gumę, patrzył w głąb kanionu.

– W takim wypadku żołnierze mają rozkaz strzelać – powiedział. – Więc chłopak strzelił.

Wskazał na ślady opon biegnące do krawędzi przepaści.

– Tutaj poleciał.

Kilkadziesiąt metrów niżej zobaczyliśmy małe sportowe auto, które rozbiło się o wielki blok granitu. Leżało niemal całkowicie przewrócone na dach. Byli tam już trzech mężczyźni.

Udało im się przechylić wrak na tyle, żeby można było wydobyć z jego wnętrza coś, co kiedyś było człowiekiem.